

ZESZYT CZTERDZIESTY SZÓSTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

W PARYŻU



LITERACKI

1978

ZESZYT CZTERDZIESTY SZÓSTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1978

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 298

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poisy Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

WSPOMNIENIA O BIBLIOTECIE NARODOWEJ W WARSZAWIE

Geneza Biblioteki Narodowej

Plany wielkiej książnicy narodowej z siedzibą w Warszawie znalazły w wieku XVIII-tym realizację w postaci Biblioteki Publicznej oddanej do użytku czytelników 2 sierpnia 1747 roku w pałacu Daniłowiczowskim. Twórcami jej byli bracia Załuscy. Po trzecim rozbiórze Rosjanie sponiewierali i wywieźli do Petersburga ową pierwszą polską bibliotekę narodową, imponującą światu księgozbiorem zbliżonym do 400.000 tomów.

Następną próbę podjęto w początku XIX-go wieku w ramach działalności Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Biblioteka, gromadzona w pałacu Staszica, podzieliła po powstaniu listopadowym losy swej poprzedniczki. Podobnie ułożyły się dzieje organizowanej równolegle ambitnej Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. W latach późniejszych, po roku 1831, surogatem zbiorów publicznych były cenne biblioteki prywatne: Zamoyskich, Przeździeckich, czy wreszcie najszerzej udostępniona i złączona z bogatym muzeum Biblioteka Ordynacji Krasińskich we własnym gmachu na Okólniku.

W końcowym okresie zaborów, od roku 1907, główną biblioteką stołeczną była znakomicie pomyślana Biblioteka Publiczna im. Kierbedziów na Koszykowej (we własnym gmachu). Funkcje jej były jednak zdecydowanie użytkowe, dalekie od modelu instytucji publicznej typu muzealnego (jeśli nie świątyni książki), o jakiej marzył dla Polski, po zwiedzeniu bibliotek angielskich, późniejszy dyrektor Funduszu Kultury Narodowej, Stanisław Michalski. Marzenia te dzielił z nim Stefan Demby, twórca obec-

nej Biblioteki Narodowej, obchodzącej w br. (1978) pięćdziesięciolecie formalnego istnienia.

We wczesnych latach Niepodległości sytuacja biblioteczna przedstawiała się w Warszawie rozpaczliwie. Biblioteka Uniwersytecka była gruntownie, jak się wtedy mówiło, „meliorowana”, co w praktyce oznaczało przekształcanie jej z rosyjskiej na polską, połączone z unieruchomieniem znacznych części księgozbioru. Studenci odczuwali dotkliwie brak podstawowych podręczników a gromadzenie literatury potrzebnej przy pisaniu prac dyplomowych było połączone z niewyobrażalnymi dziś trudnościami. W tych warunkach Biblioteka Publiczna na Koszykowej ratowała, jak mogła, sytuację. Z książek naukowych korzystać jednak było można tylko na miejscu w przyjemnie urządzonej ale zawsze przepełnionej Czytelnii. Jakość księgozbioru, przejrzyste katalogi, doskonała obsługa życzliwie nastawionego do młodych czytelników personelu, sprawiały, że we wspomnieniach moich własnych lat uniwersyteckich ta właśnie biblioteka wysuwa się na plan pierwszy jako adres pod którym pracowało mi się najlepiej. Ale, mimo najlepszych intencji, nie mogła ona zastąpić ani normalnej biblioteki wyższej uczelni ani centralnej biblioteki państwowej. Szła zresztą w owym czasie wyraźnie w kierunku ogarnięcia stolicy filiami dzielnicowymi i rozbudowy sieci bibliotek dla dzieci i młodzieży.

Po roku 1918 koncepcja wielkiej biblioteki narodowej stała się naturalnym ogniwem planów zmierzających do stworzenia instytucji kulturalnych niezbędnych do prawidłowego funkcjonowania państwa. Sprawa dojrzywała jednak powoli, odsuwana na plan dalszy przeszkodami wynikającymi z konieczności obracania skromnych zasobów finansowych na odbudowę zniszczeń wojennych czy zwalczanie bezrobocia. „Pałac” biblioteczny Dembego miał w sobie tyle cech projektu ponad stan, że trudno było przystąpić do jego realizacji.

Na formalne powołanie do życia Biblioteki Narodowej, jako instytucji samodzielnej, czekać trzeba było do roku 1928, a więc przez pełne dziesięciolecie. Okres ten wypełniły niestrudzone zabiegi Dembego. Rozpoczął je w czasie pracy w Bibliotece Uniwersyteckiej, z której przeszedł w roku 1919 do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, gdzie objął stanowisko kierownika Referatu Bibliotek przekształconego następnie (w roku 1925) w Wydział Bibliotek.

Demby miał już za sobą pokaźny zasób doświadczeń z terenu bibliotek publicznych i samodzielnej pracy w roli księgarza i wydawcy. Już w roku 1904 zorganizował kurs bibliotekarski i sam wygłosił na nim w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa

w Warszawie 20 wykładów. Z jego inicjatywy zaczął wychodzić w roku 1908 *Przegląd Biblioteczny*, pismo naukowe na dobrym poziomie. Raz dostawszy się do Ministerstwa, wytrwale, choć nie zawsze zrećnie, przewycięzał przeszkodę po przeszkodzie. Najważniejszą z nich była oczywiście prawda, że w Krakowie i Lwowie istniały wielkie biblioteki o charakterze narodowych księżnic historycznych. Miłośnicy ich i kierownicy protestowali przeciwko tworzeniu z niczego instytucji, będącej w ich ocenie niezdrowym rywalem „Jagiellonki” czy Ossolineum. W sukurs przyszedł Dembememu wydarzenia z zewnątrz i sprawy domagające się natychmiastowego ujęcia w formy prawne.

Jedną z nich był tzw. potocznie „Rapperswil” tj. sprawa „powrotu do Kraju” zbiorów Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu w Szwajcarii. Fundator tej instytucji hr. Władysław Plater zalecił w testamencie przewiezenie do *wolnej* Ojczyzny nagromadzonych na obczyźnie zbiorów, nie precyzując miejsca ich ulokowania. Drugą, nie mniej poważną sprawą było właściwe umieszczenie zbiorów rewindykowanych z Rosji na mocy postanowień Traktatu Ryskiego. Znaczną ich większość stanowiły materiały biblioteczne wywiezione po rozbiorach i powstaniu listopadowym z Warszawy. Obie te sprawy, zasadniczo różne, kryły w sobie te same ładunki uczuciowe. W obu wypadkach wracał do Kraju rozdział historii narodowej otoczony sentymentem kilku pokoleń — dokonywała się sprawiedliwość dziejowa.

Prasa i opinia publiczna domagały się jak najszybszego „powrotu” „Rapperswilu” i jak najśpieszniejszego wykonania woli testatora. Orędownikiem najpotężniejszym był aż do zgonu Stefan Żeromski. Zwłokę interpretowano jako nieufność w trwałość i ostateczność odzyskanej świeżo niepodległości. Rewindykacja zbiorów zagrabionych przez Rosję była obowiązkiem jeszcze pilniejszym i oczywistym a przy tym w pełni docenianym przez władze państwowe, które nie szczędziły kosztów i trudu, dając komisjom rewindykacyjnym doskonałe obsady, pomoc biegłych i wszelkie ułatwienia prac. Wiąza się z nimi wielkie nazwiska bibliotekarzy owej epoki: Edwarda Kuntzego, Aleksandra Birkenmajera, Kazimierza Piekarskiego, Piotra Bańkowskiego i wielu innych wytrwałych poszukiwaczy rozproszonych po Rosji polskiego mienia kulturalnego. Świadectwem tych prac są Edwarda Chwalewika „Zbiory polskie” (2 tomy, drugie wyd. w roku 1926-27) i wielotomowe „Dokumenty dotyczące akcji Delegacji Polskich w Komisjach Mieszanych Reewakuacyjnej i Specjalnej w Moskwie” oraz artykuły Piotra Bańkowskiego w „Archeionie”.

W miarę posuwania się prac Komisji ujawniły się trudności natury materialnej, dotyczące właściwego przydziału i pomiesz-

czenia kierowanych do Warszawy (bo gdzieżby indziej!) zbiorów. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że obiekty wywiezione przez Rosjan z Warszawy, a więc przede wszystkim olbrzymie zbiory Załuskich, mogą powrócić tylko tu i to w rozmiarach znacznie większych od uzyskanych w ramach rewindykacji, która dała w ostatecznym rezultacie najwyżej jedną trzecią złupionych skarbów. Demby i sprzyjający mu dostojnicy wyczuli dodatkowe walory tych wydarzeń. Pozwoliły one na wysunięcie na forum publiczne argumentu ubóstwa zbiorów bibliotecznych stolicy odrodzonego Państwa zahamowanych w rozwoju w okresie zaborów. Jako postulat zasadniczej wagi wysuwano konieczność zatrzymania i odpowiedniego pomieszczenia — i to w Warszawie — zarówno lwiej części zbiorów rewindykowanych z Rosji jak i „Rapperswilu”, którego zrąb najcenniejszy stanowiły dokumenty dotyczące powstań listopadowego i styczniowego związanych najbliższej ze stolicą i byłym zaborcem rosyjskim.

Sytuacja wyglądała chwilami groźnie, bo zbiory nadjeżdżały tryumfalnie w ładunkach wagonowych a często nie zapowiadanych z góry, gdyż wypuszczanie ich zależało od fantazji władz sowieckich niechętnie usposobionych do prac komisji rewindykacyjnych. Trzeba było wyładowywać je pośpiesznie i umieszczać w składach tymczasowych uzyskiwanych niejednokrotnie w ostatniej chwili. Postulat jak najszybszego stworzenia Biblioteki Narodowej — XX-wiecznego odpowiednika Książnicy Załuskich — nie wymagał długiego uzasadniania.

Poza argumentami natury sentymentalnej, patriotycznej, historycznej i rzeczowej wystąpił na widownię czynnik nowy, zabarwiony dla odmiany nutą administracyjno-biurokratyczną. Z wielu względów było wskazane gromadzenie całokształtu bieżącej produkcji wydawniczej. Rejestracja jej należała wówczas do kompetencji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Interesowało się ono jednak egzemplarzami obowiązkowymi pod kątem potrzeb policji i cenzury i to zarówno politycznej jak i obyczajowej. Ministerstwo to nie mogło i nie było powołane do przechowywania w swoich archiwach owej rosnącej lawinowo produkcji a co więcej nie mogło jej udostępniać ani szerszej publiczności ani naukowcom. Z egzemplarzy obowiązkowych korzystali zasadniczo tylko urzędnicy Ministerstwa (a ściślej Komisariatu Rządu na m.st. Warszawę). Przechowywanie należało w teorii do funkcji centralnej biblioteki państwowej a tej odrodzone państwo nie miało.

Na dobro Stefana Dembego należy zapisać, że wcześniej dostrzegł i tego także cichego sprzymierzeńca i dopominać się zaczął o prawne uregulowanie sprawy dostarczania egzemplarzy

obowiązkowych i rejestracji bibliograficznej bieżącej produkcji wydawniczej krajowej a nadto poloniców zagranicznych. Popierały go w tym wielkie biblioteki uniwersyteckie i regionalne widzące w egzemplarzu obowiązkowym cenne źródło dopływu bezpłatnych nabytków i możliwości prawnego egzekwowania druków regionalnych, na czym im szczególnie zależało. Chodziło także o unifikację i przedłużenie ważności rozporządzeń załatwiających na różne sposoby sprawy kontroli produkcji drukarskiej w różnych zaborach. Dla Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu i bibliotek w b. zaborze rosyjskim miało to znaczenie zasadnicze, bo stały dopływ nowości z egzemplarza obowiązkowego pozwalał na nieco swobodniejsze dysponowanie skromnymi funduszami przeznaczonymi w budżetach na uzupełnianie zbiorów.

Fakt, że Ministerstwo W.R.i O.P. finansowało działalność wyższych uczelni i miało w praktyce decydujący głos w sprawie ich budżetów zarówno personalnych jak i rzeczowych, wywołał potrzebę skupienia spraw bibliotecznych w fachowej komórce specjalnej tego resortu. W powietrzu wisały nadto sprawy opieki nad Ossolineum, Kórnikiem i wieloma innymi bibliotekami naukowymi walczącymi z poważnymi trudnościami finansowymi z powodu dewaluacji dochodów z zapisów. Szczególnej pieczy domagały się placówki powstałe po roku 1918 lub starsze ale stanowiące własność niezasobnych instytucji naukowych w Toruniu, Bydgoszczy, Płocku, Katowicach, Łucku. Demby zabiegał przeto o rozszerzenie zakresu działalności Referatu Bibliotek a pokonawszy przeszkody stał się z referenta naczelnikiem Wydziału Bibliotek (1925). Inicjatorem tego właśnie kierunku działania był przed Dembą zmarły nagle i przedwcześnie w Rydze w roku 1921 dr Józef Korzeniowski, b. kustosz Biblioteki Jagiellońskiej i autor „Zapisków z rękopisów Cesarskiej Biblioteki Publicznej w Petersburgu i innych bibliotek petersburskich” (1910) opartych na poszukiwaniach prowadzonych pod egidą Akademii Umiejętności w Krakowie w toku organizowanych przez nią ekspedycji naukowych. Demby współpracował z nim w latach 1919-21 a następnie przejął jego funkcje.

Stefan Demby — twórca Biblioteki Narodowej

Ja sama zetknęłam się z nazwiskiem Stefana Dembego we wczesnym dzieciństwie, gdy rodzice darowali mi na Gwiazdkę opracowane przez niego wypisy patriotyczne pt. „Łany ojczyste”, cieszące się w okresie Pierwszej Wojny Światowej wielką wziętością w Kongresówce i bodaj dwukrotnie przedrukowywane. Wró-

ciłam do nich po latach szukając bezskutecznie klucza do ich niegdyśszych uroków. Z uśmiechem odnalazłam natomiast klucz do osobowości ich kompilatora. Taki był właśnie: solenny, patetyczny, ceniący w wierszu temat i wierność tła historycznego, zawsze gotów do wielkich gestów i łzawych uniesień.

Był Mazurem najczystszej wody. Urodził się 4. VI. 1862 w Łomży jako syn sędziego, Józefa, i Zofii z Aleksandrowiczów. Młodość spędził jednak w Płocku. Tam ukończył rosyjskie gimnazjum i nawiązał przyjaźnię, którym był wierny do grobowej deski. Ukończył Wydział Prawny Uniwersytetu Warszawskiego, po czym pracował jako nauczyciel prywatnych warszawskich szkół żeńskich a następnie urzędnik kancelarii Dyrekcji Drogi Żelaznej Warszawsko - Wiedeńskiej. Przez osiem lat (1897-1905) próbował sił jako księgarz i wydawca.

Oficjalny życiorys źle oddaje rzeczywiste walory Dembego. Uważany był słusznie za chodzącą encyklopedię wiedzy o „zewnątrznej” historii pozytywizmu i personaliach jego bohaterów. I, choć wygląda to pozornie na niekonsekwencję, równie blisko a nawet bliżej, choćby ze względu na datę urodzenia, związany był z Młodą Polską i jej czołowymi przedstawicielami. Chłubił się przyjaźnią Świętochowskiego, którego syna uczył; ubóstwiał Sienkiewicza, obgadując go zresztą bez litości, zwłaszcza w zaufanym męskim gronie. Nie przeszkadzało mu to bynajmniej obdarzać entuzjastycznym uznaniem także i Przybyszewskiego, który słabość tę zręcznie eksploatował, gdy Demby występujący w roli wydawcy i mecenasu pisarzy wspierał go „pożyczkami” z żoninych zasobów.

W latach, które pamiętam z własnych obserwacji (1928-39) echem owych młodopolskich ciągotek była przyjaźń z Zenonem Przesmyckim (Miriamem). Innym ich echem była troska o zdobywanie do zbiorów bibliotecznych autografów utworów nie tylko wybitnych ale i pomniejszych pisarzy oraz ich puścizn rękopiśmiennych. Dziś brzmi to nieprawdopodobnie ale w okolicy 1930 roku ta właśnie strona działalności Dembego spotykała się ze złośliwą krytyką dużego odłamu bibliotekarzy krakowskich i lwowskich, ceniących tylko i wyłącznie obiekty znacznie starsze. Demby posądzany był przez nich, nie bez ziarna słuszności, o przepłacanie „skarbów” podsuwanych mu przez chciwych spadkobierców czy wreszcie o uprawianie działalności filantropijnej w stosunku do wdów i sierot. Sam tłumaczył się że *per saldo* polityka taka ma rację. Obok zbiorów zakupionych stosunkowo drogo do Biblioteki napływały coraz szerszą falą „okazje” i dary. Zbudowanie przyczółka z zakupów okazało się na dalszą metę

opłacalne. Start miał zresztą szczęśliwy. Wśród nabytków, których pozyskanie wyprzedziło nawet w niektórych wypadkach powstanie Biblioteki Narodowej znalazły się np. zbiory horynieckie książąt Ponińskich, ofiarowane przez sen. Stanisława Karłowskiego aktem z 14. X. 1925. Liczyły 21.952 pozycji, w tym ok. 5.000 druków sprzed 1800 r., pochodzących z księgozbioru księdza Ignacego Polkowskiego. Najstarszym chronologicznie darem były rękopisy dotyczące Józefa Marii Hoene-Wrońskiego ze zbiorów Adolfa Roussela ofiarowane przez Madame Adrienne d'Ory z Béhobie. Innym wczesnym darem była biblioteka Seweryna Smolikowskiego, filozofa, zm. w r. 1920, ofiarowana Państwu przez spadkobierców w roku 1922. Przyszły po nich dalsze np. zbiór wydawnictw z okresu Wielkiej Emigracji z biblioteki Władysława Strzembosza, kustosa Biblioteki Polskiej w Paryżu, przekazany w roku 1927 przez wdowę, wnuczkę Kraszewskiego; część rękopisów Józefa Korzeniowskiego (powieściopisarza); część archiwum Marii Konopnickiej itd.

Gromadzenie rękopisów nowszych i najnowszych nie budzi dziś zastrzeżeń. Ale w owych latach wyrzucano bez skrupułów materiały rękopiśmienne dotyczące współczesności. Nie lepiej obchodzono się z drukami ulotnymi i czasopismami-efemerydami. Luki zbiorów polskich w tym zakresie są katastrofalne także i dlatego, że skutki polityczne rwały ciągłość publikacji bibliograficznych. Skutki odczuwa każdy komu wypadnie gromadzić pełną dokumentację do dowolnego tematu z przełomu XIX-go i XX-go wieku. Zasluga Korbuta urasta do właściwych rozmiarów na tle tego osobliwego bezhołowania. Do klęski urasta brak kontynuacji Estreichera, wolne tempo ukazywania się „Polskiego Słownika Biograficznego”, rozproszenie i niekompletność bibliografii historii Polskiej i pamiętników. Demby uświadamiał sobie jasno potrzeby z tej dziedziny. Sam gromadził pilnie tzw. dokumenty życia społecznego i otoczeniu swemu wszczepić potrafił zrozumienie wartości druków pozornie nadających się do kosza na śmieci. Pisząca te słowa zawdzięcza Dembem, a także autorowi „Bibliografii pamiętników polskich” Edwardowi Maliszewskiemu, zasadnicze „ustawienie” zainteresowań na odcinku, który za naszych czasów nabrał jeszcze większego znaczenia. Ale i na mnie spadały gromy za „zaśmiecanie” Biblioteki Polskiej w Londynie emigracyjnymi ulotkami, afiszami, niekompletnymi czasopismami z Indii czy Australii itp.!

Dziś trudno wyobrazić sobie jak pionierskie były np. prace o pozytywizmie Kazimierza Wóycickiego albo zarysy historii literatury współczesnej Kazimierza Czachowskiego. Albo do jakiego

stopnia niezastąpione były biblioteki Gabriela Korbuta czy Jana Michalskiego!

Demby był antytezą urzędnika-biurokraty, choć, wiele lat życia upłynęło mu przy biurku. Sprawy czysto administracyjne interesowały go mało — był pod tym względem całkowitym zaprzeczeniem swego późniejszego pomocnika i następcy (w Min. W.R. i O.P.) dra Józefa Grycza. Interesowały go natomiast żywo personalia, nie w sensie jednak rzeczowego wniknięcia w dane osobiste i związki ich z działalnością danej jednostki, ale raczej w sensie „kotowskim” — plotki literackiej i opinii współczesnych. Był biegłym znawcą atmosfery Warszawy swoich czasów, świetnie zorientowanym we wzajemnych powiązaniach ludzkich. Fakt, że pochodził z rodziny związanej od kilku pokoleń z literaturą i dziennikarstwem miał np. zasadnicze znaczenie przy angażowaniu mnie do Biblioteki w okresie, gdy zdobycie jakiegokolwiek umysłowej pracy zarobkowej nie należało do spraw łatwych. Demby wykazał wówczas imponującą znajomość życiorysów mego dziada i wujów. Nikt i nigdy nie wsparł mnie skuteczniejszą protekcją niż ta, którą zawdzięczałam nieżyjącemu już wówczas wujowi Władysławowi Korotyńskiemu, historykowi starej Warszawy!

Niepodobna mówić o jakimś systemie pracy w powszechnie przyjętym sensie, gdy wspomina się „urzędowanie” Dembego. Nie istniały dla niego sztywne godziny pracy ani przyjmowania interesantów. Nie zdarzyło mu się chyba nigdy zjawić w domu na Chmielnej (w okolicy dawnego dworca „Wiedeńskiego”) w porę na obiad. Zdarzało się natomiast krążyć między biurem na Hożej a właśnie Chmielną w towarzystwie Miriama. Obaj w pelerynach — widma minionej epoki — odprowadzali się godzinami zagadani na temat Hoene-Wrońskiego czy Norwida. Byłam kiedyś świadkiem typowej dla nich sceny: Miriam i Demby przystanęli na ważną pogawędkę pod latarnią uliczną. Był to, jak się zdaje, cel codziennych spacerów lokalnego foksteriera. Pies walczył o pole działania. Miriam odpędzał go parasolem. Właściciel psa próbował interweniować, prosząc o zmianę miejsca postoju. Pies szczekał. Obaj panowie z wzgardliwymi minami, wyżsi nad przyziemność, trwali na posterunku. Czas płynął — ale czas się nie liczył!

Demby nie był bibliotekarzem w znaczeniu wiązanim z pojęciem osoby wykonywującej ten sprecyzowany dziś bardzo wyrażnie i wyznaczony egzaminami fach. Ex-nauczyciel pensji żeńskich z epoki „Emancypantek” i ex-urzędnik dykcji kolejowej, będącej przed rokiem 1914 schronieniem inteligentów w b. zaborze

rosyjskim, działacz kulturalno-społeczny cieszący się ogromną popularnością, zręcznie oscylujący między stronnictwami, przekorny ale wierny czytelnik *Kuriera Warszawskiego*, był oświeconym liberałem typowym dla środowiska, w którym się obracał.

Zastanawialiśmy się nieraz w gronie pracowników Biblioteki jak go zakwalifikować. *Prawda* Świętochowskiego i publicystyka pozytywizmu stały niewątpliwie u podstaw jego poglądu na świat: miał np. za złe swemu dawnemu bożyszczu-Swiętochowskiemu, że na starość związał się z pismami Stronnictwa Narodowego. Powtarzał znacząco rzekome jego usprawiedliwienia: „Mieszkałem w kamienicy żydowskiej — powiedzieć miał Świętochowski — i nie stałem się Żydem; drukuję w prasie endeckiej ale jestem nadal sobą”.

W roku 1905 za zorganizowanie strajku urzędników kolejowych i akcję zmierzającą do wprowadzenia języka polskiego do biur kolejowych Demby był przelotnie aresztowany. Sympatie jego stały podówczas po stronie P.P.S., co jednak nie oznaczało trwalszego związania się z którymś z odłamów tej partii. Do końca życia był pod urokiem Andrzeja Struga; powracał wielokrotnie do lektury „Dziejów jednego pocisku”, ale równie często odnawiał znajomość z tekstami Nowaczyńskiego. W ostatnich latach życia niezręcznie i załośnie lawirował w stronę B.B.W.R. dla dobra, jak sądził, Biblioteki Narodowej.

W stosunku do poglądów otoczenia, a w szczególności pracowników Biblioteki, wykazywał daleko idącą tolerancję. Nie odstręczały go ani poglądy polityczne ani wyznanie czy pochodzenie klasowe pracowników. Interesował go raczej region, z którego pochodzili; szkoły, do których uczęszczali; związki pokrewieństwa czy przyjaźni z osobistościami ze świata literackiego czy teatralnego. Konkretnie pamiętam życzliwość okazaną koleżance spodziewającej się nieślubnego dziecka albo współczucie dla innej, której mąż-komunista odsiadywał karę w więzieniu.

Sam pisał mało i z widocznym trudem, przepisyując i przerabiając teksty wielokrotnie. Czuł się pewnie opracowując bibliografię i gromadząc materiały życiorysowe. Ale i w tym zakresie ogłosił niewiele.

Był bibliofilem wysokiej klasy. Dał temu wyraz w szkicu „O miłości ksiąg w Polsce” (1925). Staranna szata graficzna wydawnictw Biblioteki to w dużym stopniu jego zasługa.

Wyglądem przypominał Sienkiewicza czy Antoniego Osuchowskiego. Siwa bródka w szpic, staroświeckie okulary w złotej oprawie, czarna marynarka, nieskazitelnie czysty i nakrochmalony kołnierzyk, popielaty krawat, starannie zaprasowane spodnie

„sztuczkowe”, dobrze wyczyszczone obuwie, widoczna dbałość o dokładne ogolenie, lekki zapach wody kolońskiej Johann-Maria Farina — składały się na tzw. dobrą prezencję.

Był reliktem *fin-de-siècle'u* oszczędzonym przez wypadki Pierwszej Wojny Światowej. W zaciszu gabinetu ukrywał w głębokich szufladach biurka frywolne druki i ryciny. Echom tych zamiłowań, dzielonych zresztą z wieloma pisarzami, była zakupiona w Niemczech i trzymana pod kluczem kolekcja eroticów. Sąsiadowały z nią Norwidiana i rękopisy Hoene-Wrońskiego! Coś podobnego zdarzyć się mogło równie dobrze Miriamowi, z którym łączył go sposób opowiadania, skłonność do dygresji i podobne objawy *improductivité slave*, czemu na pozór przeczyła imponująca erudycja.

Poznałam Dembego w okresie pracy nad rozprawą magisterską o Tymonie Zaborowskim, zapomnianym poecie preromantycznym. Niemal spod ziemi wydobył stertę jego listów do przyjaciela, dając mi w beztróskim prezencie podbudowę przyszłej książki o „Wieszczu Miodoboru”. Byłam jedną z niezliczonych osób, którym przyszedł z pomocą podobnie uczynnie i od niechcenia. Sam niezdolny do metodycznej pracy naukowej, rozumiał potrzeby innych i potrafił skutecznie „podprowadzać”, by użyć jego własnego określenia. Wiele zawdzięczał mu Kazimierz Wóycicki, historyk pozytywizmu Zygmunt Szweykowski (w pracach nad Prusem), Stanisław Helsztyński i Maxime Herman (w pracach nad Przybyszewskim), Zygmunt Lubicz Zaleski i wielu innych.

Demby — w tym kryła się cicha tragedia, którą przeżywał boleśnie — uważał się nie tyle za bibliotekarza i organizatora życia naukowego, ile za polonistę godnego katedry uniwersyteckiej. Dlatego ciężko przeżył uruchomienie w Krakowie pracowni „Polskiego Słownika Biograficznego” pod egidą Polskiej Akademii Umiejętności. W głębokim jego przekonaniu była to praca zbędna, raz już przez niego wykonana. Nie chciał przekazać zebranych przez siebie, ilościowo zresztą pokaźnych, materiałów Akademii, która czyniła w tym kierunku pewne zabiegi. Cierpiał. Przyznać jednak trzeba lojalnie, że udostępniał nadal chętnie zebrane przez siebie dane współpracownikom Słownika. Przy takiej właśnie okazji spotkałam go po raz ostatni. Przejście na emeryturę przeżywał ciężko. Postarzały i zgorzkniały trwał w gabinecie na Chmielnej, zobojętniały na sprawy bieżące, nieufnie słuchający nowin z Biblioteki. Było to w lecie 1939 roku. Zmarł 10 listopada 1939. Zbiory jego, w tym cenne Sienkiewicziana, spłonęły w roku 1944. Pozostała Biblioteka Narodowa, wyłania-

jąca się po raz drugi z chaosu i jak w okresie narodzin — bezdomna.

Wczesne lata Biblioteki Narodowej

Biblioteka Narodowa wyłaniała się opornie z chaosu lat 1920-tych, gdy ostro rysowały się różnice dzielnicowe: inne szkoły myślenia, przyzwyczajenia i ambicje. Były zabór austriacki wnosił najlepsze doświadczenia administracyjne a nadto najstarsze i ciągłe tradycje uniwersyteckie. Warszawa tworzyła dopiero własną wszechnicę. We wczesnej fazie istnienia opierała się ona na gronie wybitnych profesorów, ale widoczne ich wpływy obejmowały w praktyce nieliczne grona studentów, którzy wyróżnić się zdołali na tłumnych proseminariach. Poziom ogólny był raczej niezadawalający i to właśnie wyzyskiwali niechętni Warszawie „galileusze”. Dodać do tego należy kwitnący w b. zaborze austriackim kult tytułów naukowych i urzędniczych i związane z nim poczucie dystansu a może i wyższości ujawniane przy każdej okazji w stosunku do „pseudo-uczonych” warszawskich, nie mogących się wykazać stopniami naukowymi i członkostwem bodaj komisji Polskiej Akademii Umiejętności. A był to los m.in. Dembego, zaledwie kandydata nauk prawnych Uniwersytetu Warszawskiego, z okresu oczywiście rosyjskiego, co istotnie nie oznaczało wiele.

Kraków i Lwów dysponowały bibliotekarskimi kadrami fachowymi, które w nowych warunkach okazały się nie tylko wystarczające ale nawet zbyt liczne, zwłaszcza gdy prace rewindykacyjne, absorbujące pokaźne grono naukowców, zaczęły dobiegać końca. Intencje stworzenia w Warszawie centralnej instytucji bibliotecznej powitano tam co najmniej niechętnie, jako jeszcze jeden zakus łakomej Warszawy — i to Warszawy aspirującej do roli ponad siły, gdyż nie dysponowała ani zbiorami „na poziomie” ani kadrami odpowiednio przygotowanych pracowników bibliotecznych.

Względy praktyczne i rzeczywiste potrzeby rozpatrywane pod kątem rosnących zapotrzebowań stolicy zwyciężyły w ostatecznym rezultacie. Pewną rolę odegrać w tym mogła obietnica traktowania sprawy budowy gmachu Biblioteki Jagiellońskiej jako Nr 1 — dotrzymana zresztą lojalnie. W roku 1939 budowa obecnego gmachu dobiegała końca a ironia losu sprawiła że wykonczono go podczas okupacji.

Przez długie lata toczyła się jednak jawnie i za kulisami ostra dyskusja o zakres działania a nawet nazwę Biblioteki Narodowej.

Terenami starć były m.in. zjazdy, w szczególności II-gi Zjazd Bibliofilów w roku 1926 i I-szy Zjazd Bibliotekarzy Polskich w 1928 roku.

Rząd popierający koncepcję warszawską niejako z urzędu wypowiedział wreszcie decydujące słowo: na rzecz Biblioteki Narodowej przekazano 2.000.000 zł. z pozostałości Skarbu Narodowego a 24. II. 1928 ukazało się w *Dzienniku Ustaw* rozporządzenie Prezydenta R.P. powołujące do istnienia Bibliotekę Narodową. *Pięćdziesiąt lat temu.*

Ponieważ koszty gmachu obliczano na sumę znacznie wyższą, bo 7.500.000 zł., owe dwa miliony pochłonęło rozwiązanie tymczasowe. Wyplacono je mianowicie Wyższej Szkole Handlowej (W.S.H.), przemianowanej wkrótce potem na Szkołę Główną Handlową, w zamian za wydzierżawienie znacznej części zaplanowanego na wyrost gmachu bibliotecznego przy ul. Rakowieckiej 6. Oznaczało to, jak sądzono, chwilową tylko rezygnację z planów budowy własnego gmachu, pod który przewidziana była wówczas piękna działka w bliskim sąsiedztwie Belwederu u zbiegu Bagateli i Alei Ujazdowskich, gdzie — również tymczasowo — urządzono istniejący do wybuchu wojny ogródek jordanowski dla dzieci.

Było to, jak słusznie określił Marek Skwarnicki, posunięcie o charakterze kardynalnego błędu i odczuwanych do dziś skutkach. Przez pół wieku Biblioteka pracowała bez własnego dachu nad głową zręcznie wymanewrowywana przez kolejne ośrodki decyzji przy stałym akompaniamencie obietnic i zapewnień doceniania ważności sprawy. Oznacza to skandalicznie długi okres szkodliwego dla rozwoju instytucji prowizorium.



W czerwcu 1928 roku, gdy zaczynałam pracować w Bibliotece, „centrala” jej, bardzo jeszcze symboliczna, mieściła się przy ul. Hożej 88, a zbiory rozrzucone były, doprowadzonym do swoistej perfekcji systemem kukułczym, po wszelkich dostępnych lokalach, które Demby z talentem fakira wyszukiwał w przepętnionej Warszawie. Poszczególne kolekcje ulokowane były przeto: w Bibliotece Publicznej na Koszykowej, Uniwersyteckiej na Krakowskim Przedmieściu (część rękopisów rewindykowanych z Rosji), Centralnej Bibliotece Wojskowej w gmachu Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych w Alejach Ujazdowskich (zbiory rapperswilskie), budynku przy ul. Przemysłowej 25 (czasopisma bieżące) a nawet w różnych lokalach Min. W.R. i O.P., którego gmach w Alei Szucha wchodził właśnie w ostatnie stadia budowy.

Na Hożej 88, w budynku, mieszczącym szkoły zawodowe i biura, ulokowany był wówczas Departament Nauki i Szkół Wyższych Min. W.R. i O.P. Tu właśnie urzędował Demby.

Miał ładny i widny gabinet, obstawiony mahoniowymi, od góry oszklonymi szafami, w których mieściły się zasadniczo rękopisy ze zbiorów J. I. Kraszewskiego a przejściowo różne nowe nabytki. Pokój miał kształt podłużny. Biurko stało ukosem przy oknie. Miało nadbudowę podzieloną na liczne przegródki, kipiące od wycinków, biletów wizytowych, kopert itp. Na górnej półce stała doniczka z małą palmą o delikatnym listowiu. Hodowano ich wiele w Warszawie w owych latach. Demby nazywał ją palmetką i co dzień stukał w doniczkę, sprawdzając czy roślina jest dostatecznie podlana. Biurko zawalone było stosami papierów, do reguły należało załatwianie części najnowszej. Co pewien czas odbywały się gorączkowe poszukiwania ważnych a przedawnionych listów czy rachunków. Pomagał Dembememu młody jego sekretarz Czesław Gutry, śmiertelnie wystraszony i ogromnie swą rolą przejęty. Poprzednikiem jego, którego już na Hożej nie zastałam, był dr Leon Śliwiński, historyk, który przeszedł z Ministerstwa do dyrekcji Funduszu Kultury Narodowej, gdzie do wybuchu wojny był prawą ręką dyr. Stanisława Michalskiego. Zginął tragicznie w 1944 roku od kuli hitlerowskiej na Mokotowie.

W głębi gabinetu Dembego stał mały „salonowy” stolik, który pełnił rolę pra-czytelni Biblioteki Narodowej. Tam właśnie udostępniane były na gorąco nowe nabytki albo szczególnie cenne rękopisy. Działo się to w godzinach urzędowania dyr. Dembego, który siedząc obok za biurkiem przyjmował interesantów. Pamiętam, że niektórzy byli bardzo stropieni obecnością czytelnika i to robiącego notatki i, *nolens volens*, przysłuchującego się prośbom o posady, zachwalaniu kandydatów lub pertraktacjom w sprawach zakupu książek lub rękopisów.



Najwcześniej zaangażowany personel Biblioteki pracował kątem w Bibliotece Uniwersyteckiej; było to w latach 1926-28, gdy nie pracowałam jeszcze w Narodowej. Pamiętam jedną tylko pracowniczkę — Jankę Rutkowską (później Clarotti, mieszkającą obecnie w Rzymie). Kilka osób pracowało na Koszykowej, porządkując zbiory Seweryna Smolikowskiego, złożone tam jeszcze w 1922 a składające się głównie z dzieł historycznych i prawniczych. Była to jednocześnie namiastka szkoły bibliotekarskiej, gdyż dobry i doświadczony personel tej instytucji, kie-

rowanej przez Faustyna Czerwijowskiego, kształcił praktycznie nowicjuszy z Narodowej.

Do owej najstarszej grupy należała Hanna Pliszczyńska, Anna Ulatowska (później Wandalinowa Puciatowa, po roku 1945 pracująca do emerytury w Bibliotece Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie), Maria Bartczakówna (później prof. Bogdanowa Suchodolska — po roku 1945 w Muzeum Narodowym w Warszawie), Halina Rogulska, Helena Łukaszewska, Janina Radziszewska, Józefa Maliszewska (później Piotrowa Jastrzębska), Krystyna Piątkowska, Irmina Szwanderówna (później Leonowa Śliwińska, zm. w 1966), Izabela Gruzewska (później Marianowa Toporowska), Janina Zawistowska, Kazimierz Osmólski i (chyba) Antoni Stolarski i Tadeusz Burakowski.

Ton nadawała Hanka Ulatowska, „królewska wnuka”, wnuczka żony Dembego, pani Leontyny, która miała córkę z pierwszego małżeństwa. I ona, i Marysia Bartczakówna, obie bardzo urodziwe, miały za sobą świeżo ukończone studia historyczne u prof. Handelsmana i skupiały wokół siebie liczne grono kolegów i koleżanek, przenosząc do Biblioteki atmosferę seminarium uniwersyteckiego. W tym kontekście upamiętnił mi się późniejszy prof. Stanisław Arnold, prof. Tadeusz Manteuffel i jego siostra Maria.

W przygotowaniu tego zespołu do pracy bibliotecznej zasłużył się bardzo personel biura katalogowego Biblioteki Publicznej a zwłaszcza Wiktoria Muklanowiczówna i Janina Peszyńska a także kierowniczka biblioteki podręcznej Mira Wilczyńska, osoba wielkiej erudycji, w złotych lokach i staroświeckim kołnierzu koronkowym, jakby wyjęta ze starego portretu. To środowisko, w szczątkowym kształcie, dotrwało do powstania warszawskiego i posłużyło Marii Dąbrowskiej do odmalowania Biblioteki Publicznej w „Przygodach człowieka myślącego”.

Opiekun tego zespołu „Dembaków” (bo tak ich powszechnie zwano) Faustyn Czerwijowski (1873-1944) był postacią jakby wyjętą z powieści Struga czy Żeromskiego. Urodzony na Podolu, wyleciał z wilczym biletem z 6-tej klasy gimnazjum rosyjskiego w Kamieńcu Podolskim, wylądował na kilka lat w Dąbrowie Górniczej, naprzód jako uczeń Szkoły Górniczej, potem działacz robotniczy, członek SDKP i PPS. Przez kilkanaście lat nielegalnej egzystencji zmieniał wielokrotnie miejsca nie tyle zamieszkania ile czasowych pobytów, przeobrażając się z górnika czy hutnika w tokarza, to znów administratora majątków na Podolu, co łączył z organizowaniem tajnych kompletów szkolnych. W roku 1901-2 pracował jako zecer w drukarni „Przedświtu”

(PPS) w Londynie, a w roku 1904 w tajnej drukarni w Rydze. Działalność bibliotekarską, która stała się właściwym jego polem działania, rozpoczął późno i skromnie jako kierownik Wypożyczalni Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności na ul. Ciepłej, uwiecznionej przez Żeromskiego w „Ludziach bezdomnych”. Było to w roku 1906, gdy miał już 33 lata i nieskończony zasób doświadczeń z najróżniejszych środowisk polskich i obcych. Wykształcenie uzupełnił samouctwem i krótkimi, intensywnymi studiami w Szkole Nauk Politycznych w Paryżu. Pobyt w Anglii wyzyskał na zapoznanie się z nowoczesną organizacją bibliotek publicznych przeżywających tam właśnie złoty okres. W bliskiej współpracy ze Stanisławem Michalskim wypracował plany reorganizacji warszawskich księgozbiorów publicznych i stworzył podstawy Biblioteki Publicznej mieszczącej się naprzód na Rysiej a następnie przeniesionej do ufundowanego przez Eugenię Kierbedziową własnego gmachu na Koszykowej.

Dziś, po kilkudziesięciu latach pracy w bezdomnych bibliotekach, dobrze rozumiem czym było dla Czerwijowskiego objęcie w posiadanie budynku wznoszonego z myślą o potrzebach określonego typu biblioteki, przyciągającego jak magnes czytelników. On sam jako dyrektor Biblioteki Publicznej był i wszechobecny i niewidzialny, bo nie narzucał swych zaleceń, ale dyskutował, radził i zawsze stawiał na swoim, zostawiając pracownikom szeroki margines swobody i możliwość wykazania inicjatywy. Krótki nawet okres spędzony w jego zasięgu miał decydujący wpływ na stosunek młodych bibliotekarzy do ich przyszłego zawodu. Nie nasuwa się tu jednak porównanie do np. „Reduty” i Osterwy, bo Czerwijowski trzymał się ziemi a za najlepsze formy organizacji uważał „niewidoczne”: „Biblioteka musi iść sama” — bo jest logicznym, konsekwentnie uformowanym organizmem. Musi mieć dopływ właściwych książek, te zaś muszą być oprawione, skatalogowane, sklasyfikowane, łatwo dostępne — a ciąg dalszy dyktować będą czytelnicy. Miał wysoki szacunek dla tzw. nauk pomocniczych: bibliografii, biografistyki itp. — nazywał je „naukami służebnymi”. (I tu dygresja: terminu tego użyłam w sensie pozytywnym w recenzji pracy bibliograficznej wydanej na Emigracji; autor był bardzo dotknięty takim zakwalifikowaniem jego pracy!).

Przypomnienie Czerwijowskiego w kontekście Biblioteki Narodowej ma podwójny sens: 1) odegrał wielką rolę jako inspirator Dembego i wychowawca wczesnych pracowników, 2) kolejami własnego życia ilustruje różnice między szkolonymi w b. zaborze austriackimi bibliotekarzami a warszawskimi samoukami spod znaku Żeromskiego zastępującymi teorię praktyką pracy społecz-

nej. Konflikt z okresu narodzin Biblioteki Narodowej był starciem tych dwu postaw.

Formalnie nie należeli do personelu Biblioteki Publicznej prof. Helena Radlińska i prof. Jan Muszkowski. Byli oni jednak związani z Dembą długimi latami wspólnej pracy społecznej i mieli ogromny wpływ na kształtowanie się atmosfery charakterystycznej dla wczesnego okresu działalności Biblioteki Narodowej.



Pierwszą niemal autonomiczną placówką Biblioteki była redakcja „Urzędowego Wykazu Druków” ukazujących się na obszarze Rzeczypospolitej, mieszcząca się początkowo w sąsiadującym z gabinetem Dembego pokoju-poczekalni na Hożej. Był to początek Instytutu Bibliograficznego. Tam właśnie zaczynałam pracę w czerwcu 1928 na rok przed uzyskaniem stopnia „magistra filozofii w zakresie filologii polskiej”. Zjawiałam się do pracy przejęta i przestraszona w pikowej bluzce, która po pierwszej godzinie mojej zawodowej działalności straciła olśniewającą białość a w domu wywołała okrzyki zgrozy. Pierwsza posada w życiu, pierwsze regularne zarobki! Miałam za sobą amatorskie przeszkolenie z biblioteki wujów Korotyńskich a wyniesiona przy tej okazji znajomość Varsavianów bardzo mi się potem przydała przy katalogowaniu zbiorów Aleksandra Kraushara. Coś nie coś dała mi praca w bibliotece szkolnej w gimnazjum im. M. Konopnickiej we Włocławku. Najwięcej pomógł mi jednak kurs bibliotekarski, urządzony staraniem Związku Bibliotekarzy Polskich w Bibliotece Publicznej wiosną 1928 roku. Wiązał się on z początkami Poradni Bibliotecznej (Marszałkowska 69), placówki o olbrzymim wpływie na rozwój Bibliotek Publicznych w przedwojennej Polsce. Kierowana przez Wandę Dąbrowską i Eugenię Malinowską poradnia ta wydawała listy książek zaleconych do bibliotek, udzielała fachowych porad, opracowywała i rozpowszechniała znormalizowane druki biblioteczne, regulaminy itp., pomagała organizować kursy, wykłady, odczyty itp., przygotowyjąc grunt pod Ustawę Biblioteczną. Na terenie Poradni spotykałam Marię Dąbrowską i Jerzego Zawieyskiego.

Kurs dał mi wiele, jeśli idzie o zasadnicze przygotowanie do przyszłej pracy zawodowej. Dlatego pamiętam tak dobrze nazwiska większości wykładowców. Oznaczają one zresztą całe rozdziały historii bibliotekarstwa polskiego: Jan Muszkowski, Helena Radlińska, Faustyn Czerwijowski, Wanda Dąbrowska, Wiktoria Muklanowiczówna, Eugenia Malinowska, Mira Wilczyńska. Kurs prowadziła Jadwiga Filipkowska-Szemplińska, która

na krótko przed tym wróciła z rocznego pobytu w Paryżu i pełna była francuskich i amerykańskich nowinek.



W początkach pracy w Bibliotece Narodowej byłam przydzielona do biura rejestracji egzemplarza obowiązkowego, napływającego lawinowo na mocy niedawnych rozporządzeń. Kierowniczką biura była Jadwiga Dąbrowska, późniejsza wieloletnia redaktorka „Urzędowego Wykazu Druków” a po roku 1945 „Przewodnika Bibliograficznego”. Szkoliła ona pośpiesznie surowy i przypadkowo dobrany personel — a nadto zecerów z Drukarni Technicznej, w której drukowało się pismo. Wiązała się z tym potrzeba dostosowania linotypów do skomplikowanego systemu znaków diakrytycznych i nawiasów.

Pracowaliśmy od 8-ej rano do 3-ej po południu, co pozwalało na łączenie zajęć zarobkowych ze studiami. Miało to zły wpływ na terminy egzaminów, ale w praktyce było realnym wyjściem z sytuacji.

Dąbrowska potrafiła w zadziwiająco krótkim czasie przekształcać nowicjuszy w dobrych albo poprawnych bibliografów. Najlepszym tego świadectwem jest późniejsza kariera Władysławy Borkowskiej, współautorki znormalizowanych przepisów katalogowania.

Sama Jadwiga Dąbrowska miała doskonałe przygotowanie z Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu, gdzie pracowała pod kierunkiem Edwarda Kuntzego, późniejszego dyrektora Biblioteki Jagiellońskiej, i Jana Muszkowskiego, dyrektora Biblioteki Ordynacji Krasińskich, w której pracowała przy kontynuacji bibliografii Estreichera za lata 1900-1928. Nie tracąc łączności z Muszkowskim wypracowała, po krótkim okresie eksperymentowania, podstawowy model opisu bibliograficznego, stosowany z drobnymi ulepszeniami do dziś. Nie bez emocji śledziłam około 1950 roku w Londynie początki „British National Bibliography”. Przepowiadać byłam w stanie bez pudła, co wypadnie odrzucić lub zmienić, przypominając sobie pionierski okres prac na Hożej.

Dąbrowską poznałam gdy miała trzydzieści kilka lat. Uważała się za pozbawioną praw do życia osobistego po tragicznej śmierci narzeczonego. W dożywotniej półżalobie, ascetycznie skromna, poświęciła się bez reszty pracy nad bibliografią, uznawszy to za cel życia. Mieszkała w sąsiedztwie prehistorycznej administracji *Wiadomości Literackich* i tam, na Boduena czy Jasnej pokazała mi Grydzewskiego. Już wcześniej znałam z widzenia jego psa. Ona sama była i będzie dla mnie zawsze uoso-

bieniem tajemniczych atrakcji zawodu bibliotekarskiego. Potrafiła narzucać nam potrzebę systematyczności i akuratności sprzeczną z naturalnymi instynktami ludzkimi, rozbudzała podejrzliwość nakazując sprawdzanie wątpliwości, zamieniała nudne i monotonne prace nad opisami broszur czy przekładów w rozwiązywanie pasjonujących zagadek, przekonywująco ukazywała sens pracy i jej głębsze socjologiczne aspekty. Zanim sprecyzowane zostały zadania dokumentacji bibliograficznej, zrozumiała jej potrzebę, wyprzedzając o dziesiątki lat wskazania formułowane pracowicie do dziś na kongresach międzynarodowych.

Obsadę Instytutu Bibliograficznego stanowiło szybko rosnące w liczbę grono pracowników rekrutujących się albo z „Dembia-ków” z Koszykowej albo, jak ja, zaangażowanych prosto z ław uniwersyteckich z nieukończonymi jeszcze studiami. Kształciła nas pośpiesznie Dąbrowska wdrażając metody opisu bibliograficznego, korekty itp. Gwiazdami tego zespołu były koleżanki już otrzaskane z pracą w Bibliotece Publicznej lub Uniwersyteckiej: Władysława Borkowska, Izabela Grużewska, Irmina Szwanderówna, Józefa Maliszewska, Jadwiga Miecznikowska, Hanna Nowakowska oraz Tadeusz Burakowski, Kazimierz Osmólski i Antoni Stolarski. Za mojej pamięci dołączyły się Maria Święcka-Sokorska i Janina Troicka. Stan zespołu był płynny, przerzucano nas do innych prac w miarę potrzeby. Od początku obsługiwać musieliśmy także Dział Czasopism na dalekiej Przemysłowej.

Poza brakiem przygotowania fachowego wyrastały co chwila trudności natury technicznej wynikające z ciasnoty, braku maszyn do pisania, nieznamomości języków mniejszości narodowych itp. Dziw, że w warunkach tak trudnych, gdzie „improwizacja zastępowała organizację”, prace Instytutu ruszyły szybko z miejsca — i szły już dalej bez większych wstrząsów i zmian aż do września 1939.

W owym początkowym okresie główną udręką były kłopoty z ogarnięciem całości produkcji wydawniczej. Na podstawie polskiej ustawy o egzemplarzu obowiązkowym nadsyłać go miały do bibliotek drukarnie a nie wydawcy jak to się dzieje np. w Anglii.

Rok był 1928. Drukarnie nie były własnością państwową a kontrola nad nimi ograniczała się do luźnych rozporządzeń Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W znacznej większości były to małe i średnie firmy prywatne związane z lokalnymi pismami i wykonujące tzw. druki akcydensowe (afisze, klepsydry, kalendarze itp.); produkcja druków zwartych odbywała się dorywczo, na marginesie stałych robót dochodowych. Aby uzyskać egzemplarze obowiązkowe trzeba je było „odkryć”, bo nie istniały żadne

ich katalogi czy spisy. W akcji tej pomagało Biblioteczne Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, władze miejskie i samorządowe, wreszcie biblioteki regionalne, dobrze znające swój teren działania. Wysyłaliśmy upomnienia a w razie braku odpowiedzi pisaaliśmy po raz drugi i trzeci („z groźbą kary”). Przysyłano nam wtedy na odczepnego, co tylko pod rękę drukarza się nawinęło, włącznie z biletami na imprezy cyrkowe, a nawet torebkami z adresami sklepów „kolonialnych” i ogłoszeniami pralni.

Tzw. „dokumenty życia społecznego” a więc np. odezwy partii politycznych (a ileż ich wtedy było!) nasuwały najczęściej problemów ze zdobyciem i katalogowaniem. Występowało to najbardziej w okresach wyborów do Sejmu, gdy prześcigano się w fabrykowaniu ulotek i odezw powtarzających niemal identyczne teksty w wykonaniu różnych drukarni i w odniesieniu do różnych kandydatów. We wczesnym okresie radosnej twórczości bibliograficznej traktowaliśmy je, na równi z książkami, jako indywidualne jednostki bibliograficzne i opisywaliśmy szczegółowo, podając początkowe słowa (*incipit*) i końcowe (*explicit*). Stąd olbrzymia ilość pozycji w pierwszym roczniku „Urzędowego Wykazu Druków”, nasuwająca zniekształcony obraz ruchu wydawniczego, sugerujący jego rozkwit.

Rzeczywistość odsłaniały statystyki przygotowywane w porozumieniu z Głównym Urzędem Statystycznym, w którym opiekowała się tymi sprawami Jadwiga Bornsteinowa. Dane potrzebne do obliczeń oznaczane były przy pomocy symbolów na dużych kartach katalogowych. Szły one później na nowoczesne maszyny a wyniki publikowano dwójako: we własnym wydawnictwie Biblioteki i w *Roczniku Statystycznym*.

W owej masie egzemplarzy obowiązkowych kryły się „normalne” wydawnictwa książkowe. Skutki wojny i kryzysów ekonomicznych ciążyły w widoczny sposób na jakości produkcji i wysokości nakładów. Kasa im. Mianowskiego i towarzystwa naukowe walczyły z brakiem funduszy. Nieco lepiej przedstawiała się sytuacja Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie i Książnicy-Atlas we Lwowie. W zakresie literatury pięknej działali: Gebethner i Wolff, Mortkowicz, „Biblioteka Polska” Władysława Kościelskiego, poznańska Księgarnia św. Wojciecha, warszawski „Rój” Kisterów, Wydawnictwo R. Wegnera w Poznaniu, Krakowska Spółka Wydawnicza i zapomniany dziś warszawski Wende. Rozkręcały się dopiero wielkie przedsięwzięcia Trzaski, Everta i Michalskiego, firmy lansującej wydawanie dzieł encyklopedycznych w formie zeszytów rozsyłanych subskrybentom. Już wtedy firma Drukarni Narodowej w Krakowie była gwarancją

starannego wykonania druku. Zbliżały się do jej poziomu m.in. Tłocznia Władysława Łazarskiego w Warszawie, Drukarnia św. Wojciecha w Poznaniu, krakowski Anczyc i niektóre warszawskie drukarnie „handlowe” np. „Jan Cotty” i Drukarnia Techniczna. Pewną osobiwością były druki statystyczne drukowane na prowincji w bydgoskiej drukarni „Biblioteki Polskiej” Kościelskiego i u Mejłachowicza w Grodnie.

Poza materiałami w języku polskim napływały do Instytutu Bibliograficznego olbrzymie ilości druków w językach mniejszości narodowych. Wywołało to potrzebę opracowania zasad transliteracji. Znalazły one kształt ostateczny w instrukcji katalogowej opracowanej przez Józefa Grycza. Ambicją jego było umożliwienie powrotu do pisowni oryginału drogą mechanicznych podstawień. Przy opracowywaniu tablic transliteracyjnych wyzyskano doświadczenia Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie i lwowskiego Ossolineum, odwołując się nadto do pomocy specjalistów np. prof. Stanisława Słoińskiego. Na szczególną uwagę zasługuje wycienianie różnic nie tylko między językiem rosyjskim a ukraińskim, ale nadto między różnymi pisowniami stosowanymi w drukach białoruskich.

Duże kłopoty nastroczała sprawa transliteracji druków hebrajskich i żydowskich (*yiddish*). Rozwiązano ją bardzo pomyślnie dzięki pomocy Edwarda Poznańskiego, późniejszego profesora Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie. Zorganizował on w Bibliotece Narodowej warsztat pracy, wykrystalizował zasady transliteracji i z ogromnym zapalem prowadził niemal do wybuchu wojny rejestrację polskich judaiców. Pomagał mu nieśmiały, stale się rumieniący młodzieniec (Rybak?), którego nazwisko wyleciało mi z pamięci, bo potocznie nazywaliśmy go biblijnym Jakubem.

Innym trudnym problemem były czasopisma, wydawnictwa seryjne i odbitki z czasopism. „Urzędowy Wykaz Druków” ograniczał się do publikowania opisów dotyczących nowych tytułów, zmian a także informacji dotyczących ostatnich numerów czasopism, które przestały się ukazywać („trupów”). W planach i przygotowaniu był specjalny tom bibliografii z opisami wszystkich ukazujących się w R.P. wydawnictw periodycznych. Opublikowanie go odkładano z roku na rok z powodu szczupłości personelu i trudności budżetowych. Nie ukazał się, niestety, co dotąd daje się we znaki historykom okresu międzywojennego.

Dział Czasopism mieścił się naprzód na Przemysłowej 25. Pracowałam tam dorywczo w okresie zastępstw wakacyjnych, by zapoznać się i z tym działem Biblioteki. I to przydało mi się później, w Londynie. Pozostała mi po tym okresie pamięć tzw.

mutacji *Ilustrowanego Kuriera Codziennego* i monotony poszum dyskusji polityczno-społecznych toczonych przez Kazimierza Osmólskiego i Tadeusza Burakowskiego.



W roku 1930 mówiło się o rychłych przenosinach do nowej siedziby a wszelkie inne rozwiązania przyjmowano jako warianty przedprzeprowadzkowej przechowalni. Zbiory narastały w tempie zawrotnym, znanym dobrze ogłowi bibliotekarzy, których wiernym towarzyszem jest ciasnota i obmyślanie miejsca na dodatkowe półki.

Rakowiecka 6 — pierwszy adres Biblioteki Narodowej

Na „tymczasem”, na krótko, trzeba było zadowolić się pomieszczeniami cudzymi, na zasadach egzystencji sublokatorskiej. Trzy główne adresy tego podzielonego królestwa określano jako: „Rakowiecką”, „Rapperswil” i „Krakowskie”. Aż dziw, jak duży wpływ miała swoista atmosfera tych w praktyce autonomicznych jednostek na ładunek wspomnień nagromadzonych w dziesięcioleciu przedwojennym! Los chciał, że wypadło mi pracować we wszystkich tych działach, choć główną moją specjalnością było katalogowanie rękopisów nowszych. Krążyłam, zależnie od potrzeby, między „Rapperswilem” a „Rakowiecką” aż wreszcie przydzielono mnie do Działu Rękopisów na „Krakowskim”.

Owe trzy adresy nasuwają przypuszczenie, że zbiory Biblioteki uległy rozbiciu w innej niż w okresie początkowym kombinacji lokalowej. Wbrew logice był to w rzeczywistości poważny krok naprzód w kierunku scalania zbiorów, bo w toku przenoszenia kolekcji dokonano wielu czynności umożliwiających podjęcie normalnych prac rejestracyjnych i katalogowych. Tak np. pod jednym dachem znalazły się druki zwarte i czasopisma napływające z tytułu egzemplarzy obowiązkowych, co ułatwiło ich ewidencję i reklamacje a drukarzom dało jeden adres wysyłek. Zbiory specjalne (starodruki, mapy, grafika, muzykalia itp.) znalazły się w centrum miasta w pobliżu Uniwersytetu i Biblioteki Ordynacji Kasińskich, co ułatwiało konsultowanie wzajemne katalogów i księgozbiorów podręcznych.

Najgorzej, wobec dokuczliwej ciasnoty, układały się warunki pracy na Rakowieckiej, gdzie półki zapełniały się, jak mawiał

jeden z magazynierów „biegiem”. Warunki pracy były tam trudne a większość pracowników skazana była na dalekie dojazdy tramwajem Nr 3. Błędem było ulokowanie na przedmieściu Dyrekcji Biblioteki i głównej czytalni.

Wspominałam już wcześniej o powodach umieszczenia części zbiorów na Rakowieckiej, w tylnym gmachu Szkoły Głównej Handlowej. Stał on tuż przy granicy ówczesnego lotniska na Polu Mokotowskim. W czasie pracy dawały się dotkliwie we znaki samoloty startujące w pobliżu i często-gęsto ćwiczenia w strzelaniu z działek obrony przeciwlotniczej. Tak byłam z nimi osłuchana, że w czasie praktycznego zastosowania artylerii p/ł w latach wojennych w Londynie, pierwszą moją reakcją było że to tylko ćwiczenia jak w przedwojennej Warszawie. Dwukrotnie, z okien magazynów bibliotecznych obserwowałam akrobacje lotnicze, które skończyły się tragicznie. I to było swoistym przygotowaniem do wojny: już w roku 1936 czy 1937 widziałam jak wygląda samolot płonący z załogą i walący się na trawę lotniska szkielet srebrnej maszyny. Dla odmiany bywaliśmy bezpłatnymi widzami pokazów lotniczych i niezmiernie efektownych zawodów balonów wolnych o puchar Gordon-Bennetta zdobywany przez kilka kolejnych lat przez pilotów polskich Z. Burzyńskiego i F. Hynka.

Gmachy Szkoły Głównej Handlowej projektował stryj Witkacego, Jan Koszycz-Witkiewicz a tablica pamiątkowa przy wejściu do gmachu głosiła, że to on „uzdajał”. Znajomość budynków nasuwa przypuszczenie, że ryzykowość koncepcji artystycznych nie była w rodzinie zjawiskiem odosobnionym.

Gmach frontowy od Rakowieckiej mieścił większość sal wykładowych i biur uczelni. Do „naszego” tylnego budynku bibliotecznego prowadził chodnik wzdłuż placów początkowo niezabudowanych a następnie pokrywających się domami profesorskimi dobrze zgranymi z wcześniejszą zabudową. Po obu stronach chodnika, na wąskich rabatach, kwitły latem silnie pachnące róże sztamowe, jedna radość dla oczu. W sąsiedztwie, na poletkach eksperymentalnych Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego krzewiły się tysiące „rasowych” bratków a korty tenisowe kusiły widokiem białych sylwetek graczy. Przeciwnością tych sielankowych widoków były szare gromadki kobiet czekających z paczuszkami i tobołkami pod bramą więzienia mokotowskiego *vis-à-vis* wejścia do uczelni.

„Trójka”, która dowoziła nas do tego punktu, jechała jeszcze o przystanek dalej i długo odpoczywała na pętli przed Szkołą Gospodarstwa Wiejskiego, nim nabrała sił do powrotnej jazdy Rakowiecką, Puławską, wokół Pl. Unii Lubelskiej (z pomnikiem

Lotnika), Marszałkowską przez Plac Zbawiciela, koło Dworca Wiedeńskiego aż do Ogrodu Saskiego i Królewskiej — i dalej Królewską — i właśnie na następnym zakręcie, przy wjeździe na Krakowskie Przedmieście był drugi „nasz” przystanek biblioteczny o kilkadziesiąt kroków od Pałacu Potockich, naszego adresu bibliotecznego Nr 2.



Na Rakowieckiej wewnątrz zajmowanej przez „Narodową” części budynku było przedziwnie nieskładne z tego niewątpliwie powodu, iż przy podziale zostaliśmy odcięci od głównej klatki schodowej, co skazywało na posługiwanie się poślednimi arteriami komunikacyjnymi w postaci wąskich żelaznych schodów, kręconych, śliskich i niewygodnych. Czuliśmy się ubogimi krewnymi w stosunku do „handlowców”. Ich część gmachu była zdecydowanie reprezentacyjna. Na parterze brały początek szerokie monumentalne schody wiodące naprzód do toalet, dorównujących rozmiarami i artystyczną koncepcją rozplanowania analogicznym pomieszczeniom w lizbońskim Muzeum Gulbenkiana. Tyle że w Portugalii marmury — a u nas jasne drzewo (sosna? dąb? jesion?) ujęte przy podłogach w czarne okładziny. Sercem gmachu była gigantyczna czytelnia wsparta lasem podobnie obudowanych drzewem kolumn — a świecąca pustkami, bo studenci wyraźnie od niej stronili. Meble projektowane z myślą o jednolitym charakterze wewnątrz wykonane były z tych samych gatunków drzewa, jasne — i równie estetyczne jak niewygodne. Boy, siadłszy raz na czytelnianym krześle-zydlu, ze łzą w oku wspominał słynne ołtarzowe kreacje Wyspiańskiego z krakowskiej jadalni. Teoretycy, którym łasy na nowinki Witkiewicz lekkomyślnie uwierzył, podsunęli mu szatański pomysł oszklwienia magazynów i pracowni bibliecznych niebieskimi mrożonymi szybami. Nie widziało się przez nie ani drzew ani żadnych szczegółów pejzażu. My — dla odmiany — wyglądaliśmy jak mary piekielne a po wyjściu z gmachu przez załzawione oczy widzieliśmy świat na różowo. Druki, a w szczególności gazety, którym owe niebieskie szyby miały zapewnić żywot wieczny, płowiąły w normalnym a może nawet przyspieszonym tempie...

Parter mieścił biura dyrekcji, sekretariat, Instytut Bibliograficzny i pracownię introligatorsko-konserwatorską (na dwu poziomach). W czeluściach ciągnęły się magazyny czasopism; w oddzielnym ciasnym pomieszczeniu ukryte było Biuro Międzynarodowej Wymiany Wydawnictw. Olbrzymie pierwsze piętro wypełniały w całości magazyny (z biurkami pracowników pod oknami). W najbezpieczniejszej części wydzielono tzw. „skarb-

czyk", tak pojemny że zmieściły się w nim w całości rękopisy rewindykowane z Rosji i duża szafa ogniotrwała na najcenniejsze obiekty. Były w niej przechowywane Kazania Świętokrzyskie, Psalterz Floriański (w woreczku z przepysznego zamszu), iluminowane rękopisy pergaminowe a z nowszych m.in. autograf „Balladyny”, traktat o koniach arabskich Emira Rzewuskiego, rękopisy kilkunastu utworów Wyspiańskiego w charakterystycznych oprawach z szarego płótna lnianego z wytłoczonym na okładce monogramem „SW”. Na wąskich stołach po prawej stronie od wejścia leżały wielkie graduały, w tym pochodzący z kościoła św. Katarzyny w Krakowie, *show-piece* Biblioteki. W tylnej części „skarbczyka” ustawione były pudła z „Tekami Dąbrowskiego” kryjącymi archiwum Legionów. Wywiezione po roku 1831 ze zbiorami Towarzystwa Przyjaciół Nauk powróciły do Warszawy na mocy postanowień Traktatu Ryskiego. Przez dłuższy czas klucze od tego sanktuarium powierzone były mojej opiece, co uważałam za dowód szczególnego zaufania moich szefów.

Na drugim piętrze podzielono dość niefortunie długą i wąską salę na pracownię katalogową i czytelnię naukową obstawioną księgozbiorem podręcznym żmudnie zestawianym przez Hannę Puciatową. Jeszcze wyżej strome schodki prowadziły do sali, w której Kazimierz Piekarski wyczarował replikę wilanowskiej sali bibliotecznej. Były tam ustawione cenne zbiory Stanisława Potockiego, piękne foliały w wymyślnych francuskich oprawach. Przejście od nowoczesnych magazynów i wejście o zdecydowanie „kuchennym” wyglądzie kontrastowało osobliwie ze wspaniałością zbiorów. Dziwolał ten był symbolem prowizoryczności siedziby Biblioteki Narodowej i jej dziwacznej sytuacji.

Bibliotekarze na kierowniczych stanowiskach

W roku 1934 Demby uzyskał po długich staraniach tytuł dyrektora. Do daty tej był formalnie naczelnikiem Wydziału Bibliotek w Ministerstwie W.R.i O.P. Formalnie — bo tylko *ad personam*, od daty 14. IX. 1928, gdy Wydział zredukowany został do Referatu Bibliotek Państwowych przy Wydziale Nauki.

W okresie przenoszenia zbiorów na Rakowiecką, w roku 1930, zdecydowano się wreszcie na przydzielenie Dembemmu pomocy w postaci poważnej siły fachowej. Wybór padł na przedstawiciela dotychczasowej opozycji krakowskiej — dra Józefa Grycza, wówczas 40-letniego, łączącego zalety dobrego praktyka i teoretyka. Miał on za sobą, poza wiedeńskim doktoratem z germanistyki, dłuższy okres pracy w Bibliotece Jagiellońskiej i dwa lata

dyrektury Biblioteki Kórnickiej, którą zreorganizował i unowocześnił. W pracach tych pomagali mu: Stanisław Bodniak (późniejszy dyr. Biblioteki Kórnickiej) i Kazimierz Piekarski, który opracował w owym czasie katalog obejmujący polonica XVI-wieczne z tamtejszych zbiorów.

Nazwisko Grycza jest dziś nieodłącznie związane z bohater-skim rozdziałem historii bibliotek warszawskich w czasie Drugiej Wojny Światowej a w szczególności okresem Powstania Warszawskiego i ratowaniem zbiorów w okresie zimy 1944/45 r. Nic nie zapowiadało w nim bohatera: niepokaźny, tragicznie zniekształcony garbem, o miłej spokojnej twarzy z bystro patrzącymi jasnymi oczyma, zaczynał warszawski rozdział pracy zawodowej w warunkach niezmiennie trudnych. Jako postulat Nr 1 narzucała się potrzeba unaukowania metod pracy i reorganizacji referatu bibliotek naukowych prowadzonego przez Dembego z zapałem, ale po amatorsku. Wprowadzanie zmian wymagało taktu i powolnego osławiania nieco despotycznego starca z koniecznością reform. Przybysz z Krakowa znalazł się w nowych warunkach pracy w raczej niechętnie usposobionym do niego środowisku. Był to jednak uparty i świadomy celów Ślązak, cierpliwy i konsekwentny w działaniu. Z dystansu czasu lepiej występuje szybkie w ostatecznym wyniku tempo jego pracy.

Problemem najważniejszym i najpilniejszym wydała się Gryczowi sprawa doszkolenia kadr bibliotekarskich. Poświęcił jej wiele miejsca w broszurze o Bibliotece Narodowej, rysującej schemat organizacyjny jaśniej sprecyzowany od pierwotnych koncepcji Dembego. Działalność utrudniał mu fakt, że funkcje jego w ministerstwie były przez dłuższy czas określone bardzo mgliście. Oficjalnie był radcą do spraw bibliotecznych na gruzach Wydziału Bibliotek, o którego restytuowanie walczył równie wytrwale jak nieskutecznie Związek Bibliotekarzy Polskich. W zamysłach Grycza reorganizacja winna doprowadzić do stworzenia Dyrekcji Bibliotek, skupiającej prace nad organizacją wielkiej sieci bibliotek naukowych i publicznych. Z myślą o przyszłości opracował programy egzaminów kwalifikacyjnych na stanowiska I i II kategorii w państwowej służbie bibliotekarskiej. Należałam do pierwszej grupy egzaminowanych. Stawiano nam wymagania bardzo wysokie a w braku podręczników polskich sięgać trzeba było po Milkau'a *Handbuch der Bibliothekswissenschaft*, nad którym spędziłam wiele ciężkich godzin obłożona słownikami. Przydało się w późniejszej pracy i w Polsce i w Anglii, zwłaszcza przy egzaminach na stopień A.L.A. (*Associate of the Library Association*).

Drugim, równie istotnym problemem była potrzeba jednolitej

instrukcji katalogowej. Gdy wreszcie wyłoniła się z gmatwaniny projektów i ulepszeń — związane z nią na długie lata nazwiska Józefa Grycza i Władysławy Borkowskiej (z Instytutu Bibliograficznego).

Przez dłuższy czas Demby i Grycz krążyli między ministerstwem a Rakowiecką. Z czasem pojawił się na Rakowieckiej w charakterze wicedyrektora dr Marian Łodyński, były dyrektor Centralnej Biblioteki Wojskowej, emerytowany pułkownik, z wykształcenia historyk, czynny działacz Związku Bibliotekarzy Polskich.

Do września 1939 pracowałam w bliskim kontakcie z Łodyńskim przede wszystkim na terenie Związku, w którym on pełnił z zapałem funkcję urzędującego wiceprezesa Rady Związku a ja sekretarza generalnego. Ponieważ *gros* spraw koncentrowało się w Warszawie a przewodniczącymi i członkami zarządu byli bibliotekarze mieszkający poza stolicą (Edward Kuntze, Adam Łysakowski, Aleksander Birkenmajer, Eustachy Gaberle, Jan Baumgart i in.), Łodyński kierował *de facto* Radą, a praca ta wypełniła cały rozdział jego życia i była okazją do szeroko pojętych prób realizacji marzeń o lepszej przyszłości bibliotek. Roił się nam (bo i mnie narzucił tę wizję) olbrzymi, wspaniale rozbudowany Związek, mający głos w sprawach kwalifikacji zawodowych i skali wynagrodzeń, których poziom odstraszał wówczas od zawodu bibliotekarskiego aktywniejsze jednostki. Roily się mu ustawy regulujące zakres pracy sieci bibliotek naukowych i publicznych. Lansowały je odpowiednie koła zawodowe, ponosząc klęskę po klęsce. Byliśmy o krok od ustawy. Gdybyż przynajmniej w ostatniej chwili uchwalono ją, jak Konstytucję 3 Maja, bodaj w przeddzień Września! Pozostałoby przynajmniej świadectwo upartej walki o unormowanie stosunków bibliotecznych i troski o rozwój czytelnictwa masowego! Widomym znakiem naszych poczynań była działalność Poradni Bibliotecznej, kierowanej umiejętnie i z ogromnym poświęceniem przez Wandę Dąbrowską, jeszcze jedną jasną i piękną postać przedwojennego świata bibliotekarskiego, która i po wojnie, do śmierci, służyła wiernie sprawom czytelnictwa.

Innym przedsięwzięciem pochłaniającym wiele prac przygotowawczych była lansowana przez Radę Związku sprawa podręcznika bibliotekarskiego a raczej dwu jego odmian: dla bibliotekarzy naukowych i oświatowych. W opracowywaniu projektów takich podręczników brali udział liczni członkowie Związku (Łysakowski, Muszkowski, Grycz). Dalszym polem działalności było żmudne nawiązywanie kontaktów ze związkami bibliotekarzy za granicą i Federacją Związków Bibliotekarzy, w której represen-

towali nas na wielu konferencjach prof. Muszkowski i prof. Aleksander Birkenmajer, obaj dobrze znani i cenieni przez kolegów zagranicznych.

Wielka wystawa światowa w Paryżu w 1937 roku nasunęła nam sposobność wystąpienia na szerszą skalę. Stoisko przygotowane przez Związek Bibliotekarzy uzyskało wysokie odznaczenia. W moich osobistych papierach dochowało się zaświadczenie o przyznaniu mi złotego medalu za organizowanie naszej ekspozycji. Pamiątką tej imprezy jest wydana po francusku broszura informacyjna pt. *Les bibliothèques polonaises, par Joseph Grycz, éditée à d'occasion de l'Exposition Internationale des Arts et Techniques* (Warszawa, 1937, 35 str.). Publikacja ta była mi wielką pomocą przy opracowywaniu analogicznych broszur polskiej i angielskiej, wydanych w czasie wojny w Londynie i St. Andrews. Nie mogłam wówczas podkreślać jej znaczenia jako źródła, by nie narażać autora broszury działającego w okupowanej Warszawie (w stałym kontakcie z Londynem).

Łódzki wyładowywał swą energię i talenty organizacyjne w Radzie Związku, jakby szukając w tym rekompensaty porażek na innych odcinkach działalności. Z Centralnej Biblioteki Wojskowej odszedł przedwcześnie, zostawiając następcy, majorowi Janowi Niezgódzie, znakomicie zorganizowany warsztat pracy i sieć naukowych bibliotek wojskowych przy D.O.K. w całym kraju. Był parokrotnie poważnym kandydatem na stanowiska kierownicze i nieodmiennie ponosił porażki. Przegrał pojedynek z Dembym, ominęły go dyrektury na prowincji. Nigdy nie dano mu sposobności ujawnienia w pełni uzdolnień administracyjnych i wielkiej wiedzy fachowej zdobytej w Krakowie i w czasie dłuższej podróży naukowej do bibliotek berlińskich, drezdeńskich i paryskich. Nazwisko jego związane jest jednak trwale z historią bibliotek polskich, bo właśnie on zwrócił uwagę przed rokiem 1939 na doniosłość posunięć Komisji Edukacji Narodowej w zakresie bibliotek i naukowo opracował działalność pionierów bibliotekarstwa powszechnego w rozprawie pt. „U kolebki polskiej polityki bibliotecznej (1774-1795)”, wydanej w 1935 roku a uzupełnionej po wojnie w pracy pt. „Wpływ wytycznych Komisji Edukacji Narodowej na państwową politykę biblioteczną Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego (1807-1831)”.

Opus magnum Łódzkiego stanowi wydany w czterech tomach w latach 1961-1968 przez Bibliotekę Narodową pod egidą Instytutu Geografii P.A.N. „Centralny katalog zbiorów kartograficznych w Polsce”, obejmujący katalogi atlasów i dzieł geograficznych wydanych w latach 1482-1945, znajdujących się w zbiorach polskich. Łódzki był inicjatorem i głównym realizatorem

tego wielkiego przedsięwzięcia. Wstępem do niego było zorganizowanie Kursu Kartograficznego i przeszkolenie grupy współpracowników, kontynuujących obecnie prace rejestracyjne w Instytucie Geografii. Łodyński zmarł w Warszawie w 1972, nie ukończywszy pisanego bardzo ciekawie zapowiadającego się pamiętnika, z którego dochował się tylko początek.



Wcześniej znalazłam się w bezpośrednim zasięgu wpływów zarówno Łodyńskiego jak i prof. Stefana Vrtel-Wierczyńskiego, który w połowie 1937 roku został następcą Dembego.

Wierczyński był niemal kompletnym przeciwieństwem energicznego, skłonnego do pobierania zasadniczych decyzji Pułkownika.

Był zawsze czynny — ale nie śpieszył się nigdy. Mówiono, że tę szczególnie rzadką u Polaków cechę charakteru odziedziczył po przodkach czeskich, Vrtelach z żydaczowskiego powiatu w dawnym województwie stanisławowskim. Gdy zetknęłam się z nim po raz pierwszy na terenie Związku Bibliotekarzy Polskich — ta właśnie cecha: pewna powolność działania i skłonność do wahań przed przystąpieniem do akcji uderzyła mnie i zastanowiła. Kłócił się z nią pokaźny ilościowo dorobek naukowy Profesora i wszechstronność jego zainteresowań. Bo przecież studenci polonistyki w owych czasach zaznajamiali się z podstawowymi zabytkami języka staropolskiego z doskonale opracowanych wypisów zwanych potocznie „Vrtelem”; młodzi bibliotekarze stający po raz pierwszy przed państwową komisją egzaminacyjną uczyli się historii i teorii bibliografii z podstawowego opracowania tegoż autora. Gdy pisałam pracę magisterską o poecie preromantycznym, Tymonie Zaborowskim, okazało się, że „Klub Piśmienniczy” „mego” autora, wydany był z rękopisu także przez Vrtela (w *Lamusie*) a gdy wreszcie uporałam się z pracą i gdy ukazała się drukiem nie kto inny ale prof. Vrtel-Wierczyński był jej rzeczowym i życzliwym recenzentem na łamach *Pamiętnika Literackiego*.

W roku 1957, gdy w początkach „odwilży” manifestacyjnie przyznano naukową nagrodę miasta Poznania „honorowemu Wielkopolaninowi”, ex-dyrektorowi Biblioteki Uniwersyteckiej, przedstawiciel *Gazety Poznańskiej* zapytał laureata o najważniejsze formatywne wydarzenie w jego dotychczasowej karierze: „Dzień 1 lutego 1906 roku” — odpowiedział bez wahania zapytany — „w owym dniu pamiętnym dla mnie rozpocząłem pracę w Bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie”.

We Lwowie. Trzeba bowiem pamiętać, że prof. Wierczyński związany z Uniwersytetem Poznańskim długimi okresami pracy (1927-1937 i 1948-1960) a dyrekturą Biblioteki Narodowej z Warszawą, przeżył młodość i połowę życia w kręgu spraw Ossolineum, Biblioteki Uniwersyteckiej i samego Uniwersytetu Jana Kazimierza. Urodzony w Hanowcach w woj. stanisławowskim (w roku 1886) w okolicach Stryja, studiował polonistykę pod kierunkiem prof. Bruchnalskiego a następnie osiadł we Lwowie na kilkanaście lat pracy nauczycielskiej i bibliotekarskiej. Tam także habilitował się naprzód z nauk pomocniczych literatury a następnie historii literatury polskiej ze szczególnym uwzględnieniem jej związków z literaturą czeską. To ostatnie tłumaczy się jasno: pochodził przecież ze spolszczonej rodziny czeskiej i znał biegle oba języki od dzieciństwa. Dlatego właśnie był szczególnie powołany do badania początków polszczyzny i wpływu na nią języka czeskich sąsiadów.

Trzy były wielkie zakresy jego rozległej działalności: literatura staropolska, teoria bibliografii i praktyczne jej zastosowania, bibliotekarstwo. Osiągnął wiele na wszystkich tych odcinkach. Był znakomitym wydawcą tekstów staropolskich, wiernym i przeczornym opiekunem podstawowych zabytków, które od zniszczenia wojennego uchronił a wreszcie doskonałym ich komentatorem i znawcą. W dorobku jego z tego zakresu wyróżnia się obszerna rozprawa o „Staropolskiej legendzie o św. Aleksym na porównawczym tle literatur słowiańskich” (1937). Na kilka tygodni przed nagłym zgonem dożył dnia swego wielkiego naukowego tryumfu: ukazały się właśnie „Średniowieczne legendy wierszowane” w królewskiej szacie graficznej, jego własny wkład i hołd milenijny. Nie dożył ukazania się innego jego dzieła — siódmego tomu „Bibliografii Literackiej” wzorowo opracowanej w kierowanej przez niego do ostatka Pracowni Bibliograficznej Instytutu Badań Literackich w Poznaniu.

Sprawdzianem zdolności organizatorskich prof. Wierczyńskiego były lata pracy w Bibliotece Narodowej, gdy objął trudną placówkę w niespokojnym przedwojennym okresie. Było to w roku 1937, gdy zasadniczo pracowałam w Dziale Rękopisów, odrywana stamtąd do urządzania wystaw itp. Dyr. Wierczyński „wypożyczył” mnie na Rakowiecką naprzód do opracowania sprawozdania rocznego Biblioteki a następnie powierzył mi kierownictwo Działu Uzupełniania Zbiorów, w którym zastała mnie wojna.

Biblioteka rozrzucona po cudzych gmachach, uzyskująca dopiero podstawy prawne, dysponująca niedostatecznymi fundusza-

mi i personelem, nastęczała na każdym kroku trudne do rozwiązania problemy, była labiryntem, po którym z trudem poruszali się starzy jej pracownicy. Profesor, nowicusz na warszawskim gruncie, rozkręcał się powoli, po lwowsku trochę zanadto solenny, trochę — jak wydawało mi się zrazu — biurokrata. Po kilku miesiącach uświadomiłam sobie nagle, że każde z powolnych posunięć miało sens, każda decyzja głęboką dalekosiężną rację.

Trudno być w wyższym stopniu uczniem i naśladowcą mistrza, jak ja jestem w stosunku do prof. Wierczyńskiego. Nawet w trudnych warunkach korespondencji powojennej, w najgorszych latach stalinowskich, radziłam się go w sprawach dotyczących gromadzenia materiałów bibliograficznych. Nie mogłam podziękować mu oficjalnie w przedmowie do pierwszego tomu „Bibliografii” Zabielskiej — a na podziękowanie takie zasłużył w pełni! Radziłam się go do ostatka. Na kilka tygodni przed śmiercią rozpiął się szeroko w najostatniejszym liście na temat dręczących mnie właśnie technicznych wątpliwości bibliograficznych.

Ten wielki i wszechstronny uczony nie uznawał ułatwień, kompromisów, odkładania na później, półfabrykatów. „Dawał szkołę” studentom i personelowi. On, tak łagodny i wyrozumiały na ludzkie słabości, darować nie mógł błędu w opisie bibliograficznym czy korekcie drukarskiej.

W życiu długim i pozornie spokojnym miał okresy poważnych trudności wywołanych „gorliwością” entuzjastów reżymu komunistycznego — „nowej rzeczywistości”. Rezultatem jej była dymisja prof. Wierczyńskiego ze stanowiska dyrektora Biblioteki Narodowej i przeniesienie, na krótko, do Poznania do tamtejszej księżnicy uniwersyteckiej. Może i bolały go owe chytrze wymierzane despekty — kto wie. Jasne jest jednak, że gdy tylko otrząsnął się z pierwszego wrażenia na nowo budować zaczynał i dalej już tak swoim czasem i talentami gospodarował, by dać z siebie jak najwięcej i na kilku odcinkach. Przez długie lata będą wzorem „dobrej roboty” jego edycje tekstów staropolskich i znakomite metodycznie teksty do ćwiczeń edytorskich oparte o autografy Wielkiej Improwizacji Mickiewicza, wiersza „Do autora trzech psalmów” Słowackiego i innych.

Był człowiekiem niezwyklej skromności i uczynności, wiernym i niezawodnym przyjacielem. Mówił z silnym lwowskim akcentem, nosił się starannie, po profesorsku, odpowiadał na listy z nieznaną ogółowi rodaków akuratomnością. Dwa lata przepracowane pod jego kierunkiem uważam za okres przygotowania do samodzielnej pracy i prawdziwego wtajemniczenia w arkana zawodu.

Biblioteka rozwijała się szybko. W Instytucie Bibliograficznym uległ poważnej rozbudowie dział statystyki druków, ulepszono metody gromadzenia materiałów do opisów bibliograficznych poloników zagranicznych, zapowiadano wydanie rejestracji czasopism. Opornie posuwało się natomiast katalogowanie zbioru tzw. druków nowszych, choć w skład personelu wchodziło kilka bibliotekarek z doskonałą praktyką z Biblioteki Publicznej. Główne zahamowania wiązały się z czekaniem na ukończenie prac nad instrukcją umożliwiającą unifikowanie istniejących już katalogów poszczególnych kolekcji. Niemałe trudności nastroczała skomplikowana procedura włączania książek do księgozbioru, polegająca: a) na wciąganiu ich do księgi nowych nabytków (tzw. „akcesji” ilustrującej narastanie zbiorów i proveniencje poszczególnych egzemplarzy), b) wpisywaniu do ksiąg inwentarzowych powtarzających większość danych z „akcesji” w bardziej wypracowanej formie z określeniem lokaty poszczególnych egzemplarzy, klasyfikacji, danych dotyczących oprawy itp., c) katalogowaniu na luźnych kartkach, których format był dalszym zagadnieniem. Czynności te, nadmiernie rozbudowane w porównaniu z metodami pracy stosowanymi w bibliotekach krajów zachodnioeuropejskich, paraliżowały tempo pracy, od której zresztą stale trzeba było się odrywać w związku z lawinowym napływem dalszych darów. Na rok przed wybuchem wojny, gdy katalogowanie zbiorów rapperswilskich i batignolskich dobiegło do końca, Dział Druków Nowszych objęła energiczna i pełna pomysłów dr Helena Więckowska, co z miejsca przyspieszyło tempo prac. Stało się to jednak zbyt późno na to, by katalog objął poważniejszy procent zbiorów.

Dalszym czynnikiem hamującym była ciasnota pomieszczeń, dająca się szczególnie we znaki w stosunku do rosnących w oczach nabytków z tytułu ustawy o egzemplarzu obowiązkowym. Brzmi to niemal nieprawdopodobnie — ale tak było! Druki z XV-XVIII wieku, rejestrowane w sposób skrócony — ale na gorąco, gdy tylko włączano je do Działu Starych Druków, udostępniane były znacznie szybciej od nowych nabytków z zakresu druków nowszych. Wyjątek stanowiły „księgozbiory w księgozbiórze”, otrzymane ze spisami lub ustawione w sposób ułatwiający łatwą orientację np. alfabetycznie. Dzięki nim można było w wielu wypadkach dotrzeć do książek potrzebnych czytelnikom — wymagało to jednak owej specjalnej znajomości tajemnic bibliotecznych, którą można podziwiać u poszczególnych bibliotekarzy, ale która bynajmniej nie świadczy o dobrym opracowaniu zbiorów.

Moje losy związane były na Rakowieckiej przez dłuższy okres z tzw. „skarbczykiem”, w którym znalazły pomieszczenie rękopisy rewindykowane z Rosji Sowieckiej z b. Cesarskiej Biblioteki Publicznej w Petersburgu, znanej obecnie pod nazwą Biblioteki im. Sołtykowa-Szczedrina w Leningradzie, oraz z carskiej Biblioteki Sztabu Głównego, pochodzące z Biblioteki Załuskich, zbiorów Królewskiego Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk i skonfiskowanych po rozbiorach albo po powstaniu listopadowym zbiorów prywatnych.

Owe rewindykowane z Rosji rękopisy ustawione były według sygnatur uwidocznionych na nalepkach na grzbiecie. Rozpoczęły się one od rosyjskiego skrótu języka rękopisu (polski, łaciński, francuski, niemiecki, włoski albo „różnojęzyczny” — w wypadku np. polsko-łacińskich miscellaneów), dalej figurowały cyfry oznaczające miejsce rękopisu na półce. Wszystkie opieczętowane były rosyjską pieczęcią z inicjałami „І.В.” (*Императорская Библиотека*); na wyklejce tylnej lub ostatnich kartach znajdował się zazwyczaj zapis odręczny, podający w języku rosyjskim informację, że rękopis ten zawiera tyle a tyle kart (słownie). Wyglądały tak do wybuchu wojny, gdyż nie opatrzone ich żadnymi znakami własnościowymi Biblioteki Narodowej w postaci np. *exlibris*’ów lub pieczęci. Gdyby ocalały np. na Śląsku czy w Niemczech, wywiezione a nie spalone na Okólniku, byłoby niezmiernie trudno, nawet Polakom, określić na pierwszy rzut oka, bez znajomości ich historii, iż pochodzą z Warszawy z Biblioteki Narodowej i że tam właśnie wrócić powinny. Trudno pogodzić mi się z myślą, że niemieccy „opiekunowie” zbiorów z okresu okupacji, którzy tyle pracy włożyli w operację scalania najcenniejszych obiektów, nie uchronili przed zniszczeniem przynajmniej najważniejszych rękopisów łacińskich i niemieckich. Łatwo natomiast wyobrazić sobie sowieckiego oficera czy żołnierza, który, odkrywwszy nalepki rosyjskie, „zabezpieczał” je w mniej lub więcej zadawalający sposób. Fakt, że większość rękopisów rewindykowanych z Rosji pochodziła z klasztorów o polskich nazwach miejscowości i że wszystkie rękopisy ze zbiorów Załuskich opatrzone były na pierwszej karcie charakterystycznym znaczkiem i krótkim zapisem ręką Załuskiego, należy do dalszych znaków rozpoznawczych, zrozumiałych jednak tylko dla garstki wtajemniczonych. Sądzę, że dochował się drukowany w Krakowie wykaz sygnatur przekazanych Polsce rękopisów pt. *Sigla codicum manuscriptorum* opracowany przez członków Komisji Rewindykacyjnej, walna pomoc przy identyfikacji.

Zamiar oznaczenia rękopisów *exlibris*’em i „ślepą” tj. tłoczoną pieczęcią, nie został niestety zrealizowany. Latami, najdos-

łowniej, toczyły się dyskusje nad systemem i rysunkiem pieczęci, techniką powielenia *exlibris*’ów (w grę wchodziły dziesiątki tysięcy obiektów, co wiązało się z dużymi kosztami). W roku 1935 sprawa dojrzewała do załatwienia. Wtedy jednak umarł Marszałek Piłsudski — i biblioteka została przemianowana na Bibliotekę Narodową Józefa Piłsudskiego (BNJP), co sprawiło, że projektowanie rozpoczęto od początku, i, o ile mnie pamięć nie zawodzi, nie doprowadzono do zwycięskiego końca.



W „skarbczyku” przepracowałam za kilkomana nawrotami wiele tygodni, porządkując rękopisy i przeprowadzając tzw. „szkontrum”, przy czym towarzyszką moją w tym nudnym i żmudnym zajęciu bywała zazwyczaj Irmina Śliwińska. Sprawdzanie polegało na porównywaniu stanu magazynu ze wspomnianym wyżej wykazem drukowanym, który obejmował jednak więcej, niż nasz stan posiadania, bo część rękopisów przekazana była Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego i innym instytucjom. Mieliśmy także do dyspozycji wykazy zawartości skrzyń i raczej niedokładne kartoteki datujące się z czasów pracy Komisji Rewindykacyjnej. Zwierzchnikiem naszym był dr Piotr Bańkowski, historyk literatury i archiwista, b. członek Komisji Rewindykacyjnej, *homo novus* w świecie bibliotekarskim. Trzymał się od nas na dystans, pogrążony w pracach, do których nie mieliśmy dostępu. Stwarzało to męczącą atmosferę oficjalności, w której zegarek posuwał się powoli a praca stawała się przymusem. Dziś widzę, że dominującą cechą charakteru dra Bańkowskiego była nieśmiałość połączona z ostrożnością w nawiązywaniu kontaktów z ludźmi. Po roku 1945 opublikował kilka bardzo wartościowych prac na temat archiwaliów dotyczących Stanisława Augusta i dokumentów rodzinnych Mickiewiczów. Przed rokiem 1939 przygotowywał niewątpliwie jakieś większe opracowanie na temat rękopisów rewindykowanych — nie doprowadził go jednak do końca.

Staraliśmy się udostępnić jak najszybciej rękopisy rewindykowane, słusznie przypuszczając, że kryją w sobie możliwości odkryć naukowych. Czytelnicy korzystali z nich na Rakowieckiej w Czytelni na II pietrze; było ich niewiele, co między innymi przypisać należało niewygodnej komunikacji ze środowiskiem. Z najdawniejszych upamiętniła mi się grupa młodych (wówczas!) historyków: Stanisław Herbst, Józef Jasnowski, Tadeusz Gostyński, Łukasz Kurdybacha (wspomagany przez żonę, późniejszą pracowniczkę Narodowej), kilku księży. Z rękopisów iluminowanych korzystała systematycznie dr Stanisława Sawicka a

dorywczu ks. Zdzisław Obertyński. Najpilniejszym czytelnikiem był dr Jan Zbigniew Pachoński z Krakowa, gromadzący już wtedy materiały do swej monumentalnej historii Legionów Dąbrowskiego pisanej w oparciu o tzw. „Teki Dąbrowskiego”, przekazane przez Generała do zbiorów Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Pałacu Staszica i z nimi razem wywiezione po roku 1831 do Rosji i tam dołączone do innych poloników historycznych („Collectio autographorum”) w bibliotece carskiego Sztabu Głównego. W tymże czasie, we wczesnych latach trzydziestych z tychże „Tek” korzystał Wacław Berent zafascynowany życiem kulturalnym i przemianami społecznymi i ideowymi początków XIX-go wieku. „Teki” w całości niemal przepadły, prawdopodobnie podpalone przez *Brandkommando*. Ocalało to właśnie: notatki i odpisy dra Pachońskiego i artystyczna wizja bohaterów „Tek” u Berenta.

Rozmiary strat wojennych w tym dziale zbiorów są trudne do wycenienia. Nie zdążyliśmy jeszcze przekopać się przez całość a w Petersburgu i Moskwie korzystali z nich nieliczni tylko uczeni polscy. Odkrycia prof. Brücknera i relacje Józefa Korzeniowskiego były smakowitą zapowiedzią skarbów, ukrytych w glossach, oprawach czy utopionych w nieprzebadanych dostatecznie miscellaneach.

Ilekoć po dłuższych okresach pracy na Krakowskim czy w „Rapperswilu” wracałam na Rakowiecką, uderzało mnie tempo wzrostu zbiorów i zagęszczenie się ich w magazynach już wtedy rozsadzanych ich ilością. Wiem, że w okresie okupacji (na skutek przemieszczeń i komasacji druków nowszych z kilku bibliotek) i po roku 1945 gmach pomieścić musiał jeszcze więcej, że zbiory rozlały się na korytarze i owe reprezentacyjne schody, opanowały wielką salę czytelnianą — i dobrze wyobrazić sobie mogę codzienną walkę moich kolegów bibliotecznych z cichym, nieustępliwym a bezwzględny żywiołem, jakim także mogą być książki.

Personel rósł w takim tempie, że na dorocznych spotkaniach koleżeńskich urządzanych tradycyjnie 28 listopada w rocznicę oficjalnego otwarcia Biblioteki w roku 1932 spotykałam często nowe twarze, młodych nieznanych bibliotekarzy lub praktykantów czy wreszcie pracowników zatrudnionych ze specjalnych zasiłków Funduszu Pracy. Byli wśród nich: Adolf Rudnicki (znany pisarz), Franciszek Siedlecki (zmarły w czasie okupacji, świetnie zapowiadający się teoretyk literatury), Józef Jasnowski (historyk, obecnie kierownik Centrali Bibliotek Ruchomych w Londynie), Zygmunt Mann, syn mego profesora-romanisty, który pomagał

Mikulskiemu w „Korbutianum” i kilku innych. Obowiązani byli do odpracowywania skromnych zasiłków; w teorii mieli pewne szanse stałego zatrudnienia; zabiegał o to gorliwie Wierczyński.

Z biegiem lat wyłoniła się „stara gwardia” pracowników związanych z Biblioteką od jej początków. Poza „Demiakami” i wspomnianymi wyżej osobami należał do niej personel kancelarii: Mieczysław Bigoszewski, Piotr Jastrzębski, Tadeusz Makarewicz, Irena Korotyńska (moja siostra cioteczna, później żona prof. Stanisława Herbsta), Zofia Mikulska (z domu Skrzyszewska, żona prof. Tadeusza Mikulskiego), Zofia Jędrzejewska (siostra przyrodnia Irminy Śliwińskiej), Waleria Krauzowa — i więcej nie pamiętam! W kancelarii pracowała (dla Instytutu Bibliograficznego) Maria Sokorska (pierwsza żona Włodzimierza). Podobnie, jak ja, pracował na Rakowieckiej i na Krakowskim na przemian Bohdan Korzeniewski, mój kolega uniwersytecki, teatrolog. Na krótko przed wojną zjawiał się w Bibliotece pełen rewolucyjnych pomysłów Ksawery Świerkowski.



Z Rakowiecką związany był znacznie bliżej prof. Bonawentura Lenart, introligator-artysta i liternik, który w Bibliotece Narodowej zorganizował i prowadził pracownię konserwatorską, zajmującą się w pierwszym stadium działalności opracowywaniem wzorców opraw bibliotecznych i zagadnieniami związanymi z konserwacją opraw i papieru. Prof. Lenart był równocześnie wykładowcą Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie i dojeżdżającym na cykle wykładów i ćwiczeń profesorem Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Ten nadmiar obowiązków, będący smutnym świadectwem braku fachowców, wpłynął paraliżująco na tempo prac Lenarta, choć w drobnym ciele entuzjasty i uparciucha kryły się niespożyte siły. Był perfekcjonistą — i to, jak w przytoczonej wyżej historii pieczęci Biblioteki, zwracało się przeciw niemu. Opracowanie modelu doskonałej oprawy poprzedzały doświadczenia z odpornością różnych kolorów i gatunków skóry i papieru na działanie światła i temperatury. Na wyniki czekać trzeba było latami. Dotąd stoi mi przed oczyma okno pracowni ozdobione girlandami skrawków skóry i różnokolorowych próbek papieru. Asystentką prof. Lenarta była w Bibliotece Narodowej Lidia Rumiancewa. Profesor szkolił kilku pracowników a przelotnie pouczał nas wszystkich w czasie niezapomnianych pogawędek w Pracowni. Był nieoceniony jako doradca w sprawach typograficznych związanych z drukiem katalogów wystaw biblio-

tecznych; w sprawach doboru eksponatów wystawowych i ich rozmieszczania itd.

Bliskim sąsiadem prof. Lenarta był na Rakowieckiej Stanisław Piotr Koczorowski, nasz „Paryżanin”, sromotnie pokiereszowany przez kolejkę wilanowską przy przechodzeniu przez tor biegnący wzdłuż ul. Puławskiej. Był to bibliofil wspaniałej klasy, współzałożyciel Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Książki w Paryżu, gdzie przez długie lata przebywał, pełniąc w latach 1920-1930 funkcję kustosa Biblioteki Polskiej przy boku Władysława Mickiewicza. W Bibliotece Narodowej przed rokiem 1939 wyzyskany był niewłaściwie jako kierownik małej, pozbawionej możliwości szerszego rozwoju komórki — Biura Międzynarodowej Wymiany Wydawnictw. Wysunięto go na to stanowisko ze względu na wielojęzyczność i znajomość bibliotek zagranicznych. Nie towarzyszyło temu jednak ani poparcie finansowe ani przydziały książek nadających się do wymiany. Działalność Biura ograniczała się do prowadzonej na niewielką skalę wymiany wydawnictw naukowych lub finansowanych przez Fundusz Kultury Narodowej; poza zasięgiem Koczorowskiego znajdowała się większość produkcji wydawniczej firmowana przez prywatne placówki, od których książki trzeba było kupować. Biedny „Koczor” niewiele miał w tym okresie do czynienia z książkami, zwłaszcza w sensie bibliofilskim. Dopiero w roku 1938, po odejściu dra Adama Lewaka z „Rapperswilu” do Biblioteki Uniwersyteckiej, doczekał się powrotu na lepiej mu odpowiadające stanowisko kustosa zbiorów rapperswilskich — i tam zaskoczył go wrzesień 1939 roku.

W małym pokoiku wygospodarowanym przez oddzielenie końca korytarza urzędowali kolejno dr Grycz, dr Łodyński a wreszcie na rok przed wojną znalazłam się tam ja z Działem Uzupełnienia Druków i „prawą ręką” w postaci Elżbiety Lutostańskiej-Widerszałowej i często zmieniającymi się pomocnikami, z których najlepiej pamiętam Anielę Bursównę.

Wchodziło się do Biblioteki przez długi korytarz, na którym stał stolik z wykładaną co ranka listą obecności. Urzędowali tam Józef i Melania Kowalczykowie — on zajmował się rozkładaniem czasopism bieżących — ona przyrządzała i roznosiła poranną herbatę, była naszą karmicielką i wsparciem moralnym. Nikt nie był lepiej zorientowany w całości spraw aktualnych Biblioteki i jej pracowników!

Resztę personelu stanowili woźni, których raczej nazwać by wypadało urzędnikami pocztowymi czy magazynierami, bo wypełniali funkcje dalekie od normalnych zajęć pomocniczego personelu biurowego. Wybijał się wśród nich Władysław Pofit,

łącznik między rozrzuconymi adresami Biblioteki i Ministerstwem. Moim częstym pomocnikiem był jego brat, Józef, i Władysław Woźniak. Jak przez mgłę przypominam sobie sylwetki pomocników prof. Lenarta w Pracowni Konserwatorskiej i Stanisława Piotra Koczorowskiego w Biurze Międzynarodowej Wymiany Wydawnictw.



Przedwojenna „Rakowiecka” z lat 1930-1939 rysuje się w mojej pamięci jako oddzielny rozdział historii Biblioteki Narodowej. Wojna zastała mnie tam w roli „adiunkta w VIII grupie uposażenia stałego” na „stanowisku I kategorii w państwowej służbie bibliotecznej”. Jednym z uroków tego skromnego skądinąd „stanowiska” było prawo do urlopów naukowych. Korzystałam z nich parokrotnie, by gromadzić materiały do historii Liceum Krzemienieckiego w Ossolineum lwowskim i Bibliotece Czartoryskich w Krakowie. Ta forma ułatwiania pracy naukowej bibliotekarzom miała pełną rację bytu i umożliwiła realizację niejednego przedsięwzięcia wydawniczego a nadto stwarzała serdeczne więzy z zasadniczym warsztatem pracy — Biblioteką.

„Rapperswil” w Warszawie

Drugim „adresem” Biblioteki Narodowej była część pomieszczeń Centralnej Biblioteki Wojskowej. Instytucja ta dysponowała obszernym a pustawym lokalem w gmachu Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych (GISZ) w Alejach Ujazdowskich 1/3/5 w skrzydle od strony Bagateli. Kierownikiem jej był w latach 1920-tych Marian Łodyński, historyk, który skwapliwie przegarnął zbiory rapperswilskie pod pretekstem, że zawierają one wysoki procent militariów. Druki zwarte i czasopisma włączono do katalogów C.B.W., udostępniając je szybko — z rękopisów stworzono autonomiczną jednostkę z własną Czytelnią i biurami oraz położonym w sąsiedztwie wygodnym magazynem.

Kierownikiem tej wydzielonej placówki był dawny kustosz Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu, dr Adam Lewak, historyk. Pracowała tam również dr Helena Więckowska, mająca wyraźnie wyodrębnione funkcje skatalogowania naprzód pewnych zespołów rękopisów rapperswilskich a następnie batignolskich (z Paryża) i archiwum Literary Association of Friends of Poland (z Londynu). W warszawskim „Rapperswilu” pracowało ponadto kilka innych osób. Najlepiej przypominam sobie Kaziemierę Grabowską-Lipską, kierowniczkę Czytelni, Janinę Rojew-

ską-Briesemeister i Krystynę Piątkowską. Pracowała tam również przez pewien czas Irmina Śliwińska i ja. Byłyśmy zatrudnione przy pomocniczych pracach katalogowych i na dyżurach w Czytelni otwartej do godziny 20-tej.

Czytelnia ta była widną i przestronną salką z kilkoma oknami, których parapety zastawione były doniczkami kwiatów i kaktusów. Na prawo od wejścia stało biurko dyżurnego urzędnika a tuż przy nim żelazna szafa zamykana opuszczaną żaluzją. Chowało się do niej rękopisy odkładane na następne dni przez czytelników oraz wypożyczone z innych instytucji.

W przylegającym do Czytelni pokoju mieścił się gabinet Kustosza. Stały tam szafy z niezmiernie cenną kolekcją czasopism z okresu Wielkiej Emigracji, będących podstawowym źródłem do badań nad tym okresem. Na ścianie wisiał widok Rapperswilu od strony jeziora. Tak właśnie zobaczyłam po raz pierwszy Zamek, po wojnie, podjeżdżając od strony Einsiedeln szlakiem Mickiewicza i Odyńca przez Lucernę i Arth-Goldau tamą dzielącą jezioro na Ober- i Untersee.

Przydzielono mnie do „Rapperswilu” w roku 1930, gdy kończono prace nad tomem I-szym katalogu rękopisów. Moim debiutem było zmodernizowanie opisów katalogowych dokumentów z rodzinnego archiwum Kościuszków oraz listów i drobnych autografów samego Naczelnika, głównie z okresu szwajcarskiego. Zbiory te były uporządkowane i bardzo starannie rozmieszczone w obwolutach przez Stefana Żeromskiego. Z tego względu, choć wypadło przegrupować rękopisy, zachowaliśmy z pietyzmem owe obwoluty z racji objaśnień zawartości wypełnionych kaligraficznym pismem autora „Popiołów” z czasów, gdy był pracownikiem Muzeum w Rapperswilu.

Pomagałam ponadto przy sporządzaniu indeksów i korektach; ten mój skromny wkład pracy jest uwidoczniiony w przedmowie do katalogu. W dalszych latach, poza dyżurami w Czytelni i załatwianiem kwerend naukowych, katalogowałam w lokalu „Rapperswilu” rękopisy pochodzące z innych zbiorów. W okresie gromadzenia materiałów do pracy doktorskiej o życiu naukowym Liceum Krzemienieckiego wolno mi było w czasie dyżurów pracować „dla siebie”.

Z „Rapperswilem” łączy mnie także mój debiut naukowy. Dzięki dr. Lewakowi nawiązałam kontakt z redaktorem *Rocznika Wołyńskiego*, Jakubem Hoffmanem, i ogłosiłam w tym piśmie szkic o życiu literackim Krzemieńca w latach 1813-16, pierwszy z wielu przyczynków ogłoszonych w *Roczniku*.

Dotąd trudno mi pisać o zbiorach rapperswilskich bez bolesnego uczucia dotkliwości ich straty. Ani przed tym, ani potem

nie odczuwałam nigdy tak bliskich uczuciowych związków z jakimś określonym zbiorem książek czy rękopisów, choć przeważna część mojej służby bibliotecznej wiązała się z instytucjami emigracyjnymi.

Były to zbiory niezwykle jednolite, cenne, w drobnym tylko stopniu wyzyskane przez uczonych. Emanowała z nich aura najszlachetniejszego patriotyzmu i tragicznego patosu naszych dziejów porozbiorowych. Olbrzymie bloki korespondencji, pamiętniki, dokumenty osobiste, fotografie i pamiątki przybliżały ludzi sprzed (wówczas) stulecia, ich troski i radości! — nie! chyba tylko troski i zawody. Gdybym pracowała tam dłużej nie oparłabym się na pewno pokusie podjęcia studiów nad jakąś grupą ludzi i spraw wyłaniających się w różnych relacjach i oświetleniach. Zbiory Biblioteki Polskiej w Paryżu, Biblioteki Kórnickiej i Muzeum Czartoryskich w Krakowie, razem wzięte, umożliwiają w teorii naukowe opracowania okresu Wielkiej Emigracji nawet po zagładzie Rapperswilu. Występowała tam jednak szczególna koncentracja jednorodnych materiałów historycznych przybliżająca i działalność „góry” stronnictw politycznych czy rządów emigracyjnych i losy szarych emigrantów. Dziś gdy ulubioną lekturą są pamiętniki, dzienniki, zbiory listów itp. — zbiory rapperswilskie byłyby kopalnią tekstów.

Na przestrzeni stulecia powstała i utrwaliła się w świadomości ogółu legenda Rapperswilu. Stary szwajcarski zamek stał się symbolem wolności a także bezpiecznego schronienia. Był niejako sprawdzianem zaufania jakim świat obdarza Szwajcarię nie tylko na odcinku numerowanych kont bankowych. Odradzające się na naszych oczach Muzeum jest wymownym świadectwem siły tej tradycji i trwałości związków przyjaźni polsko-szwajcarskiej.

Dlaczego przeniesiono do Kraju zbiory rapperswilskie, rozbijając je *nota-bene* przy tej okazji na muzealia i bibliotekę? Stało się to w wykonaniu jednoznacznie brzmiącej woli twórcy tej instytucji Władysława hr. Broel-Platera oraz pierwszego składu zarządu w osobach J. I. Kraszewskiego, Agatona Gillera, Stefana Buszczyńskiego i Henryka Bukowskiego. Zarejestrowany przez władze szwajcarskie akt fundacyjny głosił, iż „założone i zorganizowane przez polską emigrację polityczną [Muzeum] jest instytucją emigracyjną” a przy tym „własnością narodu polskiego”. 8 grudnia 1873 roku postanowiono, iż „gdy Polska, jak się spodziewać należy, powstanie i ukonstytuuje się jako naród niezależny, Muzeum ma być oddane jej rządowi narodowemu, o ile takowy dawać będzie gwarancję trwałości”.

Postanowienia te miały pełną wagę i moc obowiązującą. Powołano się na nie w roku 1911, gdy poważnie dyskutowany był projekt przewiezienia zbiorów do Krakowa lub Lwowa. Michał Sokolnicki, sprzeciwiając się tym projektom, dowodził, że Muzeum jest własnością „Narodu Polskiego” a nie emigracji a o losach jego nie może decydować Rada Muzealna (która) „nie posiada prawa przenosić instytucji gdziekolwiek bądź, czy to w Kraju, czy w inne miejsce zagranicą” (cyt. z „Biblioteki Warszawskiej, 1911, str. 117). Jednym z argumentów był fakt, iż w zbiorach znajdowały się „pisma wartości historycznej dużej, zaś takiej treści i z takiego czasu, iż żaden rząd — nawet dzisiejszy czy jutrzejszy austriacki — nie dopuściłby co najmniej udostępniania tych aktów, kompromitujących sprawy jeszcze żywe”. Tło tej wypowiedzi jest dziś jasne: w Rapperswilu przechowywano duże ilości „bibuły” niepodległościowej i wydawnictw antycarskich.

Legalna decyzja przewiezienia zbiorów do Kraju wyjść mogła przeto tylko od władz odrodzonej Polski. Te zaś pomyślały o Rapperswilu wcześniej. Już 21 października 1921 Sejm Ustawodawczy uchwalił na wniosek posła Leonarda Tarnawskiego, adwokata z Przemyśla, członka Rady Muzeum od roku 1903, solenną rezolucję wzywającą do przewiezienia zbiorów do Kraju. Za rezolucją stał autorytet Żeromskiego, żywo zaangażowanego uczuciowo w sprawę Rapperswilu.

Prace przygotowawcze trwały do roku 1927. Finałem ich był podpis Piłsudskiego na akcie wykonawczym z 19 marca tego roku. W październiku w 110-tą rocznicę zgonu Kościuszki zbiory wypełniające 14 wagonów towarowych przybyły poprzez Austrię i Czechosłowację do Zebrzydowic. „Stało się to późnym wieczorem” — i jak zapamiętał towarzyszący transportowi Adam Lewak — „tylko robotnicy, pracujący niedaleko od stacji, oraz kolejarze, którzy dowiedzieli się o przejeździe pociągu, przechodzili przez wagon w którym była ustawiona urna z sercem Kościuszki, przyklękali przed nią” i „oddawali hołd Naczelnikowi”. Słowa te nabierają pełnego znaczenia w pamięci tych, co wyrosli w okresie niebываłego nasilenia kultu Kościuszki i obchodów setnej rocznicy jego zgonu w roku 1917.

Przewieziono do Kraju wszystko: zbiory muzealne, archiwum i bibliotekę, liczącą ok. 91.000 tomów i 27.000 jednostek rękopiśmiennych. Podzielono je pomiędzy Muzeum Narodowe i nie istniejącą jeszcze formalnie Bibliotekę Narodową. Wartość poszczególnych działów uległa drastycznej przecenie. W Rapperswilu na plan pierwszy wysuwały się zbiory muzealne; obiektywna ich wartość nie była wielka, choć niewątpliwie układały się

w uczuciowo i propagandowo ważki obraz dziejów Polski ze szczególnym naciskiem na walki o niepodległość w XIX-tym wieku.

W Warszawie na plan pierwszy wysunęły się rękopisy ze względu na ich charakter unikatowy i niepowtarzalny. Przybyły do Warszawy nieuporządkowane z ułamkowymi inwentarzami i katalogami. Udostępniono je niesłuchanie szybko a korzystający z nich wspomagani byli niepowszednią erudycją i uczynnością kustosa Lewaka. Jego *opus magnum* — i żalosnym potwierdzeniem wielkości strat są trzy sążniste tomy katalogu rękopisów wydane w Warszawie w 1929-1938. Obok rękopisów działem o dużym zastosowaniu doraźnym okazała się grafika i zbiór fotografii. Wystarczy przejrzeć trzytomową „Polskę, jej dzieje i kulturę” Trzaski Everta i Michalskiego, by stwierdzić jak wielki był wkład „Rapperswilu” do zilustrowania tego pomnikowego wydawnictwa. Na trzecim miejscu pod względem użyteczności stały czasopisma, w których zawarł się obraz działalności różnych ugrupowań Wielkiej Emigracji. Jeśli od lat upominam się (bez skutku) o scalenie i skompletowanie czasopism z okresu Drugiej Wojny Światowej i obecnej Emigracji — to jest to praktyczne zastosowanie lekcji Rapperswilu. Na czwartym miejscu wymieniam druki zwarte. Powtórzenia ich znaleźć można w teorii w innych zbiorach — w jakim jednak rozproszeniu!

Podrozdziałem warszawskiego „Rapperswilu” były związane z nim tematycznie, lokalowo i organizacyjnie zbiory batignolskie i Towarzystwa Przyjaciół Polski w Londynie. I one także powstały na obczyźnie z zaleceniem przekazania ich do „oswobodzonej, da Bóg, Ojczyzny” a w Bibliotece Narodowej znalazły się we wczesnym okresie jej istnienia. Opisy katalogowe obu tych kolekcji wypełniły tom III-ci „Katalogu rękopisów Biblioteki Narodowej” (1933). Opracowała go dokładnie i wnikliwie dr Helena Więckowska wzbogacona doświadczeniami z okresu pracy nad dwoma tomami ściśle rapperswileckimi.

O ile losy Rapperswilu są powszechnie znane a obecnie przypomniane przez odnowicieli Muzeum, o tyle batignolskie i londyńskie zasługują, jak sądzę, na parę informacji.

U genezy zbiorów batignolskich stoi skromna biblioteczka Szkoły Polskiej Narodowej na Batignolles w Paryżu zainicjowana we wczesnych latach 1840-tych. Względy natury politycznej i spory personalne sprawiły, że niezależnie od Biblioteki Polskiej na Wyspie św. Ludwika w Paryżu powstało kilka poważniejszych księgozbiorów wchłoniętych stopniowo przez Bibliotekę Batignolską. Kośćcem jej były materiały archiwalne dotyczące Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, które po przeniesieniu Centralizacji do Anglii (w roku 1849) po długich pertraktacjach

przekazało swoje archiwum na Batignolles. W roku 1855 znalazła się tam Biblioteka Wersalska, której losy związane są z nazwiskami woj. Antoniego Ostrowskiego i Hipolita Klimaszewskiego. Perłą zbiorów była spuścizna po Lelewelu, jego biblioteka i rękopisy. Po wojnie francusko-pruskiej w roku 1871, gdy Szkoła przeżywała ostry kryzys finansowy, zbiory biblioteczne przejął w formie „zamkniętego depozytu” hr. Jan Działyński i przewiózł do Kórnika, gdzie przeleżały do roku 1929. Na mocy umowy z Ministerstwem W.R.i O.P. podzielono je, zgodnie z testamentem Lelewela, między Warszawę i Wilno. Losy wojenne tych kolekcji potoczyły się tragicznie i osobliwie: część przydzielona Warszawie przepadła wraz z Rapperswilem, „Leleweliana” ocalała w Wilnie w stanie nowego letargu.

Dalszym aneksem „Rapperswilu” było archiwum Literary Association of Friends of Poland w Londynie przekazane przez Ambasadę R.P. po zlikwidowaniu Towarzystwa w roku 1922. Zawierało ono — bo także przepadło w czasie wojny — protokoły posiedzeń z lat 1832-1922 w 7-miu tomach, listy członków, księgi korespondencyjne oraz gromadzone przez Towarzystwo materiały do sprawy polskiej z lat 1844-64. Materiały te wychodziły szeroko poza dochowane w Londynie drukowane sprawozdania Towarzystwa, które urwało działalność po wymarcu emigrantów polistopadowych ok. roku 1880.

Przewiezienie zbiorów rapperswilskich do Kraju, tragiczne w skutkach, powitane było entuzjastycznie przez ogół społeczeństwa a uczonych w szczególności, dało podstawę do wielu prac o charakterze odkrywczym, stało się pobudką do podejmowania szeroko zakrojonych badań i planów, odbiło się w sposób utajony, dostrzegany tylko przez wtajemniczonych, na poziomie wielu wydawnictw np. Polskiego Słownika Biograficznego, z którego redakcją „Rapperswil” współpracował szczególnie blisko. W Szwajcarii korzystano ze zbiorów dorywczo i niesystematycznie, wyzyskując jedynie ich fragmenty, gdyż skatalogowane były tylko częściowo i raczej po amatorsku.

Ogromną zasługą Lewaka i Więckowskiej było bardzo szybkie opracowanie stosunkowo szczegółowych katalogów i ogłoszenie ich drukiem z doskonale zestawionymi indeksami. Oboje służyli nadto cierpliwie i ofiarnie informacjami, opartymi na gruntownym przerobieniu materiałów i niemal kierowali pracami młodych historyków na podobieństwo angielskich tutorów. Im obojgu zawdzięczamy ponadto uratowanie w formie przedruków, notatek, opracowań, recenzji, referatów itp. stosunkowo dużej ilości materiałów zawartych w rękopisach emigracyjnych i gruntowne przetrząśnięcie ich pod kątem ewentualnych rewelacji o

wybitnych ludziach lub wydarzeniach epoki (np. o towianizmie). Oboje opublikowali ponadto szereg opracowań własnych, że wymienię przykładowo zarys historii Wielkiej Emigracji Lewaka (w „Polsce, jej dziejach i kulturze”) czy materiały do działalności dyplomatycznej Rządu Narodowego w opracowaniu tegoż — albo pomnikowe wydanie listów Joachima Lelewela i liczne leleweliana pióra Heleny Więckowskiej, pracującej powolniej ale i sumienniej od słusznie oskarżanego o nadmierny pośpiech Lewaka.

Adam Lewak, młodszy niż mi się wówczas wydawało, pracował szybko i wydajnie, umiając koncentrować się na jednym z wielu narzucających się w toku pracy tematów. Własna jego praca naukowa zazębiała się nieuchronnie o biblioteczną a godziny urzędowania mieszały z pozabiurową pracą naukową. Nie miało to wpływu na załatwianie interesantów. Był zawsze do ich dyspozycji, choćby oznaczało to przerwanie korekty w połowie szpalty. Przed pracą w warszawskim „Rapperswilu” w czasie paromiesięcznego wypadu do Paryża skatalogował rękopisy Muzeum Mickiewicza w Bibliotece Polskiej. Do „Rapperswilu” przywiązany był fanatycznie a zatrutę zbiorów odczuł jak stratę kogoś z najbliższej rodziny. Na krótko przed wojną, po skatalogowaniu zbioru rękopisów, przeszedł do Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego na stanowisko jej kierownika i przetrwał na nim okres okupacji, broniąc całości księgozbioru i sabotując zarządzenia niemieckiego komisarza W. Witta. Zmarł 25. VI. 1963 w Gdyni, przeżywszy 72 lata.

Helena Więckowska, uczennica prof. Marceliego Handelsmana, pracowała jak sądzę bardziej metodycznie a na pewno niezmiernie ambitnie. Jej młoda i elegancka sylwetka zaskakiwała czytelników przywykłych do zaniedbanych i zrezygnowanych bibliotekarek starej szkoły. Łączyła w sposób zadziwiający i tajemniczy prace pani domu i matki dwojga wzorowo wychowanych dzieci (córnka, Marysia, poległa w czasie powstania warszawskiego) z rozległą działalnością zawodową i naukową, która — zdawałoby się — pasjonowała ją bez reszty. I ona także, jak Lewak, rozstała się z „Rapperswilem”, gdy katalogowanie zbiorów batignolskich dobiegło końca. W roku 1936 przeszła na Rakowiecką na stanowisko kierowniczkii Działu Druków Nowszych, w którym zorganizowała prace katalogowe na wielką skalę. Po wojnie objęła dyrekturę Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi i, co jest wyłomem w stosunku do biografii większości moich kolegów, doprowadziła do przeniesienia Biblioteki do nowego gmachu wzniesionego zgodnie z jej zaleceniami, opartymi na dobrej znajomości wielkich bibliotek światowych.

Po odejściu ich obojga kustoszem „Rapperswilu” został, jak wspomniałam wyżej, Stanisław Piotr Koczorowski, doskonale zorientowany w dziejach Wielkiej Emigracji z czasu, gdy pracował w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Ale i Lewak i Więckowska i nawet ja mieliśmy do wybuchu wojny wszelkie ułatwienia w korzystaniu ze zbiorów i Czytelni. Ja np. zatrzymałam jeden dyżur popołudniowy i co tydzień wracałam do starych kątów rapperswilskich, tak wydawało się bezpiecznych...

Trzeci adres Biblioteki: „Krakowskie”

Trzecim adresem Biblioteki Narodowej był pałac Potockich, zwany dziś pałacem Tyszkiewiczów, mieszczący się w sąsiedztwie kościoła Wizytek na Krakowskim Przedmieściu pod nrem 32. Mieściła się w nim także Polska Akademia Literatury, zajmująca część parteru i dzieląca z Biblioteką użytkowanie reprezentacyjnych sal na I-szym piętrze.

Pałac, uważany za „jeden z najprzedniejszych zabytków Warszawy”, zbudowany był przez Ludwika Tyszkiewicza ożenionego z bratanicą Stanisława Augusta, Konstancją z Poniatowskich. Autorami planów byli: major inżynierii wojskowej Stanisław Zawadzki i Jan Chrystian Kamsetzer, którego dziełem były projekty wnętrz pałacowych. Dwie sale na I-szym piętrze: dawna „Stołowa” zwana potocznie „Balową” ze względu na lożę dla orkiestry na wysokości I-go piętra, i dawny salon („Sala Gościnna”) ozdobione były białymi sztukateriami według rysunków Kamsetzera. Kwiaty, girlandy, owoce, instrumenty muzyczne, zwiewne postacie tancerek wypełniały pięknych proporcji prostokąty przedzielone lustrami i marmurowymi kominkami. Urządzaliśmy w tych salach wystawy biblioteczne, o których piszę niżej. W sali „Balowej” odbywały się publiczne posiedzenia Akademii Literatury. Tam właśnie Wacław Berent czytał słynną „mowę mianą” niesłusznie ośmieszoną przez Słonimskiego.

Biblioteka otrzymała prawo użytkowania prawego skrzydła parteru od strony Krakowskiego Przedmieścia, pierwszego piętra z kilkunastu oknami wychodzącymi tamże oraz sal od strony kościoła z oknami w fasadzie północnej. Dalszą część pomieszczeń stanowiły oficyny z oknami wychodzącymi na ogromny dziedzińiec, który wiąże mi się w pamięci z pęknięciem rur wodociągowych w pomieszczeniach Działu Starych Druków. Suszyliśmy na nim lekko zamoknięte woluminy przerażeni uszkodzeniami, które wydają się dziś niegodne wspomnienia wobec tego, co już nadciągało.

Najbardziej upamiętniło mi się jednak pierwsze piętro. Dwie wielkie sale frontowe przedzielone były „Bilardową” z bezpośrednim wejściem z pięknej klatki schodowej oświetlonej oknem weneckim kontrastującym jasną plamą z kolumnami w hallu wejściowym na parterze. W owej sali bilardowej zwanej przez nas „Czarną” mieściła się przez pewien czas Czytelnia Rękopisów, z której w praktyce korzystać było można tylko w miesiącach letnich, gdyż pozbawiona była ogrzewania, choć w teorii miał je zapewniać efektowny marmurowy kominek. Jedną z rewelacji w opisie pałacu pióra Marii Ireny Kwiatkowskiej (w serii „Zabytki Warszawy”, 1973) była dla mnie wiadomość, iż we wnęce *vis-à-vis* kominka znajdował się ongiś... piec kaflowy. Na podwórze wewnętrzne wchodziła (po prawej stronie klatki schodowej) najlepiej zachowana sala w kolorach ciemnych, szarym i czarnym, z autentyczną wspaniałą posadzką „masońską” w szachownicę z kwadratów drzewa czarnego i naturalnego jasnego, dobrze zżółkłego. Zwaliśmy ją salą „Szara”; polubiłam ją do tego stopnia że każde przechodzenie przez nią uważałam za przyjemność. Pamiętam, że świadomie umieściłam w niej najbliższe sercu eksponaty na Wystawie Wołyńskiej w roku 1937. I doskonale pamiętam, jak żywo zareagowała na urodę tej sali Marszałkowa Piłsudska. Sądzone, że jest to część pałacu w jakiś szczególny sposób związana z pamięcią Księcia Józefa, którego portret wisiał rzekomo ongiś nad kominkiem. Może o tym właśnie portrecie wspomina Kwiatkowska pisząc, że „wychodzenie i werniksowanie portretu Kcia Józefa Poniatowskiego” wykonał w roku 1818 Franciszek Pfanhauser, uczeń Vogla i Bacciarellego.

Przez salę „Szara” przechodziło się do narożnego salonu, będącego jakby przedłużeniem sali „Białej”, i przyległej zwanej „Pompejańską”, z typowymi dla końca XVIII-go wieku malowidłami ściennymi utrzymanymi w kolorze krwistoczerwonym. Ogromne okna decydujące o charakterze fasady północnej otwierały się na Krakowskie Przedmieście i skwerek przed kościołem Wizytek. Pracując przy nich tkwiło się w sercu Warszawy.

Z sali „Szarej” wchodziło się przez zamaskowane wąskie drzwiczki do bogato ozdobionej „tureckimi” freskami łazienki, w której jak donośnym scenicznym szeptem zwykł informować zwiedzających Demby — „Gucio” Potocki z Wilanowa kąpał piękną aktorkę, „Hermankę”, w szampanie. Frywolne dekoracje ścian były wymarzoną tłem tych zabiegów.

Z łazienki wchodziło się do tzw. pokoju „Białego”, dawnej sypialni, wybitej niezłe zachowaną jasną tkaniną. Pracowałam

tam przez dłuższy czas, katalogując tzw. „nowsze” rękopisy a w szczególności papiery rodzinne hr. Zamoyskich z Podzamcza.

Dalej wiodła droga do oficyn, w których na I-szym piętrze umieszczono zbiory muzyczne pozostające pod opieką dr. Juliana Pulikowskiego, zniemczonego Polaka, którego z lekkomyślnym zapałem przywracano wzgardzonej przez niego ojczyźnie. Na parterze ulokowano z czasem po śmierci prof. Gabriela Korbuta cenną bibliotekę polonistyczną, która poprzednio mieściła się na IV-tym piętrze oficyny pałacu Staszica w złączonym z mieszkaniem Profesora lokalu. Owym „Korbutianum” opiekował się Tadeusz Mikulski przy pomocy Kazimierza Budzyka i Zygmunta Manna. W dalszych oficynach, na południowej stronie dziedzińca mieściły się: kolekcja kartograficzna pod opieką Władysławy Kułińskiej (później Około-Kułakowej) i zbiory graficzne, których porządkowaniem zajmowała się Maria Bartczakówna (później Bogdanowa Suchodolska) przy pomocy Kazimierzy Nadratowskiej.

Tam także znalazły pomieszczenie teatralia zdeponowane przez zarząd Teatrów Miejskich — opiekował się nimi Bogdan Korzeniewski.

Od frontu, w apartamentach parterowych z oknami wychodzącymi na Krakowskie Przedmieście, mieściły się niezmiernie bogate zbiory starych druków Biblioteki. Było to królestwo Kazimierza Piekarskiego, jego udzielne terytorium. Fakt, że „Rakowiecka”, gdzie mieściła się Dyrekcja, była oddalona od Śródmieścia, potęgował znaczenie „Krakowskiego” jako oficjalnej reprezentacji Biblioteki. Nakładał się na to wpływ indywidualności Piekarskiego.

Na Krakowskie przewieziono też część zbiorów rękopiśmiennych. Dlatego pracowałam tam po roku 1931, pod kierunkiem Piotra Bańkowskiego, zasadniczo tam urzędującego.



O ile tło pracy było okazałe i przyjemne, o tyle panujące wśród personelu stosunki dalekie były od idealnych. Około roku 1930 wybuchł problem „krakowski”. Grupa bibliotekarzy przybyłych spod Wawelu stanowiła zwartą grupę elitarną, odnoszącą się z rezerwą, jeśli nie pogardą do reszty. Pamiętam, że stosunek ten odczuwaliśmy bardzo dotkliwie. Fakt, że większość nazwisk cytowanych wcześniej przeze mnie (Jadwiga Dąbrowska, Irmina Śliwińska, Władysława Borkowska, Hanna Nowakowska itd.) nie znikła po wojnie z horyzontu bibliotekarskiego, świadczy pośrednio, że we wczesnym zespole pracowników Biblioteki Narodowej nie brakło obiecującego narybku. Nie ulega także wątpli-

wości, że w wielu wypadkach nie potrudzono się, by pomóc w zawodowym starcie a niekiedy świadomie go przyhamowywano. Bibliotekarze krakowscy przesiedleni do Warszawy widzieli w nas materiał surowy nie nadający się do natychmiastowego włączenia w podejmowane przez nich prace. Mieliśmy już jednak ze sobą ukończone studia uniwersyteckie i byliśmy dostatecznie młodzi, by podjąć dodatkowy trud i nadrobić braki. Różniliśmy się „drugim” językiem: dla nich był to niemiecki, dla nas z reguły francuski.

Tzw. popularnie „Kraków” stanowił zwartą klikę odcinającą się od reszty personelu w sposób rzucający się w oczy. Uświadamiam to sobie nawet dziś, po kilkudziesięciu latach i po długim okresie kontaktów zawodowych z Anglikami i Szkotami, u których występuje odwrotność tego stanu rzeczy: starsi, lepiej przygotowani bibliotekarze w charakterystycznym dla społeczeństwa brytyjskiego poczuciu potrzeby ciągłości, poszukują owego młodego narybku, by go szkolić, często *nota-bene* na próżno, gdyż zdolniejsi i obrotniejsi uciekają przy pierwszej okazji na stanowiska uniwersyteckie lub do zawodów bardziej lukratywnych.

Zarzut ten nie pomniejsza zalet fachowych owej grupy krakowskiej i wartości indywidualnego dorobku poszczególnych jej przedstawicieli. U schyłku Dwudziestolecia, w przededniu wojny, sytuacja uległa zresztą znacznej poprawie, gdyż „Krakowiacy” zadomowili się w Warszawie i stopniowo, chcąc nie chcąc wchodzili w krąg spraw stołecznych. Lata wojenne przekreśliły resztki animozji i przekształciły tych, co ocaleli, w bohaterskich opiekunów ocalałych z płomieni zbiorów i fanatycznych pionierów odbudowy. Pełnia obrazu wymagała jednak dygresji o trudnościach, które najwyraźniej wystąpiły około roku 1930.

Do zacierania różnic dzielnicowych przyczyniali się w dużym stopniu odwiedzający często Krakowskie Przedmieście profesrowie, a więc np. Julian Krzyżanowski, Stanisław Wędkiewicz, Jan Stanisław Bystron a nawet pozornie ultrakrakowski Stanisław Kot, pozbawiony w owych latach katedry ale bardzo czynny w redakcji Polskiego Słownika Biograficznego. W Dziale Starych Druków pracowała jego ulubiona uczenica Alodia Kawecka-Gryczowa; ja miałam stale na warsztacie jakiś biogram zamówiony przez Słownik z jego inicjatywy. W czasie niemal comiesięcznych przyjazdów do Warszawy bywali gośćmi „Krakowskiego” Stanisław Pigoń (który po przedwczesnym zgonie prof. Ujejskiego czuwał ofiarnie nad postępami mojej pracy doktorskiej o Liceum Krzemienieckim), Kazimierz Nitsch, Władysław Semkowicz i, ale znacznie rzadziej, Ignacy Chrzanowski.

Centralne położenie „Krakowskiego” i sąsiedztwo Akademii

Literatury sprawiało, że zaglądali tam chętnie — bo po drodze — znajomi naukowcy i pisarze. Gościem częstym, w Bibliotece zadomowionym, był Julian Tuwim, któremu Piekarski i jego współpracownicy walnie pomagali w kłopotach szperackich i wydawniczych — a miał ich wiele, gdyż wbrew pozorom i wspomnieniom jego chwalców, polegał raczej na węchu niż systematycznych poszukiwaniach i był zdecydowanie skłonny do wyciągania przedwczesnych wniosków (np. w fałszywym przypisywaniu autorstwa utworów anonimowych lub podpisanych kryptonimami). W okresie pobytów w Warszawie codziennym gościem był prof. Wacław Borowy, wykładający wówczas w Londynie. Niemal domownikiem był wizytator Jan Michalski, z którego pysznej biblioteki polonistycznej na Polnej korzystaliśmy jak z własnej.

Na kilka lat przed wojną zaczął praktykę w Dziale Starych Druków Kazimierz Budzyk związany przyjaźnią i współpracą z grupą przyszłych „gwiazd” polonistycznych. Myli mi się już dziś, którzy ze wspomnianych niżej odwiedzali Krakowskie Przedmieście a którzy pracowali tam dorywczo; pamiętam Franciszka Siedleckiego, Dawida Hoppensztanda, Stefana Żółkiewskiego, zagadanych z Mikulskim lub Budzykiem. Z nieco starszych roczników częstymi gośćmi byli: Zofia Rothertowa, Zofia Mianowska, Rafał Blüth, Bogdan Suchodolski, Tadeusz Makowiecki i wielu innych. Z pobliskiej Biblioteki Uniwersyteckiej zaglądała dr Stanisława Sawicka i ciągnący za nią historycy sztuki. Bliski sąsiad, Stanisław Lam, wołał, by go odwiedzano w jego kryjówce przy Księgarni Trzaski, Everta i Michalskiego.

„Krakowskie” znało ponadto instytucję okresowych pracowników, woluntariuszek, rekrutujących się przeważnie z rodzin arystokratycznych, których zbiory były przedmiotem zainteresowań dr. Piekarskiego. Właściciele ich powierzali mu na przeszkolenie biblioteczne córki wychowane w szkołach klasztornych, znające dobrze języki obce i wykazujące zainteresowania naukowe. Przypominam sobie w tej roli dwie córki Franciszka Potockiego z Krakowa i kuzynkę Franciszka Zamoyskiego z Podzamcza, Marię Platerównę. Spokojne, pracowite, snuły się po Dziale Starych Druków, wykonując „czasochłonne” prace pomocnicze. Sądono wówczas, że staną się opiekunkami zbiorów rodzinnych i będą je porządkować dla przyszłych pokoleń. Stało się inaczej, ale ponoć przydały się im w dalszym rozdziale życia rudimenta bibliotekarstwa, które po wojnie stało się ich zajęciem zarobkowym.



Indywidualnością górującą nad „Krakowskim” był dr Kazi-

mierz Piekarski. Wyglądał jak ożywiony portret renesansowego mecenasa sztuki: biła z jego postaci uczoność złączona ze znawstwem dobrej kuchni i wina oraz przykłądną starannością o schludność wyglądu. Broda dodawała mu powagi a łysina — blasku, bo odbijały się w niej jak w zwierciadle światła bibliotecznych żyrandoli.

Nie mogę przypomnieć sobie, kto i kiedy nazwał go pierwszy „Mistrzem” — aleśmy tak wszyscy o nim mówili. Przywiózł chyba to przezwisko z Krakowa. Może zdecydowała o nim niebywała biegłość bibliotekarskiego rzemiosła i swobodna a niezawodna erudycja? A może wzgląd na matejkowski majestat postaci i ową brodę, która mogła także nasuwać reminiscencje z postaciami wielkich mistrzów krzyżackich? Za oczywisty dla niego despekt uważaliśmy inne jego, krakowskie, przezwisko: „Kaziu Piekarski”. W „Jagiellonce” zwano go pracownikiem luksusowym (*Luxusarbeiter*), bo nie uznawał pracy systematycznej i użytkowej, otaczać się lubił pięknymi i kosztownymi przedmiotami, potrzebował — więcej: wymagał tła dla swej wspaniałej postaci a brzydził się wszelkimi objawami biurokracji. Nie dbał o awanse i stopnie naukowe. Przychodziły do niego same. Głośne były wieloletnie starania kolegów i samego prof. Chrzanowskiego o to, by raczył zdać doktorat. Uznano wreszcie za dostateczny ekwiwalent specjalnej dysertacji krótką rozprawkę o pierwszej drukarni Floriana Unglera w Krakowie ze względu na jej znaczenie dla wczesnej historii drukarstwa polskiego. Napisał ją, bo pasjonował go temat. Ze zaś wielki profesor chciał uświetnić jego nazwiskiem i tak już wspaniałą listę wychowanków, więc — jak się wówczas mówiło — „doszło do doktoratu”. Promocja Piekarskiego uświetniona była jedynym w swoim rodzaju wydawnictwem: księgą pamiątkową pod redakcją Józefa Grycza z artykułami prof. Mieczysława Brahmera, prof. Aleksandra Birkenmajera i in. Przewentylowano w nich zarówno naukową działalność „Mistrza” jak i jego słabostki. Księgę tę pt. „Marginalia” wydano w 200 egzemplarzach jako piękny druk bibliofilski.

Z miłością do starych druków łączyło się u Piekarskiego znawstwo ich na skalę europejską. Był w tym zakresie wszechstronny. Interesowała go zarówno historia wczesnego drukarstwa, znaków wodnych, gatunków papieru, rodzajów i kroju czcionek, jak i grafika książkowa, oprawy i ich zdobienie, znaki własnościowe, tłóczenia itp. Zgłębiał życiorysy drukarzy i introligatorów, ich testamenty i losy ich spuścizn, inwentarze ich dobytku i rachunki oraz dotyczące ich spraw zapiski sądowe. Znał wysokości nakładów książek XVI-wiecznych, ich ceny, warunki kol-

portażu. Z uszkodzonych opraw wydobywał, wzorem prof Brücknera, użyte dla ich umocnienia skrawki zadrukowanego papieru („makulaturę”), zdobywając w ten sposób fragmenty zacytowanych doszczętnie druków ulotnych, kalendarzy, druków jarmarcznych, a więc np. „Historii o Marcholcie grubym a sprośnym”. Największym jego sukcesem w tej dziedzinie było wydobycie fragmentów map Sarmacji i Polski z roku 1526 opracowanych przez Bernarda Wapowskiego. Wydobył je z oprawy księgi zawierającej akta salin bocheńskich w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie. Na podstawie znaków wodnych i stanu uszkodzeń czcionek ustalał kolejność i warianty rozlicznych wydań utworów Kochanowskiego.

Bibliografia prac Piekarskiego wylicza 186 tytułów artykułów rozproszonych po pismach naukowych lub wydanych w formie broszur bibliofilskich (plakietek) w niewielkim nakładzie. W roku 1936 rozpoczął druk pomnikowego opracowania pt. „Polonia typographica saeculi XVI” przynoszącego podobizny zasobów drukarskich tłoczni polskich, kontynuowanego na szczęście przez Alodję Kawecką-Gryczową. Równie ważnym jego dziełem był centralny katalog starych druków znajdujących się w zbiorach polskich i obcych. W momencie wybuchu wojny istniał on w formie gigantycznej kartoteki — i w tej formie pochłonął go pożar w gmachu Biblioteki Ordynacji Krasińskich w 1944 r., po powstaniu. Piekarski sporządzał go na pozór staromodnie na cienkich kartkach zwykłego kratkowanego papieru przycinanych z dużych arkuszy do formatu nie pokrywającego się ze znormalizowanymi kartami bibliotecznymi. Wbrew logice wyglądały zawsze świeżo, choć zasadniczo nie najlepiej nadawały się do włączania do kartotek. Była to jedna z tajemnic techniki pracy Piekarskiego. Trwał przy tym w stanie nerwowego pośpiechu, jakby przeczuwając, że nie dożyje starości. Zmarł 7 lutego 1944 r., w wieku 51 lat, oficjalnie — na serce. Warunki okupacyjnej egzystencji zgon jego niewątpliwie przyspieszyły.

Prof. Waław Borowy, pisząc o nim „Wspomnienie” do „Studiów nad książką poświęconych pamięci Kazimierza Piekarskiego” (1951) miał go przed oczyma za szybą pracowni bibliotecznej na parterze pałacu Potockich. Obserwować go tam było można z ulicy od wczesnego ranka do późnego wieczoru w charakterystycznym pochyleniu głowy nad starymi księgami, sporządzającego przerysy ornamentów opraw albo oglądającego pod światło znaki wodne. Działo się tak i w świątek i piątek, w każdej porze roku, bo na normalne urlopy z reguły nie wyjeżdżał. Gromadził równolegle materiały do historii różnych dziedzin staropolskiego życia kulturalnego i obyczajowego. Nie dla

siebie. Niewielu jest i było uczonych o większej lub zbliżonej szczodrośliwości i bezinteresowności. Z wyników badań korzystać mogli na gorąco, przed ogłoszeniem ich drukiem (to przychodziło mu najtrudniej) nie tylko uczeni i przyjaciele ale i zastraszeni młodzi studenci i studentki poszukujący materiałów do prac dyplomowych. Ze słynnych kartotek korzystać mógł dosłownie każdy, kto wykazał się świętym ogniem zainteresowań naukowych. Teoretyczne narady z przedstawicielami starszych pokoleń, rozpoczęte w bibliotece, kontynuowane były często u pobliskiego Lourse'a albo w pięknej salce restauracji „Pod Żółtą Kaczką” ozdobionej staropolskimi maksymami wyboru Piekarskiego.

„Mistrz” był w zasadzie żonaty i dzieciaty ale w Warszawie zjawiał się sam. Żona o wyglądzie staroświeckiej dziedziczki odwiedzała go niekiedy, przyjeżdżając na krótko „ze wsi” o niesprecyzowanym bliżej adresie. Pojawiała się i znikwała jak meteor. Piekarski gdzieś mieszkał a raczej gdzieś nocował. Jakoś się odżywił, załatwiał sprawunki, odwiedzał lekarza czy dentystę. To wszystko nie liczyło się i odbywało niemal w popłochu — ustępowało wobec spraw istotnie ważnych, to znaczy wszystkiego, co dotyczyły jego naukowych pasji.

U podłoża ich tkwił stan permanentnego olśnienia polskim Odrodzeniem i przeświadczenie, że jest to okres niedostatecznie zbadany. Stąd podejście nie tylko uczonego ale i detektywa. Pamiętam, że odkrywszy wspomniany wyżej fragment mapy Wapowskiego poszukiwał dalszych w oprawach innych ksiąg wykonanych w tym samym warsztacie, wychodząc z założenia, że zapas „makulatury” był spory. Tropił dzieje poszczególnych egzemplarzy książek — praktykował socjologiczne podejście do recepcji dzieł literackich jako jeden z pionierów takich badań.

Co pewien czas wyruszał na odkrywczo-rabunkowe wyprawy na prowincję do bibliotek w rezydencjach magnackich, pałacach biskupich, seminariach duchownych, klasztorach itp. (jak przed nim biskup Załuski, Czacki, Ossoliński). Miał z tego tytułu rozległe znajomości wśród arystokracji, ziemiaństwa i dostojników kościelnych. Z jednym z nich, bp. Stanisławem Okoniewskim z Pelplina łączyły go związki bibliofilskiej przyjaźni. Kulminacyjnym jej punktem było udekorowanie Biskupa orderem „Białego Kraka” w obecności, jak żartowano, bezcennego egzemplarza pierwszego wydania Biblii Gutenberga, ozdoby zbiorów pelplińskich. Uroczystość odbyła się w rezydencji biskupiej a w czasie obiadu pojawił się na stole biesiadnym szczupak jak z „Pana Tadeusza” niepocięty a na trzy sposoby przyrządzony.

Ów order przypomina zapomniany rozdział historii książki w Dwudziestoleciu. W roku 1923 zawiązano w Krakowie Towarzystwo Miłośników Książki pod prezesurą Kazimierza Witkiewicza, stryja Witkacego. Wyłoniło ono ściślejszy „Zakon Bibliofilów”, którego Kapituła nadawała wybrańcom order Białego Kruka za zasługi na polu krzewienia znawstwa starych książek i miłości do nich. „Zakon” wypracował skomplikowany system godności i szczebli mocno zalatujący wolnomularstwem oraz specyficzną tytulaturę. Do „Wielkiego Komandora Wschodu” zwracano się np. *per* „Wasza Paginacja” albo „Dostojny Foliencie”, „bracia” zwani byli „suplementami”, „siostry” — „kapitałkami” a „kandydaci” — „makularzystami”. W czasie posiedzeń wygłaszano przemówienia, w których erudycja (obowiązkowa) zakrapiana była frywolnymi cytataми staropolskimi.

Piekarski odznaczony w roku 1930 godnością „Kustosza Orderu Białego Kruka ze wstęgą Inkunabułu” brał całym sercem udział w imprezach Towarzystwa. Był inicjatorem wydawnictw, wystaw i wycieczek, duszą tych poczyną i czujnym stróżem właściwego ich poziomu. Grono krakowskich bibliofilów ma w swym dorobku szereg wystaw takich jak np. starych kalendarzy krakowskich, różnych wydań „Pana Tadeusza”, exlibrisów ze zbiorów prywatnych, książek i grafiki związanej z osobą Marszałka Piłsudskiego i wiele innych. W roku 1944, po śmierci Piekarskiego, urządzono w Krakowie poświęconą jego pamięci wystawę konspiracyjną.

Zainteresowania staropolszczyzną dzieliła z Piekarskim dr Ałodia Kawecka-Gryczowa, specjalistka od okresu Reformacji, rozszerzająca z każdym rokiem zakres swych zainteresowań. Drobną i delikatną, o uśmiechu Giocondy i niezmiernie ciekawej urodzie, okazała się uczenicą tak pojętną, że po wojnie podjęła odważnie kontynuację i odtwarzanie dzieła Piekarskiego i to, co on planował, potrafiła wprowadzić w życie, choć zaczynać jej wypadło niemal od zera na skutek strat wojennych i zatraty lub zdezaktualizowania opracowań. W okresie przedwojennym opracowała m.in. katalog starych druków ze zbiorów horynieckich a pochodzących z większości z biblioteki ks. Ignacego Polkowskiego.

Pod okiem Gryczowej wdrażał się do przyszłej świetnej naukowej kariery Tadeusz Mikulski, raz po raz odrywany od rewinkatów do „Korbutianum” to znów pozyskanych na skutek zabiegów Piekarskiego a ulokowanych na Rakowieckiej zbiorów wilanowskich. Rudimenta wiedzy o całokształcie spraw polskiego Oświecenia zdobył on niewątpliwie w Narodowej. Podobnie rysowała się kariera naukowa Kazimierza Budzyka, który opra-

cowywał na Krakowskim druki XVII-wieczne. Obaj zmarli przedwcześnie po roku 1945: Mikulski jako profesor Uniwersytetu Wrocławskiego i twórca szkoły historyków literatury polskiego Oświecenia; Budzyk, jako profesor Uniwersytetu Warszawskiego.

Moją najbliższą towarzyszką pracy była przez długie lata Irmina Śliwińska, z którą do spótki porządkowałyśmy rękopisy nowsze, co zostało utrwalone na karcie tytułowej powielanego katalogu ich części. Zamknięta w sobie, pracowita i koleżeńska, stale walcząca z trudnościami domowymi, utrzymywała ze skromnych zarobków owdowiałą matkę i przyrodnie siostry. Sytuacja ta uległa poprawie, gdy siostry się usamodzielniały a ona sama wyszła za mąż za dr. Leona Śliwińskiego, urzędnika Funduszu Kultury Narodowej. Przygotowywała przed wojną zbiorowe wydanie pism Jakuba Jasińskiego, nie zdołała ich jednak wydać. Dopiero po wojnie, ona z kolei przedwcześnie i tragicznie owdowiała, jako pracowniczka Instytutu Badań Literackich doprowadziła do końca dwa poważne opracowania bibliograficzne: bibliografię mickiewiczowską (ze Stanisławem Stupkiewiczem) i tom „Nowego Korbuta” poświęcony Kraszewskiemu. Ten ostatni wiąże się z przedwojennymi jej pracami nad katalogowaniem zbiorów tego pisarza. I ona zmarła przedwcześnie (1966).

Niemal do personelu Biblioteki zaliczyć można prof. Stanisławę Sawicką, która opracowywała rękopisy iluminowane ze zbiorów Narodowej a pracowała w mieszczącym się wówczas w Bibliotece Uniwersyteckiej Gabinetie Rycin.



Tak rysowały się w przededniu wojny jakby dwa współrzędne kręgi: starsi, skupieni wokół Piekarskiego, Lewaka a następnie także Wierczyńskiego w pracowniach naukowych na Krakowskim i w „Rapperswilu”. Z daleka trzymał się tylko dr Julian Pulikowski, muzykolog, zniemczony Polak, ściągnięty do Warszawy przez prof. Kota, który widział w nim przyszłego „unaukowanego” Kolberga. Doskonały specjalista, porządkował i wzbogacał cennymi nabytkami zbiory muzyczne przy pomocy Wandy Rudzkiej, jedynej osoby z personelu Biblioteki, którą tolerował. Reszta nie słyszała od niego ani słowa poza zdawkowym „Dzień dobry” lub zwięzłym wyłożeniem spraw urzędowych. Los sprawił, że zginął przy budowie barykady w czasie powstania warszawskiego, choć do celowości samej akcji odnosił się z rezerwą a w czasie wojny współpracował z okupantami, pomagając jednak w miarę możliwości kolegom i strzegąc zbiorów Biblioteki.

Wystawy Biblioteki Narodowej

Na skutek braku własnego budynku Biblioteka znalazła się w sytuacji niezrozumiałej dla ogółu. Wiedziano, że istnieje, że chlubi się posiadaniem białych kruków i zabytków piśmiennictwa staropolskiego, że firmuje działalność Instytutu Bibliograficznego, ale nie umiano jej umiejscowić i należycie ocenić. Nie ułatwiał rozeznania fakt, że walczone przez długie lata z brakiem katalogów a nawet umożliwiających ich opracowanie instrukcji. Ten stan rzeczy trwał do 1939 roku i szczególnie wyraźnie występował w Dziale Druków Nowszych.

W działach specjalnych sytuacja była nieco lepsza. Zasoby ich były uchwytniejsze, dające się łatwiej opanować czuwającym nad nimi pracownikom. Oznaczało to jednak zamykanie się w kręgu wtajemniczonych: Piekarski wiedział „wszystko” o starych drukach, Lewak — o rękopisach rapperswilskich, Więckowska — o Lelewelu, Pulikowski o zbiorach muzycznych itp. I tylko ich erudycji i uczynności zawdzięczać mogło dotarcie do potrzebnych im materiałów coraz liczniejsze grono korzystających spoza personelu Biblioteki. Jeśli nawet grono to urosło do pokąźnych rozmiarów było w tym coś niezdrowego i nienormalnego. Tkwiących wewnątrz zamkniętego kręgu uderzała niewspółmierność kryjących się w zbiorach możliwości i ich, jakże fragmentarycznego, użytkowania. Gdy piszę o tym po czterdziestu latach do jeszcze wyraźniejszego uświadomienia tych dysproporcji dołącza się świadomość, że to czego wówczas nie opracowano, czego nie ogłoszono drukiem, nie sfotografowano itd. — przepadło z kretelem, zwęglone i spopielone w latach wojennych.

Z owym stanem zawieszenia w oczekiwaniu na uporządkowanie zbiorów i scalenie ich we własnym gmachu wiązał się na dodatek jeszcze inny aspekt. Biblioteka istniała formalnie od roku 1928 — ilekroć jednak datą tą szermowano padało sakramentalne pytanie: „Co właściwie składa się na tę tajemniczą Bibliotekę? Gdzie się ona mieści? Jak do niej trafić?”. My, pracownicy Biblioteki, stawiani wobec tego typu pytań, wiliśmy się jak na mękach, wyjaśniając, że zbiory rozproszone są pod trzema adresami a i tam nie w pełni udostępnione. Nie ulegało wątpliwości, że Biblioteka nie nadawała się do zwiedzania — a coraz częściej zgłaszali się do niej kierownicy szkół chcących zorganizować wycieczkę, osoby prywatne zainteresowane jakimś działem czy wreszcie turyści zagraniczni.

Problemem poważniejszym było to, że profesorowie wyższych uczelni decydujący o tematach prac dyplomowych słabo

orientowali się w zasobach Biblioteki, zwłaszcza w zakresie zawartości zbiorów rewidykowanych z Rosji. Rakowiecka wydawała się wówczas adresem dalekim i niewygodnym, z dojazdami zabierającymi cenne godziny pracy.

W tym układzie spraw szczególnego znaczenia nabrała akcja wystawowa, podjęta przez Dyрекcję w roku 1934. Nie poprzedził jej plan ani intencja ułożenia kolejnych imprez z logiczny ciąg. Najwcześniejsze wiązały się z wydarzeniami, których inicjatywa wyszła z kół pozabibliotecznych, a więc zjazdami, rocznicami, wizytami dygnitarzy zagranicznych. Nie wszystkie upamiętnione zostały katalogami. Pedagogiczne i propagandowe znaczenie wystaw uświadomiła dopiero wielka rewia Mickiewiczianów w setną rocznicę ukazania się pierwszego wydania „Pana Tadeusza”. Ujawniło się wtedy w pełni że wystawy odsłaniały bogactwa zbiorów Biblioteki a za ich pośrednictwem ilustrowały różne aspekty kultury narodowej. Przyciągały ponadto ofiarodawców i były walnym argumentem w staraniach o własny gmach. Katalogi poszczególnych imprez były równocześnie przewodnikami po odpowiednich działach a dziś są w wielu wypadkach jedynym śladem zaginionych w czasie zniszczeń wojennych eksponatów. Szkoda wielka, że nie objęto nimi wszystkich wystaw, bo i w te nieupamiętnione, zwłaszcza Mickiewiczowską, włożono wiele pracy i długich przygotowań.

U początku akcji stoi *Wystawa zabytków języka staropolskiego* zorganizowana z okazji odbywającego się w Warszawie w roku 1933 Międzynarodowego Zjazdu Sławistów. Pokazano na niej, obok reprezentacyjnych zabytków z „Kazaniami Świętokrzyskimi” na czele, kilkadziesiąt rękopisów zawierających drobne często kilkuwyrazowe zapisy w języku polskim w postaci glos marginalnych i międzywierszowych, zapisków na wyklejkach opraw, na szczątkach rękopisów i starych druków użytych do wzmacniania okładek, proveniencji itp. Wystawa opierała się w 90 % o zbiory rewidykowane z Rosji, toteż wielką pomocą przy doborze eksponatów były notatki i wskazówki byłych członków Komisji Rewidykacyjnej a w szczególności Aleksandra Birkenmajera, Piotra Bańkowskiego i Kazimierza Piekarskiego. Niejedną wskazówkę wyłowiono przy skrupulatnym przeglądaniu prac Aleksandra Brücknera. Z pomocą przy odczytywaniu najstarszych zabytków przyszli specjaliści tej miary co Władysław Semkowicz i Stefan Vrtel-Wierczyński. Nad ogólnym układem Wystawy czuwał Piekarski. Wypadało okazałe, choć w braku gablot trzeba było kontentować się wąskimi stołami w wielkiej sali czytelnianej Szkoły Głównej Handlowej, w której je rozmieszczono. Ilość i jakość eksponatów była niespodzianką dla wielu. Nigdy przed

tym nie pokazano w Warszawie tylu i tak wartościowych zabytków języka staropolskiego.

Wkrótce potem w roku 1933 obradował w Warszawie VII-my Międzynarodowy Kongres Nauk Historycznych. Uznano to za właściwy moment zaprezentowania możliwości Biblioteki nie tylko zagranicznym uczestnikom Kongresu, ale i historykom krajowym, którzy licznie zjechali na obrady. Tym razem zdecydowano się na opublikowanie katalogu. Komisarzem Wystawy był dr Adam Lewak. Przygotowania trwały kilka miesięcy i, prawdą a Bogiem, oderwały kilkanaście osób personelu od normalnych prac, co wypominano później, podkreślając efemeryczność Wystawy, trwającej kilka dni. Pozostał po niej jednak trwały i cenny ślad w postaci *Katalogu Wystawy Zbiorów Historycznych Biblioteki Narodowej w Warszawie*, poprzedzonego obszernym wstępem pióra dr Alodii Kaweckiej-Gryczowej, zawierającym historię Biblioteki i zwięzłą charakterystykę jej zbiorów. Tekstowi polskiemu towarzyszył przekład francuski, dokonany przez Stanisława Piotra Koczorowskiego, który występował później stale jako tłumacz tekstów dalszych katalogów, z reguły dwujęzycznych.

Wstęp informował, iż „w doborze eksponatów kierowano się przede wszystkim ich wagą dla studiów historycznych”; uwzględniano ponadto nauki pomocnicze a w szczególności kartografię. Marginesem Wystawy był pokaz rękopisów iluminowanych, pochodzących w większości ze zbiorów rewindykowanych z Rosji. Z tematyką referatów kongresowych wiązały się wydzielone specjalnie eksponaty dotyczące Soboru w Konstancji, polskie Americana, listy Mazziniego itp.

W zakończeniu wstępu wyliczono nazwiska osób biorących udział w przygotowaniu Wystawy: Adam Lewak (ogólne kierownictwo), Maria Danilewiczowa (historiografia dawna, rękopisy; literatura), Stanisława Sawicka (historia sztuki), Irmína Śliwińska (ustawodawstwo), Helena Więckowska (historia Polski XIX wieku), Stanisław Piotr Koczorowski (nauki pomocnicze), Bolesław Olszewicz (kartografia, „Americana”), Bonawentura Lenart (dekoracja Wystawy).

Opisy katalogowe rozpoczyna przypomnienie stoisk honorowych poświęconych Marszałkowi Piłsudskiemu i twórcy pierwszej polskiej księżnicy narodowej Józefowi Andrzejowi Załuskiemu (1702-1774). Dział Załuscianów objął ponad sto eksponatów, w tym oryginalne katalogi, rachunki i oferty księgarskie, notaty bibliograficzne spisywane przez Załuskiego w Kraju, w czasie podróży zagranicznych i na zesłaniu w Kałudze.

W dziale „Historiografia polska” 80 eksponatów obrazowało źródła historyczne, kroniki i zarysy dziejów Polski od „Rocznika świętokrzyskiego dawnego” po Naruszewicza. Nie tylko obcy, ale nawet swoi, w Warszawie mieszkający historycy, zdumieni byli jednoczesną obecnością na sali takich zabytków jak „Kodeks Heilsberski” kroniki Galla-Anonima, różne wersje kronik Kadłubka, Janka z Czarnkowa, Długosza, Miechowity, Bielskiego, Orzechowskiego, Kromera, Gwagnina, Pastoriusa, Lengnicha itd. Kilka, pochodzących ze zbiorów Załuskich wyróżniało się przepysznymi oprawami sporządzonymi na koszt Stanisława Augusta, ozdobionymi *superexlibris*’em królewskim i napisem *Stanislaus Augustus, rex Poloniarum saeculorum posteritati vindicat*. Z obfitych Lelewelianów pokazano rękopisy numizmatyczne i kartograficzne, w tym bardzo cenne notatki odnoszące się do mapy Polski Wacława Grodeckiego i arabskiej mapy świata Idrisiego.

W oczy rzucały się wspaniałe „Acta Tomiciana”, zbiór materiałów z lat 1493-1548, sporządzony na zlecenie Zygmunta Augusta przez Stanisława Górskiego, notariusza podkanclerzego koronnego Piotra Tomickiego. Tom I-szy „zvodu królewskiego” ozdobiony był na okładce portretem Króla; część „Tomicianów” (t. II-III i V-XIX) pochodziła z Biblioteki Jagiellońskiej a w Bibliotece Załuskich znalazła się w formie wypożyczenia na zlecenie Stanisława Augusta; tym tłumaczy się ich obecność wśród rękopisów rewindykowanych z Rosji. Późniejszym odpowiednikiem „Tomicianów” były „Teki Naruszewicza” (18 tomów), i „Teki królewieckie” (6 tomów wypisów z tajnego archiwum krzyżackiego w Królewcu), sporządzone dla księcia Ad. Jerzego Czartoryskiego.

Inną rzucającą się w oczy grupą były zbiory listów królewskich, korespondencje Radziwiłłów, Chodkiewiczów, Sapiehów i in. z rewindykowanej z Rosji „Collectio autographorum”.

Aczkolwiek nie było niespodzianką, że w zbiorach Biblioteki Narodowej reprezentowane są obficie materiały do historii porobiorowej, zwiedzających uderzało bogactwo dokumentacji, gdyż obok imponujących rozmiarami tomów (np. 42 kartonowych pudeł stanowiących tzw. „Teki Dąbrowskiego”, sążnistych „Tek Ignacego Mieleckiego”) zilustrowano bieg wydarzeń setkami odczw, druków ulotnych, czasopism, dzienników, wykazów emigrantów itp. Marginesem działu porobiorowego były pamiętniki Sybiraków. Większość eksponatów pochodziła ze zbiorów Rapperswilskich.

Wśród rękopisów wystawionych ze względu na szczególną ich wagę wyróżniały się „Hussitica”, zbiór dokumentów odnoszących się do dziejów wewnętrznych Czech z czasów Jerzego z Po-

diebradu. Innym *cimelium* był efektowny rękopis Emira Wacława Rzewuskiego pt. *Sur le chevaux orientaux et provenant des races orientales*, ozdobiony licznymi rysunkami Emira.

Dział „Americana” otwierało Jana Głogowczyka *Introductorium compendiosum in tractatu sphaerae materialis Joannis de Sacrobusto* (druk krakowski z roku 1506) z pierwszą wzmianką o odkryciu Ameryki ogłoszoną w Polsce. W „Kronice wszystkiego świata” Bielskiego (1551) w każdym z kolejnych wydań znajdowały się coraz obszerniejsze wzmianki o „wyspach morskich nowo znalezionych”. Autor „Arithmetica integrorum” Jan Brożek wysunął nawet projekt nazwania Ameryki „Columbiną” — dzieło jego otworzone na odpowiedniej karcie (str. 178).

Zbiory kartograficzne, którym w roku 1934 poświęcono oddzielną wystawę tu reprezentowane były tylko perłami kolekcji, a więc fragmentami dwu map Polski Bernarda Wapowskiego (1526), odnalezionymi przez Piekarskiego. W dziale tym dominował wielki plan Warszawy z roku 1771.

Suplementem wystawy był pokaz najcenniejszych zabytków języka staropolskiego z „Kazaniami świętokrzyskimi” i „Psałterzem Floriańskim” zakupionym na krótko przed tym w roku 1932 z Biblioteki Opactwa św. Floriana pod Linzem.

W suplemencie „literackim” wybijał się autograf „Balladyny” Słowackiego i rękopisy Wyspiańskiego.

Dział rękopisów iluminowanych, opracowany przez wypożyczoną z Biblioteki Uniwersyteckiej dr. Stanisławę Sawicką, obejmował 45 rękopisów, w większości ze zbiorów Załuskich. Otwierało go „Tetra-Evangelium” z XII-go wieku a zamykały pyszne graduaty z klasztoru Augustianów w Krakowie z końca XV-go wieku. Jeden z nich otworzono na miniaturze, przedstawiającej św. Katarzynę, do której pozować musiała jakaś złoto-włosa Krakowianka.



W zimie 1934 zbiegły się dwie okazje sprzyjające urządzaniu wystawy pozwalającej na pokazanie drobnej części cimeliów ze zbiorów Rapperswilskich. Jedną z nich była setna rocznica zgonu gen. M. G. La Fayette’a*, „pierwszego grenadiera Gwardii Narodowej Warszawskiej z 1831 roku, obrońcy sprawy polskiej”, znanego w Polsce przede wszystkim z działalności w Stanach Zjednoczonych, gdzie walczył w czasie wspólnej służby w szere-

* Z autografów wynikała pisownia „La Fayette” a nie często używana „Lafayette”.

gach amerykańskich i zaprzyjaźnił się z Kazimierzem Pułaskim i Tadeuszem Kościuszką.

Drugim uzasadnieniem *Wystawy ku czci generała M. G. La Fayette'a* było to, że rocznica zbiegła się z przyjazdem do Warszawy z oficjalną wizytą francuskiego ministra spraw zagranicznych Louis Barthou (na krótko przed tragicznym jego zgonem w Marsylii, gdzie padł ofiarą zamachu na króla jugosłowiańskiego Aleksandra I). Wystawa otrzymała oficjalny patronat Premiera, Ministra Spraw Zagranicznych i ambasadorów Francji i Stanów Zjednoczonych.

Drukowany katalog Wystawy poprzedził wstęp jej organizatora, Adama Lewaka pt. „Stosunki La Fayette'a z Polską”. Jak trafnie ujął, działalnością Generała „kierowały dwie zasady: wolność i prawo do samodzielnego życia narodów”. Tym tłumaczy się że w roku 1777 wyruszył za Ocean a spotkawszy się tam z Pułaskim i Kościuszką stał się pionierem sprawy polskiej. W czasie powstania listopadowego ku niemu „zwracały się oczy i nadzieje polskie, wyczekujące pomocy z Francji”. Nie zawiódł nadziei, robił wszystko, co było w jego mocy. Praktycznym wyrazem jego dążeń był Centralny Komitet Pomocy Polsce przez niego założony a liczący wśród członków m.in. V. Hugo, J. P. de Béranger'a, Alexandre Dumas'a. Z tego środowiska wyszła „La Varsoivienne” Delavigne'a, której pierwodruk pokazano. Mickiewicz mówi o La Fayette'ie w „Księgach Narodu i Pielgrzymstwa polskiego” jako „o ostatnim z ludzi dawnych europejskich, w którym jest jeszcze duch poświęcenia się, reszta ducha chrześcijańskiego”.

Wystawa zilustrowała szczegółowo propolską działalność La Fayette'a, której rezultatem było zebranie 648.455 franków i pomoc naprzód dla udających się z Francji na pomoc powstaniu a następnie dla przybywających do Francji po klęsce powstańców.

Świadectwem zabiegów La Fayette'a były pokazane na Wystawie rękopisy i akty Komitetu Franko-Polskiego, zawierające wykazy osób biorących udział w akcji na rzecz Polski w komitecie paryskim i pokrewnych komitetach na prowincji francuskiej, w Belgii i Stanach Zjednoczonych. Udokumentowano też pomoc ze strony wolnomularstwa francuskiego (np. Loge de la Sincérité w Bordeaux, Loge de la Philanthropie w Vannes, Loge de la Philadelphie w Paryżu i in.).

Uwagę ministra Barthou zwrócił list praczki, Madame Laillet, która w przypływie entuzjazmu dla sprawy polskiej deklarowała La Fayette'owi, iż pragnie z całego serca „*faire quellque (!) chause (!) pour les Polonais... je peu(x) bien blanchir un Polonais*” (1832).

W przeciwieństwie do poprzedniej, Wystawę organizowano pośpiesznie. Przygotował ją zasadniczo Lewak przy pomocy Marii Danilewiczowej (rękopisy i druk katalogu), Marii Bartczakówny (ryciny i nuty), Janiny Briesemeister (katalogowanie druków). Wystawę urządzono w pałacu Potockich.



Następny (trzeci) „*Katalog Wystawy Zbiorów Teatralnych i Muzycznych Biblioteki Narodowej w Warszawie*” dotyczył imprezy zorganizowanej w roku 1934 z okazji IX-go Kongresu Międzynarodowej Konfederacji Autorów Dramatycznych i Kompozytorów Muzycznych. Była to wygodna okazja zademonstrowania bogactwa Biblioteki w działach niedawno stworzonych, a nawet tak „ciepłych” jak świeżo zdeponowana Biblioteka Teatrów Miejskich, którą później opiekował się Bogdan Korzeniewski.

Wystawa dała pole do popisu pracownikom licznych działów Biblioteki, bo ekspozyty dotyczyły historii teatru polskiego i polskiego życia muzycznego od najdawniejszych czasów i wydobywane były zarówno z rękopisów i druków jak i obiektów graficznych i nut. Tym tłumaczy się długa lista przygotowujących Wystawę: pod dyktando Stefana Dembego opracowali ją: Irmina Śliwińska, Hanna Puciatowa, Maria Bartczakówna, Maria Danilewiczowa, Lidia Rumiancewowa, Janina Zawistowska, Bonawentura Lenart, Julian Pulikowski, Stanisław Piotr Koczorowski i Tadeusz Makarewicz.

W Dziale Dramatycznym zilustrowano polską literaturę dramatyczną od XVI-wiecznych dialogów poczynając a na Żeromskim i Kasproviczu kończąc (przekłady z literatur obcych), pokazano wspaniałe przykłady starych afiszów z lat 1787-1929 ze zbiorów Biblioteki Teatrów Miejskich — prasę teatralną od „Momusa” Alojzego Żółkowskiego do pism ukazujących się w latach 1930-tych. Interesującym aneksem był pokaz teatraliów ze zbiorów horynieckich ofiarowanych Bibliotece przez Stanisława Karłowskiego. Dotyczyły one teatru pałacowego stworzonego ok. 1843 roku przez księcia Leandra Ponińskiego dla syna, Ludwika Nikodema (1827-1893), który przez 50 lat był kierownikiem, reżyserem, aktorem i autorem (lub tłumaczem czy adaptatorem) wystawianych w Horyńcu sztuk. Katalog Wystawy jest jedynym bodaj śladem działalności tej ciekawej i na wysokim poziomie postawionej sceny prywatnej. Wśród strat wojennych figuruje zarówno kronika teatru, jak i wykaz sztuk granych w Horyńcu,

nazwisk aktorów oraz katalog księgozbioru teatralnego dobrego bardzo starannie (i kosztownie). Teatr porywał się na wystawianie tragedii Szekspira „Hamleta”, „Makbeta”, „Romeo i Julii”), Augusta von Kotzebue, J. F. Ducis’a i w.in. a z autorów polskich Jana Nep. Kamińskiego, Józefa Korzeniowskiego i Aleksandra Fredry (m.in. „Pana Jowialskiego”).

Drugi dział Wystawy ilustrował polską twórczość muzyczną z lat 1750-1918 i opracowany był bardziej szkicowo, niż dział teatraliów. Tłumaczy się to tym, że organizator tego pokazu, dr Pulikowski, nie przykładął wielkiej wagi do imprezy, uważał, że przydzielono mu zbyt mało miejsca itp. W rezultacie pokazał skąpą dawkę pierwodruków nut Chopina i przykłady produkcji Józefa Elsnera, Macieja Kamińskiego, Karola Karpińskiego, Franciszka Mireckiego, Stanisława Moniuszki, Wojciecha Sowińskiego i in. Ozdobą tej sekcji Wystawy był Album Chopina, zawierający jego dziennik z lat 1830-1831. W aneksie wystawione były nuty wydane w latach powojennych — jako jedyny rzeczywiście cenny eksponat — autograf IV Symfonii Karola Szymanowskiego.

Skromnie przedstawiał się również pokaz teatraliów ze zbiorów graficznych Biblioteki. Wyróżniały się jedynie akwarele Antoniego Teofila Kwiatkowskiego dotyczące Chopina i piękna kolekcja miedziorytów Chodowieckiego o tematyce teatralnej.

Czwarta upamiętniona katalogiem *Wystawa Zbiorów Kartograficznych* dedykowana była Międzynarodowemu Kongresowi Geograficznemu odbywającemu się w Warszawie w roku 1934. W przeciwieństwie do poprzednich organizowali ją historycy kartografii spoza zespołu pracowników Biblioteki: dr Karol Buczek (z Krakowa) i dr Bolesław Olszewicz (z Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego). Z personelu Biblioteki pomagała im jedynie Władysława Około-Kuśakowa i odpowiedzialni za artystyczny kształt pokazu Bonawentura Lenart i Lidia Rumiancewa.

Ambicją organizatorów było oddanie do rąk uczestników Kongresu informatora o dziejach kartografii ziem polskich i stanie kolekcji z tego zakresu. Aby cel ten osiągnąć wypadło wyjść poza zbiory Biblioteki Narodowej, niezbyt zasobne w tym zakresie, a dla utrzymania ciągłości posłużyć się reprodukcjami i ilustracjami z literatury przedmiotu. Pedagogiczny cel Wystawy podkreślają obszerne noty objaśniające poszczególne eksponaty.

W ramach pokazu położono nacisk na mapy ziem polskich z XVI-go i XVIII-go wieków a w okresach dalszych ograniczono się do pokazania map oznaczających etapy historii kartografii polskiej.

W obrębie XVI-go i pierwszej połowy XVII-go wieku zgrupowano oddzielnie mapy pochodzące 1) od mapy Mikołaja z Kuzy, 2) od mapy Erharda Etzlauba, 3) od map Wapowskiego, 4) od map wzorowanych na mapach Polski i Sarmacji Gerarda Merkatora i 5) map Wacława Grodeckiego. W okresie późniejszym zarysowały się grupy pochodne od map N. Sanson d'Abbeville i G. le Vasseur Beauplana. Po ubogim w mapy stuleciu (1650-1750) zwrócono uwagę na ożywienie prac kartograficznych za Stanisława Augusta (J. A. Rizzi-Zannoni, Karol de Perthées, mecenat księcia J. A. Jabłonowskiego).

Wśród eksponatów XIX-wiecznych wyróżniała się „Karta dawnej Polski z przyległymi ziemiami” (1 : 300.000) wydana w Paryżu w roku 1859. Stanowi ona, według słów przedmowy „rzadki w dziejach kartografii dokument z walk niepodległościowych i dowód żywotności pozbawionego chwilowo własnej państwowości narodu”. Twórcą mapy był kartograf z armii Królestwa Kongresowego gen. Wojciech Chrzanowski.

Finałem Wystawy były mapy współczesne, wiążące się z nazwiskiem prof. Eugeniusza Romera.

O trwałej wartości katalogu decydują poprzedzające wykaz eksponatów przedmowy: 1) Karola Buczka pt. „Rzut oka na dzieje kartografii polskiej”, i 2) Bolesława Olszewicza: „Zbiory kartograficzne w Polsce”. Uzupełnia je „Spis ważniejszej literatury do dziejów kartografii Polski i polskich zbiorów kartograficznych”. W sumie był to pożyteczny przewodnik-informator dla uczestników Kongresu. Ze względu na nich wszystkie teksty opatrzone były przekładami na język francuski.



Katalog Wystawy Wołyńskiej (31. III - 14. IV. 1935), piąty i ostatni w serii przedwojennych drukowanych świadectw imprez Biblioteki, ilustruje jeszcze inną koncepcję. Jak poprzedni, w części tylko opierał się o zbiory własne, gdyż w poszukiwaniu eksponatów przetrząsnęto nie tylko biblioteki publiczne ale i kilka prywatnych, w których można było oczekiwać większych zespółów druków dotyczących Wołynia. Z pomocą pośpieszyli wybitni znawcy problemów literatury o Wołyniu: Jakub Hoffman, redaktor *Rocznika Wołyńskiego* i wizytator Jan Michalski, właściciel księgozbioru obfitującego w pamiątniki i pierwodruki XIX-wiecznej literatury pięknej. Zza grobu wspomagał poczynania organizatorów Wystawy śp. Edward Maliszewski, autor bibliografii krajoznawstwa polskiego, nie ogłoszonej drukiem.

W pozostawionych przez niego kartotekach znalazło się około 2.000 opisów bibliograficznych dotyczących Wołynia. Ujawniały one trójjęzyczność materiałów, będącą wymownym świadectwem, że naukowe prace na temat Wołynia opierać się muszą na publikacjach w językach polskim, ukraińskim i rosyjskim. Przypomnienie to było ze wszech miar na czasie w okresie, gdy w Łucku i Krzemieńcu powstawały poważne placówki badawcze a poszczególne regiony Polski podejmowały lub rozbudowywały analogiczne akcje. Biblioteka Narodowa planowała urządzenie cyklu wystaw krajoznawczych; fakt że rozpoczęto od Wołynia był pójściem po linii najmniejszego oporu i tłumaczył się tym, że i *Rocznik Wołyński* i tworzący się przy Liceum Krzemienieckim Instytut Wołyński związane były bliską współpracą z „Rapperswilem” i Działem Rękopisów Nowszych Biblioteki.

Warszawa otrzymała wiosną 1935 dwie wystawy wołyńskie. Pierwszą z nich zorganizowało Zrzeszenie b. Wychowanków Liceum Krzemienieckiego — dawała ona przekrój życia współczesnego Wołynia. Druga — w Bibliotece Narodowej dawała podbudowę historyczną.

930 eksponatów, z których większość pochodziła ze zbiorów Jana Michalskiego, ujęto w trzy grupy: I. Wołyń, II. Wołyniacy, III. Krzemieniec. Ważnym uzupełnieniem były ryciny i rysunki, podzielone na portrety i widoki. Ze zrozumiałych względów, dla podkreślenia równoległości dwu odbywających się równocześnie wystaw, najsilniej wyeksponowano materiały dotyczące Krzemieńca a w szczególności Liceum Czackiego i jego wykładowców i wychowanków. To znów narzuciło potrzebę sięgnięcia do zbiorów rapperswilskich i wydobywania z nich materiałów do działalności kilkudziesięciu wybitnych osobistości czynnych na Emigracji. Urodzony w Krzemieńcu, Juliusz Słowacki, nie był wychowankiem Liceum — twórczość jego, bezpośrednio i pośrednio związana z Wołyniem, nadawała jednak ton sali krzemienieckiej. W cztery lata później przypadała setna rocznica zgonu Poety. Wystawa warszawska stała się niejako próbą generalną wielkiej imprezy krzemienieckiej w lecie 1939, opartej podobnie o zbiory Jana Michalskiego i organizowanej przez ten sam zespół.

We wstępie (mego pióra) wyjaśniłam, że mianem Wołynia określiliśmy obszar byłego województwa wołyńskiego dawnej Rzeczypospolitej sprzed I-go rozbioru. Z ilościowo najbogatszej ale jakościowo mizernej literatury o Wołyniu w języku rosyjskim wydobyliśmy wydawnictwa źródeł, zbiory dokumentów i takie np. pozycje jak historie Uniwersytetu Kijowskiego, rozpoczynające się od rozdziałów o likwidacji Liceum Krzemienieckiego po

powstaniu listopadowym. Literaturę w języku ukraińskim reprezentowali Michał Hruszewskij, Iwan Ohienko i in. oraz wydawnictwa instytucji naukowych (np. lwowskiego Tow. im. Szewczenki).

Na wkładzie nauki polskiej silnie zaciążyły warunki pracy historyków w okresie rozbiorów. O tym, jak były trudne, świadczy najwymowniej fakt, że Metryka Wołyńska, wchodząca w skład Metryki Koronnej, przez cały wiek XIX-ty była praktycznie niedostępna a po roku 1920 nie powróciła do Polski. Przykładem jeszcze jaskrawszym są losy biblioteki i archiwum krzemienieckiego pozostającego do dziś w Kijowie. Mogliśmy jednak pokazać wartościowe prace źródłowe Aleksandra Przeździeckiego, T. J. Steckiego i Aleksandra Jabłonowskiego — a nawet niesłychanie rzadką rozprawkę francuską Jana Potockiego („Histoire ancienne du gouvernement de Volhynie”, Petersburg, 1805) — egzemplarz jej wypożyczyła Biblioteka Ordynacji Kasińskich.

Wspaniale reprezentowana była na Wystawie literatura pamiętnikarska, w której — poza opisami życia obyczajowego na Wołyniu — wybijały się pamiętniki Krzemieńczan, dotyczące Liceum oraz wspomnienia ilustrujące udział Wołynia i Wołyńców w powstaniach narodowych. O atrakcyjności regionu świadczył fakt, że związali się z nim serdecznymi więzami pisarze nie urodzeni na Wołyniu, ale tam czynni przez ważne okresy życia a więc np. Józef Ignacy Kraszewski, którego „Athenaeum” rozchodziło się po Polsce z redakcji w Gródku i Hubinie na ziemi wołyńskiej. Znany powieściopisarz jest jednocześnie nieznanym a biegłym rysownikiem: na wystawie pokazano jego niezmiernie ciekawe i wartościowe „Ilustracje do Wspomnień Polesia, Wołynia i Litwy” (1842).

Katalog Wystawy Wołyńskiej (z indeksem nazwisk i nazw miejscowości) jest, podobnie jak kartograficzny, substytutem przewodnika bibliograficznego. Dotyczy w wielu wypadkach obiektów już nie istniejących, by przykładowo wymienić druki w języku hebrajskim z Oleksińca (1767), Korca (1784 i 1803), Porycka (1787), Połonnego (1795), Sławuty (1798 i 1812) i Zasławia (1807).



Po roku 1935 działalność wystawowa Biblioteki uległa zahamowaniu, co tłumaczy się zmianą na stanowisku dyrektora i skoncentrowaniem uwagi na pracach zmierzających do uporządkowania i skatalogowania szybko rosnących zbiorów. Biblioteka brała jednak udział w organizowaniu imprez firmowanych przez

inne instytucje: np. wystawy pośmiertnej Andrzeja Struga, urządzonej wiosną 1938 w Bibliotece Publicznej i wreszcie tragicznej wystawy Słowackiego w Krzemieńcu, przerwanej wybuchem wojny. Ekspozyty z niej powróciły w większości do Warszawy w rezultacie ryzykownej ekspedycji, którą w roku 1943 podjął prof. Stanisław Herbst z inicjatywy dr. Grycza. Opis jej pomieścił Stanisław Lorentz w tomie I-szym „Walki o dobra kultury. Warszawa 1939-1945”, (1970).

Zabawnym marginesem akcji wystawowej był nieoficjalny pokaz książek najgorszych zorganizowany z okazji listopadowego święta Biblioteki 28. XI w roku 1933? 1934? przez Hanę Nowakowską w oparciu o egzemplarze obowiązkowe. Pomysł podsunęły *Wiadomości Literackie* i Tuwim. Rewia wypadła wspaniale — i bogato. Dotąd pamiętam perły wierszy grafomanów, rady pszczelarza „staruszka Molickiego”, dział zatytułowany „Skarbnica wisiuśskich”, rozprawki podważające zasługi Kopernika i Einsteina itp., itd. Wystawa wyprzedziła systematyczne badania Janusza Dunina nad literaturą kramarską i brukową. Ponieważ dotyczyła książek najnowszych w obawie przed reakcjami zainteresowanych autorów nie można było udostępnić jej szerzej i obejrzało ją tylko nieliczne grono wtajemniczonych.

Pro domo sua

Wybuch wojny przerwał normalny tok prac zakłóconych dopiero w końcu sierpnia 1939 pośpiesznymi pracami nad ewakuacją najbardziej zagrożonych i najcenniejszych obiektów. Mąż mój, współwłaściciel Wytwórni Radiotechnicznej AVA, produkującej maszyny szyfrowe dla Sztabu Głównego, otrzymał rozkaz opuszczenia Warszawy. Pierwszym etapem naszych wędrówek wojennych był Krzemieniec, w którym — w drugim tygodniu wojny — zdołałam załadować do skrzyń ekspozyty przygotowywanej w maju Wystawy Słowackiego. Sądzę, że przyczyniło się to do ich uratowania, bo uchroniło przed rozproszeniem. Pamiętam, że do sal wystawowych wnoszono, w miarę ich opróżniania, łóżka polowe dla ewakuowanych do Krzemieńca urzędników Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Przy pracy tej zaskoczył nas ciężki nalot lotniczy niemiecki; bomby nie trafiły w gmachy licealne, pustosząc jednak dworki w pobliżu. Staralam się dzielić ekspozyty wystawowe na grupy w zależności od ich proveniencji — tak, jak gromadziłam je wiosną 1939 w Warszawie.

Dalszym moim spotkaniem z fragmentami zbiorów Biblioteki

Narodowej, było późną jesienią 1939 roku sprawdzanie zawartości kufrów z najcenniejszymi obiektami ewakuowanymi z Warszawy w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Powędrowały dalej do Kanady i razem z arrasami powróciły po latach do Kraju.

Na tym urwały się kontakty bezpośrednie, dotykalne. Uważałam się jednak nadal, do końca wojny, za pracowniczkę „Narodowej”, czasowo przydzieloną do innych pokrewnych instytucji. W Funduszu Kultury Narodowej czuwałam nad wysyłkami paczek do moich dawnych kolegów, zdobywając z trudem ich adresy domowe. Pamiętam, że przewertowałam okupacyjną książkę telefoniczną i szturmowałam o informacje Oflagi, w których ugrzęźli mężowie kilku koleżanek. Już w roku 1942, gdy powstała pod przewodnictwem Sir Ernesta Barkera, profesora Uniwersytetu w Cambridge, *Books Commision* wyłoniona przez *Conference of the Allied Ministers of Education*, byłam w niej delegatką Rządu R.P. na Wygnaniu. Jednym z zadań Komisji było gromadzenie książek, które zasilić miały i odnowić biblioteki uniwersyteckie i narodowe w krajach okupowanych. Zakupy przeznaczone dla Polski miały być przesłane po wojnie do Biblioteki Narodowej oraz bibliotek uniwersyteckich w Warszawie, Krakowie, Lwowie, Poznaniu i Wilnie. Niezależnie od tej akcji międzynarodowej podjęliśmy w Funduszu Kultury Narodowej systematyczne zakupy druków polskich i Polski dotyczących wydanych poza granicami Kraju, uważając że są one ekwiwalentami „egzemplarzy obowiązkowych”. Kompletując je, czułam się nadal pracowniczką Biblioteki Narodowej.

W okresie wojennym czuwaliśmy nad informowaniem opinii światowej o losach bibliotek polskich i ich stratach. Moim własnym dorobkiem są polskie i angielskie broszury i pokaźny ciąg artykułów w prasie polskiej i fachowych czasopismach bibliotekarskich angielskich.

Koniec wojny przyniósł drastyczną zmianę sytuacji. Decyzja pozostania poza Krajem przekreśliła możliwości normalnego kontynuowania pracy w Bibliotece Narodowej, nie przekreśliła jednak sentymentalnych związków z instytucją, której zawdzięczałam opanowanie rzemiosła bibliotekarskiego i bogaty zasób doświadczeń wysoce przydatnych w dalszej pracy na placówkach emigracyjnych a przede wszystkim w londyńskiej Bibliotece Polskiej. Świadomie postawiłam sobie za zadanie kompletowanie poloników zagranicznych, zdając sobie sprawę, że moi koledzy krajowi nie są w stanie podejmować tego zadania. Dopełnieniem ich prac w Instytucie Bibliograficznym była i jest nadal „*Bibliography of Books in Polish or Relating to Poland published out-*

side Poland since September 1st, 1939”, rozpoczęta pod moim okiem przez śp. Janinę Zabielską a po jej śmierci kontynuowana przeze mnie i moich współpracowników z personelu Biblioteki Polskiej w Londynie.

Książki zgromadzone w czasie wojny w ilości około 20.000 tomów przekazane zostały do Kraju za pośrednictwem angielskiego *Foreign Office*’u w roku 1946-50. Przydziały przeznaczone dla Lwowa i Wilna iść miały do Torunia i Wrocławia. Nigdy nie mogłam uzyskać konkretnych wiadomości o ich losach, a pogłoski uporczywie powtarzały, że polskie polonica wojenne świadomie uległy zniszczeniu. Powtarzam: „pogłoski”, nadal łudząc się, że tkwią w czeluściach „prohibitów” i przynajmniej fizycznie istnieją.

Pięćdziesięciolecie istnienia Biblioteki, w której przed tyluż laty rozpoczynałam pracę zawodową mego życia, przyjmuję z uczuciami mieszanymi. Jest coś wysoce nienormalnego w tym, że „Narodowa” nie może obchodzić „złotych godów” pod własnym dachem, choć niewątpliwą pociechą jest fakt rozpoczęcia budowy okazałej siedziby. Na moim własnym podwórku jest zjawiskiem niecodziennym fakt, że można było przepracować tak długi okres czasu w stałej łączności z księgozbiorami emigracyjnymi. Naprzód w Warszawie — ale także w „Rapperswilu”, potem, w roku 1940, w Bibliotece Polskiej w Paryżu, gdzie w czerwcu, w czasie *débaclé*’u, jak przed niespełna rokiem w Warszawie, pomagałam przy zabezpieczaniu zbiorów przed zbliżającymi się już nad Sekwanę armiami niemieckimi. I wreszcie w latach 1943-1973 w Londynie, gdzie — zachowując ciągłość numerów inwentarzy — kierowałam Biblioteką Polską, przeżywając kilkakrotnie zmiany nazwy, przydziałów do instytucji nadrzędnych (np. Polish University College) — aż wreszcie, ale już beze mnie, Biblioteka wyszła ze stanu bezdomności uzyskując nowoczesne pomieszczenia w gmachu Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego. Moim przeznaczeniem było pracować pod cudzym dachem, co symbolicznie wiąże mnie jeszcze bliżej z „Narodową”.

Wspomnienia urwałam świadomie na dniu wybuchu wojny, wiedząc że lata późniejsze są i będą wszechstronnie opisywane w Kraju. Ze znanych mi relacji wyłania się obraz niezmiennie trudnych zmagani z okresu okupacji, gdy moi bohaterscy koledzy życiem, udrękami więziennymi i obozowymi i utratą zdrowia przyplacali wierność kulturze polskiej i reprezentującym ją placówkom.

Przypuszczam, że tegoroczne wydawnictwa rocznicowe skoncentrują uwagę na okresie powojennym i dotyczyć będą nowej,

z autopsji mi już nieznaną Biblioteki Narodowej. To nadaje sens moim reminiscencjom, utrwalającym obraz wyłaniania się i wzrostu w Dwudziestoleciu Niepodległości. Dedykuję go moim dawnym kolegom na tym i tamtym świecie.

Feijó (Portugalia), 1977-78.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

NOTA BIBLIOGRAFICZNA

Nota bibliograficzna: „Wspomnienia o Bibliotece Narodowej, 1928-1939” są zmieniona i uzupełniona wersją serii artykułów pt. „Bezdomne bibliotekarstwo” ogłoszonych w *Wiadomościach* londyńskich w latach 1966-77 oraz kanadyjskim *Związkowcu* (w nrze grudniowym z 1967 r.). Wyzyskałam nadto fragmenty felietonów radiowych wygłoszonych przed mikrofonem Radia Wolnej Europy w latach 1955-77. Ogromną pomocą były przedwojenne broszury o Bibliotece pióra Stefana Dembego, Józefa Grycza i Alodii Kaweckiej-Gryczowej, katalogi rękopisów i katalogi wystaw. Te ostatnie uzyskałam niedawno temu dzięki życzliwej pomocy osób *of necessity anonymous*. Za epilogiem „Pana Tadeusza” mogłabym mówić o „przyjaciółach, którzy pomogli rozmowie” — i wspólnym wskrzeszaniu zapadających w nicość wspomnień ludzi i spraw.

Autorka, kierowniczką Biblioteki Polskiej w Londynie w latach 1943-1973, rozpoczęła pracę zawodową w czerwcu 1928 w Bibliotece Narodowej w Warszawie i kontynuowała ją tam do września 1939 roku.

Jan DREWNOWSKI

WŁADZA I OPOZYCJA

Próba interpretacji historii politycznej Polski Ludowej

(*Artykuł dyskusyjny*)

*Studentom „Uniwersytetu Latającego”
poświęcam*

WSTĘP

Nie ma dotychczas należycie opracowanej historii Polski po wojnie. Wielu faktów ciągle jeszcze nie znamy. Do potwierdzenia innych brakuje wiarogodnych źródeł. Duża część istniejących materiałów z różnych względów nie została dotąd ogłoszona. Wielu zaniedbań nie da się już odrobić, bo materiały giną lub są celowo niszczone. Historyków czeka bardzo trudne zadanie, które z każdym rokiem staje się coraz trudniejsze.

Istnieje jednak także i inna strona tego zagadnienia. Historia, to nie tylko znajomość faktów, ale i ich interpretacja. Ponieważ historia nie została napisana, nie ma także i jej interpretacji. Znane fakty bywają rozumiane rozmaicie, bardzo często opacznie, a ich znaczenie bywa nawet celowo zaciemniane lub fałszowane. Błędna interpretacja, bezkrytycznie powtarzana przez dłuższy czas, do faktów przylega i z czasem może się stać „niekwestionowaną” oceną poszczególnych zdarzeń, a następnie i całych okresów historycznych. Sądzę, że niebezpieczeństwo takie istnieje w bardzo poważnym stopniu, jeśli chodzi o historię Polski zwanej Ludową.

Każda interpretacja faktów historycznych jest dyskusyjna. Ale żeby ta dyskusja była możliwa, trzeba sformułować jakąś interpretację i zerwać z niedopowiedzeniami. Tylko wtedy będziemy mogli wyciągnąć wnioski dla naszej polityki na przyszłość.

To jest właśnie zadanie, które sobie stawiam w tym szkicu. Chciałbym sformułować w sposób niedwuznaczny interpretację tych kilku etapów rozwoju, przez które przechodziła Polska Ludowa i kryzysów związanych z przejściem z jednego etapu do następnego. W szczególności, będę się starał ujawnić błędność niektórych „ustalonych” opinii, jeżeli zaś opinie są rozbieżne, to powtórzę tę z nich, którą uważam za słuszną.

Zdaję sobie sprawę, że moja interpretacja może wywołać różnice zdań. Ale w takim razie może ona także dać początek dyskusji, która zawsze jest pożyteczna.

1. SYTUACJA W POLSCE PO WOJNIE: STYCZEŃ-CZERWIEC 1945

Koniec wojny zastał Kraj w sytuacji rozpaczliwej. Można ją zwięźle ująć w kilku punktach:

(1) Straty w ludziach. Zarówno straty krwawe w poległych i pomordowanych, jak i straty spowodowane przez nieobecność jeńców wojennych, wysiedlonych i zbiegłych, którzy do Kraju nie wrócili. Straty tych wszystkich kategorii dotknęły przede wszystkim młodsze roczniki, inteligencję i mężczyzn. Najwięcej ucierpiała stolica Kraju Warszawa. Naród został pozbawiony znacznej części swego najbardziej aktywnego elementu.

(2) Wyczerpanie psychiczne długotrwałą okupacją i okropnościami, które jej towarzyszyły.

(3) Szok poniesionej klęski. Poczucie, że pomimo bezprzykładnych ofiar Polska utraciła niepodległość.

(4) Krańcowe zubożenie ludności. W stanie skrajnej nędzy znalazła się ludność Warszawy i wysiedleńcy wracający z Niemiec i Związku Sowieckiego. Mieszkańcy miast byli w gorszej sytuacji od mieszkańców wsi, a inteligencja w gorszej od pracowników fizycznych.

(5) Brak kierownictwa politycznego¹. Funkcjonujący przez całą okupację kierowniczy ośrodek przestał istnieć wraz z upadkiem Powstania. Dnia 19 stycznia 1945 została rozwiązana AK. Odbudowane kierownictwo polityczne zostało znowu obezwładnione przez aresztowanie „szesnastki”. Usiłowania odtworzenia kierownictwa Polski Podziemnej podejmowane z determinacją

1. Zob. Stefan Korboński: *Polskie Państwo Podziemne*, Instytut Literacki, Paryż, 1975. Rozdział XXVI: „Ostatnie miesiące Polskiego Państwa Podziemnego”.

i poświęceniem nie mogły już naprawić poniesionych szkód. Po pewnym czasie próby te zostały zresztą zaniechane. Delegatura rządu londyńskiego została rozwiązana 1 lipca 1945 roku. Społeczeństwo polskie wycieńczone, samotne i bezbronne wobec terroru sowieckiego NKWD i „polskiego” UB, zdane zostało na własny instynkt.

Mogłoby się zdawać, że w tych warunkach żadna opozycja przeciw narzuconemu reżymowi nie będzie możliwa, że po nieuniknionym zgnieceniu walczących jeszcze oddziałów leśnych zapanuje w Polsce sowiecki porządek. Na to zapewne liczyły Sowiety i PPR. Stało się jednak inaczej. Pierwszy rozdział historii polskiej opozycji wobec sowieckiego reżymu właśnie wtedy został otwarty.

2. ALTERNATYWY POLITYCZNE

Po zakończeniu wojny, w warunkach stworzonych przez układ Jałtański, polityka polska miała przed sobą trzy drogi do wyboru:

(1) Podjęcie zbrojnego oporu przeciw Sowietom i ich pełnomocnikom.

(2) Nie podejmowanie żadnej akcji i czekanie na trzecią wojnę światową, która by z zewnątrz przyniosła Polsce wyzwolenie.

(3) Zorganizowanie politycznej opozycji przeciw narzuconemu Polsce ustrojowi.

Wybór pomiędzy tymi trzema drogami musiał oczywiście zależeć od przyjętej oceny aktualnej sytuacji i perspektyw na przyszłość.

Mimo, że analiza tych koncepcji sprzed lat trzydziestu nie cofnie biegu wypadków, warto jej dokonać, bo prawidłowe spojrzenie na przeszłość pozwala nam lepiej zrozumieć zagadnienia, przed którymi stoimy obecnie.

Wybór pierwszej koncepcji oznaczał skierowanie AK przeciw Związkowi Sowieckiemu i kolaborującym z nim „lubelskim” Polakom, albo stworzenie w tym celu nowej organizacji, która by przejęła tradycję AK i podjęła walkę zbrojną z nowym okupantem². Oznaczał on także wezwanie społeczeństwa do totalnego bojkotu nowej „rzeczywistości”, a więc do zajęcia wobec

2. Przygotowania do takiej akcji były jak wiadomo poczynione przez stworzenie organizacji NIE a później WIN (S. Korboński, *op. cit.*, rozdział XXVII, Epilog). Podporządkowały się WIN-owi istniejące jeszcze oddziały leśne, ale szerszej akcji nie udało się rozwinąć. WIN został rozbity przez UB w końcu roku 1945.

Sowietów takiego stanowiska, jakie zajmowało ono wobec Niemców w latach okupacji.

Istniały jednak bardzo poważne względy przeciw podjęciu takiej polityki. Społeczeństwo polskie po latach okupacji było krańcowo wyczerpane moralnie i fizycznie. Wyglądało końca wojny jako kresu swych udręczeń. Wezwanie do dalszej walki bez możliwości wskazania, jak długo ma się ona toczyć, byłoby nadużywaniem sił moralnych społeczeństwa i mogłoby grozić załamaniem moralnym.

Walka zbrojna pociągnęłaby za sobą dalsze straty na polu bitwy, a zapewne także więzienia i deportacje. Po stratach poniesionych podczas okupacji, groziło to po prostu fizyczną likwidacją wszystkich aktywnych sił narodu.

Nie można było także liczyć na jakiegokolwiek poparcie dotychczasowych sprzymierzeńców. Zbrojny ruch oporu przeciw Sowietom nie tylko by nie uzyskał uznania u Anglików i Amerykanów, ale z całą pewnością spotkałby się z przeciwdziałaniem i represjami jako skierowany przeciw potencjalnemu sojusznikowi w wojnie z Japonią.

W praktyce politykę zbrojnego oporu realizowały przez pewien czas „oddziały leśne”. Nie miały one jednak żadnego poparcia z zewnątrz i ich walka uważana była za beznadziejną przez większość społeczeństwa w Kraju. W tych warunkach opór zbrojny musiał ustać.

Z tego wszystkiego zdawano sobie doskonale sprawę zarówno w Kraju jak i w ośrodkach polskich w Londynie i dlatego polityka zbrojnego oporu przeciw Sowietom nie miała nigdzie poważnych zwolenników. Było to wówczas stanowisko rozsądne i realistyczne i za takie je trzeba uznać.

Druga koncepcja to uznanie istniejącej sytuacji za nietrwałą i liczenie na wybuch trzeciej wojny światowej między Związkiem Sowieckim a jego niedawnymi Zachodnimi sprzymierzeńcami.

Praktyczna działalność większości ośrodków polskich na Zachodzie realizowała tę właśnie koncepcję. Z niej to właśnie wynikało dążenie do zatrzymania na Zachodzie pełnego stanu sił zbrojnych i powiększenia go Polakami wysiedlonymi do zachodniej części Niemiec i jak największą liczbą uchodźców. Tu także było źródło przeciwstawiania się powrotom do Kraju w imię niepamiętania sił, które miały się organizować na Zachodzie dla wyzwolenia Polski. Wobec spodziewanej krótkotrwałości tej sytuacji nie uważano za potrzebne organizowanie jakiegokolwiek opozycji w Kraju i narażanie ludności Polski na represje ze strony sowieckiego okupanta. Zadanie przywrócenia niepodległości miało przypaść w całości ośrodkom politycznym istniejącym na Zachodzie.

dzie i regularnej armii Polskiej walczącej u boku państw Zachodnich.

Po latach nie ma już żadnej wątpliwości, że koncepcja trzeciej wojny była całkowicie utopijna, że był to typowy przykład *wishful thinking*. Ale przypomnieć trzeba, że i wtedy nie było żadnych poważnych przesłanek dla jej przyjęcia. Wystarczało czytać prasę i rozmawiać z ludźmi na Zachodzie, żeby zdać sobie sprawę, że żadne z mocarstw Zachodnich do trzeciej wojny nie dąży i do niej się nie przygotowuje.

A jednak ta koncepcja zadecydowała o zatrzymaniu na Zachodzie większości Polaków znajdujących się poza granicami Kraju w chwili zakończenia wojny. Dała ona początek masowej Emigracji Niepodległościowej rozsianej na całym świecie. Wyobrażenie, że to właśnie Emigracja ma odegrać główną rolę w kiedyś mającym nastąpić wyzwoleniu Polski, miało jednak jeden bardzo niepożądany skutek: spowodowało zmniejszenie zainteresowania Krajem, co doprowadziło wkrótce do tego, że Emigracja przestała się orientować w tym, co się w Kraju działo i dzieje.

Trzecia koncepcja polityczna polegała na przystąpieniu do legalnej opozycji przeciw panującemu w Polsce reżymowi. Wobec zasadniczego odrzucenia drogi walki zbrojnej i braku szans na trzecią wojnę światową była to jedyna droga polityki, która dawała możliwości działania na terenie Polski. Nalegali na jej przyjęcie nasi Zachodni sprzymierzeńcy. Spory i rozłamy na ten temat są ogólnie znane i nie ma potrzeby do nich wracać. Zrozumiałe są także polityczne i uczuciowe opory, które trzeba było pokonać przed podjęciem decyzji w tej sprawie. Nie bez racji powątpiewano także o skuteczności takiej polityki. Przypomnieć jednak należy, że w istocie rzeczy chodziło o decyzję, czy próbować legalnej opozycji, czy pozostać w bezczynności. Czy wykorzystać istniejącą szansę, nawet niepewną, czy odrzucić ją bez żadnej próby. Próbę tę, jak wiadomo, podjął Mikołajczyk.

3. PIERWSZA OPOZYCJA: LIPIEC 1945 - LUTY 1948

a) Początek opozycji i początek odbudowy

Dnia 27 maja 1945 wydana została odezwa Pełnomocnika Rządu i Delegata Sił Zbrojnych na Kraj wzywająca do zakończenia walki zbrojnej i przystąpienia do pracy nad odbudową

Kraju³. Dnia 27 czerwca 1945 przybył do Polski Stanisław Mikołajczyk i objął stanowisko wicepremiera, rozpoczynając politykę legalnej opozycji. Uzyskał on natychmiast spontaniczne i powszechne poparcie całego narodu⁴. Nie tylko został przywódcą stronnictwa (PSL), które stało na czele legalnej opozycji, ale stał się symbolem oporu przeciw Sowietaom. Z jego wejściem do rządu społeczeństwo związało nadzieje na poparcie Zachodnich sojuszników i na możliwość utrzymania niepodległości, mimo przynależności Polski do sowieckiej strefy wpływów.

Poparcie dla Mikołajczyka było naturalnym skutkiem tego, że społeczeństwo polskie w swej całości było przeciwne nowej władzy ustanowionej przez Sowiety i PPR. Jest to fakt historyczny wielkiego znaczenia, który reżym panujący w Polsce starał się zawsze ukryć i zafałszować.

Nadzieje obudzone przez przybycie Mikołajczyka stały się bodźcem do powszechnego przystąpienia do pracy nad odbudową. Zaczęto wierzyć, że jednak będzie można zorganizować w Polsce jakieś normalne życie. I rzeczywiście w wielu dziedzinach nastąpiła szybko poważna poprawa wskutek podjęcia pracy przez wykwalifikowanych pracowników.

Nie należy jednak tego przystąpienia do pracy uważać za zwrot opinii w kierunku poparcia dla reżymu (choć oficjalna propaganda właśnie tak usiłowała to przedstawiać). Nastawienie społeczeństwa można by wyrazić w ten sposób: „Pomimo tego sowieckiego reżymu Polskę trzeba jednak odbudować. Tylko my to możemy zrobić. Starajmy się, żeby nam jak najmniej przeszkadzano”.

To przystąpienie do pracy w ramach „istniejącej rzeczywistości” władza uważała oczywiście za zmianę dla siebie korzystną. Niewątpliwie oznaczało ono, że społeczeństwo polskie odstąpiło od alternatywy zbrojnego oporu. Z drugiej strony miało ono dla władzy także i skutki negatywne. Wiele dziedzin życia (administracja, gospodarka, kultura) zostały faktycznie obsadzone ludźmi o tradycyjnie polskim nastawieniu, którzy co prawda otwarcie nie przeciwstawiali się władzy, ale mieli swoje własne

3. Tekst odezwy: S. Korboński, *W Imieniu Rzeczypospolitej*, Londyn, 1964, str. 410-411.

4. Trzeba zrozumieć, że poczucie w Polsce wtedy było takie: „zostaliśmy sam na sam z okrutnym i przebiegłym zaborcą. Nic nam nie pomogły potężna Ameryka i zwycięska Anglia, ani nasze wojska, ani rząd i dyplomaci mający dostęp do wszystkich wielkich tego świata. Zostawili nas samych. Jeden Mikołajczyk chce dzielić nasz los i nam pomóc — może nawet uzyska dla nas jakieś poparcie Ameryki i Anglii”. Nic dziwnego, że przyjęcie Mikołajczyka było entuzjastyczne, że na nim skupiły się wszystkie nadzieje.

zдание o wielu sprawach i w praktyce działali według swego uznania. Wobec słabości własnego aparatu PPR musiała do czasu tolerować ten stan rzeczy.

b) Wielopartyjność: pozory i rzeczywistość

Ustrój wprowadzony w Polsce przez Sowiety przewidywał istnienie kilku stronnictw politycznych. Było to pozorne i przejściowe ustępstwo Sowietów wobec Zachodnich sojuszników i jeszcze jeden sposób ukrycia prawdziwej natury narzuconego Polsce ustroju. Z chwilą jednak obudzenia się opozycji w Polsce, istnienie stronnictw nabrało szczególnego znaczenia. Zarówno ich rola jak i motywy, dla których ludzie do nich wstępowali, zasługują na uwagę⁵.

Wśród istniejących wówczas sześciu stronnictw politycznych⁶ trzeba odróżnić trzy kategorie. Pierwsza to PPR i SL. W tych dwóch stronnictwach sytuacja była zupełnie jasna. PPR była pełnomocnikiem Sowietów na Polskę, a SL ekspozyturą PPR na terenie wsi. Druga kategoria to PPS, Stronnictwo Demokratyczne i Stronnictwo Pracy, wszystkie trzy w zasadzie współpracujące z PPR. Trzecia to PSL — stronnictwo jawnie opozycyjne.



Do PSL wstępowali ci, którzy decydowali się na jawną akcję opozycyjną. Mogłoby się wydawać, że udział Mikołajczyka w rządzie oznaczał, że stronnictwo jego należało do rządzącej większości, a nie do opozycji. Zasady obowiązujące w systemie parlamentarnym, nie miały jednak żadnego znaczenia w sytuacji, która istniała wtedy w Polsce. Mikołajczyk był wprawdzie wicepremierem, ale stronnictwo jego stało się ośrodkiem, wokół którego skupiły się wszystkie siły przeciwne reżymowi, włączając w to nawet resztki nielegalnego zbrojnego ruchu oporu. Od początku Mikołajczyk postawił sobie zadanie stworzenia i prowadzenia opozycji politycznej. W referendum w czerwcu 1946 roku i wyborach w styczniu 1947 PSL zajęło stanowisko odrębne od PPR i od partii PPR podporządkowanych. Nigdy nie będziemy dokładnie znali prawdziwych wyników referendum i wyborów.

5. Bardzo mało pisało się na ten temat. Chciałbym bardzo, żeby moja próba interpretacji politycznej tego istotnego zagadnienia, stała się początkiem dyskusji i zainteresowania historyków tym okresem.

6. Nie przedstawiam tu genezy tych stronnictw uważając, że są to rzeczy w zasadzie znane.

Panuje jednak powszechne przekonanie, że wyniki obu głosowań zostały sfalszowane i że w istocie PSL wygrał w obu wypadkach znaczną większość.



Stronnictwo Pracy było wewnętrznie rozdarte. Karol Popiel, prezes Stronnictwa zajmował stanowisko zbliżone do Mikołajczyka, ale we władzach Stronnictwa miał agentów PPR, którzy uniemożliwiali działalność polityczną zgodną z tą orientacją. Popiel musiał ustąpić, potem pozwolono mu wyjechać za granicę. Stronnictwo Pracy podporządkowało się wtedy dyrektywom PPR i wkrótce zostało zlikwidowane (połączone ze Stronnictwem Demokratycznym).

PPS i Stronnictwo Demokratyczne deklarowały od początku swoją współpracę z PPR, ale dla większej pewności, PPR zapewniła sobie we wszystkich tych stronnictwach bezpośredni wpływ przez obsadzenie pewnej liczby kluczowych stanowisk swoimi ludźmi. Albo wręcz PPR-owcami odkomenderowanymi do pracy w innych partiach (tzw. „wtyczki”), albo działaczami wywodzącymi się z tych partii, których w jakiś sposób skłoniono, żeby interesy PPR stawiali wyżej niż interes własnej partii.

Wstępowanie do tych trzech partii było przez reżym dobrze widziane. Oczywiście nie tak dobrze jak wstępowanie do PPR czy SL, było jednak uważane za dowód „pozytywnego stosunku do nowej rzeczywistości”.

Motywy wstępowania do tych partii były w większości wypadków oportunistyczne. Ludziom chodziło o uchronienie się od szykan, o otrzymanie pracy, o przywileje takie jak przydział mieszkania, prawo osiedlenia się i możliwość zapewnienia sobie jakiego takiego poziomu życia dla siebie i rodziny. Było to ugięcie się wyczerpanych moralnie i fizycznie ludzi przed warunkami, w jakich się znaleźli i dążenie do jakiejś normalizacji życia po okropnościach, jakie przeszli. Ale trzeba zauważyć jeszcze jedno: w decyzji wstąpienia do jednej z tych trzech partii zawarty był także motyw polityczny: *nie wstępowania do PPR*, która przecież dawała te wszystkie przywileje w jeszcze większym stopniu. Wstępujący mówili sobie: „jakoś muszę się urządzić w tej „rzeczywistości”, ale nie chcę się identyfikować z pełnomocnikami Sowietów”.

W krótkim czasie konsekwencje polityczne rozwoju tych trzech partii zaczęły się ujawniać. Organizacje partyjne zaczęły krzepnąć i chociaż w zasadzie współdziałały z istniejącymi na tym terenie organizacjami PPR, w konkretnych wypadkach zaczęły się między nimi a PPR pojawiać różnice i spory. Trzy partie,

które dawały ustrojowi fasadę wielopartyjności, a które w istocie pomyślane były jako działające pod różnymi nazwami ekspozytury PPR, zaczęły szybko nabierać charakteru zupełnie niepożądanego dla reżymu. Stawały się pewnego rodzaju partiami opozycyjnymi. PPR zachowała nad nimi pewną kontrolę na szczeblu centralnym, ale organizacje resortowe i terenowe zostały opanowane przez element opozycyjny, co prowadziło do coraz bardziej jawnych i coraz ostrzejszych konfliktów z PPR. Wobec tego, że partie te posiadały często specjalistów lepszych od PPR-owców, w różnych jednostkach administracji państwowej i gospodarczej zaczęła się rysować faktyczna ich przewaga nad PPR. Dochodziło wreszcie do tego, że niektóre jednostki administracji stawały się sferą wpływów stronnictw, które skłonne były prowadzić swoją własną politykę odmienną od polityki PPR. W tych warunkach wstępowanie do tych partii stawało się środkiem realizowania koncepcji odbudowy przeciwnych sowieckim koncepcjom PPR⁷.

Nie znam szczegółów tego procesu w Stronnictwie Pracy i w Stronnictwie Demokratycznym, chociaż nie mam wątpliwości, że w ogólnych zarysach tak właśnie przebiegał. Znam je natomiast, jeśli chodzi o PPS, która spośród tych trzech partii była najliczniejsza i z wielu względów najważniejsza. W piśmiennictwie emigracyjnym partia ta jest określana jako „koncesjonowana PPS”. Ten pejoratywny przymiotnik ma na celu podkreślenie, że jest to frakcja PPS, która poszła na współpracę z PPR w odróżnieniu od prawdziwej PPS, do której istnienia w Polsce Ludowej nie dopuszczono. Można uznać słuszność takiej terminologii, ale jednocześnie trzeba pamiętać, że podjęcie polityki legalnej opozycji oznaczało także wykorzystanie możliwości, które dawało istnienie wielu partii. Działając pod firmą PPS, można się było przeciwstawiać wpływom PPR. Na szczeblu centralnym największym sukcesem PPS było stworzenie i kierowanie Centralnym Urzędem Planowania, który skupił ekspertów zupełnie obcych sowieckim metodom kierowania gospodarką. CUP stworzył własną koncepcję modelu gospodarczego Polski, ustalił własne metody planowania i zgodnie z nimi przygotował pierwszy trzyletni Plan Odbudowy Gospodarczej. Na szczeblach terenowych

7. Oczywiście bardzo trudno jest ocenić w indywidualnych wypadkach, czy ktoś wstępował do jakiejś partii w celach oportunistycznych czy też po to, żeby czegoś pożytecznego dokonać. Ale w warunkach historycznych tego okresu w Polsce mamy niezawodny sposób identyfikowania tych, którzy wstąpili do partii w dobrych intencjach. Ten, kto rzeczywiście chciał czegoś dokonać, tzn. działać nie według instrukcji PPR, ten na pewno został szybko usunięty z partii już na samym początku stalinizmu.

PPS osiągnęła poważne wpływy i można powiedzieć, że funkcjonowała tam jako partia opozycyjna.



PPR była nosicielką sowietyzacji. SL było ramieniem PPR na terenie wiejskim, mającym jako szczególne zadanie zwalczanie PSL. Żadna z tych partii opozycjonistów oczywiście nie przyciągała.

Kto więc wstępował do PPR z zamiarem aktywnej działalności, deklarował się jako zwolennik sowietyzacji Polski. Jest to zarzut ciężki ale uzasadniony. Dlatego dając ocenę tamtych czasów, należy go sformułować zupełnie wyraźnie. Trudno było bowiem sobie wyobrazić, że ktoś wstępował do PPR dlatego, że wierzył szczerze, że PPR zapewni Polsce niepodległość, sprawiedliwość społeczną czy dobrobyt. Wszyscy wiedzieli, że PPR jest agenturą sowiecką, a miliony świadków mówiły prawdę o tym, jak straszliwy jest ustrój sowiecki i jaki wrogi Polsce i Polakom. Nie można też poważnie traktować twierdzenia, że wstępowano do PPR dla celów wallenrodycznych⁸.

Trzeba przyznać, że większość wступujących do PPR nie kierowała się celami politycznymi, lecz zwykłym oportunizmem. Nie dążyli do sowietyzacji Polski, ale także nie zamierzali się jej przeciwstawiać. Chodziło im głównie o to, żeby się „urządzić” podobnie jak wielu wступującym do innych partii, z tą tylko różnicą, że wступujący do PPR oczekiwali większych przywilejów i nie mieli skrupułów, które tamtych powstrzymywały od identyfikowania się z główną siłą sowietyzacji Polski.

Dla niektórych kategorii wступujących do PPR istniały okoliczności łagodzące. Starając się dojść do prawidłowej oceny tej ważnej sprawy należy te okoliczności przytoczyć.

Najbardziej przekonywujące usprawiedliwienie mieli żołnierze Armii Ludowej. Wstąpienie do bojowej organizacji wojskowej było w czasie okupacji często sprawą przypadku: wynikało z możliwości nawiązania kontaktu z pierwszą z brzegu jednostką prowadzącą walkę z Niemcami. Dlatego nie można potępiać kogoś za to, że był członkiem Armii Ludowej. Otóż AL-owcy niemal automatycznie wstąpili do PPR i trudno się im było wyłamać indywidualnie od tej reguły.

8. Od dawna wiemy, co sądzić o wallenrodyzmie. Powiedział to nam już Słowacki („Beniowski”, pieśń II, wiersze 225-233) a także przypomniał bardzo na czasie przedrukowany artykuł St. Witkiewicza, napisany w roku 1904 („Wallenrodizm czy znikczemnienie?”, *Kultura* Nr 7/358-8/359, lipiec-sierpień 1977).

Innym dopuszczalnym usprawiedliwieniem mogła być ignorancja i analfabetyzm polityczny. Usprawiedliwienie to można zastosować do bardzo młodych, prymitywnych ludzi, którzy nie rozumieli, co się wokół nich dzieje i dali się zwerbować przez nową władzę.

Ale w ostatecznym rozrachunku nie jest jednak najważniejsze, czy ktoś pozostał bezpartyjny czy do partii wstąpił i do której, ale jak się zachowywał. Czy wypełniał swoje obowiązki w sposób, który był pożyteczny dla społeczeństwa polskiego, dla kultury i gospodarki polskiej, czy też stał się narzędziem ujarzmiania Polaków i sowietyzacji polskiej kultury i gospodarki. Podział nie przebiegał tu zgodnie z przynależnością partyjną. Byli nawet aktywiści PPR-owcy (co prawda bardzo nieliczni), którzy jako Polacy i jako ludzie zachowywali się przyzwoicie, byli natomiast nawet bezpartyjni, których działalność była nikczemna i wysoce szkodliwa. Według tej działalności należy więc ludzi sądzić. Przynależność partyjna daje tylko punkt wyjścia do oceny.

c) Pogrom opozycji

Tworzenie się i krzepnięcie opozycji nie uszło oczywiście uwadze sowieckich okupantów i ich pełnomocników w kierownictwie PPR. Postanowili przystąpić do przeciwdziałania. Zbiegło się to w czasie ze zmianą polityki sowieckiej na terene międzynarodowym. Związek Sowiecki przestał zachowywać jakiekolwiek pozory, że respektuje umowy zawarte ze swymi dawnymi sojusznikami i przystąpił do definitywnej sowietyzacji państw tzw. demokracji ludowej. Odrzucenie planu Marshalla, izolacja Berlina, naciski na Jugosławię rozpoczęły ten etap. Wszystko to jest powszechnie znane.

PPR i kierowane przez nią UB zaostrzyły przede wszystkim swą walkę z PSL. Prowadzono ją nie tylko środkami politycznymi, ale przede wszystkim przy użyciu represji policyjnych a także zbiorowego i indywidualnego terroru. Ratując życie zbiegł za granicę Mikołajczyk (w listopadzie 1947), co zakończyło istnienie PSL jako partii opozycyjnej. Stało się jasne, że próba prowadzenia legalnej działalności opozycyjnej w Polsce nie powiodła się. Ale to nie powód, żeby potępiać jej podjęcie. Była to jedyna polityka, która miała pewną szansę sukcesu, a jej alternatywą była całkowita bierność. Mikołajczyk prowadził tę politykę z odwagą i determinacją.

Nie należy też bynajmniej sądzić, że polityka ta była całkowicie bezowocna. Samo powstanie zorganizowanej opozycji i utrzymanie się jej przez okres przeszło dwóch lat pozwoliło

Polakom na ochłonięcie po poniesionej klęsce. Przyniosło krótki okres względnie normalnego życia. Zwiększyło to odporność na ciosy, które następnie przyniósł stalinizm. Gdyby tego okresu nie było załamanie społeczeństwa mogłoby być jeszcze głębsze i trudniejsze do naprawienia⁹.

Po obezwładnieniu PSL, PPR przystąpiła do rozgromienia opozycji, która wytworzyła się w innych partiach. Tzw. Proces Centralnego Urzędu Planowania (luty 1948) położył kres wpływom PPS w kierowaniu gospodarką i zlikwidował polski model i koncepcje planowania gospodarczego¹⁰. Wkrótce PSL, PPS i Stronnictwo Pracy przestały istnieć. Stronnictwo Demokratyczne zostało gruntownie oczyszczone i w pełni podporządkowane PPR. Akcja ta w stosunku do stronnictw była szczególnie ważna, bo likwidowała ośrodki myśli i działalności politycznej niezależnej od PPR. Objęła ona również organizacje młodzieżowe związane ideowo ze stronnictwami a także organizacje niepolityczne jak Harcerstwo, uniemożliwiając istnienie jakiegokolwiek organizacji ideowej lub politycznej nie będącej pod ścisłą kontrolą PPR.

Ofensywa PPR (od grudnia 1948 zwanego PZPR-em) nie ograniczyła się tylko do zlikwidowania zorganizowanej opozycji politycznej. Zwróciła się także przeciw wszystkim przejawom życia polskiego, a przede wszystkim przeciw ludziom, którzy nie chcieli stać się narzędziem sowietyzacji. Rozpoczął się w Polsce okres stalinizmu.

4. STALINIZM: MARZEC 1948 - CZERWIEC 1956

a) Natura i cele sowietyzmu-stalinizmu

Sowietyzmem nazywamy formację społeczno-ekonomiczną, która wytworzyła się w Związku Sowieckim¹¹ jako wynik zwy-

9. Czas najwyższy, żeby ten okres historyczny dobrze rozumieć i zacząć go prawidłowo interpretować. I jeszcze więcej: należy uznać, że bardzo ciężkim błędem Emigracji było nie udzielenie poparcia opozycji, która się rozwinęła w Kraju po powrocie Mikołajczyka. W przełomowym momencie swej walki o niepodległość Polska była całkowicie osamotniona. Nie tylko zdradzili ją sprzymierzeńcy, ale nie miała nawet poparcia Polaków pozostałych na Zachodzie. Skutki tego błędu do dziś dnia ciążyą na polskiej polityce i pająą polską myśl polityczną.

10. Pisałem o tym w: „Proces Centralnego Urzędu Planowania. — Relacja o początku stalinizmu w Polsce”, *Zeszyty Historyczne*, Zeszyt 28, Paryż, 1974, przedruk w *O myśl Polityczną*, Odnova, Londyn, 1976.

11. Termin ten wprowadziłem i uzasadniłem w szkicu „Socjalizm w Polsce”, *Kultura* Nr 9/276, wrzesień 1970. Przedruk w *O myśl Polityczną*, Odnova, Londyn, 1976.

rodnienia socjalizmu. Stalinizm jest specyficzną formą sowie-tyzmu wykształconą pod rządami Stalina. Jest to najwyższa, imperialistyczna forma sowietyzmu, w której cechy tej formacji występują szczególnie wyraźnie. Rola, jaką sowietyzm odegrał w Polsce, była przez całe lata zaciemniana i fałszowana. I dla-tego często nawet jego przeciwnicy nie rozumieją jej w pełni. Trzeba więc wyjaśnić niedwuznacznie czym ten ustrój jest, a czym nie jest i jakie były skutki narzucenia go Polsce.

Przede wszystkim trzeba zdać sobie sprawę, że sowietyzm jest ustrojem *totalitarnym*, w którym dyktatorską władzę spra-wuje we własnym interesie klasa partyjnych aparatczyków. Partia komunistyczna jest głównym organem sprawowania tej władzy.

Sowietyzm jest ponadto ustrojem *imperialistycznym*. Służy on rozszerzaniu dominacji Związku Sowieckiego na inne kraje. Przedmiotem tej ekspansji stała się właśnie Polska pod koniec wojny.

Nie jest natomiast sowietyzm, wbrew temu co głosi jego oficjalna doktryna, *ustrojem działającym w interesie ludzi pracy*, a przeciwko interesowi posiadaczy. Posiadacze zostają co prawda wywłaszczeni, ale na ludzi pracy spada jarzmo wyzysku cięższego niż w kapitalizmie, przed którym nie mają żadnej obrony.

Aby ustanowić w Polsce sowietyzm, władza sowiecka przed-sięwzięła totalny atak na wszystko co polskie. Była to imperialis-tyczna polityka dążąca do uzależnienia Polski i do zniszczenia jej odrębności politycznej, kulturalnej i gospodarczej. Wewnątrz Kraju Sowiety dały władzę i przywileje swym pełnomocnikom z PPR, a cały naród polski, wszystkie jego klasy, uczyniły przed-miotem ucisku i wyzysku.

Taka jest prosta i oczywista prawda o tych czasach. Dziwne, jak rzadko jest formułowana w jasnej i niedwuznacznej formie. Ale nikt, kto był wtedy w Polsce, nie może twierdzić, że tego nie rozumiał. Dowodów było aż nadto, każdy je odczuł na własnej skórze.

Pierwsza próba sowietyzacji Polski nastąpiła natychmiast po okupacji Kraju przez armię sowiecką w styczniu 1945, ale okres ten trwał tylko do czerwca tego roku. W panującym wówczas chaosie i przy trwającej jeszcze wojnie, nie udało się od razu nadać systemowi wszystkich cech właściwych sowietyzmowi. W wyniku powrotu do Kraju Mikołajczyka powstała sytuacja polityczna, w której ingerencja sowiecka przybrała inne formy, a nawet nieco się cofnęła. Trwała oczywiście nadal w Polsce dominacja sowiecka, ale istniała także opozycja i takie formy

życia kulturalnego i gospodarczego, których normalnie w sowie-
tyzmie się nie toleruje.

Następna ofensywa sowietyzmu, tym razem w jego klasycznej
stalinowskiej postaci, rozpoczęła się w Polsce od rozbicia PSL,
a więc na początku 1948 roku. Celem jej było umocnienie władzy
Związku Sowieckiego nad Polską i definitywne ustanowienie
w niej sowieckiego ustroju.

Politykę tę realizowała partia, najpierw PPR, a później PZPR.
Postawiła ona sobie dwa wstępne zadania, które miały oczyścić
pole dla sowietyzacji Polski.

Pierwsze to *przerwanie ciągłości tradycji narodowej*, a przede
wszystkim jej najgłębszego nurtu: tradycji walki o niepodległość.

Drugie to *złamanie postawy moralnej Polaków* i zmuszenie
ich do uległości.

Każde z tych zadań zasługuje na szczegółowe rozpatrzenie.

b) Niszczenie tradycji narodowej

Polityka zerwania ciągłości tradycji narodowej oznaczała fał-
szowanie historii i niszczenie instytucji i form organizacyjnych,
które były wytworami i nosicielami tej tradycji.

Fałszowanie historii zaczęto od wypadków najnowszych.
Narodowi, który w swej całości odrzucił jakiekolwiek układy
z okupantem, zaczęto wmawiać, że jego bohaterska walka pod-
ziemna stanowiła kolaborację z Niemcami. Kłamstwa szkalujące
AK zdumiewały swoją beczelnością, bo były przecież wypowia-
dane wobec milionów naocznych świadków, którzy działalność
AK widzieli lub nawet brali w niej udział. Słynny afisz z napi-
sem „AK zapluty karzeł reakcji” więcej mówi o stosunku PPR
do historii i tradycji polskiej i do Polaków w ogóle, niż wszystko,
co na ten temat napisano¹².

Szkalowano także lub przemilczano walki polskich sił zbroj-
nych na Zachodzie. Dowódcom tych wojsk demonstracyjnie ode-
brano obywatelstwo polskie. Innym okresem, którego historię za-
ciekle fałszowano było dwudziestolecie Polski Niepodległej. Stop-
niowo posuwano się dalej w przeszłość i fałszowano historię walk
o niepodległość w XIX-tym wieku, a potem także okresu roz-
biorów i wojen kozackich i szwedzkich. Chodziło o to, żeby

12. Ciekawe, czy egzemplarz tego historycznego plakatu znajduje się
w zbiorach historycznych w Kraju lub na Emigracji. Ciekawe także, kto
ten plakat projektował. Jeżeli chodzi o decyzję jego wydania, to nie ulega
chyba wątpliwości, że powzięło ją, a co najmniej aprobowало, centralne
kierownictwo PPR.

młodzi Polacy nie znali faktów historycznych, które mogłyby się stać punktem wyjścia nowego ruchu niepodległościowego.

Następnym celem polityki przerwania tradycji było niszczenie instytucji, które polską tradycję reprezentowały. Charakterystyczna jest gruntowność a także zaciekłość tej akcji: niszczone nie tylko ważne i podstawowe elementy polskiej tradycji, ale nawet zupełnie drobne i podrzędne.

Na pierwszym miejscu spośród ważnych dziedzin polskiego życia wymienić należy wymiar sprawiedliwości, do którego sowietyzacji zabrano się bardzo wcześnie. Zaczęto obsadzać stanowiska sędziowskie absolwentami kursów partyjnych, których nauczono, że ich pierwszym obowiązkiem jest dbać o interes partyjny. Dawnych sędziów albo usunięto albo zastraszone. W krótkim czasie aparat wymiaru sprawiedliwości w europejskim znaczeniu tego terminu przestał istnieć. To co jest, przedstawia smutny widok: w ciągu trzydziestu lat historii Polski Ludowej widzieliśmy czasem uczciwe i odważne wystąpienia adwokatów, ale nie widzieliśmy i dotąd nie widzimy bezstronnych i sprawiedliwych sędziów. Kultura polskiego życia społecznego poniosła stratę, którą trudno będzie naprawić.

Naukę i szkolnictwo wyższe postanowiono także przeorganizować na sposób sowiecki. Wiadomo jak ważna jest ciągłość tradycji uniwersyteckiej. Chodziło więc o to, żeby tę tradycję przerwać. Uniwersytety Stefana Batorego i Jana Kazimierza można było przenieść do nowych siedzib zachowując jednak ich nazwy. Ale postąpiono przeciwnie: oba uniwersytety zlikwidowano a utworzono nowe. Jednemu z nich nadano później nazwę, którą trudno wymówić bez zażenowania (im. B. Bieruta).

Wszystkie uczelnie zdeorganizowano, likwidując ich autonomię i wprowadzając do nich masowo „zastępców profesorów” i asystentów z awansu politycznego, a pozbawiając kierownictwa katedr dotychczasowych profesorów. Niektóre dyscypliny, jak socjologia, zostały całkowicie zlikwidowane. Inne, jak nauki społeczne^{12a} zostały zupełnie zsowietyzowane. Wprowadzono wszędzie obowiązkowe wykłady marksizmu-leninizmu w jego wulgarnej sowieckiej formie.

Stowarzyszenia naukowe o wielkich tradycjach: Polską Akademię Umiejętności, Warszawskie Towarzystwo Naukowe i Kasę Mianowskiego zlikwidowano, a na ich miejsce utworzono Polską Akademię Nauk zorganizowaną i nazwaną na wzór sowiecki. Nie

12a. O sowietyzacji ekonomii pisałem w szkicu: „Proces Centralnego Urzędu Planowania — Relacja o początku stalinizmu w Polsce”, *Zeszyty Historyczne*, Zesz. 28, Paryż, 1974. Przedruk w *O myśl Polityczną*, Odnowa, Londyn, 1976.

oszczędzono nawet szkół średnich: wielu najbardziej tradycyjnych szkół średnich nie reaktywowano, aby uniemożliwić kontynuowanie ich tradycji.

Zupełnie kategorycznie odcięto się od tradycji polskiej prasy codziennej. Gdy się patrzy na prasę Polski Ludowej, można by dojść do przekonania, że gazety zaczęły wychodzić w Polsce dopiero od 1945 roku. Dzienniki mające kilkudziesięcioletnią lub nawet ponad stuletnią tradycję nie zostały wznowione i pamięć o nich zanika. Może się to wydawać sprawą nie tak ważną, był to jednak istotny element w odcinaniu Polski od jej przeszłości.

Innym symbolem tradycji, bardzo drogiej Polakom, były nazwy pułków w Wojsku Polskim. W okresie Drugiej Rzeczypospolitej nazwy pułków przeważnie wynikały z ich udziału w walce o odzyskanie niepodległości w latach 1914-1920, ale niektóre nawiązywały nawet do tradycji dawniejszych aż do wojen napoleońskich włącznie. Wszystko to zostało odrzucone, tak jak i nie nawiązano do udziału polskich jednostek w walkach drugiej wojny światowej na Zachodzie. Chodziło o to, żeby polska tradycja wojskowa nie sięgała dalej niż do bitwy pod Lenino.

Ta sama polityka nakazała likwidację tradycji polskiego sportu. Nazwy klubów sportowych, których wiele istniało od lat kilkudziesięciu, zostały im odebrane, a kluby przydzielano do różnych gałęzi związków zawodowych i obdarzono nowymi dwuczynnymi nazwami. Można zauważyć, że z tego właśnie ataku na tradycję, władze PRL później się wycofały. Prawdopodobnie dlatego, że uważały tę dziedzinę za mniej ważną od innych i że przez sekowanie klubów sportowych narażały się niemal na śmieszność. Ale w innych dziedzinach skutki polityki łamania tradycji polskich nie zostały nigdy naprawione.

Inna jeszcze dziedzina to likwidacja lub niedopuszczanie do odrodzenia się form organizacyjnych polskiej gospodarki. Ucierpiała ona co prawda bardzo w czasie wojny i w nowych warunkach nie mogło być mowy o powrocie do starych form. Ale np. spółdzielczość odrodziła się szybko i zaczęła działać sprawnie. Były także przygotowywane nowe, własne koncepcje kierowania gospodarką. Wszystko to PPR zniszczyła w swym dążeniu do podporządkowania życia polskiego sowieckim wzorom. Gospodarce polskiej narzucono błędny w założeniu model sowiecki, powodując jej niesprawność, która trwa do dzisiaj. Nieco później przystąpiono jeszcze do polityki kolektywizacji rolnictwa, której koleje są dobrze znane.

Oddzielny rozdział to polityka wobec Kościoła. Początkowo bardzo powściągliwa, w miarę postępowania sowietyzacji stawała

się coraz bardziej wroga, doprowadzając aż do aresztowania Kardynała Wyszyńskiego.

c) Łamanie ludzi

Nie poprzestając na niszczeniu tradycyjnych form życia polskiego, z taką samą bezwzględnością polityka PPR i PZPR zwróciła się przeciw ludziom, chcąc ich złamać i zmusić do uległości.

Niektóre z pociągnięć tej polityki skierowane były przeciw całej ludności Polski lub bardzo wielkim jej grupom. Inne celowały w poszczególne, wytypowane środowiska lub nawet poszczególne osoby.

Bardzo szeroki zakres miała polityka, mająca na celu pozbawienie ludzi niezależności ekonomicznej. Nie chodzi tu o tzw. wielkie reformy (reforma rolna z 6 września 1944 i upaństwowienie przemysłu z 3 stycznia 1946). W nowym ustroju były one nieuniknione i odnosiły się do stosunkowo niewielkiej liczby ludzi. Istotne były natomiast samowolne wywłaszczenia, które w praktyce wykroczyły daleko poza granice odpowiednich ustaw. Przez tę praktykę rozmyślnie podważano podstawy wszelkiej własności. Konfiskowano fabryki i warsztaty zatrudniające już nie pięćdziesięciu, jak przewidywała ustawa, lecz nawet tylko kilku robotników. Co prawda nie wszystkie. Zależało to od tego, kto był właścicielem i jak się ustosunkowywał do „nowej rzeczywistości”. Rzucano w ten sposób postrach i skłaniano do uległości każdego, kto cokolwiek posiadał.

Podobnie było z domami mieszkalnymi. Nie było żadnej ustawy o wywłaszczeniu domów lub mieszkań prywatnych i spółdzielczych. Ale wiele z nich konfiskowano bez żadnej możliwości odwołania. Właściciele domów czynszowych stracili swoją własność w inny sposób. Lokatorów uprawniono do mieszkania faktycznie za darmo, a właściciela zobowiązano do ponoszenia kosztów utrzymania domu. Prowadziło to do masowego zrzekania się własności domów na rzecz państwa.

Ci, co cokolwiek posiadali, stanowili jednak mniejszość ludności. Żeby więc wszystkich doprowadzić do poziomu nędzy, przeprowadzono wymianę pieniędzy, która pozbawiła wartości wszystkie oszczędności. W zamian za „młynarki” każdy dostał na głowę 500 nowych złotych: do tej sumy ograniczył się jego majątek. Jednocześnie wyznaczono niezwykle niski poziom płac, bez żadnej proporcji do panujących kosztów utrzymania. W dodatku na początku nie było dla wszystkich pracy. Pamiętać

jeszcze trzeba, że działa się to wszystko w kraju wyniszczonym przez Niemców i przez działania wojenne. Zepchnięcie ludności na dno nędzy miało ją zmusić do proszenia nowej władzy o wsparcie. Obniżenie poziomu życia ludności w pierwszych miesiącach „władzy ludowej” było jednym ze skuteczniejszych sposobów zmuszenia jej do uległości.

Sposób funkcjonowania organów państwowych, które wykonywały tę wrogą wobec ludności politykę, stanowił dodatkową plagę. Niższe organy administracji obsadzone bowiem zostały z miejsca przez męty społeczne, po prostu przez zwyczajnych opryszków, wywodzących się z najgorszego marginesu społecznego, jaki w Polsce można było znaleźć. Urzędowanie ich było jednym szeregiem rabunków i nadużyć. Doświadczenie to już teraz zapada w niepamięć, ale warto je przypomnieć, bo było jednym ze środków moralnego pogwałcenia społeczeństwa i tak ciężko doświadczonego przez wojnę. Po pewnym czasie sytuacja zaczęła się stopniowo poprawiać, bo władza zrozumiiała, że skończyłoby się to nie tylko ograbieniem ludności ale rozkradzeniem całego mienia państwowego. Całkowite wypłeniczenie nadużyć aparatu administracyjnego do dziś dnia jednak nie zostało osiągnięte.



Oprócz tych ogólnych środków nacisku zastosowanych do całego społeczeństwa, niektóre grupy lub osoby stały się przedmiotem specjalnej uwagi organów partyjnych prowadzących politykę sowietyzacji. Zabrano się więc przede wszystkim do tych, którzy dali dowody patriotyzmu i aktywności, a więc do AK-ców i żołnierzy sił zbrojnych na Zachodzie, którzy byli symbolem walki o niepodległość. Następnie do ludzi, którzy pierwsi stanęli do pracy przy odbudowie. Nie tylko do działaczy rozgromionych już stronnictw ale i do bezpartyjnych, jeśli wykazali energię i samodzielność. Wreszcie w ogóle do tych, którzy kiedykolwiek dali dowody zaangażowania politycznego. Te bowiem kategorie ludzi podejrzewano o to, że mogą mieć chęć podjęcia jakiejś działalności niezgodnej z dyrektywami partii.

Wśród środków nacisku odróżnić należy terror fizyczny i represje moralne i ekonomiczne.

Terror fizyczny to morderstwa skrytobójcze i sądowe, tortury, więzienia i wywózki.

Terror fizyczny to morderstwa skrytobójcze i sądowe, tortury, działaczom Polskiej Podziemnej, członkom AK i oddziałom leśnym. W okresie od połowy 1945 do końca 1947 przeciw działaczom PSL i WRN. We właściwym stalinizmie tj. od roku 1948

przeciw resztkom różnego rodzaju opozycji, przeciw opozycji wyimaginowane, wreszcie w prawdziwie stalinowskim stylu przeciw ludziom obcym jakiegokolwiek opozycji, ale mającym albo jakieś skazy na życiorysie albo takim, którzy przypadkiem „podpadli”.

W ten sposób starano się rzucić postrach na wszystkich, którym jakakolwiek myśl o opozycji mogłaby przyjść do głowy¹³.

Represje moralne i ekonomiczne polegały na usuwaniu z pracy, przenoszeniu na niższe stanowiska, zakazie publikacji dla naukowców, literatów i publicystów, odmawianiu przydziału mieszkań lub nawet prawa zamieszkania w niektórych miejscowościach i pozbawienia prawa wyjazdu za granicę.

Stosowano te środki represji do różnych osób pojedynczo lub łącznie, w wyższym lub niższym stopniu zależnie od indywidualnych okoliczności. Celem było zawsze zmuszenie do uległości: do takiego postępowania i do mówienia tego, czego żądała najbliższa delikwenta podstawowa organizacja partyjna PZPR.

Politykę tę prowadzono z wielką energią. Jeszcze nie minął rok 1949, a już myśl naukowa była zdławiona, uczelnie pełne niedouczonego krzykacza, prasa kłamała i powtarzała bezsensowne slogany, literatura została zakneblowana a sztuka i architektura cofnięta w rozwoju. Usunięto z kierowniczych stanowisk w gospodarce fachowców, którzy w 1945 i 1946 zgłosili się do pracy i zastąpiono ich nominatami partii o niskim poziomie intelektualnym a często i moralnym. Robotników poddano bezwzględ-nemu wyzyskowi, a chłopów straszono kolektywizacją i szyskanowano.

Stało się jasne dla każdego, że polityka PZPR była polityką podporządkowania Polski Sowiетom bez żadnego względu na interesy Polski jako całości, ani na interesy żadnej polskiej klasy społecznej¹⁴.

13. Historia stalinowskiego terroru nie jest dotąd napisana. Zabezpieczenie źródeł do niej, zebranie relacji itd. jest sprawą niezmiernie pilną. Mam nadzieję, że jakiś ośrodek na Emigracji tym się zajmował i że jakieś materiały zostały zgromadzone. Istnieje cenna praca: A. Steinsbergerowa, *Widziane z ławy obrończej*, Paryż, 1977, ale dotyczy ona tylko jednego fragmentu tej historii. Ciągłe jeszcze nie znamy obrazu całości, ani nawet nie mamy jasnego sądu o wielu sprawach, które od dawna powinny być wyjaśnione. Najważniejszą z nich jest sprawa morderstw sądowych popełnionych na wyższych oficerach armii i marynarki wojennej, którzy powrócili do Kraju i wstąpili do służby w wojsku „ludowym”.

14. Na te tragiczne wypadki Emigracja patrzyła w milczeniu. A przynajmniej do Kraju nie dochodziły żadne jej protesty. Faktem jest także, że opinia światowa nie stanęła w obronie gwałconych w Polsce praw człowieka, nie potępiła ucisku politycznego, łamania praw i niedotrzymywania umów międzynarodowych. O tym, co się działo w Polsce, nie było głośno w prasie, nie mówiło o tym radio na Zachodzie, wybitni intelektualiści

d) Postawy społeczeństwa

Żeby w pełni zrozumieć konsekwencje stalinizmu, trzeba sobie uświadomić, jak społeczeństwo polskie zareagowało na likwidację opozycji i totalny atak PZPR na wszystko co polskie. Jest to ważne dlatego, że postawy, które się wówczas ukształtowały, trwają z małymi tylko zmianami do dzisiaj i nadal określają stosunek społeczeństwa do władzy w PRL.

Pod wpływem stalinowskiej polityki partii społeczeństwo polskie podzieliło się na cztery kategorie.

Na samej górze znaleźli się *aparaczczycy* sowietyzmu. Potocznie utożsamia się ich z funkcjonariuszami partii, chociaż formalnie nie wszyscy są na etatach aparatu PZPR. Istotne jest to, że sprawują władzę. Obsadzili oni nie tylko aparat partii, ale także organy administracji, wymiar sprawiedliwości, bezpieczeństwo oraz kluczowe stanowiska w gospodarce, uczelniach, związkach twórczych i w prasie. Oni to przeprowadzali sowietyzację polskich instytucji i oni wywierali naciski na poszczególne środowiska i osoby. Mieli w swym ręku śmierć i życie, więzienie i wolność, awans i degradację, przywileje i szykany wobec zwykłych ludzi. Oni decydowali, kto ma mówić a kto milczeć, a także o tym, co ma się mówić. W każdym środowisku, takim jak literaci, ekonomiści, prawnicy i w każdym zakładzie pracy, uczelni, urzędzie czy fabryce nie było najmniejszych wątpliwości, w czym ręku naprawdę jest władza, a więc z kim trzeba być ostrożnym. Alienacja „aparaczczyków” od społeczeństwa, w którym działali, była całkowita. Alienację tę umacniała świadomie prowadzona polityka. Oni mieli prawo do kupowania w specjalnych, lepiej zaopatrzonych sklepach „za żółtymi firankami”.

nie podpisywali protestów, partie polityczne i związki zawodowe nie wysyłały telegramów. Jeżeli Emigracja podejmowała wtedy jakieś bezskuteczne wysiłki, żeby ujawnić opinii światowej prawdę o Polsce, należałoby ogłosić ich dokumentację. Oczyszczyłoby to Emigrację od zarzutu bezczynności w najcięższych chwilach naszej historii i byłoby jeszcze jednym przyczynkiem do historii kapitulanczej polityki Zachodu wobec Sowietów. Zdawać by się mogło, że wystąpienia antysowieckie mogły wtedy liczyć na życzliwe przyjęcie, bo przecież okres serdecznych stosunków między Sowietami a Zachodem już się wtedy skończył. Rozpoczęła się tzw. „zimna wojna”, a więc istniały siły, które skłonne były wystąpić przeciw polityce sowieckiej. Dowodem na to jest reakcja Zachodu na wypadki w Czechosłowacji. Dotąd pamięta się o okolicznościach usunięcia Benesa i o śmierci Jana Masaryka. O tym, że brutalna likwidacja opozycji miała miejsce także w Polsce, na Zachodzie nie wiedzano i do dziś dnia o tym się nie wie, co ciągle przynosi nam duże szkody.

Nie usiłuję twierdzić, że aktywność Emigracji w tej sprawie miałyby jakiś wpływ na politykę sowiecką w Polsce. Ale z pewnością dałaby moralne poparcie opozycji w Kraju, a tego nigdy nie należy nie doceniać.

Oni jeździli na specjalne wczasy, posyłali swe dzieci do specjalnych elitarnych szkół i korzystali z opieki lekarskiej w specjalnych lecznicach. Niezmiernie rzadko zdarzało się, żeby „aparaczyk” pozbawiony został tych przywilejów. Jeśli nawet źle spełniał swoje obowiązki to po „zdjęciu” z jednego stanowiska, przenoszono go na inne na tym samym szczeblu. Nawet, jeśli odchylił się od linii partyjnej, tzn. zajął wewnątrz partii opozycyjne stanowisko, mógł zostać pozbawiony swojej funkcji, ale zachowywał przywileje, które mu przysługiwały jak gdyby dożywotnio, jeśli nie dziedzicznie. Oczywiście przysługiwała im emerytura o wiele wyższa niż zwykłym ludziom.

W tych warunkach „aparaczyk” nabrali wszystkich cech dominującej klasy społecznej. W zachowaniu ich, jak to zwykle bywa z członkami dominującej klasy, znać było pewność siebie a nawet wprost pogardę dla zwykłych ludzi. Nazywano ich „właścicielami Polski Ludowej” albo po prostu „ubekami” (co nie znaczyło, że naprawdę byli wszyscy na etatach Ministerstwa Bezpieczeństwa). Bano się ich i nienawidzono. *Trwa to do dzisiaj*. Bo chociaż stalinizm lat 1948-1956 klasę tę stworzył, to nie przestała ona istnieć, kiedy stalinizm minął. Rządy jej wprowadzi złągodniały, ale rządzi ona nadal w Polsce i będzie rządzić, dopóki w Polsce będzie trwał sowietyzm. Istnienie tej klasy i jej dominująca rola są bowiem podstawowymi cechami tej formacji społecznej.

Drugą kategorią ludzi, którą stworzył stalinizm w Polsce byli tzw. *aktywiści*. Byli to przeważnie partyjni, chociaż i bezpartyjnych było wśród nich dużo.

„Aktywiści” dobrowolnie i bez zastrzeżeń popierali reżym. Mówili, pisali i robili wszystko, czego władza po nich oczekiwała a nawet więcej. Pełnili gorliwie funkcje, na które zostali wyznaczeni i nie odchylali się nigdy od linii polityki partii. Korzystali z wielu przywilejów i dochodzili do wysokich stanowisk.

Od „aparaczyków” różnili się jednak pod wieloma względami. Przede wszystkim nie zajmowali stanowisk dających im prawdziwą władzę. Albo sami nie ubiegali się o nie, albo z różnych powodów (często przeszłość polityczna) nie byli do nich dopuszczani. Ponieważ nie sprawowali władzy, mieli dużo mniejszą możliwość szkodenia ludziom niż „aparaczyk”. Aby utrzymać swe przywileje musieli ciągle zasługiwać się władzy, bo pozycja ich wcale nie była ustabilizowana. Przywileje swe mogli łatwo stracić. Na tym właśnie polega największa różnica między „aktywistami” a „aparaczykami”. Pomimo korzystania z wielu przywilejów „aktywiści” należeli do tych, co się bali a nie do tych, co straszili, do moralnie złamanych a nie do tych, co

łamali. „Aktywistów” nie można uważać za odrębną klasę społeczną. Była to kategoria płynna i bardzo zróżnicowana. Granica między „aktywistami” a dalszymi kategoriami nie zawsze była wyraźna.

Trzecią kategorię określić można jako *pozytywnych*. Do tej kategorii zaliczyć trzeba masę partyjnych, tj. wszystkich tych, którzy nie byli „aparaczkami” lub „aktywistami”. Należeli jednak do niej także i bezpartyjni. „Pozytywni” bez zastrzeżeń podporządkowali się reżymowi, ale tym się różnili od „aktywistów”, że była to bierna uległość a nie pełna inicjatywa aktywność. Spełniali bez najmniejszego oporu wszystkie życzenia „aparaczków” i dawali się używać jako narzędzie partii otrzymując za to nędzne nagrody i żałosne przywileje. Nawet w prywatnych rozmowach nie pozwalali sobie na krytykę partii. Wydawało się więc, że całkowicie pogodzili się ze swoją upokarzającą sytuacją. Ale w istocie dominującym ich uczuciem był strach przed „aparaczkami”.

Czwarta kategoria to cała reszta narodu, wszyscy *zwykli ludzie*. Uzależnieni od władzy administracyjnie i ekonomicznie, zubożeni i pozbawieni w praktyce jakichkolwiek praw. Często zastraszeni i zawsze zdezorientowani nie mogli skutecznie opierać się naciskom wywieranym przez „aparaczków”. A więc chodzili na zebrania, uchwalali rezolucje (jednomyślnie), brali udział w wyborach (bez skreśleń), załatwiali swoje sprawy w różnych instancjach urzędującej władzy. Wszystko to było nieuniknione, bo życie musiało się toczyć. Próba otwartego wyłamania się była ciężko karana, a przy tym nie prowadziła do niczego.

Pomimo tego zewnętrznego konformizmu „zwykli ludzie” wewnątrz nie uznali nigdy reżymu i nigdy mu się w pełni nie podporządkowali. Ustępowali pod naciskiem, ale tylko wtedy i tylko o tyle, o ile władza do tego wyraźnie zmuszała. Mieli zawsze poczucie, że uległość ta jest dla nich upokarzająca. O „aparaczkach” nie mówili inaczej niż „oni” traktując ich jako obcą i wrogą siłę. Swoim poglądom dawali swobodny wyraz w prywatnych rozmowach we własnym gronie, a niegodnych zaufania „aparaczków”, „aktywistów” czy „pozytywnych” umieli z łatwością rozpoznać. Dawali sobie jakoś radę z trudnościami codziennego bytu, często drwili z biurokratycznych nonsensów, które im utrudniały życie¹⁵.

15. O tych zwykłych ludziach pisał niedawno z uznaniem Kisiel („O humor krajowy”, *Kultura* Nr 5/868, maj 1978, str. 102-106). Bardzo słusznie stwierdził, że właśnie oni „wyczuwają na własnej skórze ową aktualną 'sprawę polską’ i że właśnie z nimi można się 'dogadać’... na temat totalizmu, jego komizmów, paradoksów i absurdów”.

Taka postawa zwykłych ludzi stworzyła w Kraju ogromną, milczącą ale zdecydowaną i upartą opozycję wobec panującego w Polsce ustroju¹⁶. Jest to fakt ogromnego znaczenia dla zrozumienia sytuacji, do jakiej w Polsce doprowadził sowietyzm.

Wśród członków tej milczącej opozycji wyróżnić należy tych, których uступliwość wobec władzy była najmniejsza. Ci „uparci, milczący opozycjoniści” nie stanowili wyraźnie określonej grupy, bo zmieniające się warunki wpływały na to, kto do niej należał, a kto odpadał. Nie ulega jednak wątpliwości, że władza umiała ich zawsze doskonale rozpoznać i wyróżniała ich przez dyskryminacje i szykany.

Upartych milczących opozycjonistów można było znaleźć we wszystkich grupach społecznych. Chłopi w całej swej masie byli negatywnie nastawieni do władzy podobnie jak robotnicy i inteligencja. Ale naciski na chłopów miały charakter zbiorowy, co prowadziło do większej jeszcze solidarności przeciw reżymowi. Koncepcja tzw. rozwarstwiania chłopów według sowieckiego wzoru na „biedniaków”, „średniaków” i „kułaków” nigdy nie dała wyników. Dlatego milcząca opozycja była wśród chłopów powszechna, a nawet w postaci oporu przeciw kolektywizacji zmieniała się w opozycję jawną i otwartą.

Robotnicy byli w trudniejszej sytuacji, bo infiltracja „aktywistów” w fabrykach była dużo skuteczniejsza niż na wsi. W najtrudniejszej sytuacji znaleźli się jednak inteligenci i intelektualiści, bo do nich zabierano się indywidualnie.

I dlatego przyznać trzeba, że większość „aparatchyków” i „aktywistów”, a także i sporo „pozytywnych” pochodziła ze środowiska inteligenckiego. Świadczyło to o osłabieniu postawy politycznej inteligencji, której najbardziej wartościowi przedstawiciele albo zginęli, albo byli nieobecni w Kraju. Nie znaczy to jednak wcale, że większość inteligencji poparła reżym¹⁷.

Większość była przeciw, ale była zmuszona do milczenia, podczas gdy hałaśliwa mniejszość „aparatchyków” i „aktywistów”

16. Fakt ten świadczy o tym, że sowietyzm nie zdołał jednak doprowadzić do takiego rozkładu i demoralizacji społeczeństwa, jakie miało miejsce w Sowietach (jak to przedstawia np. Nadieżda Mandelsztam w swoich pamiętnikach). W Sowietach, jak się zdaje, tylko wyjątki nie były „pozytywne”. U nas „pozytywni” stanowili nieznacznie mniejszość.

17. Nic dziwnego, że taki zupełnie niezgodny z prawdą pogląd głosiła zawsze propaganda reżymowa. Ale gorzej, że można z nim spotkać się także i w publikacjach wydanych na Emigracji. Np. A. Michnik, *Kościół, Lewica, Dialog*, Paryż, 1977, str. 22/23 i J. Gross, „W dwadzieścia lat później”, *Aneks* Nr. 13/14, str. 169. Oczywiście, że nie można polegać na lekturze publikacji z tego okresu wydanych w PRL. Ci, którzy byli przeciwni reżymowi po prostu nie mieli prawa głosu.

miała do dyspozycji wszystkie środki i głosiła marksizm-leninizm, przewodnictwo Sowietów i chwałę partii¹⁸. Większość inteligencji, a w szczególności intelektualistów, władza traktowała z nieufnością; byli oni nadzorowani przez „aparatchyków” i poddawani upokarzającym naciskom i szykanom.

Milcząca opozycja nie przynosiła nikomu sławy ani chwały. Nawet najbardziej nieustępliwe stanowisko pozostawało nieznane nikomu, prócz wywierających nacisk, bo ujawnienie go przyniosłoby jeszcze więcej szkody temu, kto je zajmował. Ponadto, w panującej atmosferze frustracji i beznadziejności często nie znajdowało ono uznania nawet u podobnie myślących, bo uważane było za nieprowadzącą do niczego donkiszoterię. O stopniu nieustępliwości w praktykowaniu milczącej opozycji świadczyło jedynie natężenie szykan wobec opozycjonisty: zakazy publikacji, zakazy wykładania, „zdejmowanie” ze stanowisk, zakazy wyjazdów za granicę i oczywiście pomijanie przy awansach, nagrodach i odznaczeniach.

W tych warunkach nie było mowy, żeby milczący opozycjoniści mogli cokolwiek dokonać lub nawet komuś pomóc. Pozbawieni możliwości samodzielnego działania żyli w poczuciu bezsilności i beznadziejności. Jedynym ich oparciem mogło być uznanie wąskiego kręgu najbliższych ludzi.

Stopień odporności opozycjonistów na naciski był oczywiście bardzo różny. Ale różna też była siła tych nacisków, różne okoliczności i warunki w każdym wypadku, dlatego bardzo trudno wydawać sądy o postawie poszczególnych jednostek. Pamiętać trzeba, że nawet posłuszne wykonywanie niektórych nakazów władz, nie świadczyło jeszcze wcale o pozytywnym stosunku do reżymu¹⁹.

Rozwinięcie jakiegokolwiek aktywności wymagało wyjścia z pozycji milczenia i zgody na pewne ustępstwa wobec władzy. Nieliczni ludzie o szczerze opozycyjnym nastawieniu decydowali się na pójście tą drogą uważając, że czyniąc stosunkowo drobne ustępstwa, osiągną pozytywne wyniki, a przynajmniej zapobiegą poważnym szkodom. Droga takiej opozycji, ukrytej za zasłoną aktywności, była trudna i śliska. Ustępstwa mogły się okazać

18. „Zniewolone umysły” Miłosza to byli właśnie pisarze, którzy stali się „aktywistami”. Uważam, że książka zupełnie nie oddaje prawdziwego stanu rzeczy. W narzuconym Polsce krańcowo prymitywnym marksizmie naprawdę nie było niczego, co mogłoby uwieść intelektualistę. Źródłem całego zjawiska był strach i oportunizm.

19. Takim powszechnie i bez protestu przyjmowanym nakazem był np. udział w wyborach. Prawie nikt się od niego nie uchylał w przekonaniu, że absolutnie niczego przez to nie osiągnie, a sprowadzi na siebie dotkliwe represje.

szkodliwe a korzyści niewielkie. Trudno też było określić granicę dopuszczalnych kompromisów, która dzieliła takie postępowanie od postępowania „pozytywnych”. Wypadków takiej ukrytej „opozycji” nie było dużo a jeszcze mniej takich, które by rzeczywiście przynosiły jakieś wyraźne dodatnie skutki. Ale trzeba mieć uznanie dla tych, którzy taką opozycję w dobrej wierze próbowali prowadzić.



Podział społeczeństwa polskiego na „aparaczyków”, „aktywistów”, „pozytywnych” i „zwykłych ludzi” (milczącą opozycję) należy mieć zawsze w pamięci, kiedy się dyskutuje o sytuacji w Kraju²⁰. Podział ten ukształtował się w okresie stalinizmu, ale trwa do dzisiaj i istnieje w świadomości wszystkich. Trzeba sobie zdać sprawę, że najgłębsza linia podziału oddziela aparaczyków PZPR od reszty społeczeństwa. Jest tak dlatego, bo to aparaczczycy sprawują władzę, uciskają, wyzyskują i poniżają wszystkich innych. „Aktywiści”, „pozytywni” i „zwykli ludzie” są więc wszyscy przedmiotem rządów sprawowanych przez aparaczyków, a różnią się między sobą tym, jaką postawę zajmują wobec rządzących.

Największe znaczenie dla przyszłości ma grupa „milczącej opozycji”. Dzięki temu, że w okresie stalinizmu zachowała odporność wobec nacisków partii, stała się ona bazą dla późniejszych jawnych wystąpień opozycyjnych i dla odradzającej się aktywnej opozycji.

5. FRAKCJE OPOZYCYJNE WEWNĄTRZ PARTII A AUTENTYCZNA OPOZYCJA DEMOKRATYCZNA I NIEPODLEGŁOŚCIOWA

a) Przeciwność postaw i celów

Nadejście stalinizmu położyło kres aktywnej opozycji. Niepodzielna władzę objęła partia.

20. Interesujące byłoby określenie liczebności tych poszczególnych grup. Dopóki odpowiednie badania nie zostaną przedsięwzięte, możemy ją tylko oszacować na oko. Jako taki szacunek proponuję następujące liczby: „Aparaczczy” — 1 %, „Aktywiści” — 1 %, „Pozytywni” — 6-8 %, „Zwykli ludzie” (milcząca opozycja) nieco ponad 90 %. Liczby te dotyczyłyby końca okresu stalinizmu. Interesujące jest, jakim zmianom uległy one od tego czasu.

PZPR przedstawiała się z początku jako monolit, przynajmniej dla patrzących na nią z zewnątrz. Ale po pewnym czasie zaczęły się w niej ujawniać różnice, a potem także spory i walki o władzę pomiędzy różnymi jej frakcjami. Walki frakcyjne stały się wkrótce ważnym elementem rozwoju sytuacji politycznej w Polsce i pozostają nim do dziś. Ponadto wywierają one wpływ na warunki, w jakich może działać opozycja autentyczna. Dlatego należy się zastanowić nad ich istotą, a także wyjaśnić, czym się różni opozycja frakcyjna od autentycznej opozycji niepodległościowej.

Walki między frakcjami PZPR toczą się o to, która z frakcji uzyska mandat sprawowania władzy w Polsce z ramienia Sowietów. Można więc mówić o frakcji będącej u władzy i o frakcji dążącej do władzy (opozycyjnej). Ale nie trzeba sobie wyobrażać, że położenie tych frakcji jest analogiczne do większości rządowej i mniejszości opozycyjnej w ustroju parlamentarnym. W partii jest zupełnie inaczej: wszystkie frakcje są jednocześnie w aparacie partyjnym i rządowym, chodzi tylko o to, jakie stanowiska obsadzają i jakie są ich realne wpływy. Kto mianowicie obsadza stanowiska członków Biura Politycznego, sekretarzy KC, kto trzyma w rękę bezpieczeństwo, cenzurę itd. Czyimi ludźmi są pierwsi sekretarze w najważniejszych województwach (Warszawa, Śląsk). Walka frakcyjna jest więc walką o władzę dla członków frakcji. O zwycięstwie w tej walce decydują w ostatniej instancji Sowiety. Zwycięża więc ten, kto udowodni, że będzie Sowietom służył najwierniej i najskuteczniej. Oczywiście jest, że żadna z frakcji nie kwestionuje kierowniczej roli partii i zasad panującego w Polsce ustroju. Wszystkie frakcje PZPR chcą ten ustrój utrzymać, bo z niego powstały i tylko w nim mogą istnieć. Mogą różnić się w doborze środków, którymi ustrój chcą poprawić, usprawnić i wzmocnić²¹. Opozycja frakcyjna wewnątrz partii jest więc czymś zupełnie odmiennym od autentycznej opozycji niepodległościowej.

Autentyczna opozycja polega na przyjęciu postaw politycznych i podjęciu działalności skierowanej przeciw totalitarnemu ustrojowi (sowietyzmowi) panującemu w Polsce, przeciw PZPR, która w tym ustroju sprawuje władzę i przeciw dominacji sowiec-

21. Tematem niniejszego szkicu są stosunki pomiędzy władzą a autentyczną opozycją. Będę więc mówił o walkach frakcyjnych wewnątrz partii tylko o tyle, o ile mają one znaczenie dla autentycznej opozycji. Ale historia różnych frakcji w PPR i PZPR zasługuje na opracowanie. Powinniśmy więcej wiedzieć o puławianach i natolińczykach, o partyzantach i frakcji policyjnej, o dogmatykach, rewizjonistach, dysydentach i tylu jeszcze innych. Ich walki stanowią o słabości PZPR, a więc dla społeczeństwa są okolicznością korzystną.

kiej, która ten ustrój gwarantuje. Jako cel ostateczny stawia sobie likwidację panującego w Polsce ustroju²². Jako cele bliższe jego osłabienie i tym samym ochronę społeczeństwa przed bezprawiem, uciskiem i wyzyskiem ze strony władzy reprezentującej ustrój.

Tak więc *pośród opozycją niepodległościową a partią lub jakkolwiek jej frakcją istnieje całkowita przeciwstawność celów*. Partia chce utrzymać sowietyzm i dominację sowiecką, a opozycja niepodległościowa dąży do przywrócenia demokracji i niepodległości. Partia chce wzmacniać ustrój, a opozycja chce go osłabiać.

Dla społeczeństwa jest w gruncie rzeczy sprawą obojętną, która z istniejących frakcji PZPR dojdzie do władzy, bo każda będzie prowadziła politykę dyktowaną przez Sowiety. Natomiast sam proces walki o władzę między frakcjami daje społeczeństwu pewne możliwości, które trzeba sobie uświadomić i które należy wykorzystać.

b) Scenariusz walk frakcyjnych

Wiemy z doświadczenia, że walki frakcyjne odbywają się zawsze według pewnego schematu (scenariusza). Rolę aktywną odgrywa w nich frakcja dążąca do władzy, to znaczy frakcja opozycyjna.

Pierwszym jej posunięciem taktycznym jest stworzenie wrażenia, że frakcja aktualnie będąca u władzy nie wypełnia należycie swych zadań, tzn. zadań na wykonaniu których zależy Sowiety. Najbardziej przekonującym dowodem nieudolności ekipy rządzącej jest nieumiejętność utrzymania Polaków w spokoju i uległości. Frakcja opozycyjna ma wtedy okazję do powiedzenia Sowiety: „patrzcie, jak oni się kompromitują, doprowadzili do takiej sytuacji, a teraz nie mogą sobie dać rady. Dajcie nam władzę, a pokażemy, jaki będzie spokój i porządek”. Aby stworzyć taką sytuację, frakcja gotowa jest nawet zainicjować krytykę grupy rządzącej i spowodować różne wystąpienia. To jest właśnie źródło prowokacji, o której zawsze słychać na początku różnych niepokojów i rozruchów. Można nawet powiedzieć, że do niedawna, żadna śmielsza akcja nie mogła się rozpocząć bez prowokacji, bo gdy nawet istniały bardzo poważne

22. Cel ten może się dziś wydawać bardzo odległy. Nie znaczy to jednak, że nie należy go sobie stawiać. Niepodległość i demokrację będziemy mogli osiągnąć kiedyś w przyszłości tylko wtedy, gdy nigdy nie pogodzimy się z narzuconym nam sowietyzmem.

powody do niezadowolenia, zwykli ludzie nie przedsiębrali niczego, ponieważ wydawało się im to beznadziejne. Zupełnie co innego, gdy niezadowoleni dowiedzą się, że wyrażenie niezadowolenia będzie na rękę jakiejś frakcji partyjnej. Stanowi to pewną asekurację dla demonstrujących i ośmiela do wysuwania swoich postulatów.

Dlatego więc w czasie trwania walki frakcyjnej społeczeństwo przeżywa okres „odwilży”, w którym może swobodniej oddychać. Powstają w tym czasie pewne możliwości manewru pomiędzy zwalczającymi się frakcjami. Frakcja dążąca do władzy stara się uzyskać pewną popularność w społeczeństwie. W tym celu pozoruje odejście od sowytyzmu glosząc hasła czy to „liberalne” czy też „narodowe”. Następuje zmiana atmosfery i budzą się nadzieje. Ludzie zaczynają się domagać swych praw, opierają się naciskom, atmosfera nie sprzyja represjom i w rezultacie społeczeństwo, korzystając z osłabienia aparatu władzy, wymusza dla siebie swobody, które stanowią poprawę w porównaniu z okresem wcześniejszym. Tak więc w okresie nasilenia walk frakcyjnych może chwilowo powstać tzw. obiektywna zgodność interesów pomiędzy frakcją dążącą do władzy a społeczeństwem, chociaż w istocie każda ze stron dąży do czego innego: frakcja do objęcia władzy a społeczeństwo do rozluźnienia ucisku. Ponieważ jednak obu stronom zależy na osłabieniu grupy sprawującej aktualnie władzę, w tym punkcie interesy stają się zbieżne. Ta obiektywna zbieżność interesów trwa tylko dopóty, dopóki frakcja nie dojdzie do władzy.

Po objęciu władzy, nowa ekipa przyznaje parę łatwych do cofnięcia koncesji, organizuje sobie wdzięczność narodu za przywrócenie porządku, wzywa do spokoju i do „wzmoczenia wysiłku”. Spokój następuje, po czym nowa władza stopniowo wycofuje się z koncesji i wszystko wraca do poprzedniego stanu.

Dlatego nie ma żadnego powodu, żeby społeczeństwo miało obdarzać frakcję opozycyjną lub jej przedstawicieli prawdziwym i trwałym zaufaniem. Byłoby to odejściem od postawy niepodległościowej, bo przecież frakcja, która dojdzie do władzy, przez sam ten fakt, staje się pełnomocnikiem Sowietów, a więc głównym wrogiem społeczeństwa polskiego.

c) Odróżnienie opozycji frakcyjnej od opozycji autentycznej

Wspomniana wyżej skłonność opozycji partyjnej do uzyskiwania pozorów poparcia ze strony społeczeństwa może czasem prowadzić do trudności w odróżnieniu frakcyjnej opozycji od

opozycji autentycznej. Rozstrzygnięcie takiej wątpliwości następuje przez uświadomienie sobie prawdziwego politycznego znaczenia prowadzonej działalności i tego, kto tej działalności faktycznie przewodzi. Stosunkowo mniejsze znaczenie mają ogłaszane deklaracje programowe grup opozycyjnych.

Poleganie na publikowanych wypowiedziach może nawet czasem doprowadzić do błędnych wniosków. Bo z jednej strony pięknie brzmiące deklaracje mogą pokrywać działalność budzącą zastrzeżenia, a z drugiej prawdziwa niepodległościowa opozycja może być bardzo powściągliwa w jawnym głoszeniu swoich celów, aby nie sprowokować represji, które by jej utrudniły lub nawet uniemożliwiły działalność²³. Jeśli więc chodzi o wypowiedzi autentycznych grup opozycyjnych może najbardziej znaczące jest to, czego w nich nie można znaleźć, a więc np. zapewnień o zbieżności interesów narodu i partii, wezwań do dialogu i współpracy z partią i do przywrócenia do niej zaufania. Takie hasła są bowiem całkowicie sprzeczne z postawą opozycji niepodległościowej. Znaleźć je natomiast można w wypowiedziach opozycji pokładającej swe nadzieje w partii.

W swej praktycznej działalności opozycja niepodległościowa ujawnia prawdę o totalitarnej naturze ustroju panującego w Polsce i o podporządkowaniu Polski Sowietom, kształtuje postawę oporu wobec tej sytuacji, wymusza na władzy ustępstwa i żąda stosowania zasad demokracji. Antypartyjne ostrze jej działalności jest dla niej najbardziej charakterystyczne. Działalność opozycji frakcyjnej nigdy natomiast nie dąży do dyskredytowania całej partii i podważenia jej roli w Kraju.

Opozycję autentyczną rozpoznaje się jednak przede wszystkim po ludziach, którzy jej przewodzą. Ruch, na którego czele stoją działacze znani z antypartyjnego i antysowieckiego stanowiska w przeszłości, daje najlepszą gwarancję postawy niepodległościowej obecnie.

Nie zawsze jednak sprawa jest tak prosta. Zdarza się bowiem często, że w ruchu opozycyjnym biorą udział, a nawet zajmują w nim kierownicze stanowiska ludzie, mający przeszłość partyjną. Trafiają tam dlatego, że udział partyjnych w akcji opozycyjnej stanowi pewnego rodzaju asekurację dla autentycznych

23. Ale taka powściągliwość jest jak najbardziej nie na miejscu, jeśli chodzi o wypowiedzi, które są publikowane na Emigracji. Zarówno autorzy z Kraju (piszący zapewne pod pseudonimami) jak i autorzy emigracyjni powinni zajmować bardzo zdecydowane stanowisko niepodległościowe. Kraj oczekuje po Emigracji, że działalność niepodległościowa prowadzona w Polsce, znajduje swój wyraz w niepodległym słowie głoszonym na Emigracji. Połowiczne a tym bardziej ugodowe wypowiedzi w prasie emigracyjnej mogą w Kraju budzić tylko niedowierzanie, dezorientację i niechęć.

opozycjonistów. (Wyjaśniłem to wyżej, pisząc o scenariuszu walk frakcyjnych).

Udział ludzi wywodzących się z partii w autentycznym ruchu opozycyjnym z natury rzeczy budzi niepokój, ale nie oznacza to, że ruch musi koniecznie z tego powodu utracić charakter niepodległościowy. Mogą bowiem powstać dwa odrębne warianty tej sytuacji.

Pierwszy wariant polega na tym, że ludzie kiedyś związani z partią definitywnie zmienili poglądy i szczerze chcą przyłączyć się do antypartyjnej opozycji. Wtedy autentycznej opozycji w zasadzie nic nie zagraża.

Rozumie się samo przez się, że tacy nowi opozycjoniści muszą się odciąć bardzo kategorycznie od swej przeszłości partyjnej i powiązań ze środowiskiem partyjnym, aby nie pozostawić najmniejszych wątpliwości, że do partii nigdy nie wrócą, ani się jej nie podporządkują. Zakładając, że warunek ten został spełniony, zastanowić się można nad dobrymi i złymi stronami udziału dawnych partyjnych w ruchu opozycyjnym.

Jeśli chodzi o stronę pozytywną, to stwierdzić trzeba, że często są oni bardziej dynamiczni, odważniejsi i bardziej zdecydowani od opozycjonistów pochodzących spośród zwykłych ludzi. Pochodzi to stąd, że aparaczczycy byli zawsze blisko ośrodków władzy. Do nich przecież Polska Ludowa należy od lat trzydziestu, zdążyli więc nabrać pewności siebie, podczas gdy zwykli ludzie mają za sobą doświadczenia strachu, poniewierki i ubóstwa; przyzwyczaili się do tego, że nic im nie wolno i że za przeciwstawianie się władzy spotykają ich dotkliwe sankcje. W tych warunkach nic dziwnego, że w pierwszej fazie ruchu opozycyjnego byli partyjni odgrywają często bardzo czynną rolę, a czasem nawet wysuwają się na czoło.

Z drugiej strony stanowią oni obciążenie dla ruchu opozycyjnego. Bo każdy ruch oceniany jest według tego, kto w nim bierze udział. Obecność w nim byłych partyjnych, a w szczególności byłych aparaczczyków, musi budzić nieufność. Jeżeli nawet w indywidualnych wypadkach nieufność ta będzie nieuzasadniona, to trudno się jej dziwić: postępowanie partyjnych dało do tego aż nadto powodów. Można więc oczekiwać, że w miarę jak ruch opozycyjny będzie się umacniał i opinia większości będzie w nim dochodziła do głosu, byli partyjni będą w nim odgrywać coraz mniejszą rolę.

Istnieje jednak także i drugi wariant sytuacji, który stwarza zagrożenie dla autentycznego ruchu opozycyjnego. Może się mianowicie okazać (porównaj opisany wyżej scenariusz walk frakcyjnych), że akcja podjęta przez zwykłych ludzi ma charakter opo-

zycji autentycznej, ale przewodzą jej opozycjoniści frakcyjni, reprezentujący interesy swej frakcji w walce o władzę wewnątrz partii. Układ taki jest bardzo niebezpieczny, bo może doprowadzić albo do załamania się ruchu opozycyjnego z chwilą, gdy przywódcy jawnie przejdą na pozycje partyjne, albo co gorzej, do pozbawienia go charakteru niepodległościowego i podporządkowania go celom partyjnym. Zdarzyło się to wiele razy w przeszłości (1956, 1968, 1970).

Trzeba więc umieć rozpoznać partyjnych opozycjonistów, żeby zapobiec w porę temu niebezpieczeństwu. Istnieją pewne zewnętrzne oznaki, które to umożliwiają. Dostarcza ich sama partia przez łatwe do zauważenia różnice w traktowaniu frakcyjnych i autentycznych opozycjonistów.

Działacze związani z partią, nawet opozycjoniści, mają zawsze większe swobody niż zwykli ludzie. Uchodzi im więc wiele rzeczy, które zwykłym ludziom nie uszłyby bezkarnie, a nawet jeżeli stosuje się do nich jakieś sankcje, to o wiele łagodniejsze. A jeżeli czasem trafiają do więzienia, traktuje się ich tam też zupełnie inaczej²⁴. Dzieje się tak przede wszystkim dlatego, że opozycjonista frakcyjny ma zwykle jakieś oparcie w partii, z którym aparat ucisku musi się liczyć. Nawet będąc chwilowo w opozycji, może on mieć osobiste znajomości w wysoko postawionych sferach partyjnych i nigdy nie wiadomo, czy kiedyś do łask nie wróci. Stawia to tamy brutalnej bezwzględności, z jaką traktuje się zwykłych ludzi. Wystąpienia opozycjonistów frakcyjnych bywają więc dużo śmielsze i bardziej zdecydowane i często mają większy rozgłos od wystąpień opozycjonistów autentycznych. Można stąd nawet łatwo odnieść błędne wrażenie, że to frakcyjniści są prawdziwymi opozycjonistami, podczas gdy często działają oni w wykonaniu szczegółowych instrukcji wydanych przez kierownictwo frakcji, która ich „odważne” wystąpienia zaplanowała jako element swej strategii. Występując odważnie ryzykują o wiele mniej niż autentyczni opozycjoniści.

Ludzie w Polsce nie mają jednak zwykle trudności w odróż-

24. Wystarczy porównać, jak traktowano w więzieniu Pużaka i Fieldorfa, a jak Gomułkę i Spychalskiego, na jaką emeryturę posłano Eugeniusza Kwiatkowskiego, a na jaką Hilarego Minca. Podczas, gdy zwykłych ludzi spotykają sztykany za każdy objaw niechęci wobec reżymu, widzimy opozycjonistów odznaczonych orderami, wyróżnianych nagrodami państwowymi, mieszkających w domach przeznaczonych dla elity, obsługiwanych przez lecznicę rządową, korzystających z wczasów dla uprzywilejowanych, jeżdżących za granicę bez żadnych trudności, jak gdyby specjalnie dla składania opozycyjnych deklaracji, a nawet współdziałających swobodnie z ośrodkami emigracyjnymi, z którymi najmniejszy kontakt grozi przykrymi konsekwencjami zwykłemu człowiekowi.

nieniu opozycjonistów autentycznych występujących naprawdę przeciw reżymowi i partii od opozycjonistów frakcyjnych prowadzących swą grę w ramach partii. Trafnie odróżniają więc oni opozycję niepodległościową od frakcji partyjnej. Nie tak łatwo przychodzi to Emigracji.

d) Działalność, która nie jest opozycją

Zdarza się czasem, że za opozycję uchodzi działalność, która naprawdę żadną opozycją nie jest.

Najczęściej chodzi tu o działalność mającą na celu usprawnienie funkcjonowania ustroju. Bez kwestionowania jego zasad (władzy partii i dominacji Sowietów) proponuje się różne reformy, które mają na celu lepszą organizację aparatu władzy, podniesienie wydajności gospodarki lub poprawienie stopy życiowej ludności. Czasem takie reformy, czy ich próby są elementem walki frakcyjnej, ale bywają one podejmowane również bez chęci służenia interesowi partii, w najlepszej intencji przyniesienia korzyści gospodarce czy ogółowi ludności. Akcja taka może czasem przynieść dodatnie wyniki w konkretnych sprawach. Ale pamiętać jednak trzeba, że jej skutki muszą być zawsze ograniczone, bo prawdziwej poprawy sytuacji nie można osiągnąć bez podważenia podstaw ustroju²⁵. Dlatego, mimo uznania, na które często zasługują jej inicjatorzy, skutki polityczne takiej akcji trzeba uznać za co najmniej wątpliwe: stwarza ona pozory rozwiązania problemów, których w ramach ustroju rozwiązać nie można.

Innym jeszcze rodzajem działalności, niesłusznie uchodzącym za opozycję, jest pomoc ludziom, którzy nic nie zawinili reżymowi, ale mimo to stali się ofiarami niesprawiedliwości i nadużyć. Jest to, jak gdyby działalność dobroczynna — niesienia pomocy w indywidualnych wypadkach²⁶. Przynosi ona niewątpli-

25. Pisałem o tym w „Socjalizm w Polsce”, *Kultura* Nr 9/276, 1970 i w „Różne reformy i różni reformatorzy”, *Kultura* Nr 9/288, 1971, przedruk w *O myśl polityczną*, Odnova, Londyn, 1976.

26. Niedawno w prasie emigracyjnej (*Tydzień Polski* Nr 18 z 6. 5. 1978) wspomniano „Jotema” — Józefa Muszkata, dziennikarza, który działał w Polsce w latach pięćdziesiątych. Specjalizował się on w tzw. interwencjach prasowych i wyświadczył wielu ludziom (kilkuset?) bardzo dużo dobrego. Miał widocznie stosunki, gdzieś wysoko w KC i nie obawiał się tępić bez pardonu nadużyć małych kacyków partyjnych. Stał się czymś w rodzaju instytucji opiekuńczej. Skończyło się tak, jak musiało się skończyć pod rządami PZPR. Małe kacyki, którym dobrze dopiekl, awansowały do KC i zmusiły go do milczenia. Wkrótce wyjechał z Kraju. Działalność jego stanowi przykład akcji, która ma dodatnie skutki dla poszczególnych jednostek, ale jest bezskuteczna w skali społecznej.

wie pożytek jednostkom, ale jej sens polityczny jest raczej negatywny, bo stwarza ona wrażenie (fałszywe), że w ten sposób można naprawić ustroj²⁷.

6. WALKI FRAKCYJNE I ODRODZENIE SIĘ AKTYWNEJ OPOZYCJI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ: 1956-1976

a) Październik 1956

Pierwsza wielka bitwa między frakcjami rozegrała się w 1956, a jej kulminacyjnym momentem był tzw. Polski Październik. Nie ma potrzeby powtarzać tutaj jego przebiegu. Literatura o nim jest dość obszerna²⁸. Jeżeli chodzi o interpretację tych wypadków, to nadzwyczaj trafnie dokonał jej Jedlicki. Wspomnieć tylko należy, że ocena Jedlickiego znalazła po latach całkowite potwierdzenie w pamiętnikach Chruszczowa²⁹. W bardzo wielkim skrócie przebieg Października przedstawia się, jak następuje.

Wskutek zmian, zachodzących w Moskwie po śmierci Stalina, rządząca w Polsce czołówka PZPR, zwana później frakcją puławską, poczuła się zagrożona przez niższe szczeble aparatu, gdzie powstała frakcja nazwana natolińską. Puławianie przedsięwzięli manewr, mający na celu utrzymanie się przy władzy. Przez ogłoszenie przemówienia Chruszczowa na XX-tym zjeździe, rozluźnienie cenzury i powściągnięcie UB wywołali nastroje odwilżowe. Następnie usunęli najbardziej skompromitowanych przywódców, a przywołali na pomoc odsuniętych i więzionych działaczy, a więc Gomułkę i jego najbliższych towarzyszy. W ten sposób partia zyskała pewien stopień popularności, co pozwoliło Gomułce, stojącemu już na czele puławian zapewnić Chruszczowa, że będzie umiał Polaków skłonić do uległości, bez uciekania się do pomocy czołgów sowieckich. Jak wiadomo, zobowiązanie to Gomułka

27. Dlatego akcja taka różni się zasadniczo od akcji przedsięwziętej np. przez KOR, który broni robotników prześladowanych za zbiorowe wystąpienia polityczne i domaga się respektowania praw obywatelskich, a więc niewątpliwie prowadzi opozycję polityczną przeciw rządowi.

28. W. Jedlicki, *Klub Krzywego Koła*, Instytut Literacki, Paryż 1963 i *Październik 1956*, Instytut Badania Zagadnień Krajowych, Londyn, 1963. E. Wacowska, *Poznań 1956 - Grudzień 1970*, Instytut Literacki, Paryż, 1971.

29. *Khrushchev Remembers*, A. Deutsch, London, 1974. Rozdział „Polish October”, str. 196-207.

sumiennie wykonał. Mniej skrupulatnie zachował się wobec swoich partnerów w Kraju. Zobowiązań wobec społeczeństwa polskiego nie dotrzymał z wyjątkiem pewnego ukrócenia bestialstw UB i zaprzestania przymusowej kolektywizacji w rolnictwie. Zawiódł nawet puławian, którzy wynieśli go do władzy, bo pozwolił na wzrost wpływów natolińczyków. Popierających go młodych aktywistów partyjnych rozpędził, a ich pismo *Po prostu* zamknął.

Prawdziwe znaczenie Października nie polega jednak wyłącznie na rozgrywkach partyjnych, w których społeczeństwo było tylko widzem. Październik obudził nadzieje i uaktywnił autentyczną opozycję. Ujawniła się ona niespodziewanie i gwałtownie.

Pierwszym jej wystąpieniem były wypadki poznańskie, drugim zachowanie się ludności Warszawy w październiku 1956. Trzecim akcja chłopów przeciw spółdzielniom produkcyjnym. Czwartym to, co pisało *Po Prostu*. Choć pismo to prowadzone było przez ludzi wywodzących się z partii lub ZMP, w wielu artykułach demaskowało ono terror UB i wyzysk robotników i faktycznie stało na pozycjach przeciwnych partii³⁰. Zostało wkrótce zamknięte.

Autentyczna opozycja została więc szybko stłumiona, ale Październik pozostał w pamięci ludzi, jako budzące nadzieje wspomnienie, że władza partii może się zachwiać. Na tym polega jego największe znaczenie.

b) 1957-1967

Po październiku wszyscy już wiedzieli, że w partii istnieją zwalczające się frakcje, które kiedyś mogą doprowadzić ją do kryzysu, a już obecnie osłabiają jej spójność. Mimo to, przez długi okres rządów Gomułki zachowana była pewna równowaga między frakcjami, które Gomułka wygrywał jedną przeciw drugiej i do otwartych konfliktów nie dochodziło. Na ogół biorąc, traciła jednak grunt frakcja puławska, a zyskiwała na znaczeniu frakcja natolińska. Nie sposób tu opisać tych wszystkich tarć i przesileni wewnętrznych w PZPR. Znaczącymi etapami likwidacji placówek partyjnej opozycji było po zamknięciu *Po Prostu* w 1957, zamknięcie Klubu Krzywego Koła w 1962, odrzucenie

30. To, co pisało wtedy *Po Prostu*, daje wierny obraz warunków, w jakich żyli Polacy w okresie stalinizmu. Bardzo wskazane byłoby wydanie wyboru materiałów tam zamieszczonych.

projektów reform gospodarczych przygotowanych przez Radę Ekonomiczną i rozwiązanie Rady w 1962. Konflikt wewnątrz partii zaostriżył się i ujawnił przy okazji śmierci i pogrzebu Hollanda w grudniu 1961. Nowy nurt opozycji partyjnej zapoczątkował „List otwarty do partii” Kurońa i Modzelewskiego w 1965 r.³¹ Wystąpienie to, początkowo jakby odosobnione, wywarło jednak wpływ na przyszłe wypadki.

Na zakończenie tego okresu przypada rozpoczęta przez partię propaganda „antysyjonistyczna”. Świadczyła ona o całkowitym upadku wpływów frakcji puławskiej, która w tym czasie wyraźnie stała się frakcją opozycyjną.

c) Marzec 1968

Nowy okres otwierają wypadki marcowe 1968. Bardzo dużo o nich pisano³², nie ma więc potrzeby jeszcze raz omawiać ich przebiegu. Zaczęło się od akcji przeciw polityce partii w sprawie cenzury, ale prawdziwym przeciwnikiem była frakcja partyzantów, która w tym czasie całkowicie opanowała Bezpieczeństwo i której wpływy w partii szybko rosły.

W wypadkach, które nastąpiły, kierownictwo wymknęło się z rąk inicjatorów. Ruch studenckich protestów i strajków rozszerzył się gwałtownie na całą Polskę i przybrał charakter autentycznej opozycji skierowanej przeciw partii i ustrojowi. Mimo zaprzeczeń i usiłowań łagodzenia jego haseł w obawie przed represjami, ten charakter ruchu nie ulega wątpliwości. Fakt ten **ma duże znaczenie**, bo odtąd już zawsze dynamika autentycznej opozycji będzie wyprzedzała wewnątrz-partyjne cele frakcyjnych inicjatorów i odbierała kierownictwo wszczętej przez nich akcji. Jest to warta zanotowania prawidłowość polskiego życia politycznego. Nie oznacza to niestety, żeby autentyczna opozycja odniosła w wypadkach marcowych 1968 jakieś prawdziwe sukcesy. Największym jej osiągnięciem było to, że ruch protestacyjny objął całą Polskę i zdołał sformułować pewne wspólne antypartyjne zasady („nie ma chleba bez wolności”, „prasa kłamie” itd.). Stanowił on pewien etap na drodze kształtowania się postaw politycznych w Polsce. Nie było jednak warunków, żeby te spontaniczne zrywy przekształciły się w konsekwentną i trwałą opozycję

31. J. Kuroń i K. Modzelewski, *List otwarty do partii*, Instytut Literacki, Paryż, 1966.

32. *Wydarzenia marcowe 1968 i Polskie przedwiośnie*, Instytut Literacki, Paryż, 1969. *Krótkie spięcie*, Instytut Literacki, Paryż, 1977.

wobec reżymu. Nie było ani koncepcji politycznych, ani przywódców, którzy by do tego mogli doprowadzić. Ruch studencki upadł, a rozgorzała walka frakcyjna.

Tym razem w sposób nietypowy inicjatywę wzięła w ręce frakcja będąca u władzy. Po odparciu ataku, wystąpiła zdecydowanie przeciw frakcji opozycyjnej. Wyglądało na to, że raz na zawsze postanowiła zniszczyć przeciwnika. Rozpoczęły się w partii czystki na skalę, której PZPR dotąd nie znała. Brutalne represje, które w przeszłości stosowano tylko wobec zwykłych ludzi, pierwszy raz z taką siłą zostały użyte w walce wewnątrz partyjnej. Ci, którzy te nikczemne metody niszczenia przeciwników praktykowali w stalinizmie, przekonali się, że mieli pojętych uczniów. Młode pokolenie absolwentów szkół partyjnych zastosowało te metody do swoich nauczycieli.

Bardzo szybko ujawniła się i haniebną stroną tej całej operacji. Okazało się, że hasłem tej walki wewnątrz partyjnej stał się tzw. antysyjonizm, będący niczym innym jak zwykłym antysemityzmem, że w gruncie rzeczy partii nie chodziło wcale o oczyszczenie się ze stalinowców, ale o odebranie stanowisk ludziom pochodzenia żydowskiego.

Antysemicka polityka partii wywołała odruch sympatii dla prześladowanych i potępienie stosowanych metod. Społeczeństwo zawsze patrzyło na partię z mieszaniną strachu i pogardy. Teraz okazało się naocznie, jak bardzo ta pogarda była uzasadniona. Obraz partii nazywającej się marksowską, która propaguje i uprawia antysemityzm jest głęboko kompromitujący. Na cóż się zdały wszystkie szkolenia partyjne i cała oficjalna ideologia. Okazało się, że kurs antysemicki zyskał poparcie całego aparatu. Nie było protestów, nie było frondy, prócz protestów samych zainteresowanych. Partia zasłużyła raz jeszcze na potępienie wszystkich przyzwoitych ludzi. Wyrządziła także Polsce ogromną szkodę w opinii światowej, która nie zawsze umie odróżnić politykę partii od prawdziwych nastrojów społeczeństwa. Z takimi względami partia nie ma jednak zwyczaju się liczyć. Zachodzi pytanie, co zyskała ona na tej haniebnej polityce. Korzyści z niej osiągnięte nie przypadły właściwie partii, ale adherentom frakcji rządzącej: po prostu usunąwszy przeciwników, otworzyli oni sobie drogę do awansów w aparacie partyjnym i państwowym. O to naprawdę chodziło. Można się także domyślać i ubocznego celu. Liczono na to, że antysemickie hasła zyskają partii jakiś rodzaj oddźwięku w społeczeństwie. Na ogół skutek był odwrotny. Niestety, trzeba jednak przyznać, że jak się zdaje, partia znalazła pewną liczbę ludzi, którzy aprobowali jej antysemicką politykę.

Zyskiwanie sobie zwolenników tego rodzaju i przy pomocy takich metod świadczy tylko o tym, jak nisko partia upadła.

d) Grudzień 1970

Element walki frakcyjnej odegrał niewątpliwie pewną rolę w zapoczątkowaniu wypadków na Wybrzeżu w 1970 roku. Bardzo trudno się dowiedzieć, jaki był łańcuch prowokacji i kontraprowokacji we wczesnej fazie rozruchów. Można jednak z całą pewnością stwierdzić, że prawie natychmiast organizatorzy utracili wpływ na to co się działo i wypadki potoczyły się w sposób przez nikogo niekierowany i nieprzewidywany. Ich motorem był duch opozycji przejawiający się w nienawiści do partii. Potem stopniowo, kierownictwo wypadków zaczęły przejmować komitety strajkowe, które można uznać za organy autentycznej opozycji. Osiągnęły one po raz pierwszy pewne sukcesy. Najpierw Szczecin zmusił Gierka do przyjechania na rozmowę z otwartą opozycją. Fakt ten ma znaczenie historyczne. Był to w istocie sukces moralny, bo w rzeczywistości robotnicy niczego nie osiągnęli. Natomiast poważny sukces polityczny odniosły włóknianki łódzkie w lutym 1971, gdy zmusiły partię do cofnięcia podwyżki cen.

e) Czerwiec 1976

Wypadki czerwcowe 1976 odbyły się według ustalonej już tradycji buntów robotniczych, tylko z tą różnicą, że okazją do nich nie była „odwilż” towarzysząca zazwyczaj walkom frakcyjnym. Nie znaczy to, że rozgrywki frakcyjne nie odegrały w nich żadnej roli. Nie jest jednak ona wyjaśniona. Wydawało się, że wybuch całkowicie zaskoczył kierownictwo partii. Charakterystyczne było także natychmiastowe wycofanie się władz wobec żądań robotników.

f) Opozycyjne grupy światopoglądowe

Oprócz opisanych wyżej krótkotrwałych zrywów opozycyjnych pojawił się również w tym okresie inny nurt aktywnej opozycji w postaci niedużych grup dążących do kształtowania świadomości opozycyjnej. Działyły one tajnie i zapewne nikt nie wie na pewno, ile ich było i jaki był zakres ich wpływów.

O działalności tych grup społeczeństwo dowiadywało się przy okazji ujawniania represji stosowanych wobec ich członków. W roku 1970 odbył się proces „Taterników”. W 1971 proces „Ruchu”, na którym Andrzej Czuma po raz pierwszy otwarcie sformułował credo autentycznego opozycjonisty³³. W roku 1972 bracia Kowalczykowie otrzymali drażniący wyrok za niezwykłą w polskich warunkach demonstrację³⁴.

g) Petycje i protesty

Innym znowu nurtem opozycyjnym było występowanie przeciw polityce władz w drodze petycji i protestów.

Pierwszą i dlatego często wspominaną próbą był „List 34” w sprawie papieru z dnia 13 marca 1964. Można mieć wątpliwości, czy wystąpienie to można zaliczyć do przejawów autentycznej opozycji. Robi wrażenie, że podpisujący nie mieli wcale takich intencji, bo list sformułowany jest z największym uszanowaniem dla władz, a prośba w nim zawarta jest bardzo skromna³⁵. Rozgłos i charakter aktu opozycyjnego nadały mu same władze przez swą reakcję niewspółmierną ze znaczeniem samego wystąpienia.

Były potem i inne petycje: w sprawie Polaków w Związku Sowieckim³⁶, w obronie skazanych w procesie Ruchu³⁷ i w obronie braci Kowalczyków³⁸.

Największy jednak oddźwięk i znaczenie miała akcja protestacyjna w sprawie poprawek do konstytucji, która rozwinęła się na początku roku 1976³⁹. Trzeba zauważyć, że w samym założeniu tej akcji znaleźć można było co najmniej dwa paradoksy.

33. Zob. *Sąd orzekł*, Instytut Literacki, Paryż, 1972, str. 192-195.

34. Kowalczykowie dotąd siedzą w więzieniu. Do tego stopnia o nich zapomniano, że niedawno można było przeczytać w piśmie emigracyjnym, że ... „w Polsce nie ma więźniów politycznych” (*Tydzień Polski*, Nr 42 z dn. 22. 10. 1977, str. 5, szpalta 6).

35. Pamiętać jeszcze trzeba, że z 34 podpisanych 16 wycofało swoje podpisy pod naciskiem władz. Pomniejsza to jeszcze wagę tego wystąpienia. Zob. G. de Cereazay, „Polska Gomułki i list 34”, *Kultura* Nr 10/204, 1964, str. 3-26.

36. Tzw. „List piętnastu” z listopada 1966.

37. Złożony ministrowi sprawiedliwości przez 17 sygnatariuszy pod koniec roku 1971 (*Na Antenie*, Nr 108, marzec 1972, str. 32).

38. Zob. *Na Antenie*, Nr 120, marzec 1973, str. 31.

39. Akcję tę rozpoczął memoriał 59 złożony marszałkowi Sejmu w dniu 5 grudnia 1976 roku (*Kultura* Nr 1/340-2/341, 1976, str. 235/236).

Po pierwsze, mogło się wydawać, że wystąpiono w obronie bierutowskiej konstytucji z 1952 roku, z którą przecież wiązały się najgorsze doświadczenia stalinizmu, a po drugie że żądano odrzucenia poprawek, które nie wprowadzały niczego nowego, tylko sankcjonowały od dawna istniejący stan rzeczy. A w dodatku wiadomo było przecież, że takie czy inne sformułowania nie mają żadnego znaczenia, bo w istniejącym systemie litera konstytucji nigdy nie była i nie będzie przestrzegana. Był więc w całej tej akcji element fikcji, bo wszyscy jakby się umówili, że wierzą, że tekst konstytucji ma jakiegokolwiek znaczenie.

A jednak akcja w sprawie konstytucji była ważna i potrzebna. Była bowiem pewnym wyzwaniem reżymu, stwierdzeniem, że społeczeństwo zdaje sobie sprawę, że jest rządzone wbrew swojej woli przez partię i że Polska poddana jest dominacji sowieckiej, co reżym chce nawet wpisać do konstytucji. W tym demaskatorskim sensie akcja była wielkim sukcesem. Jest też charakterystyczne, że władza nie zastosowała poważniejszych represji w stosunku do demonstrujących.

b) Aktywna opozycja w latach 1956-1976

Aktywna opozycja rozbudzona w roku 1956 nigdy już nie zamarła całkowicie. Rozwijala się trzema pozornie od siebie niezależnymi nurtami.

Pierwszy to „zrywy” spontaniczne, czynne wystąpienia skierowane przeciw polityce reżymu. Takie wystąpienia władza tłumiła przy użyciu siły i kosztem krwawych ofiar.

Drugi to tworzenie się grup o światopoglądzie opozycyjnym. W razie ich ujawnienia członkom ich wytaczano procesy i skazywano na więzienia.

Trzeci to protesty i petycje. Władza reagowała na nie przeważnie szykanami wobec ich uczestników.

Słabością wszystkich tych akcji opozycyjnych była ich krótkotrwałość. Niektóre wystąpienia trwały tylko parę dni. Nawet grupy opozycyjne, jak się zdaje, nie trwały dłużej niż parę miesięcy. Protesty i petycje z natury były akcjami doraźnymi.

Drugą słabością był brak współdziałania między robotnikami i inteligencją. Podłoża wystąpień robotników i inteligencji były odmienne, następowały w innym czasie i wzajemnie się nie wspierały.

Przezwyciężenie tych dwóch słabości nastąpiło dopiero na następnym etapie ruchu opozycyjnego, który się zaczął w drugiej połowie roku 1976.

7. KOŚCIÓŁ I DZIAŁACZE KATOLICCY

a) Kościół jako ostoja tradycji i wartości moralnych

Omawiając zagadnienie autentycznej opozycji niepodobna pominąć roli Kościoła, który zajmuje w Polsce zupełnie szczególną pozycję. Chociaż Kościół akcji politycznej nie prowadzi, przez samo swoje istnienie stał się zaporą dla wrogiej Polsce działalności partii i Sowietów. W okresie stalinizmu, po zniszczeniu wszystkich tradycyjnych instytucji polskich, po unieszkodliwieniu ludzi, którzy byli nosicielami tradycji narodowej, Kościół pozostał jedyną instytucją nierozzerwalnie związaną z historią narodu, która utrzymała się w nienaruszalnej formie. Pomimo terroru i nacisku Kościół nie uległ władzy i w ten sposób stał się symbolem niezniszczalności tradycji narodowej i ucieleśnieniem nadziei przerwania.

Gdy stalinizm minął i Prymas Polski powrócił z „odosobnienia”, pozycja Kościoła wzmocniła się jeszcze bardziej. Prześladowania związane z obchodami tysiąclecia i nagonka w sprawie listu Episkopatu Polskiego do biskupów niemieckich znowu podniosły Kościół i Prymasa w opinii społeczeństwa, bo wykazały, że jest w Polsce siła, która nie jest posłuszna rozkazom partii⁴⁰. Ma to oczywiście polityczne znaczenie, ale nie oznacza, że Kościół może zastąpić opozycję polityczną. Kościół jest obrońcą systemu wartości moralnych, które są bliskie ideologii opozycji demokratycznej i niepodległościowej. Jest ostoją moralności i wzorem

40. Ciekawe, jak często rola Kościoła i Prymasa Polski jest źle rozumiana, nawet przez jego zwolenników. Podaję niżej uderzający przykład tej konfuzji. Mając na myśli październik 1956 roku, p. Maria Winowska pisze: ... „Najwyższe czynniki partyjne wezwały na ratunek Prymasa Polski... żeby ratował Polskę przed losem Węgier” (*Kultura* Nr 5/356, 1977, str. 15/16). Wiadomo natomiast powszechnie, że Sowiety nie użyły siły dlatego, że Gomułka zapewnił Chruszczowa że będzie umiał doprowadzić Polaków do uległości bez potrzeby interwencji sowieckiej. Chruszczow Gomułce uwierzył, a Gomułka to zobowiązanie wykonał. W tym międzypartyjnym porozumieniu, mającym na celu umocnienie dominacji sowieckiej w Polsce, pomoc Kardynała nie była Gomułce potrzebna. I oczywiście Kardynał nigdy by nie przyłożył ręki do tej haniebnej transakcji. Gomułka zwolnił Kardynała z aresztu, bo uważał, że takie posunięcie rozładuje antypartyjne nastroje w Kraju. Zwolnienie więc Kardynał zawdzięczał uznaniu, jakim się cieszył w społeczeństwie, a nie gotowości do spełnienia żądań partii. Nigdy nie był posłuszny „wezwanemu najwyższych władz partyjnych” i na pewno nigdy nie będzie. Bo przecież każdy wie, że władze te mówią głosem naszych sowieckich okupantów. O ile wiem, lojalność p. Winowskiej wobec Kardynała nie ulega żadnej wątpliwości, ale właśnie dlatego ten przykład doskonale pokazuje, do czego prowadzą błędy w myśleniu politycznym.

wierności zasadom. Nie prowadzi jednak i nie może prowadzić działalności politycznej, bo w jego istocie nie leży dążenie do uzyskania i sprawowania władzy. A więc Kościół nie jest opozycją, ale z drugiej strony nie można też twierdzić, że współpracuje z reżymem, albo że „popiera Gierka”⁴¹. Kościół działa w Polsce, a więc w wielu sprawach jest oczywiście uzależniony od władz (budowa kościołów, itd.). Musi więc z władzami mieć stosunki. Jest przez władze bardziej lub mniej szukanowany, zależnie od różnych faz, przez jakie przechodzi polityka partii i zależnie od okoliczności stawia tym szukanom mniejszy lub większy opór. Nie może być oczywiście żadnej mowy o zgodności systemu wartości między Kościołem a partią. We wszystkich ważnych sprawach są one całkowicie przeciwstawne⁴² i nie pozostawiają pola do żadnego kompromisu. Pod rządami kardynała Wyszyńskiego Kościół na żaden kompromis w sprawie zasad nie poszedł.

b) Rola działaczy katolickich

Politykę świeckich działaczy katolickich traktować trzeba odrębnie od polityki Kościoła. Prasa katolicka, a przede wszystkim *Tygodnik Powszechny*, położyła niewątpliwie wielkie zasługi przez to, że przez wiele lat głosiła poglądy niezależne od partii. Trudno jednak mieć uznanie dla różnych ugrupowań katolickich biorących udział w życiu politycznym PRL. Zaczęło się od PAX-u, który jawnie współdziałał z partią w walce z wpływami Kościoła. Historia innych grup jest także żałosna. Sprowadza się ona do serii rozłamów, wyłaniających co parę lat nowe grupy, coraz bardziej ugodowe w stosunku do partii. Wszystkie osiągnięcia grup katolickich w Sejmie w okresie lat dwudziestu, to parę niezłych przemówień, głównie w 1968 roku, parę rezolucji w dobrych sprawach, ale bardzo ostrożnych i jeden głos wstrzymujący się w głosowaniu nad poprawkami do Konstytucji.

Tłumaczyć to można nie tylko podatnością działaczy katolickich na wpływy płynące z ośrodków władzy, ale i błędną koncepcją polityczną. Jak się zdaje, liczą oni na to, że układnością i

41. Takie sformułowania ostatnio dość często czyta się na Emigracji: np. J. Chłedecki: „Wyszyński, Gierek i co dalej?”, *Tydzień Polski* Nr 48 z dn. 3. 12. 1977, str. 1, i Katolik z PRL: „Gierek, Prymas, Papież”, *Tydzień Polski* Nr 50 z 17. 12. 1977, str. 5.

42. Oczywiście pominąć można sprawy polityczne marginesowe, takie np., że Kościół i państwo potępiają bandytyzm. Ale i to nie oznacza, że Kościół będzie z państwem współpracował na polu zwalczania bandytyzmu.

gotowością do kompromisu zdołają coś osiągnąć. Tymczasem polityka taka prowadzi do utraty autorytetu w społeczeństwie, a na partii nie robi żadnego wrażenia. Działacze ci, uzyskanie paru mandatów w Sejmie uważają za sukces, ale zaraz po ich uzyskaniu prześcigają się w ustępliwości, żeby tych mandatów nie utracić. Mniej „elastyczni” odpadają oczywiście w tym wyścigu i są z Sejmu eliminowani. Doprowadziło to do tego, że obecnie nie ma w Sejmie żadnej grupy katolickiej, która by reprezentowała nawet jakieś pozory samodzielnego stanowiska.

W rezultacie, działalność grup katolickich, w różnym stopniu kolaborujących z reżymem, posłużyła tylko do zamaskowania totalitarnej natury rządów w Polsce i do stworzenia pozorów rzekomego ich liberalizmu i tolerancji na użytek naiwnych cudzoziemców. W żadnym razie nie można jej zaliczyć do autentycznej opozycji. Nawet wtedy, gdy kolaboracja ta dotyczy jakiejś frakcji partyjnej, która chwilowo pozostaje w opozycji do frakcji będącej u władzy⁴³.

Sprawą najważniejszą jest jednak fakt, że manewry działaczy katolickich nie wychodzą na dobre Kościołowi. Jeśli nawet nie są bezpośrednio skierowane przeciw Kościołowi, tak jak działalność PAX-u, szkodzą mu pośrednio przez używanie nazwy katolicyzmu dla pokrywania działalności budzącej poważne zastrzeżenia. Na szczęście wydaje się, że ludzie w Polsce dobrze się już nauczyli odróżniać Kościół i Prymasa od różnych katolickich polityków.

8. KONCEPCJE POLITYCZNE I METODY DZIAŁANIA OPOZYCJI

Istnieje kilka zagadnień związanych z polityką opozycji, co do których ciągle jeszcze istnieje wiele nieporozumień. Warto je tu pokrótce omówić i wyjaśnić.

43. Każda forma ustępliwości w sprawach światopoglądowych może tylko przynieść szkodę grupom katolickim. Ideologia marksizmu-leninizmu zbankrutowała całkowicie i nic więc dziwnego, że jej dawni zwolennicy gotowi są szukać ratunku w każdym kompromisie. Katolicy natomiast nie mają żadnego powodu do ustępliwości, bo moralna pozycja Kościoła nigdy nie była w Polsce mocniejsza. Poza tym, na tej ustępliwości nie mają nic do zyskania. Fraternalizacja z komunistami tylko ich kompromituje w oczach społeczeństwa.

a) Interwencja sowiecka

W różnych dyskusjach dotyczących sytuacji w Polsce słyszy się często ostrzeżenia przed zbrojną interwencją sowiecką. Przedstawia się tę interwencję, jako coś najgorszego co może nas spotkać. A jednocześnie różne frakcje partyjne dają nam do zrozumienia, że tylko one będą nas umiały przed taką interwencją uchronić. W argumentach tych wiele jest mitologii, a często i chęci zaciemnienia problemu.

Przede wszystkim trzeba stwierdzić, że interwencja sowiecka w sprawę polskie nastąpiła w latach 1944/45 i jej skutki w całej pełni trwają do dziś dnia. Żadna nowa interwencja nic w tej przykrej sytuacji nie zmieni. Dowodem na to jest porównanie sytuacji krajów, w których ponowna zbrojna interwencja nastąpiła (NRD, Węgry i Czechosłowacja) i tych, gdzie takiej interwencji nie było (Polska, Rumunia, Bułgaria). Między położeniami w tych dwóch grupach państw nie widać wyraźnej różnicy.

Pełne zabezpieczenie przed interwencją sowiecką możliwe jest tylko w sytuacji, która byłaby dla Polski najgorsza, a mianowicie, gdyby naród polski zrezygnował ze swych dążeń niepodległościowych, gdyby wyszła w nim myśl polityczna i zgniła moralność. Jednym słowem, gdyby Polacy pogodzili się z niewolą. Wtedy na pewno zbrojna interwencja nie będzie nam groziła. Uznajmy więc, że stan zagrożenia interwencją sowiecką jest stanem normalnym, w którym w obecnych warunkach dane jest żyć Polakom. Właśnie to zagrożenie świadczy, że jeszcze żyjemy.

Ale skąd się bierze ta gorliwość ze strony PZPR w bronienu nas przed interwencją sowiecką? Na pytanie to łatwo odpowiedzieć. Sowiety nie potrzebują interweniować wtedy, kiedy ich pełnomocnicy na Polskę wypełniają należycie swoje zadania, tj. kiedy potrafią utrzymać Polaków w uległości. Najlepiej zadania te spełniali Bierut, Berman i Minc terroryzując skutecznie Polaków w okresie stalinizmu. Wtedy interwencja na pewno nie była potrzebna. Nie była też potrzebna interwencja w październiku 1956, kiedy Gomułka przyrzekł Sowiетom, że bez ich pomocy przywróci spokój w Polsce. Krwawe represje na Wybrzeżu w 1970 roku również pokazały Sowiетom, że nie potrzebują interweniować.

Sowiety decydują się natomiast na interwencję wtedy, gdy ich pełnomocnicy na Polskę nie mogą sobie dać rady z Polakami. Interwencja jest więc przede wszystkim dyskwalifikacją ekipy rządzącej w Polsce i niesie dla niej wyrok śmierci politycznej. Jeśli przedstawiciele reżymu mówią (zwykle szeptem) o groźbie

interwencji sowieckiej w Polsce, to naprawdę mają na myśli zagrożenie swoich własnych posad.

Tę obawę przed interwencją sowiecką można wyzyskać na korzyść społeczeństwa i opozycji niepodległościowej. I faktycznie zrobili to już niedawno robotnicy Ursusa.

Można przyjąć za rzecz pewną, że Sowieci bardzo nie lubią, jeśli rozkręca się im szyny, szczególnie na kierunku prowadzącym ku Łabie. Akcja robotników Ursusa była więc wyraźnie antysowiecka. I dlatego właśnie miała takie powodzenie⁴⁴. Jaroszewicz zrozumiał, że jeśli sprawy nie załatwi, to w ciągu następnych 24-ch godzin, interwencja może go zdmuchnąć z premierostwa i zakończyć jego karierę polityczną. Z tego samego powodu całe kierownictwo partii było także w wielkim strachu. Podwyżka cen została więc odwołana następnego dnia.

Okazuje się, że groźba interwencji sowieckiej może skłaniać władzę do czynienia ustępstw wobec społeczeństwa. Wynika to z tego, że interwencja zagraża kierownictwu partii dużo bardziej niż zwykłym ludziom. Partii zależy więc jak najbardziej na przywróceniu spokoju. Powód, dla którego partia w 1976 zdecydowała się przywrócić spokój przez ustępstwa zamiast przez zastrzelenie kilkuset robotników, jak to zrobił Gomułka w 1970, jest skutkiem zmiany sytuacji wewnętrznej w Polsce. Mianowicie, pomiędzy rokiem 1970 a 1976 świadomość polityczna zrobiła w Polsce wielkie postępy, a solidarność robotników bardzo wzrosła. Wobec tego partia miała uzasadnione obawy, że krwawe represje mogą doprowadzić do rozszerzenia się rewolty, której krajowymi środkami nie da się opanować.

Można chyba liczyć na to, że sytuacja będzie się rozwijać w tym kierunku, to znaczy, że władza będzie coraz bardziej obawiała się stosować brutalne represje. Z czasem także i Sowiety mogą dojść do przekonania, że interwencja może im przynieść więcej szkody niż pożytku. Na nadejście takiej sytuacji trzeba jeszcze poczekać. Powstać ona może jako wynik wielu czynników, z których najważniejszym będzie z jednej strony niezłomna postawa całego społeczeństwa, a z drugiej względna słabość Sowietów z powodów wewnętrznych lub międzynarodowych.

A więc istnieją dwa zupełnie różne od siebie sposoby uniknięcia interwencji sowieckiej: albo przez poniżającą uległość wobec Sowietów i ich krajowych pełnomocników, albo przez taką postawę całego narodu, która sprawi, że Sowiety uznają

44. Robotnicy Ursusa wykazali nadzwyczajną intuicję w wyborze środków do osiągnięcia swych celów. A jeśli się kogoś radzili, to był nim ktoś, kto doskonale rozumie mechanizm działania władzy w Polsce i w Sowietach.

interwencję za zbyt ryzykowną. Nie ma potrzeby dyskutować, który z nich powinniśmy wybrać.

b) Finlandyzacja

Termin „finlandyzacja” od czasu do czasu wypływa w dyskusjach na temat przyszłości Polski. Mówi się czasem nawet, że dobrze by było, gdyby Polska została sfinlandyzowana⁴⁵. Koncepcje tego rodzaju wynikają z zupełnie błędnego zrozumienia, na czym finlandyzacja polega.

Finlandyzacja jest procesem uzależniania niepodległych krajów Europy Zachodniej od Związku Sowieckiego. Dokonywa się ona w ten sposób, że Sowiety wywierają na te kraje naciski gospodarcze i polityczne tak drogą dyplomatyczną jak i pośrednio przez miejscowe partie komunistyczne i inne opanowane przez komunistów ośrodki. Stopniowo prasa przestaje pisać całą prawdę o Związku Sowieckim, radio i telewizja eliminują programy, które mogłyby być Sowietom nie mile, uchodźcy polityczni z za „żelaznej kurtyny” są niechętnie przyjmowani, a w każdym razie utrudnia się im zabieranie głosu, antysowieckie wypowiedzi w debatach parlamentarnych są coraz rzadsze, a co ważniejsze, politycy znani ze swych antysowieckich wystąpień tracą szanse na otrzymanie wpływowych stanowisk. Polityka zagraniczna państwa staje się jak najbardziej tolerancyjna wobec komunistycznej infiltracji.

Jednym słowem proces ten prowadzi do sytuacji politycznej, w której od szeregu lat znajduje się Finlandia. Jest to sytuacja państwa niepodległego, ale nie zupełnie. Ograniczenie jego niepodległości polega na pozornie dobrowolnej, stale praktykowanej uległości wobec nacisków sowieckich.

Można by się dziwić, że taki proces wyrzekania się niepodległości w ogóle jest możliwy. Niestety, jego objawy widzimy jednak w wielu krajach. Sprzyja mu fałszywa informacja o Związku Sowieckim, indyferencja w sprawach politycznych i społecznych, brak przywiązania do instytucji demokratycznych, czasem także i argumentacja wielkich przedsięwzięć zainteresowanych w handlu z Sowietami, a zawsze strach przed konsekwencjami przeciwstawienia się naciskowi. Finlandyzacja doprowadzona do

45. Propozycje finlandyzacji Polski wysunięte były przez J. Kuronia w wywiadzie dla dziennika *Le Monde* z 29. 1. 1977, str. 2 (przedruk w *Dissent in Poland*, Londyn, 1977, str. 174/175) a także na konferencji prasowej dn. 9. 12. 1976 W. Brusa, L. Kołakowskiego i A. Michnika (sprawozdanie z konferencji w *Tygodniu Polskim* z dn. 18. 12. 1976, str. 12).

końca, oznaczałaby rozciągnięcie statusu pół-satelitów na wszystkie niepodległe państwa Europy bez potrzeby jakiegokolwiek interwencji militarnej ze strony Związku Sowieckiego.

O ile jednak status pół-satelity jest poniżający dla państwa niepodległego, to perspektywa zmiany statusu Polski ze zwyczajnego satelity na status finlandzki, czyli pół-satelicki, może się wydać atrakcyjna. Niestety, nie ma żadnego sposobu, żeby go osiągnąć. Proces finlandyzacji posuwa się tylko w jedną stronę: a mianowicie jest procesem ograniczania niepodległości na rzecz uzależnienia się od Sowietów. Nacisk Sowietów i skłonność do ulegania temu naciskowi są siłami, które ten proces posuwają naprzód. Siły te zastosowane do Polski nie prowadziłyby do finlandyzacji, ale do jeszcze większego uzależnienia Polski od Sowietów. Finlandyzacja jako cel polityki polskiej jest zwyczajnym złudzeniem.

Mamy oczywiście nadzieję, że Związek Sowiecki osłabnie kiedyś do tego stopnia, że nie będzie mógł swoich satelitów utrzymać w posłuszeństwie. Ale wtedy będziemy się domagali niepodległości, a nie statusu finlandzkiego.

c) *Eurokomunizm*

Słyszy się czasem zdanie, że koncepcje eurokomunizmu mogą mieć jakieś znaczenie dla dzisiejszej polityki w sprawie polskiej⁴⁶. Ale dyskusja na ten temat zwykle pozostawia wiele niejasności.

Eurokomunizm jest taktyką partii komunistycznych na zachodzie Europy w ich dążeniu do dojścia do władzy drogą legalną w ramach ustrojów parlamentarnych. Taktyka ta wymaga wyrzeczenia się koncepcji dyktatury proletariatu i przekonania opinii publicznej, że partia komunistyczna nie jest agenturą Związku Sowieckiego. Bez spełnienia tych dwóch warunków, partie komunistyczne nie mają szans na dojście do władzy drogą legalną. Stąd biorą się dążenia komunistów do uzyskania nowego oblicza w opinii publicznej na Zachodzie. Jak eurokomuniści zachowują się po dojściu do władzy w jakimś kraju Zachodniej Europy, tego nie wiemy na pewno, ale przewidywania, że okażą się dosko-

46. Zob. G. Herling-Grudziński i A. Michnik: „Dwugłos o Eurokomunizmie”, *Kultura* Nr 4/355, kwiecień 1977, gdzie przedstawione są różne stanowiska na ten temat. Także wywiad A. Michnika dla *L'Espresso* przytoczony w *Orzeł Biały - Na Antenie*, Nr 149, styczeń 1977, str. 26/27, oraz „Eurokomunizm i Europa Wschodnia” (nota o artykule G. Herlinga-Grudzińskiego w *Il Giornale* z 25. 2. 1978), *Kultura* Nr 4/367, kwiecień 1978, str. 70-73.

nałymi demokratami, wydają się cokolwiek naiwne. Nie należy to zresztą do naszego tematu, bo nie zajmujemy się tu Zachodnią Europą.

Jeśli jednak chodzi o sprawę niepodległości Polski, to pamiętamy dobrze, że komuniści zachodnioeuropejscy byli zawsze naszymi wrogami. Akceptowali ustrój narzucony Polsce przez Sowiety i uznawali go za socjalizm. Partie rządzące z ramienia Sowieców w krajach demokracji ludowej nazywali bratnimi partiami i byli z nimi w najlepszych stosunkach. Nie reagowali na terror, fałszywe oskarżenia, sfingowane procesy. Nie widzieli ani ucisku politycznego, ani wyzysku ludzi pracy. To stanowisko utrzymało się do dzisiaj. Ostatnio notowane wystąpienia w obronie praw człowieka dotyczą indywidualnych wypadków, a nigdy nie zawierają potępienia ustroju panującego w Polsce ani rządzącej w niej PZPR.

Nie tylko, że nie mają oni żadnej chęci nam pomagać, ale także nie mają możliwości. Nie będąc dotąd nigdzie u władzy, sami oczekują pomocy od „bratnich partii” będących u władzy w bloku sowieckim.

Liczenie więc na eurokomunistów w sprawie niepodległości Polski jest naiwnością polityczną, albo manewrem opozycji frakcyjnej, dla której przymierze z eurokomunistami może przynieść korzyści w rozgrywkach wewnątrz-partyjnych.

d) Dialog opozycji z partią

W rozmaitych wypowiedziach słyszymy o tym, że dialog taki byłby pożądanym⁴⁷. Warto jednak zapytać, czy jest on w ogóle możliwy? Mamy oczywiście na myśli dialog, który by miała podjąć z partią autentyczna opozycja.

Trudność czy nawet niemożliwość takiego dialogu polega na całkowitej przeciwstawności interesów społeczeństwa polskiego i partii, a właściwie władzy sowieckiej, którą partia reprezentuje. W sprawach zasadniczych, a mianowicie niepodległości i demokracji porozumienie jest niemożliwe, bo przecież postulaty te oznaczają likwidację partii i koniec dominacji sowieckiej. Zwolennicy dialogu podkreślają, że ma on przywrócić zaufanie między społeczeństwem a partią. Dziwne, że mówi się o przywróceniu

47. Konferencja prasowa w Londynie, *Kultura* Nr 1-2/352-353, styczeń-luty 1977, str. 163-165. Sprawozdanie z konferencji prasowej w *Tygodniu Polskim* z dn. 18. 12. 1976, str. 12. Wywiad J. Kuronia dla *Le Monde* z 29. 1. 1977. K. Modzelewski: „List Otwarty do E. Gierka”, *Aneks* Nr 13/14, 1977, str. 49-70.

zaufania, którego przecież nigdy nie było. Ważniejsze jest jednak, że postulat ten jest nie do przyjęcia dla opozycji autentycznej ze względów zasadniczych. Obudzenie świadomości politycznej społeczeństwa polega przede wszystkim na tym, żeby przyjęło ono postawę niepodległościową przeciwną sowietyzmowi panującemu w Polsce. To znaczy, żeby zrozumiało, że sprawująca władzę partia jest głównym wrogiem Polaków, do którego nigdy nie można mieć zaufania i który ustępuje tylko pod naciskiem i ze strachu. Już samo podjęcie dialogu stanowiłoby zaprzeczenie tego stanowiska.

Jeżeli chodzi o sprawy mniej zasadnicze, to trudności w podjęciu dialogu też są bardzo znaczne. Żadne porozumienie nie może mieć sensu, jeśli nie istnieje gwarancja jego dotrzymania. Wiemy z doświadczenia, że ze wszystkich ustępstw dokonywanych w okresach kryzysu, PZPR zawsze się wycofywała, gdy tylko trudności się kończyły. W istniejącym ustroju opozycja nie ma żadnych środków, które mogłyby zapewnić dotrymanie umów. Ponadto, nie ma obecnie i długo nie będzie nikogo, kto by miał prawo występować wobec partii w imieniu całego społeczeństwa. Dialog polega na stawianiu żądań i dokonywaniu ustępstw. Nikt nie ma teraz prawa dokonywać ustępstw w imieniu ogółu Polaków. Kiedy w przeszłości partia udawała, że prowadzi dialog ze społeczeństwem, to jako przedstawiciele społeczeństwa występowali nominaci partyjni. Był to zawsze oszukańczy monolog partii, dążący do rozładowania wrogich partii nastrojów. Z taką imprezą autentyczna opozycja nie może mieć nic wspólnego.

Stosunek opozycji do partii musi się oprzeć na zupełnie innych zasadach. Opozycja powinna dążyć do wytworzenia w Kraju takiej sytuacji, żeby PZPR obawiała się posunąć za daleko czy to w dziedzinie gospodarki (wyzysku robotnika i obniżenia stopy życiowej) czy ucisku politycznego (praw człowieka i praw politycznych). Trudno określić dokładnie, gdzie leżą te granice tolerancji i trudno też przewidzieć, na czym będzie polegała reakcja społeczeństwa, jeśli będą one przekroczone. Istota rzeczy jest jednak jasna, chodzi o to, żeby władza obawiała się tej reakcji. Ilustracją takiej sytuacji jest zachowanie się władz w czasie rozruchów 1970 i 1976. W 1976 roku władze nie śmiały wkroczyć z taką brutalnością, jak w roku 1970. Odwołały podwyżkę cen na jutro, a nie po dwóch miesiącach i widać było, że zaczynają się liczyć z opinią społeczeństwa. Był to bezpośredni skutek odrodzenia się autentycznej opozycji.

Można przypuszczać, że ten proces będzie postępował. To znaczy, że z jednej strony opozycja będzie się konsolidowała, występowała coraz bardziej konsekwentnie i wyznaczała coraz

węższe granice dla wrogich społeczeństwu manewrów PZPR. Ale do tego celu nie prowadzi żaden dialog, tylko akcja bezpośrednia lub groźba takiej akcji.

e) Legalność i jawność

Sprawą podstawową dla opozycji autentycznej jest pytanie, czy ma ona być jawna czy konspiracyjna, legalna czy działająca poza prawem. W warunkach sowyetyzmu nie może być jednoznacznej odpowiedzi na to, zdawałoby się, proste pytanie. Dlatego, że istnieje wielka rozbieżność pomiędzy tym, co jest napisane w Konstytucji i ustawach, a codzienną praktyką władz które, jak wiadomo, nie pozwalają społeczeństwu korzystać z wolności przewidzianych prawem. W ten sposób o tym, czy działalność jest legalna czy nielegalna, tj. ścigana przez prawo, w praktyce decydują nie opozycjoniści ale władze. I dlatego żadna akcja opozycyjna nie może mieć pewności, czy nie narazi się na prześladowanie, a więc czy w tym sensie nie stanie się nielegalna. W praktyce większa część działalności opozycyjnej jest i zapewne będzie prowadzona w granicach dozwolonych przez prawo pisane, ale wykraczać będzie daleko poza granice tego, co w praktyce toleruje UB. Prześladowanie za działalność, na którą prawo zezwala, daje opozycjonistom mocną pozycję, jeśli dojdzie do sprawy przed sądem, a także przy odwołaniu się do opinii publicznej. Każda taka sprawa, dochodząca do wiadomości ogółu, demaskuje naturę sowyetyzmu i kompromituje ustroj. Istnieją więc poważne argumenty za tym, aby działalność opozycyjną prowadzić w granicach prawa. Nie daje to jednak żadnej gwarancji, że nie będzie ona zakazywana i zwalczana przez władze. Nie ma więc żadnego powodu, żeby ruch, który dąży do zmiany ustroju i kwestionuje jego podstawowe założenia, zawsze skrupulatnie stosował się do obowiązujących ustaw. Kierować się należy aktualną sytuacją i dobrem sprawy, o którą opozycja walczy.

Podobnie rzecz się ma z jawnością. Ujawnianie nazwisk członków komórek opozycyjnych, które zaczęto ostatnio praktykować, ma ogromne moralne i polityczne znaczenie. Ukazuje całemu społeczeństwu, że są ludzie, którzy się nie boją przyznać do tego, że są opozycjonistami. Duża część działalności, która mieści się w granicach prawa pisanego, może pozostać jawna. Ale znowu inna część tej działalności nie powinna być ujawniona po prostu dlatego, żeby władza nie mogła tej działalności zbyt łatwo uniemożliwić, używając bezprawnych środków.

Warunki działalności politycznej w sowietyzmie są więc takie, że opozycja musi być zależnie od okoliczności legalna i nielegalna, jawna i konspiracyjna. Będzie to wynikało z zachowania się władz, a także i od samych działaczy, którzy muszą decydować, jaką i kiedy zastosować taktykę.

f) Pluralizm

Opozycja walcząca o demokrację musi być pluralistyczna, bo pluralizm jest warunkiem demokracji. Powinna ona reprezentować różne odcienie myśli politycznej i różne koncepcje ich realizacji. Wspólne wszystkim ruchom opozycyjnym musi być tylko zwalczanie sowietyzmu i dążenie do demokracji i niepodległości.

Pluralizm opozycji tworzy się spontanicznie. Jeśli się więc podkreśla jego konieczność, to nie po to, żeby go ustanowić, ale po to, żeby się sprzeciwić jego eliminacji.

Pluralizm musi być autentyczny. Nie będzie więc pluralizmem tworzenie kilku fasadowych organizacji, będących w istocie pod kontrolą jednego ośrodka politycznego. Ten sposób działania należy do chwytów taktycznych partii komunistycznych, które jak wiadomo są przeciwne pluralizmowi.

Uznając pluralizm grupa opozycyjna nie dąży do monopolu. Polemika z innymi grupami jest oczywiście dopuszczalna, a nawet pożądana, zupełnie na miejscu jest także walka polityczna o wpływ. Natomiast dążenie do całkowitego zniszczenia przeciwnika jest sprzeczne z zasadami pluralizmu, bo po prostu go likwiduje. Niedopuszczalne jest więc pozbawianie innych grup opozycyjnych środków informacji, co w warunkach pracy opozycyjnej jest sprawą podstawowej wagi, oraz dyskredytowanie ich w oczach społeczeństwa przez oszczerstwa i denuncjowanie ich przez donosy do wrogiej im władzy.

Emigracja mogłaby bardzo pomóc autentycznej opozycji w Kraju popierając jej pluralistyczną strukturę przez umożliwienie wszystkim grupom opozycyjnym wypowiedziania się na łamach pism emigracyjnych⁴⁸.

48. Stanowisko takie bardzo zdecydowanie sformułowała Redakcja *Kultury* („O pomocy dla opozycji w Kraju”, *Kultura* Nr 11/362, listopad 1977, str. 55-56). Czekamy teraz na to, żeby inne pisma poszły za tym przykładem.

9. OPOZYCJA NIEPODLEGŁOŚCIOWA W LATACH 1976/77 I JEJ PERSPEKTYWY NA PRZYSZŁOŚĆ

a) *Nowy etap*

W połowie roku 1976 nastąpił przełom w historii polskiej opozycji niepodległościowej. Polegał on na dwóch zasadniczych zmianach w sposobie jej działania.

Po pierwsze przełamany został przedział pomiędzy robotnikami a inteligencją. Po upadku buntu robotniczego w czerwcu 1976 robotnicy nie pozostali osamotnieni i bezbronni wobec brutalnej reakcji władz, ale spotkali się z poparciem i pomocą ze strony zorganizowanych grup inteligencji.

Po drugie, ośrodki opozycyjne zmieniły charakter. Dotychczas powstawały one spontanicznie, gdy narastała fala opozycji, ale rozpadały się i niknęły, gdy fala ta opadała. Teraz zorganizowały się jako ośrodki trwałe. Przyjęły zasadę jawności i działania zgodnie z Konstytucją i obowiązującymi ustawami i przez to rzuciły wyzwanie bezprawnym praktykom, powszechnie stosowanym przez władze. Postawiły sobie dwa bezpośrednie zadania: obrony praw człowieka i obywatela i rozwijanie świadomości politycznej społeczeństwa. Temu celowi służą liczne niecenzurowane wydawnictwa i wykłady „Uniwersytetu Latającego” (Towarzystwa Kursów Naukowych).

Ideologiczne oblicze tych ośrodków opozycyjnych jeszcze nie zupełnie się skryształizowało. Wydaje się jednak, że zawierają się w nim następujące elementy wspólne wszystkim ośrodkom: dążenie do niepodległości i demokracji, a więc przeciwstawianie się dominacji sowieckiej i ustrojowi sowietyzmu, który panuje w Polsce, negatywny stosunek do partii i jej przybudówek jak związki zawodowe i reżymowe organizacje młodzieżowe, niewiara w zmiany i reformy dokonywane w ramach ustroju, liczenie na zmiany polityczne, które ustrój będą stopniowo podważały i osłabiały, powściągliwość w stosowaniu gwałtownych demonstracji i wystąpień i zrozumienie, że jeszcze nie czas na nie, oraz docenianie budzenia świadomości politycznej w jak najszerszych kręgach inteligentów i robotników. Nie ulega więc wątpliwości, że nareszcie powstał w Polsce ruch opozycyjny dążący do demokracji i niepodległości.

Jest to ogromna zmiana na lepsze w położeniu Kraju. Nas-

tąpiła ona z zadziwiającą szybkością⁴⁹. Umożliwił ją przede wszystkim postęp w dojrzałości politycznej społeczeństwa, to znaczy, coraz bardziej powszechne zrozumienie tego, że jedyną drogą uzyskania czegokolwiek od władz jest nieustępliwe egzekwowanie swoich praw, postawa solidarności wobec wrogiej ludzom władzy i przewyciężenie strachu. W ten sposób opozycja dotychczas milcząca zaczęła przybierać postawę czynną. Ciągłe jeszcze jednak stosunkowo mała część zwykłych ludzi tę postawę przyjęła. Ale masa dotychczas milczących opozycjonistów jest ogromna. Czynna opozycja ma więc bardzo szeroką bazę w społeczeństwie.

Także polityka władz jest inna, niż była w przeszłości. W stosunku do uczestników wypadków czerwcowych zastosowano co prawda po fakcie brutalne represje, ale reakcja władz na same wypadki i ich polityka wobec tworzącej się opozycji była raczej powściągliwa. Przyczyną tego jest słabość i niepewność władzy, pochodząca ze strachu przed możliwością ruchu prawdziwie masowego. Chodzi tu oczywiście o polityczną słabość władzy, bo środków technicznych jej nie brakuje.

Nie znaczy to jednak wcale, że władza zrezygnowała ze zwalczania opozycji. Sądzić raczej można, że obok dotychczas stosowanych represji policyjnych, w większej mierze zamierza stosować środki walki politycznej.

b) Trzy przeszkody na drodze rozwoju opozycji niepodległościowej

Opozycja niepodległościowa, która tak żywiołowo rozwinęła się w roku 1976/77, musi się liczyć z przeszkodami, które na pewno napotka na swej drodze. Od ich pokonania zależy jej przyszłość.

Pierwszą z nich jest *bierność społeczeństwa* i jego uległość wobec władzy. Przedstawiłem powyżej (rozdz. 4) podział społeczeństwa według postaw politycznych, który w Polsce wykształcił stalinizm. Spośród tych grup „aparaczczy” i „aktywiści” istnieją nadal w mało zmienionej postaci i liczbie. Zmiany natomiast zastry w grupie „pozytywnych” i w „milczącej opozycji”. Mianowicie zwiększyła się liczba „pozytywnych”, tzn. tych, którzy bez reszty podporządkowują się reżymowi i nie przejawiają żadnej skłonności do jakiegokolwiek opozycji. Nie jest to skutkiem zwiększenia

49. O tym, że istnieją warunki do powstania opozycji pisałem w szkicu „Jedyna droga” (*Kultura*, Nr 3/294, marzec 1972, przedruk w *O myśl polityczną*, Londyn, 1976). Twierdziłem tam także, że należy przewidywać szybki rozwój opozycji w Polsce.

szanego nacisku władzy. W porównaniu z okresem stalinizmu ucisk poważnie się zmniejszył. Jest to raczej naturalny skutek upływu lat, które nie przyniosły zasadniczych zmian w panującym w Polsce systemie i kilkakrotnie sprawiały zawód wszystkim nadziejom. Pokolenie, które brało udział w walkach o niepodległość, zestarzało się i częściowo wymarło. Inteligencja polska, która była nosicielką tradycji narodowej, już nie jest tym, czym była⁵⁰. W rezultacie wielu z tych, których u końca stalinizmu zaliczyć można było do milczącej opozycji, zmieniło swą postawę. Urządzili się jakoś w ramach istniejącego ustroju, dbają tylko o swoje interesy i dla sprawy polskiej zostali straceni. Trudno powiedzieć, jaki jest obecnie zasięg tego rozkładowego procesu, ale zachodzi on na pewno. Wynika on z warunków, w jakich muszą żyć Polacy, a nie z realizacji jakiejś koncepcji politycznej. Znajduje on jednak oparcie w doktrynie, która uważa ochronę „substancji”, czyli fizycznego istnienia narodu za sprawę najważniejszą⁵¹. Ochrona „substancji” prowadzi niestety prostą drogą do pogodzenia się z panującym w Polsce reżymem. Zgodna jest więc z interesem partii i podważa szansę rozwoju każdej opozycji. Działacze opozycyjni powinni sobie z tego niebezpieczeństwa zdawać sprawę i energicznie mu przeciwdziałać.

Ale grupa „milczącej opozycji” przekształca się również i w inny sposób. Kiedy z jednej strony rozkłada się ona i powiększa liczbę „pozytywnych”, z drugiej wzmacnia się i konsoliduje, przekształcając się w opozycję jawną i czynną. Można mieć nadzieję, że ten właśnie proces będzie przybierał na sile.



Drugą przeszkodą, którą autentyczna opozycja może napotkać w przyszłości, jest zmiana politycznego klimatu w bloku sowieckim, koniec odwilży i nadejście politycznego zamrożenia, a więc powrót do *politycznych represji* wobec opozycji. Niestety, trzeba się z tym liczyć, że taka faza polityki sowieckiej, prędzej czy później, może nastąpić. Szeregi opozycji wtedy się przerzedzą, a jej ośrodki będą musiały przystosować się do innych warunków. Można jednak sądzić, że tym razem nawet ostre represje nie zdołają opozycji całkowicie unicestwić, lecz tak jak bywało to już w naszej historii, spowodują tym większą determinację i decy-

50. Por. Wstęp do zbioru moich artykułów *O myśl polityczną*, Londyn, 1976.

51. Doktryna ta, mająca swe źródło w przeciw powstańczej ideologii endencji, ma ciągle dość licznych zwolenników w różnych odłamach opinii.

zję podjęcia działalności w pełni konspiracyjnej. Na tę ewentualność opozycja musi być przygotowana.



Trzecią wreszcie przeszkodą, która może obezwładnić opozycję niepodległościową, jest opanowanie jej przez *opozycję frakcyjną* i pozbawienie jej treści przeciwsowieckiej i niepodległościowej.

Każdy zryw autentycznej opozycji był dotychczas w ten sposób właśnie przez jakąś frakcję partyjną opanowywany i wypaczany. Tym razem będzie to trudniejsze, bo opozycja jest bardziej skonsolidowana i ma, jak nigdy dotąd, szeroką podstawę w społeczeństwie. Nie ulega jednak wątpliwości, że opanowanie autentycznej opozycji jest dla partii sprawą o znaczeniu podstawowym. Obawiając się obecnie stosować brutalne represje i biorąc pod uwagę sytuację międzynarodową, w której Związek Sowiecki niechętnie by widział awanturę w Polsce, partia usiłuje opanować i rozłożyć opozycję niepodległościową od wewnątrz.

Wysiłki, jakie partia robi, aby podciąć podstawy ruchu opozycyjnego są godne uwagi. Charakterystyczne jest, że bierze w nich udział nie tylko urzędujące kierownictwo, ale i frakcje należące do wewnątrzpartyjnej opozycji oraz różne grupy, wywodzące się z partii. Wszystkie te ośrodki podjęły akcję prawie równocześnie i przemawiają niemal jednakowym językiem. Jest to zrozumiałe, bo przecież autentyczna opozycja zagraża całej partii: nie tylko aparatczykom aktualnie będącym u władzy, ale i wewnątrz partyjnym opozycjonistom, którzy aspirują do tego, żeby tę władzę kiedyś sprawować.

W maskowaniu swej prawdziwej roli kierownictwo partii poszło dziś dalej, niż kiedykolwiek przedtem. Nawet w oficjalnych wystąpieniach coraz mniej słychać o marksizmie-leninizmie. Aktualny członek Biura Politycznego⁵² w wywiadzie dla zagranicy deklaruje się jako zwolennik demokracji. Pierwszy Sekretarz spotyka się z Prymasem, składa wizytę Papieżowi i oznajmia, że stosunki z Kościołem nie pozostawiają nic do życzenia⁵³. Tu i ówdzie rozluźnia się cenzurę, a niektórym bezpartyjnym łatwiej przysznaje się paszporty zagraniczne.

Jeszcze bardziej znacząca rola w tej kampanii przypada frakcyjnej opozycji. Deklaruje ona daleko idące zmiany w swoim

52. R. Frelek: Wypowiedź cytowana w „Alternatywy PRL”, *Orzeł Biały - Na Antenie*, Nr 163/1310, marzec 1978, str. 14/15.

53. Różne wypowiedzi E. Gierka cytowane w „Audienceja Gierka u Papieża”, *Orzeł Biały - Na Antenie*, Nr 161/1308, styczeń 1978, str. 18/19.

stanowisku. Ewolucja poglądów obejmuje zarówno opozycjonistów ciągle pozostających w partii⁵⁴, jak i tych, którzy się z partii wywodzą, ale szeregi jej już opuścili.

Jesteśmy świadkami pewnego rodzaju kapitulacji ideologicznej ze strony tej ostatniej grupy. Widzimy jej odejście od marksizmu-leninizmu, deklaracje przeciw totalitaryzmowi, gesty pojednania wobec Kościoła i nawet akcenty niepodległościowe.

W tym wszystkim chodzi, jak widać, o to, żeby zatrzeć w pamięci Polaków rolę, jaką partia w Polsce odegrała. Następnie o rozpowszechnienie poglądu, że jeżeli w Polsce chciałoby się coś poprawić, to można to zrobić jedynie tylko przy pomocy partii lub ludzi, którzy z niej pochodzą: że nie ma dla Polski innej alternatywy, jak tylko pogodzenie się z tym, żeby *nie tylko władza ale i opozycja pozostawała zawsze w zasięgu wpływów partii*.

W rzeczywistości sprawa ma się odwrotnie. Wszystkie ustępstwa, które partia czyni, są albo pozorne albo nieistotne a zawsze łatwe do cofnięcia. Nie powinny one nikogo wprowadzić w błąd co do prawdziwych celów tej nowej taktyki. Naprawdę bardzo niewiele się w Polsce zmienia. Pomimo nowej frazeologii stosunek do Kościoła jest wrogi, pomimo przyciszenia marksizmu-leninizmu aparat sowietyzmu funkcjonuje bez zmiany, cenzura jest czynna, UB na posterunku, a społeczeństwo w dalszym ciągu nie ma reprezentacji.

Autentyczna opozycja niepodległościowa i demokratyczna ma swe źródło w siłach społecznych, które były zawsze partii przeciwnie. Może przybierać ona różne formy i dzielić się na wiele kierunków, ale wszystkie one muszą się spotkać *na jednej wspólnej drodze walki z partią* o uwolnienie Polski od narzuconego jej sowietyzmu i o odzyskanie Niepodległości.

Jan DREWNOWSKI

54. Charakterystyczna jest enuncjacja na rzecz demokracji ze strony b. aparaczyków najwyższego szczebla (tzw. grupy Ochaba) z końca 1977 r. („List do Gierka”, *Tydzień Polski* Nr 4/23 z 23. 1. 1978, str. 3).

Władysław ŻELEŃSKI

JESZCZE O ZABÓJSTWIE PIERACKIEGO I ROZRACHUNKACH POLSKO-UKRAIŃSKICH

*Dziś nie mieszkacie już w Polsce, ale za to
Polska silniej w was zamieszkała — ta
Polska którą określić należy jako najgłębszą
ludzkość waszą...*

Gombrowicz, *Sursum corda*

W odpowiedzi na moją pracę o zabójstwie ministra Pierackiego, ogłoszoną w nr. 25 *Zeszytów Historycznych* z roku 1973 i w oddzielnym wydaniu, ukazało się szereg artykułów ukraińskich i polskich, omawiających ten temat. Również wyszły w druku wypowiedzi, które się z tym przedmiotem wiążą pośrednio.

Pisząc mą pracę postawiłem sobie za cel „przyczynić się do lepszego poznania sprawy i do przekazania jej na użytek historii bez legend i możliwie bez niedomówień z polskiej strony”. Po tych nowych wypowiedziach uważam za mój obowiązek zabrać ponownie głos, zwłaszcza że znaczna ich część ma charakter polemiczny i przeciwstawia moim wywodom odmienne wersje i twierdzenia. Myślę, że podejmując ten dialog zdołam usunąć choć część nieporozumień, uzupełnić w pewnych punktach na podstawie nowych świadectw moją pracę a jednocześnie sprostować błędy, które się zakradły bądź do niej bądź do głosów moich oponentów. Nie robię sobie złudzeń: dla ludzi subiektywnie uprzedzonych wiele kwestii tak czy tak zostanie otwartych. Choćdzi jednak o to, by ich krąg się ograniczył i by znajomość przedmiotu posunęła się naprzód.

Odpowiadając na uwagi, odnoszące się do stosunków polsko-ukraińskich w ogóle i wychodzące poza poruszone przeze mnie tematy, rozszerzam i ja zakres mojej odpowiedzi. Korzystam

w tym ze swobody, jaką mi daje fakt, że wypowiadam się w własnym tylko imieniu.

Piszę ten artykuł z opóźnieniem, gdyż dopiero niedawno zdołałem uzyskać dawno oczekiwane, ważne wypowiedzi. Przejdę do nich w stosownych rozdziałach. Wszystkim korespondentom i tłumaczom tekstów ukraińskich składam serdeczne podziękowanie.

Sprawa Henryka Kaweckiego

Już po ukazaniu się mojej pracy, *Zeszyty Historyczne* zamieściły w nr. 27-31 z r. 1974 i 1975 wspomnienia Wiktora Tomira Drymmera, b. dyrektora personalnego w przedwojennym Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W zakończeniu tych „Wspomnień”, w nr. 31, w rozdziale zatytułowanym „Szpiegostwo i wroga dywersja w MSZ i innych resortach państwowych”, wśród paru wypadków stwierdzonej zdrady na rzecz ZSSR, Drymmer poświęcił dłuższy ustęp b. wiceministrowi spraw wewnętrznych, nie żyjącemu już Henrykowi Kaweckiemu, stwierdzając że i on jest podejrzany o to, że był na usługach sowieckich.

Kaweki już od roku 1918 pracował jako urzędnik państwowy. Emil Jerzy Czerniawski w swych zapiskach ze służby w Belwedrze¹, zaczętej w roku 1919, wymienia go jako referendarza w kancelarii wojskowej Naczelnika Państwa Piłsudskiego w stopniu porucznika. Gen. Kordian Zamorski w liście do mnie z dn. 18. IX. 1973 podaje, że Kaweki zaczął pracę w Belwederze w stopniu sierżanta. Potem Kaweki był w urzędzie bezpieczeństwa w Wilnie, skąd przeszedł do centrali, do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, dochodząc kolejno do stanowisk naczelnika wydziału bezpieczeństwa, dyrektora departamentu któremu ten wydział podlegał, aż wreszcie, w roku 1935, wiceministra spraw wewnętrznych, i to od spraw politycznych i bezpieczeństwa. Sądząc z relacji Tadeusza Krychowskiego, ogłoszonej w mej pracy, Kaweki miał poparcie Walerego Ślawka.

Gdy minister Bronisław Pieracki został zabity, Kaweki był właśnie dyrektorem departamentu politycznego, a więc z jego-to urzędem łączyły się wszystkie omówione już przeze mnie uchylenia, jak brak ochrony ministra i Klubu Towarzyskiego, gdzie dn. 14 czerwca 1934 roku został dokonany przez Grzegorza Maciejkę zamach, za późna likwidacja ośrodków Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) we Lwowie i w Krakowie,

1. *Zeszyty Historyczne*, nr 33 z r. 1975.

z których pochodził zamachowiec, spóźnione odczytanie sławnego „Archiwum Senyka”, w którym zamach na ministra „w Kawce” czyli w Warszawie był zapowiedziany, itd.

W pracy mej zanalizowałem te wszystkie zaniedbania i opóźnienia, na podstawie szczegółowych świadectw i autentycznych dokumentów. Przytoczyłem też bardzo krytyczną dla metod pracy Kaweckiego wypowiedź b. wiceministra spraw wewnętrznych Krychowskiego, w ciągu roku przełożonego Kaweckiego. Z danych tych wynikało, że nie było nigdzie złej woli i że wina tych wszystkich zaniedbań, opieszałości i niekompetencji, była rozłożona na wielu ludzi na różnych szczeblach, z tym że nie miała rolę odegrał nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

Teraz jednak, wobec zgłoszonego oskarżenia, że Kaweckie, przełożony urzędów czynnych w tych wszystkich wydarzeniach, w ich punkcie najbardziej newralgicznym, miał być agentem na służbie sowieckiej, cały obraz zmieniłby się całkowicie. Wszystko to, co stało się mimo woli, nabierałoby znaczenia rzeczy dokonanych umyślnie — z woli i na rzecz Moskwy.

Już dawniej, prawie od pierwszej chwili, dokoła śmierci Pierackiego powstał osad podejrzeń i nieufności. Stanisław Mackiewicz wyraził je bardzo dosadnie pisząc w swej „Historii Polski”², że Pieracki został wprawdzie zabity przez Ukraińców, ale podejrzewa, że z dopuszczenia jakichś organów naszej własnej policji (str. 227) i powtórzył to raz jeszcze dodając, że ma różne podejrzenia, kto zabójstwo to ułatwił, kto do niego dopuścił (str. 258). Ale Mackiewicz, jak to Mackiewicz, pochopny w arcypublicystycznych tezach, nie sprecyzował swych podejrzeń ani ich nie uzasadnił. Jeżeli by przyjąć teraz za Drymmerem, że zwierzchnik policji był na usługach sowieckich, trzeba by w konsekwencji dopuścić nawet, że z jego ręki istniały chyba, na szczeblach wykonawczych, inne „wtyczki” komunistyczne i że to wszystko zagrało w „dopuszczeniu” zamachu Maciejki. Mało tego — jeśli by twierdzenie Drymmera było prawdziwe, nie ta jedna sprawa, ale wiele, wiele innych spraw okresu międzywojennego nabrałoby innego wyrazu. I trzeba by w takim razie napisać historię Polski na nowo, z gruntu inaczej! Od kiedy jednak? Czy od początku, czy też od jakiejś późniejszej daty, ale jakiej?

Toteż oczekiwałem, że rewelacja Drymmera wywoła burzę — zdumienia, potwierdzeń lub protestów. Oczywiście liczyłem na nią tutaj, na emigracji, bo przecież w Kraju zarzut agentury sowieckiej nawet w czasie przeszłym dokonanym nie może być

2. Stanisław Mackiewicz (Cat), *Historia Polski od 11 listopada 1918 do 17 września 1939 r.*, Kolin, Londyn, 1941.

rozpatrywany i omawiany, takich tematów tykać tam nie wolno. Czas mijał i Drymmerowi odpowiadało milczenie. Nikt w tej sprawie głosu nie zabrał. Ukazały się wprawdzie w *Zeszytach Historycznych* i w londyńskim *Dzienniku Polskim* różne, dość istotne sprostowania, wykazujące wiele nieścisłości we „Wspomnieniach”, ale tego szczególnego, najistotniejszego rozdziału nikt nie zaczępił ani nie uwydatnił. Kompletna cisza! A więc do tego stopnia doszła ogarniająca emigrację znieczulica? Czy może „rewelacje” Drymmera przyjęto sceptycznie? Ale w takim razie czemu nikt tego głośno nie powiedział i nie uzasadnił?!

Czując się w pewnej mierze odpowiedzialny za wyjaśnienie zabójstwa popełnionego na min. Pierackim, podjąłem próbę wyświetlenia łączącego się z tym zabójstwem zarzutu Drymmera.

Uderzyło mnie przede wszystkim słabe i naiwne uzasadnienie, przedstawione przez samego Drymmera. Píše on na początek, że nigdy nie czuł do Kaweckiego sympatii, że Kaweckie doprowadzał młodzież akademicką przez zamienianie słabszych charakterów na „łapsów” (która policja tego, niestety, nie robi?), że Kaweckie podtykał min. Beckowi ulotki oskarżające Becka o defraudację oraz nielegalne pismo wydawane przez ONR Bolesława Piaseckiego, że atakował przed Beckiem zastępcę i współpracownika Drymmera oskarżając go o bezbożnictwo choć wobec samego Drymmera zarzutów tych nigdy osobiście nie zgłosił, że w drukarni ministerialnej za pieniądze państwowe odbijane było nielegalne pismo ONR podjudzające do ekscesów antysemitycznych, i że ostatecznie Kaweckie został na zarządzenie Kościłkowskiego, mianowanego premierem, usunięty ze swego stanowiska (z tym, że „wskutek dziwnego oportunistycznego mianowano go senatorem”).

Sprawa Kaweckiego — pisze Drymmer — wyplętała potem w czasie wojny w Jerozolimie, gdy powołana przez rząd londyński Komisja badawcza, złożona z Jerzego Aleksandrowicza, Robinsona i b. sędziego śledczego dla spraw szczególnego znaczenia, Jerzego Luxenburga zajęła się znaną swego czasu przed wojną i bardzo tajemniczą sprawą zastrzelenia za życia Piłsudskiego żandarma Koryzmy w parku Łazienkowskim przy pałacu Belwederskim. Oto ustalono jakoby w Komisji, że Kaweckie dał polecenie naczelnikowi wydziału bezpieczeństwa Suchenek-Suchekiemu „nastraszenia” żandarmerii, mającej straż przy Belwedrze, a to dlatego, że zdaniem Kaweckiego żandarmeria pełniła tę służbę niedbale. Suchenek Sucheki wywiązał się z tego zadania zbyt dosłownie: najęty „bandzior” podszedł w nocy do żandarma Koryzmy, zastrzelił go i uciekł. Przerażone władze zlikwidowały bandziora i sprawę zatuszowały. I tu, nieoczekiwanie, Drymmer

konkluduje: „Dalsze dochodzenia Komisji Badawczej w Jerozolimie prowadziły do stwierdzenia, że Kawecki był podejrzany, że był na usługach sowieckich”. Tyle — i tylko tyle!

Czytałem i znów czytałem całe to zestawienie „grzechów śmiertelnych” Kaweckiego i oczy przecierałem ze zdumienia: gdzie, w którym punkcie, w jakiej sprawie należy się dopatrzyć wskazówki lub choćby poszlaki, że Kawecki rzeczywiście był agentem obcego mocarstwa? Poza zabójstwem Koryzmy, przypisanym przez samego Drymmera nie prowokacji ze strony Kaweckiego (bo w danym razie Kawecki działałby w trosce o bezpieczeństwo Piłsudskiego) ale nieostrożności i przestępczej nadgorliwości Suchenka, wszystkie inne zarzuty jakże są słabe, nieudolne, niepoważne! (Sprawa drukarni — jedna jedyna, zasługiwała na sprawdzenie). I skąd ten nieoczekiwany, niczym nie podbudowany, głośłowny finał — że Kawecki był „na usługach sowieckich”?

Zdumienie moje było tym większe, że Drymmer sam na wstępie tego ustępu zaznaczył, iż Komisja badawcza [dla wyjaśnienia przyczyn klęski wrześniowej] szukała materiału dla oczerznienia rządów sanacyjnych, (w czym Drymmer ma niewątpliwie rację, bo wiadomo że tak było). A więc?

Byłem już skłonny przypisać nieporadność całego tego wodu wiekowi i chorobie autora. Drymmer pisał swe „Wspomnienia” mając bodaj ponad 80 lat, był chory i wkrótce po ich zakończeniu zmarł. Ale to przypuszczenie okazało się błędne: prof. Jerzy A. Wojciechowski z Ottawy, który był z Drymmerem w stosunkach, powiedział mi, że owe ciężkie oskarżenia pod adresem Kaweckiego słyszał z ust Drymmera już na wiele lat przed ogłoszeniem ich w druku.

Rozpisałem tedy zapytania do kilku osób, które w czasie służby miały przed wojną wiele do czynienia z Kaweckim, prosząc o szczerą opinię. Nie ma wśród nich b. wiceministra Krychowskiego, bo jak wiadomo zmarł z początkiem roku 1974. Jestem jednak pewny, że gdyby miał wątpliwości co do uczciwości i lojalności obywatelskiej Kaweckiego, byłby temu w jakiś sposób dał wyraz z znanym już liście, ogłoszonym w mej pracy. Nawet najlżejszą aluzją tego nie okazał, z czego wniossek, że podejrzeń nie miał. Oto zaś odpowiedzi, które uzyskałem w mej ankiecie.

Płk dypl. Stefan Mayer, do wojny szef wydziału II-go wywiadowczego w Oddziale II-gim Sztabu Głównego, w liście z Londynu z dn. 24. IV. 1975 zanalizował z podobnym jak ja wynikiem zarzuty Drymmera. Co do rzekomego druku w drukarni MSWewn. pisma *Sztandar* (a nie „Falanga” jak napisał Drymmer), wydawanego przez Falangę Bolesława Piaseckiego,

zaznacza: „Nigdy o takiej sensacyjnej historii nie słyszałem, a miałem przecież w MSWewn. sporo dobrych znajomych a nawet przyjaciół, którzy nie wahaliby się poinformować mnie o takim skandalu. Myślę, że to inwencja Drymmera, który dotknięty tym, że ktoś inny miał dostęp informacyjny do jego ministra, swoje supozycje przedstawił jako rzeczywistość”.

„Zabójstwo st. żandarma Koryzmy ma już obfitą literaturę w Kraju. Zaczęło się od książki znanego Jerzego Rawicza „Doktor Łokietek i Tata Tasiemka” [...] która wywołała ożywioną dyskusję w prasie. [...] w całości ten materiał daje dużo, chociaż jeszcze nie wszystko, jeżeli chodzi o naświetlenie tej sprawy. Jest w tym materiale sporo o roli Wacława Suchenka i agenta warszawskiego Urzędu Śledczego Franciszka Sieczki, na którego wszystkie poszlaki wskazywały jako na zabójcę Koryzmy. Nigdy jednak w żadnej nawet pośredniej formie Kawecki nie został wymieniony jako ten, który miał jakikolwiek związek z tą sprawą. Luxenburg, który początkowo prowadził śledztwo, został bardzo szybko odsunięty, gdyż jak wówczas sądziliśmy, ppłk Piątkowski, wtedy odpowiedzialny za ochronę Marszałka, obawiał się jego krytyki. A kiedy dochodzenie prowadzone przez wojskowy aparat sądowy i żandamerię utknęło na martwym punkcie, a aparat wywiadu obronnego II-go Oddziału uzyskał poszlakowe dane obciążające Sieczkę i Suchenka jako inspiratora, ja z Luxenburgiem poszliśmy do min. Prystora z sugestią dalszego dochodzenia już w tym kierunku. Prystor w tym czasie nieoficjalnie ale w sposób bardzo ważki zajmował się ochroną Marszałka. Prystor wysłuchał referatu Luxenburga. Nie dał żadnej odpowiedzi. Konsekwencją było tylko bardzo szybkie wysłanie Suchenka na kurs kryminologiczny do Lozanny a potem mianowanie go naczelnikiem wydziału śledczego w Stanisławowie. [...] Wersja o udziale Kaweckiego w sprawie Koryzmy to opar powstały dopiero po naszej klęsce w 1939. Dodać muszę, że gdzieś na przełomie 1929 do 1930 Sieczko, węzłowa postać w sprawie Koryzmy, zginął w rozprawie ‘flaczarskiej’, co ostatecznie zamknęło perspektywę wyświeatlenia sprawy”.

„A teraz ten szczytowy zarzut Drymmera, że Kawecki był agentem sowieckim. Pomijam źródło, z którego Drymmer czerpał te rewelacje, wszyscy wiemy, co o tej osławionej ‘Komisji trzech’ sądzić... Kawecki miał opinię wybitnego specjalisty od spraw komuny w Polsce. Był nim niewątpliwie. Szczycił się tym i był nawet zazdrosny o monopolistyczną pozycję w tym względzie. Miał wielkie sukcesy w zwalczaniu ruchu komunistycznego. Właśnie te jego sukcesy były przyczyną, że w trzydziestych latach niemal całe kierownictwo KPP musiało wyprowadzić

się ze względu na swoje bezpieczeństwo do Związku Sowieckiego, który miał je gwarantować a w rezultacie przyniósł zgubę.

Pochwalił się Kawecki sukcesami na tym polu patronując wydaniu *Historii KPP*, opracowanej przez Jana Alfreda Regułę (pseudonim pozyskanego przez Kaweckiego do współpracy wysoko postawionego w hierarchii komunistycznej niejakiego Mützemachera). Książka ta pełna szczegółów obnażała wewnętrzne tarcia i intrygi w łonie kierownictwa partii i na pewno jest dotąd najlepszym wprowadzeniem do studium polskiej komuny. Nie ulega wątpliwości, że to właśnie ta książka pomogła Stalinowi w sformułowaniu oskarżenia KPP, iż jest ona do głębi spenetrowana przez polską służbę bezpieczeństwa”.

„Nigdy do czasu 'rewelacji' Drymmera nie doszła do mnie jakakolwiek chociażby pośrednia wiadomość, że Kawecki był agentem sowieckim, czy nawet tylko, że jest o to podejrzany. Miał doskonałe kontakty wśród komunistów, ale to w żadnym wypadku nie rzucało cienia na jego lojalność państwową”, kończy płk Mayer swą wypowiedź.

B. Dyrektor departamentu politycznego w MSWewn., Wacław Żyborski dał mi w liście z dn. 28. V. 1975 równie kategoryczną odpowiedź, tłumacząc jej zwiążłość chorobą oczu i innymi kłopotami:

„Relacja byłego i niestety krótkotrwałego wiceministra Krychowskiego, którą Pan podał w swym opracowaniu o zabójstwie min. Pierackiego, w pełni obrazuje tło i osoby w nim występujące. Jeśli chodzi o winnych i odpowiedzialnych za zaniedbanie w porę nie tylko archiwum Senyka ale i rozpracowania od podstaw wszystkich organizacji wywrotowych, to w moim przekonaniu wina i odpowiedzialność spadają na cały Departament polityczny. Kawecki był specem od komuny, a był w tym krytycznym czasie i przez długie lata przedtem naczelnikiem Wydziału bezpieczeństwa a później dyrektorem Departamentu [...] Teza Drymmera bez pokrycia. Jak można zwalczać komunę i być równocześnie agentem sowieckim?! I to przez tyle lat!”.

„Kaweckiego straciłem z oczu, gdy został przeniesiony na emeryturę w roku 1937. Kucharskiego trudno obarczać odpowiedzialnością jako zupełnie świeżego naczelnika Wydziału Bezpieczeństwa, który bezspornie miał jak najlepsze chęci nie mając ani przygotowania należytego ani też materiałów, na których mógłby się oprzeć. Samego archiwum Senyka ani Kawecki ani Suchenek [brat Wacława, naczelnik Wydziału Narodowościowego min. Spr. Wewn.] nie potrafili rozszyfrować, mimo że usilnie starali się o to. Skrzynie!! [Archiwum] Senyka w części otrzymałem od Suchenka

a w części od Kaweckiego z jego prywatnego mieszkania a nie od Kucharskiego, gdzie przede wszystkim powinno być się znajdować”.

Po czym w następnym liście z 22. VI. 1975: „Skrzynie z aktami Senyka wędrowały od Naczelnika do Naczelnika i zakończyły swą wędrówkę u dyr. Kaweckiego [...] Każdy miał być rzeczoznawcą w sądzie i na tym się skończyło i nic z tego nie wyszło. To że skrzynie przebywały w kolejnych mieszkaniach prywatnych to rozumiacie. Takiej ogromnej ilości dokumentów — bardzo wiele zaszyfrowanych — z różnymi pseudonimami zmienianymi przez poszczególne osoby Prowidu dość często, nie sposób było rozgryzać w biurze w godzinach urzędowych, tylko wieczorami i nocami w domu i to za wiedzą i aprobatą ministra”.

„Dalsze rozpracowanie materiałów Senyka, które miało miejsce już po samym procesie Bandery i tow. dostarczyło bardzo wiele danych, wielu z nich pouciekało poza granice państwa”.

B. Komendant Główny Policji Państwowej generał Kordian Zamorski w liście z dn. 11. VI. 1978 wyraził następującą opinię:

„Osobiście żadnej sympatii do Kaweckiego nigdy nie miałem. Poznałem go dość późno, bo w roku 1921, w Belwederze. Uważałem go za legionistę, który przez oddanie się bez reszty Komendantowi trawi czas i młodość na malutkim stanowisku pisarza w stopniu sierżanta w kancelarii cywilnej Naczelnika Państwa. Pewnego dnia, kiedy przybyłem do Belwederu z Grodna, zagadnąłem Kaweckiego na ten temat. Powiedział mi, że nie mając żadnego 'zaplecza' nie może się wychylić w żadnej grupie politycznej, bo on w Rosji do żadnej grupy ideowej polskiej nie należał będąc tylko członkiem S.R. rosyjskiej, czyli jak mi dosłownie powiedział: *'ja od swoich adstał a k'czużym nie prystał i taki tu siedzę'*. Kto go do Belwederu wprowadził nie wiem. Wiem, że zjawił się na terenie Wilna, działał w 'Samoobronie' czy w 'Związku Bezpieczeństwa Kraju', po czym wyptynał na małym stanowisku w wileńskim Urzędzie wojewódzkim. Po maju 1926 powołany do MSWewn. objął stanowisko naczelnika wydziału bezpieczeństwa. Kiedy Ministrem spraw wewnętrznych został Zyndram Kościółkowski, Kaweckie objął stanowisko dyrektora Departamentu Politycznego. Przypuszczam, że obaj panowie znali się z czasów wileńskich i stąd zaufanie wzajemne. W niedługim czasie wiele spraw polskiej polityki wewnętrznej zaczęło zależeć od Kaweckiego. Kiedy przyszedłem z wizytą kurtuazyjną, z miejsca zastrzegł sobie, że ja jako Komendant Główny PP nie mam żadnych kompetencji w stosunku do służby wykonawczej PP i że on jest jedynym jej dysponentem.

Nie znał zupełnie zagadnienia ukraińskiego w Polsce. W stosunku do Ukraińców, coraz bardziej świadomych swojej odrębności narodowej, miał nastawienie negatywne, powiedziałbym — moskiewskie. Potrafił je narzucić każdemu kolejnemu ministrowi spraw wewnętrznych i całemu aparatowi w terenie. Wielka pacyfikacja województw wschodnich w roku 1930 była jego dziełem, obmyślona przez niego w szczegółach. Zginął w czasie tej pacyfikacji ukraiński przywódca UW Holoński. Tu zdaje się jest źródło jego strachu przed Ukraińcami, strachu którego Kawecki nie potrafił opanować i ukryć, i który rósł w miarę jak Ukraińcy coraz bardziej manifestowali wolę walki.

Jeśli chodzi o 'komunę', to muszę przyznać, że Kawecki miał na tym odcinku bardzo dobre i głęboko sięgające kontakty wśród członków 'wierzchuski' KPP. Tu właśnie widzę źródło późniejszych podejrzeń. Drymmer dał im wyraz w swoich wspomnieniach nie z autopsji ale na podstawie plotek politycznych, które były plagą przedwojennej Warszawy.

Ogólnie biorąc, na stanowisku naczelnika wydziału bezpieczeństwa Kawecki był szkodliwy, na stanowisku dyrektora Dep. Polit. — katastrofalny. Nie potrafił postawić działania podległych mu organów na właściwym poziomie. Odszedł z tego stanowiska grubo za późno i szkoda że odszedł jako senator RP.

Niemniej wykluczam, by Kawecki był sowiecką wtaczką. Żadne fakty tego nie potwierdzają".

Pytania w sprawie Henryka Kaweckiego skierowałem też do Mikołaja Dolanowskiego, który, jak to przypominałem w mej pracy, był w krytycznym czasie wiceministrem spraw wewnętrznych i z tego tytułu zwierzchnikiem Kaweckiego. Pierwszy list z szczegółowymi pytaniami wystosowałem 14. IV. 1975. Odpowiedział mi 4. V. 1975 donosząc, że musi dopiero „zapoznać się z tym co napisał Tomek Drymmer. Zajmie mnie to nieco czasu, więc proszę nie dziwić się, że odpowiedź nie nadejdzie od razu". Po moim ponagleniu listowym z 6. VIII otrzymałem wreszcie list z 11. X dość obszerny, z oceną Kaweckiego ale i tym razem napisany bez zapoznania się z odpowiednim rozdziałem „Wspomnień” Drymmera. Nalegałem więc raz jeszcze, tym razem bez odzewu. Zaległo długie milczenie, mimo interwencji znajomych i przyjaciół. Doniesiono mi, że Dolanowski niedomaga i jest bardzo zajęty, obiecuje jednak szybko się odezwać. Po roku znów się upomniałem, daremnie jednak. W tym stanie rzeczy wybrałem się do Londynu gdzie wyjednałem spotkanie 22. IX. 1977. W ciągu rozmowy trwającej 3 godziny sporządziłem notatki, na podstawie których po powrocie do Paryża wysłałem do Dolanowskiego tekst jego wypowiedzi do autoryzacji. I tym

razem jednak długo nie miałem odpowiedzi. Ostatecznie Dolanowski odesłał mi tekst z kilku poprawkami i wstawkami wraz z listem datowanym 5. III. 1978, najwidoczniej pisanym ze szpitala. Pisał w nim:

„Sądzę, że ten list jest musztardą po obiedzie. Wysyłam go jednak z łoża boleści, bo chcę, choć po czasie, być wobec Pana i siebie w porządku. O moich tu kłopotach, które wpłynęły na tak 'punktualne' załatwienie sprawy opowiem osobiście o ile będę w Paryżu względnie napiszę gdy wrócę i do zdrowia i do siebie samego”.

Kilka dni później doszła mnie wiadomość, że Mikołaj Dolanowski zmarł 15. III. 1978.

Wyszczególniłem tu wszystkie okoliczności, nie chcę bowiem, by zwłoka ta mogła być przypisana wahaniom czy też niechęci Dolanowskiego do zabrania głosu w poruszonej sprawie. Przeciwnie, o zarzucie podniesionym przez Drymmera wypowiedział się zdecydowanie i bez zastrzeżeń. Już w pierwszym liście napisał, że „w [jego] przekonaniu absolutnie nie ma podstaw do posądzeń podanych przez Drymmera”. Zaś w odpowiedzi ostatecznej, przedśmiertnej, oświadczył co następuje:

„Henryka Kaweckiego znałem dobrze i od dawna. W okresie, gdy byłem podsekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, Kawecki jako dyrektor departamentu politycznego podlegał mi bezpośrednio. Do służby administracyjnej przeszedł z policji o ile pamiętam w latach 20-tych. Był naczelnikiem wydziału bezpieczeństwa w urzędzie wojewódzkim w Wilnie a potem w MSWewn. w Warszawie. Praca jego była bardzo owocna. Główną wagę przywiązywał do spraw związanych z działalnością Komunistycznej Partii Polski. Działalność tę nadzorował i paraliżował skutecznie. Miał w partii sporo informatorów, był zorientowany w tendencjach, rozgrywkach i walkach frakcyjnych.

Cały nasz system samoobrony przed akcją Partii Komunistycznej był dobrze pomyślany. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że w naszych warunkach wobec stałej tendencji władz sowieckich do infiltracji i werbowania sobie zwolenników w Polsce, przeprowadzenie linii demarkacyjnej między polskimi komunistami a agentami rosyjskimi było bardzo trudne i raczej wręcz niemożliwe. W tej sytuacji musieliśmy być bardzo ostrożni i czujni. Jako odpowiedzialny za bezpieczeństwo i spokój w kraju wychodziłem z założenia, że w obecnym rozwoju techniki i wielkiego skupienia ludności w stolicy, na wypadek dokonania próby przewrotu ważniejsze było opanowanie elektrowni, wodociągów, kolei, stacji radiowych itp., niż opanowanie centralnych gmachów rządowych. W porozumieniu z władzami wojskowymi

opracowana została Techniczna Instrukcja Sapersko-Kolejowa (TISK) na wypadek prób sabotażowo-przewrotowych.

W pracy tej Kawecki wziął czynny udział. Na szczęście nie zaszła potrzeba wprowadzenia tej instrukcji w życie. Gdyby na szczeblu Kaweckiego ktoś istotnie pracował dla Rosji a tym samym dla partii, musiałoby to się w jakiś sposób wyrazić w kraju. Otóż komuniści nigdy nie potrafili, choć tego przecież bardzo chcieli, zrobić w Polsce coś istotnego i nigdy nie zdołali rozszerzyć swych wpływów w polskich partiach robotniczych i w związkach zawodowych. Mieli duże wpływy w żydowskiej partii „Bund” a nadto w pewnych nielicznych grupach radykalnej inteligencji, głównie żydowskiej.

Więc też lekkomyślną tezę Drymmera o rzekomej pracy agenturalnej Kaweckiego dla ZSSR, niepopartą żadnym dowodem, wkładam między bajki i kategorycznie odrzucam”.

Dolanowski wyjaśnia również, że zdjęcie ochrony z ministra Pierackiego nie miało nic wspólnego z Kaweckim i zarządzane było na wyższym szczeblu:

„Minister Pieracki nie był chroniony po prostu dla tego, że sam tak zarządził. Nie długo przed zamachem, ze względów oszczędnościowych Komisarz Rządu na m.st. Warszawę, W. Jaroszewicz zreferował mi swoje plany skasowania względnie zmniejszenia posterunków policji śledczej. Była to sprawa należąca do jego kompetencji, ale dla pewności mnie ją zreferował. Gdy chodziło o posterunek przed Klubem Towarzyskim na ul. Foksal i przed spółdzielnią mieszkaniową „Proporzec”, powiedziałem mu, że na to się nie godzę. Ponieważ upierał się przy swoim, powołując się na brak pieniędzy, powiedziałem mu, że ma zreferować sprawę ministrowi, co też uczynił. Pieracki jednak zaakceptował projekty oszczędnościowe Jaroszewicza. Tragizm sytuacji polegał na tym, że tam właśnie został dokonany zamach, który odebrał mu życie! Ze względów osobistych zarządził też od dawna zdjęcie osłony, która miała mu stale towarzyszyć. Był kawalerem, wiele wieczorami wychodził, był bardzo uczulony na punkcie swojej swobody”.

Czyli że w grę wchodziły zwykłe racje ludzkie...

W rozmowie ze mną w Londynie 22. IX. 1977 Dolanowski zrobił gorzką uwagę, że Pierackiego niestety nie stać było na wysnucie konsekwencji z piastowania odpowiedzialnego urzędu ministra spraw wewnętrznych dla ograniczenia trybu życia.

Ale spójrzmy na te wszystkie wydarzenia z perspektywy i spróbujmy zrobić bilans błędów popełnionych także ze strony ukraińskiej.

A więc czy użycie Karpyńca nie tylko do wyrobu bomby ale

także do przewozu „bibuły” nie sprzeciwiało się elementarnym zasadom nie łączenia dwóch odrębnych funkcji w konspiracji? Przecież to właśnie podróże Karpyńca z kosztami nielegalnych druków, przemyconych z Czechosłowacji z użyciem niezdarne przerobionych dowodów osobistych naprowadziły policję na ślad jego laboratorium! A wizyta Łebeda w Krakowie celem zabrania bomby do Warszawy — czyż powinna była być powierzona głównemu organizatorowi zamachu? Czy było ostrożne, by sam Prowidnyk Krajowy, Stefan Bandera, odwiedzał laboratorium Karpyńca? Czy należało przeznaczyć do zabójstwa w Warszawie rewolwer, użyty już do zamachu na ucznia Baczyńskiego we Lwowie?

Tak przeto i OUN dopuściła się grubych błędów i nieostrożności...

Dodajmy do tego pewną dozę szczęścia i pecha. Ukraińcom towarzyszyła szansa, że zamachu dokonali zaraz nazajutrz po wykryciu laboratorium Karpyńca, zanim władze bezpieczeństwa zdołały wyciągnąć z tego właściwe wnioski (do tematu tego jeszcze wrócę). I mieli pecha, że policja polska „nakryła” Łebeda uciekającego z Gdańska do Rzeszy niemieckiej i że amb. Lipski okazał szybką reakcję przez wymuszenie wydania go jako domniemanego zamachowca... którym *sensu stricto* nie był.

Nie wiem, czy to Kawecki osobiście zarządził roztoczenie obserwacji policyjnej w Gdańsku po zamachu warszawskim, trudno to dziś ustalić, to pewne, że ta decyzja jest do zapisania na dobro władz bezpieczeństwa, i że też nie potwierdza posądzeń Drymmera!

Do wszystkich jednomyślnych zaprzeczeń, które tu wyżej podałem, chciałbym z mej strony dorzucić dwie uwagi. Kaweckiego popierał Sławek, tak to określił wiceminister Krychowski. Czy jest do pomyślenia, by stary i doświadczony konspirator, bojowiec Sławek dał się nabrać i obdarzył zaufaniem agenta sowieckiego? Po wtóre, Drymmer powołuje się na Komisję badawczą, do której należał Jerzy Luxenburg. Otóż Luxenburg w późniejszej, publicznej wypowiedzi o kulisach zabójstwa Pierackiego³ i roli Kaweckiego w tym odegranej, ani słowem, ani aluzją nie napomknął że może być o pozostawianiu nieżyjącego już Kaweckiego na usługach Rosji Sowieckiej. Więc może Komisja zmieniła zdanie, albo w ogóle nigdy takiego podejrzenia nie wyraziła — i Drymmer zasłyszał tylko błędną plotkę? Cóż zostaje z całego oskarżenia?

3. Jerzy Luxenburg, „Kulisy morderstwa Bronisława Pierackiego”, *Wiadomości*, Londyn, nr 431 z 4. VII. 1954.

Znaczące jest też zachowanie się Kaweckiego w czasie wojny, pod okupacją w Warszawie. Jak mi Dolanowski napisał w pierwszym liście z 11. X. 1975, Kaweckie nie był czynny w konspiracji i dość prędko zmarł. Czy jest do pomyślenia, żeby agent ZSSR nie postarał się wejść do polskiego ruchu podziemnego? I czy można przypuścić, żeby Kaweckie nie miał szans dostania się do jakiejś organizacji konspiracyjnej gdyby mu na tym zależało? Podobno był już na jesieni 1939 aresztowany przez gestapo i po paru dniach zwolniony. Uratowało go to, że w mieszkaniu gestapo znalazło kordelas niemieckiej policji, z wyrytą dedykacją Himmlera, ofiarowany Kaweckiemu przed wojną w czasie jakiejś wizyty Himmlera w Warszawie. Gestapo odniosło się do Berlina i Himmler zaraz kazał Kaweckiego zwolnić. Taki, wcale nie sowiecki, był finał Henryka Kaweckiego w życiu publicznym...

„Polska inspiracja zabójstwa Pierackiego”

Jak należało przypuszczać, praca moja o zabójstwie Pierackiego została wykorzystana w Kraju dla podchwycenia wszystkich stwierdzonych zaniedbań i uchybień służbowych, które ułatwiły Ukraińcom dokonanie ich dzieła, i dla wysnucia z tego insynuacji o ciemnych kulisach zbrodni. Nie obyło się też, rzecz prosta, bez zacytowania słów wypowiedzianych do mjr. Eugeniusza Lubomirskiego przez sowieckiego generała KGB, że ten zamach był jakoby „dziełem Polaków”.

Zadania tego podjął się wspomniany już Jerzy Rawicz, znany z rewolwerowych publikacji, zawsze pisanych *ad usum delfini*, prawie na zamówienie Partii, dla przedstawienia przedwojennej Polski w jaknajciemniejszych kolorach⁴.

Misternie utkał z zręcznie dobranych cytata sieć przesłanek, że zapewne za kulisami tego mordu kryją się Polacy. Bo oto Pierackie był nieulubiany, posępny, ponury, nieprzystępny, chytry, zimny taktyk — można by sądzić miał samych wrogów. Ale rzecz prosta Rawicz wykroił i odrzucił z swych cytata wszystko to, co sfabrykowanego kontrefektu nie potwierdza. U Stanisława Mackiewicza⁵ opuszcza zdanie, że Pierackie „był to człowiek twardej ręki, sprężysty administrator, ale mózg mu pulsował i głowę miał otwartą dla każdej argumentacji” (str. 56). W innym, przytoczonym już ustępie „Historii Polski”, gdzie Mackiewicz podejrzewa, że „Pie-

4. „W okół śmierci Bronisława Pierackiego”, *Literatura*, Warszawa, nr 4 i 5, 1976.

5. Stanisław Mackiewicz (Cat), *Polityka Becka*, Instytut Literacki, Paryż, 1964.

racki został zabity z dopuszczenia organów naszej własnej policji” (str. 227), słowo „dopuszczenia” Rawicz zamienia na „poduszczenia”, co nie jest to samo! Powołuje się na książkę Janusza Jędrzejewicza⁶, ale zataja takie jego zdanie: „Niewątpliwie Pieracki był po Becku najwybitniejszą indywidualnością w moim gabinecie i tak przedwczesny zgon jego pozbawił nas jednego z najbardziej utalentowanych naszych polityków. Był to jeden z niewielu ludzi, którzy w życiu politycznym mogliby zajmować najwyższe nawet stanowiska i sprostać bardzo wysokim wymaganiom, dla takich stanowisk nieodzownym” (str. 178/179).

Po takim zoperowaniu tekstów Rawicz łatwo konkluduje: „Na pytanie, czy OUN była tylko ślepym mieczem i czyja ręka ten miecz dzierżyła mogliby odpowiedzieć nieliczni, bardzo nieliczni (czas jest niemiłosierny) ludzie z ówczesnego obozu rządzącego. Nie ma się co łudzić — nie odpowiedzą”.

W tym samym kierunku, choć jeszcze dalej, zapuszcza się w swych przypuszczeniach Ukrainiec Eugeniusz Pasternak, który omawia „Zabójstwo Pierackiego” w dwóch artykułach pisma kanadyjskiego, uchodzącego za organ ukraińskiej Cerkwi grekokatolickiej⁷.

Mówiono mi, że Pasternak stracił w czasie okupacji ojca, zabitego podobno „z ręki polskiej bojówki”. Tym zapewne tłumaczy się ostry i namiętny ton jego wypowiedzi. Znać również, że Pasternak jest daleki od OUN i jej niechętny. Utrzymuje on, że mimo wszystko pozostała wątpliwość czy zabójstwo Pierackiego było wykonane wyłącznie z inicjatywy OUN. Nagłość rozprawy sądowej nie dała obrońcom możliwości przestudiowania obszernych akt. Jedynym Ukraińcem, który je przeczytał (sic!) był Prezydent UNR na wygnaniu Andrzej Liwicki, u którego mieszkali w czasie procesu adwokaci Horbowy i Hankiewicz. Otóż prezydent Liwicki, sam wybitny prawnik, były sędzia, wyraził wobec Pasternaka po wojnie, w roku 1948, przekonanie wynikłe ze studium akt sprawy, że zabójstwo Pierackiego było inspirowane przez Polaków, którzy w przewidywaniu śmierci Piłsudskiego rozpoczęli walkę o spadek po nim. Przekonanie to podzieliali podobno obaj adwokaci i na tej zasadzie oparli obronę, bez powodzenia jednak, bo jak rzekomo przyznałem (?!) w mej pracy, wyrok był przesądzony z góry przed rozprawą a zadaniem sędziów było przeszkodzić w wyjaśnieniu prawdy (!).

Trudno mi twierdzić, że Andrzej Liwicki nie wypowiedział

6. Janusz Jędrzejewicz, *W służbie idei*, Oficyna poetów i malarzy, Londyn, 1973.

7. *Ukraiński Głos*, Winnipeg, z 19. XII. 1973 i 9. I. 1974.

przypisanych mu słów. W latach 60-tych gen. Michał Karaszewicz-Tokarzewski opowiedział mi, że pewien wybitny Ukrainiec, którego po wojnie widział w Niemczech, wyraził wobec niego zdanie, iż Pieracki padł w istocie ofiarą spisku polskiego. Jeśli zważyć, że gen. Tokarzewskiego łączyły z dawną serdeczne stosunki z Petlurowcami, można przypuścić, że owym rozmówcą był wspomniany prezydent Liwicki lub ktoś z jego przyjaciół.

Ale nie w tym rzecz, czy prezydent Liwicki takie zdanie wypowiedział, ale w tym, jakie miał do tego podstawy. Prawdą jest, że rozprawa była wyznaczona na bardzo bliski, zbyt bliski termin i że adwokaci mieli mało możliwości dokładnego zapoznania się z obszernymi aktami. Ale Andrzej Liwicki możliwości takich w ogóle nie miał, bo akta dostępne były tylko dla upoważnionych adwokatów, na miejscu w sądzie, gdzie w tym czasie nie było aparatów dla robienia fotokopii.

Przypuśćmy jednak, że może później, za czymś wstawiennictwem, udostępniono te akta prezydentowi Liwickiemu. Mogło to się stać tylko po procesie. Cóż jednak mógł w nich znaleźć? Znałem je dobrze i stwierdzam z całym poczuciem odpowiedzialności, że nie było w nich ani cienia poszlaki, że za OUN kryła się jakaś cudza zмова. Były tylko dane, że minister nie był strzeżony, tak jak i nie był chroniony Klub Towarzystki. I że pościg za zabójcą był nieudolny. Z tego i tylko z tego chyba powstała dedukcja o „dopuszczeniu” zabójstwa, bo jak śledztwo wykazało co Dolanowski szczegółowo potwierdza, owe zaniedbania były do przypisania całkiem innym okolicznościom.

Również opowieść o walce o spadek po Piłsudskim w czerwcu 1934 roku jest niepoważna. Piłsudski, choć przedwcześnie postarzały — przypominam świadectwo w „Historii Polski” Adama Krzyżanowskiego — był w pełni pracy i nikt nie liczył się na wiosnę 1934 roku z tak rychłym, o rok późniejszym zgonem. Nie było przeto problemu sukcesji, a jeśli ktoś ją teoretycznie rozważał, to tylko wymieniając nazwiska takie, jak Sławek, Rydz-Śmigły, Sosnkowski, a w żadnym razie 39-letniego Bronisława Pierackiego. Czy można także przypuścić, by ktoś z ludzi u władzy posunął się do zamachu na tego, którego Piłsudski sam wyznaczył na ministra spraw wewnętrznych⁸? Nawet gdyby założyć, że ludzie ci byli zdolni do zabicia kolegi, towarzysza broni z Le-

8. Janusz Jędrzejewicz podaje w cytowanym już pamiętniku *W służbie idei*, że gdy w roku 1933 tworzył rząd i zapytał Piłsudskiego o dyspozycje personalne, ten wyraził życzenie, by Jędrzejewicz zatrzymał Pierackiego, z którym Piłsudski „pracuje w sprawach mobilizacji i łączności wojskowej” (str. 171).

gionów i przyjaciela, które to przypuszczenie odrzucam (mówiąc brutalnie — Bronisław Pieracki nie był dla nich Włodzimierzem Zagórskim) pewne jest, że przeciw Piłsudskiemu nikt by się na to nie ważył. Kto taką możliwość dopuszcza, ten daje dowód zupełnego niezrozumienia psychologii „pułkowników”. A z jakim wzburzeniem sam Piłsudski przyjął wiadomość o zamordowaniu Pierackiego wiemy z wymownego opowiadania jego adiutanta Lepeckiego⁹.

Ale Pasternak brnie jeszcze dalej. Oto jego zdaniem dla wyjaśnienia zabójstwa Pierackiego „trzeba wyświecić przykrą dla OUN a pewnie i dla Żeleńskiego sprawę przeniknięcia środowiska OUN agentami polskiego wywiadu”. Na dowód czego powołuje się na... ogłoszoną w roku 1934 przez Centralny Komitet Komunistycznej Partii Polski broszurę ze spisem prowokatorów polskiego wywiadu w szeregach partii komunistycznej i OUN, „o której-to broszurze pisały te same *Zeszyty Historyczne*, które wydały pracę Żeleńskiego”.

Sięgam tedy po wskazany numer *Zeszytów*¹⁰. Istotnie, na podstawie streszczenia zamieszczonego w piśmie „Bundu” przytoczone są fantastyczne, typowo frakcyjne oskarżenia komunistyczne, wymierzone w broszurze przeciw pewnym członkom Komunistycznej Partii Polski oraz innych nielegalnych organizacji. Oskarżenia o to, że są prowokatorami, nasłanymi przez P.O.W. (tak! Polskiej Organizacji Wojskowej z okresu okupacji niemieckiej w czasie pierwszej wojny światowej!) i że akcję tę podjęli tacy ludzie jak Sławek, Prystor, Moraczewski, Hołówko, Malinowski oraz działacze PPS Ziemięcki i Zaremba. Po czym następuje wykaz 26 wymienionych w broszurze „prowokatorów”, a wśród nich — pośrodku — 4 nazwiska przywódców Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, o których broszura mówi, że są jednocześnie agentami [polskiej] Defensywy (tj. „Dwójki”) i Ukraińskiej Organizacji Wojskowej.

Ale rzecz szczególna: listę tych rzekomych prowokatorów otwierają takie nazwiska, jak Jerzy Szczepko-Sochacki, Tadeusz Zarski i Sylwester Wojewódzki, byli komunistyczni posłowie na Sejm. Otóż już sam zestaw tych trzech nazwisk zdradza, o co w broszurze chodzi. Toć przecież właśnie są to ci działacze komunistyczni, którzy w okresie stalinowskich czystek zostali oskarżeni o współpracę z polskimi władzami bezpieczeństwa,

9. M. B. Lepecki, *Zamach na ministra Pierackiego i gorzkie jego następstwa*, *Wiadomości*, Londyn, nr 550 z 14. X. 1956.

10. *Zeszyty Historyczne*, nr 5 z r. 1964, str. 58-61.

zwabieni do Rosji i zgładzeni w lochach moskiewskiej kaźni¹¹. Co dziś o tym ówczesnym oskarżeniu należy sądzić wynika jasno z faktu, że w roku 1956, po rewelacjach Chruszczowa o Stalinie, wszyscy trzej wymienieni komuniści zostali w Warszawie przez Partię pośmiertnie zrehabilitowani.

Jak widać rehabilitacja ta nic nie mówi Pasternakowi, skoro na tę właśnie, tak skompromitowaną, listę powołuje się teraz dla wykazania penetracji przedwojennego podziemia przez „polskich prowokatorów”. Czy to nie nadmiar zaślepienia, iście... stalinowskiego? Mało tego, powołując się na tę broszurę, Pasternak podaje, że jakoby robotą prowokatorską w łonie OUN kierował Hołowko. Otóż w cytowanym przez niego artykule nie ma o tym ani słowa, czyli że Pasternak to sam wymyślił! Czy godzi się w publicystyce używać takich chwytów? I czy wolno brukać czyste imię idealisty Tadeusza Hołowki, przyjaciela Ukraińców, zamordowanego przez OUN, takim zmyślonym oskarżeniem?

Pasternak zapewne spostrzega się, że mierząc w tę sfałszowaną, stalinowską „listę prowokatorów” sromotnie chybia i w żadną polską inspirację nie trafia, wobec czego sięga po inną broń. Powołuje się z kolei na polską książkę Ryszarda Torzeckiego¹², którą już przytoczyłem w mojej pracy i która podaje, rzekomo na podstawie przedwojennych archiwów, że na usługach polskiego wywiadu „pracowali ludzie z najbliższych współpracowników Ściborskiego”.

Inż. Ściborski był jak wiadomo członkiem Prowidu Ukraińskich Nacjonalistów (PUN) i mieszkał w Paryżu. W twierdzeniu tym kryje się więc aluzja, że tędy mogła z Warszawy przeniknąć inspiracja do zamachu na Pierackiego...

Istotnie jest w książce o tych informatorach mowa i to parokrotnie, za każdym razem inaczej. Raz ogólnie, bez wskazania szczegółów (str. 13), raz z powołaniem się na proces o zabójstwo Pierackiego i złożone w nim zeznania naczelnika wydziału MSWewn. Żyborskiego (str. 130) choć *de facto* Żyborski wcale o tym nie mówił! I raz jeszcze z wskazaniem całkiem innego źródła, a to Referatu Ukraińskiego w II-gim Oddziale Sztabu

11. Wojewódzki istotnie był kiedyś oficerem II-go Oddziału. Radykalnych przekonań, wszedł do Sejmu z listy chłopskiego stronnictwa krypto-komunistycznego. Po utracie mandatu zbiegł przez Gdańsk do Rosji. Pobóg Malinowski nieściśle przedstawia jego sprawę w swojej *Historii politycznej Polski*, t. II, str. 536/537.

12. Ryszard Torzecki, *Kwestia ukraińska w polityce III-ej Rzeszy, 1933-1945*, Książka i Wiedza, Warszawa, 1972. Por. bardzo surową krytykę metodologiczną tej pracy w *Z dziejów stosunków polsko-radzieckich*, tom X, Warszawa, 1973.

Głównego (str. 137). Nie mam dostępu do zacytowanych, rzekomych dokumentów. To wiem, że akt sądowych procesu nie ma, podobnie jak i archiwum Senyka, które — jak mi pisze dyr. Żyborski — zostało we wrześniu 1939 spalone. Uderza mnie jednak nieprawda w powołaniu się na Żyborskiego oraz zdumiewa pomieszanie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z tzw. Dwójką. Już w mojej pracy wskazałem (str. 53) na rażące omyłki, niedokładności i pochopne sądy tego młodego badacza. Jak widzę, listy błędów Torzeckiego nie wyczerpałem.

Płk dypl. Mayer, którego zapytałem, kategorycznie zaprzeczył tezie Torzeckiego (list z dn. 22. VI. 1975): II-gi Oddział nigdy nie rozporządzał informatorem w otoczeniu Ściborskiego a tym mniej w jego osobie. I jakby dla wykazania, że zaprzeczenie to nie jest podyktowane żadną „tajemnicą służbową”, płk Mayer podaje, że II-gi Oddział rozporządzał innymi ważnymi niedyskrecjami o OUN, miał bowiem w okresie poprzedzającym zamach na Pierackiego... systematyczny wgląd ni mniej ni więcej do odnośnej korespondencji radcy Zechlina w polskim referacie przedwojennego *Auswärtiges Amt* w Berlinie. Jeśli do tego dodać informacje z MSWewn. oraz zdobycie akt Senyka — miał dostatecznie dużo materiału. „Całkiem wobec tego nie był nam potrzebny ten mityczny kontakt w otoczeniu Ściborskiego”, konkluduje płk Mayer.

Jeśli chodzi o dyr. Żyborskiego, odpowiedział mi w listach z 13. II. 1973 i 22. VI. 1975 wyrażając najdalej idący sceptycyzm w stosunku do powołanych przez Torzeckiego, rzekomych akt Ministerstwa. List jego świadczy, że rozporządzano wprawdzie pewnymi informacjami o Ściborskim, ale wiedziano jedynie, że ten rezydował w Paryżu, zajmował się terenem ukraińskim we Francji i stale uskarżał się na niedostateczne zaopatrzenie pieniężne. Natomiast z akcjami bojowymi nie miał żadnego związku, te należały do kompetencji Konowalca, przebywającego, jak wiadomo, gdzie indziej. Jak to już wykazałem w mej pracy, „czyn w Kawce” został w każdym razie zdecydowany w Berlinie, bez udziału Ściborskiego, przez „ściśły PUN” złożony z Konowalca, Jarego, Jarosława Baranowskiego i Senyka. Łączenie więc Ściborskiego z zamachem warszawskim i szukanie na tej drodze rzekomej polskiej inspiracji jest całkowicie pozbawione podstaw.

Wprawna ręka Łebeda

W pracy mojej stwierdziłem, że Ściborski wraz z Senykiem zginęli za sprawą Łebeda w sierpniu 1941 roku na dworcu kole-

jowym w Żytomierzu w drodze do Kijowa i że w późniejszym okresie, też w czasie wojny, zamordowani zostali inni członkowie PUN-u, płk Suszko i Jarosław Baranowski.

Temat ten podjął — wśród wielu innych — publicysta OUN, Petro Tereszczuk, pod którym to pseudonimem występuje podobno jeden z luminarzy Organizacji na emigracji. W 14 obszernych odcinkach banderowskiego tygodnika *Homin (Echo) Ukrainy* w Kanadzie¹³ poświęcił mi obszerne i bardzo polemiczne studium pod znaczącym tytułem „Prokurator we własnym zwierciadle”. Studium to zostało przedrukowane w miesięczniku londyńskim *Wyzwolnij szlach* tej samej tendencji.

Tereszczuk nie potwierdza ani nie przeczy memu twierdzeniu, że sprawcą tych zabójstw był Mikołaj Łebed, organizator zamachu warszawskiego, w czasie wojny niemiecko-sowieckiej kierownik OUN-b (Bandera i Stećko byli w tym czasie zamknięci przez Niemców w obozie Sachsenhausen), zaznacza jedynie, że w trakcie pisania swej publikacji otrzymał z poważnego źródła informację, przedstawiającą zamach na Senyka i Ściborskiego w nowym świetle. Jakoby zabójcą ich nie był wcale — jak to jest dotąd przyjęte — niejaki Kozij, którego Niemcy zaraz na miejscu zastrzelili, lecz jakiś inny tajemniczy osobnik, którego Niemcy jeszcze przed wybuchem wojny sowieckiej wyposażyli w papiery odebrane Kozijowi i przerzucili na wschodnią stronę kordonu. Wynikałoby z tego, że obaj działacze OUN zginęli nie w ręki naślanaego przez Łebeda bojowca Organizacji, lecz z rąk agenta niemieckiego.

Opowieść ta budzi poważne zastrzeżenia. Senyk i Ściborski, obaj bardzo bliscy płk. Melnykowi, należeli do odłamu Organizacji, który z początkiem wojny ściśle współpracował z Niemcami. Do Kijowa jechali z pewnością za zezwoleniem władz wojskowych wyposażeni w odpowiednie dokumenty przejazdowe. Dlaczegoż by więc mieli paść ofiarą agenta pracującego dla wywiadu niemieckiego? O wiele prawdopodobniejsza wydaje się teza Białej Księgi Melnykowców, że obaj padli ofiarą Łebeda. Już od roku byli przez Banderowców obrzucani najdalej idącymi oskarżeniami. Senykowi zarzucano nie tylko zaprzepaszczenie archiwum Organizacji — słynnego z procesu warszawskiego — ale i rzekomą defraudację nie bagatelnej sumy 70.000 dolarów. Z zarzutów tych Senyk został oczyszczony przez władze organizacyjne Konowalca, a później Melnyka, ale dla Banderowców to się nie liczyło. Co do Ściborskiego, był on wręcz oskarżony o zdradę. Przyczym nie chodziło bynajmniej o rzekome informacje z jego oto-

13. *Homin Ukrainy*, Toronto, nr 35-48, sierpień-listopad 1974.

czenia dla Polaków, lecz o rozmowę z przybyłym do niego, do Paryża, dobrze przed wojną, wysłannikiem sowieckim. Według Białej Księgi Ściborski zawiadomił lojalnie Konowalca o tych całkiem bezowocnych próbach nawiązania z nim kontaktu zza kordonu. Sami Banderowcy nie przywiązywali do tego epizodu większego znaczenia, przeciwnie — w późniejszych rozgrywkach próbowali pozyskać Ściborskiego na swoją stronę. Gdy jednak im odmówił, obłożyli go anatemą. Czy można więc sobie wyobrazić, by do niego jak i do Senyka nie miały zastosowania jednoznaczne „prawa rewolucyjne”, zapowiedziane przeciw Melnykowcom w proklamacji Bandery i Stecki i ich wyznawców (w tym Łebed) w dn. 8. IV. 1940, w momencie ostatecznego rozłamu Organizacji?

Kim zaś był egzekutor tych „praw rewolucyjnych” Mikołaj Łebed i do czego był zdolny, przekonał mnie nie tylko mord warszawski. Oto ze źródła zasługującego w pełni na zaufanie otrzymałem świadectwo podpisane przez nieżyjącego już dziś ukraińskiego nacjonalistę, inż. Mikołaja Kosakiwskiego. Mówi ono, że w okresie od listopada 1939 do marca 1940 Łebed jako „Leutnant Wilnyj” był ukraińskim komendantem Szkolnej Sotni w Zakopanem, cieszącej się, jak wiadomo, bardzo określoną sławą. Dość powiedzieć, że z inicjatywy Prowidu Ukraińskich Nacjonalistów założona była przez SS i że jej niemieckim komendantem był SS Hauptsturmführer (kapitan) Hans Krüger, ten sam, który później, po wybuchu wojny sowieckiej, przyłożył we Lwowie rękę do rozstrzelania lwowskich profesorów i ich rodzin a następnie wymordował w Stanisławowie miejscową inteligencję polską i kilkadziesiąt tysięcy (tak!) Żydów, za którą to ostatnią zbrodnię został skazany w roku 1967 na dożywotnie więzienie które odsiaduje. Zastępcą zaś jego był SS-mann Wilhelm Rosenbaum, ten sam, który objęty jest teraz toczącym się w Hamburgu dochodzeniem prokuratury niemieckiej o udział w morderstwie profesorów lwowskich. Już te dwa szczegóły każą traktować owo świadectwo bardzo poważnie.

Kosakiwski podaje, że w szkole obejmującej 120 „najlepszych spośród najlepszych” członków OUN uczono służby wojskowej, wywiadu i kontrwywiadu a przede wszystkim metod śledztwa. O jakiego zaś rodzaju śledztwo chodziło nie potrzebuję dodawać — szkoła miała służyć „hartowaniu serc i nerwów”. Dokument przytacza przykłady stosowanych metod, oszczędzę jednak czytelnikowi tych opisów. Powiem tylko, że „ćwiczenia” te przeprowadzano na specjalnie w tym celu aresztowanych Żydach (o Polakach dokument Kosakiwskiego nie wspomina) i że działały się rzeczy straszne. Część kursantów nie wytrzymała tego nerwowo

i zbiegła przed zakończeniem programu. Łebed jednak pozostał jako komendant i instruktor do końca.

Z taką to zaprawą Łebed został, zdaniem Melnykowców, szefem bezpieki OUN-b, a później wszedł w lipcu 1941 do krótkotrwałego rządu niepodległej Ukrainy, utworzonego we Lwowie przez Jarosława Steckę, by w kilka dni później, po aresztowaniu przez Niemców Bandery i Stecki i rozpędzeniu rządu przejść do podziemia i objąć kierownictwo całej OUN-b. Mógł się teraz swobodnie wyżyć w tej roli...

Znamienne jest przeto, że Tereszczuk nie wypowiada się wyraźnie przeciw oskarżeniu, że to właśnie Łebed kazał zgładzić Senyka i Sciborskiego. Podobnie gdy chodzi o zabójstwo Jarosława Baranowskiego w październiku 1943 we Lwowie, Tereszczuk odsyła czytelnika do... Mikołaja Łebedy! Píše on: „Skoro były prokurator i oskarżyciel [Łebedy] wymienił w związku z tym zabójstwem jego nazwisko, niechże sam Łebed powie czy tak było”. Ciekawe...

Tereszczuk umywa więc ręce i od siebie o tym zabójstwie wypowiedzieć się nie chce. Że po wojnie drogi Łebedy i OUN-b zupełnie się rozeszły i że Łebed z Banderą zerwał, wiemy dobrze. Pisałem już o tym. Ale czy jest to powód dostateczny, by w pół-oficjalnej wypowiedzi Organizacji Tereszczuk nie zajął dziś w sprawie tego zamachu stanowiska i nie dał własnego wyjaśnienia? Czyżby to znaczyło, że Organizacja nie bierze na swój rachunek śmierci zadanej J. Baranowskiemu przez Łebedę?

Sprawa Jarosława Baranowskiego

Tereszczuk stawia mi zarzut, że w pracy mej zamilczałem iż, jak to ujawnił proces o zabójstwo Tadeusza Hołówki, Roman Baranowski, brat Jarosława, był informatorem policji. Istotnie nie uwzględniłem tego, bo zamachem na Hołówkę zająłem się tylko pobocznie. Sprawę tę omówię szerzej w dalszych wywodach. Ale przecież stygmat na Romanie nie plami *eo ipso* jego brata, Jarosława!

Tymczasem Tereszczuk zdaje się oskarżać o zdradę także Jarosława, lecz czyni to znowu nie w własnym imieniu, tylko powołując się na świadectwo Polaka. Powiada, że jego znajomy w Toronto, dziennikarz polski Benedykt Heydenkorn (dobrze znany czytelnikom *Kultury*) okazał mu list byłego szefa referatu wschodniego w II-gim Oddziale polskiego Sztabu Głównego, kpt. Jerzego Niezbrzyckiego vel Ryszarda Wragi z 21. VIII.

1958, w którym to liście Wraga wyraził Heydenkornowi zdanie, że obaj Baranowscy zarówno Roman jak i Jarosław byli agentami podwójnymi — polskimi i sowieckimi. Zapytany przeze mnie Heydenkorn fakt ten potwierdził zaznaczając, że po pokazaniu Tereszczukowi, listu tego nie zachował, bo korespondencji nie przechowuje.

Tereszczuk przemilcza jednak fakt, że zarzut zdrady Jarosława Baranowskiego na rzecz polską ukuto wśród Ukraińców już znacznie dawniej i że Banderowcy przebąkiwali również, iż w PUN Konowalca a później Melnyka był niezawodnie jakiś agent sowiecki. Już wkrótce po kampanii wrześniowej 1939 Banderowcy rozgłosili, że w opuszczonym starostwie w Samborze znaleźli tajne akta oddziału społeczno-politycznego przy urzędzie wojewódzkim we Lwowie, wskazujące na to, że polskie władze otrzymywały informacje od Jarosława Baranowskiego. Organizacja krajowa przekazała Melnykowi fotokopie tych rzekomych akt, ale nigdy nie dostarczyła mu oryginałów. Nie czekając na jego zdanie zaczęto w Bazie rozpowszechniać oskarżenie w wielokrotnych odbitkach. Według Białej Księgi była to jednak gruba prowokacja, wynikała z zadawnionych kłótni Krajowej Egzekutywy z J. Baranowskim z okresu, gdy tenże Baranowski prowadził dochodzenie przeciw Łebedowi z powodu fiaska napadu w Gródku Jagiellońskim. Do Melnyka zgłosił się świadek z oświadczeniem, że danego dokumentu wcale nie było wśród znalezionych w Samborze papierów.

To pewne, że kto znał technikę urzędowania polskich władz bezpieczeństwa nie może dopuścić, by podobnej wagi rewelacja mogła się znaleźć w sprawozdaniu oddziału społeczno-politycznego województwa i by dokument tego rodzaju mógł być przekazany do starostwa. Naiwna fuszerka tej opowieści jest aż nadto widoczna. Tylko bardzo niedoświadczeni młodzieńcy mogli stworzyć tego rodzaju legendę. Niemniej Melnyk dla porządku powołał Główny Trybunał Rewolucyjny i wyznaczył prokuratora organizacyjnego. Trybunał oskarżenie rozpatrzył i uznał za niepoważne, po czym sprawę umorzył. Obmowa jednak nie ucichła. Oczywiście powoływano się na przykład brata, Romana Baranowskiego. Potem w Organizacji dokonał się rozłam, wszelkie orzeczenia wywodzące się od Melnyka uznane zostały przez Banderowców za nieważne, a w komunikacie podpisanym przez Banderę i Stećkę zadeklarowano wręcz, że Melnyk przestał być przewodniczącym OUN. Jarosław Baranowski pozostał zdrajcą — i po paru latach zginął.

O tym wszystkim Tereszczuk nie wspomina, jakby tego nie znał lub jakby to uważał za nieważne. Jedyne świadectwo prze-

ciw Baranowskiemu, na jakie się powołuje, to lakoniczne zdanie Wragi.

Wragę-Niezbzyckiego znałem dobrze. Wysoko ceniłem jego inteligencję i pióro. Zaraz po wojnie, w Paryżu byłem z nim w zażyłych stosunkach. Ale później drogi nasze się rozeszły. W swej zaciekłości antykomunistycznej popadł w chorobę *espionitis*. Toteż wypowiedź jego o Baranowskim zaraz mi się skojarzyła z innym oskarżeniem, głoszonym przez niego we Francji przed wyjazdem do Ameryki, przeciw jednemu z najwybitniejszych pisarzy polskich, który świeżo wybrał był wolność na Zachodzie. Wraga widział w nim podstawionego agenta i z maniackim uporem, bez żadnych danych, absolutnie niesłusznie oskarżał go na lewo i prawo i prześladował u władz amerykańskich. Czy nazwanie Jarosława Baranowskiego agentem polskim, a na dobitkę sowieckim, nie było oskarżeniem równie bezpodstawnym? Kpt. Niezbzycki przestał pełnić służbę w II-gim Oddziale po katastrofie wrześniowej, do żadnych źródeł wywiadowczych i kontrwywiadowczych czasu wojny dostępu nie miał, poprzednio o Baranowskim nigdy się nie wypowiedział, jakież więc mógł mieć w Ameryce dane do zgłoszenia takiego oskarżenia? Czy może zachował jakieś wiadomości z okresu służby?

Z pytaniami tymi odniosłem się znów do płk. Mayera, byłego zwierzchnika Wragi. Odpowiedź, jaką mi dał ten wieloletni, aż do wojny, szef wydziału wywiadowczego w Oddziale II-gim była niedwuznaczna:

„O tym, by Jarosław Baranowski był agentem dwustronnym nie mieliśmy nigdy żadnej wiadomości. Nie mógł jej mieć również Niezbzycki. Sprawy ukraińskie UWÓ-OUN nie należały do zakresu jego pracy. Nie miał on bezpośredniego kontaktu z referatem ukraińskim” (List z 22. VI. 1975).

Następnie, gdy udostępniłem mu obszernie streszczenie Białej Księgi z zarzutami Banderowców z okresu wojny przeciw J. Baranowskiemu, płk Mayer napisał:

[Materiał ten] „całkowicie klaruje sprawę Baranowskiego. Oskarżenie Baranowskiego o kontakt z nami jest wyrazem wewnętrznej walki w OUN” (List z 18. XII. 1975).

A oto zdanie wyrażone przez dyr. Żyborskiego:

„Gdyby mi ktoś kiedyś dawniej przepowiedział, że ja stanę w obronie człowieka, który od zarania swej młodości aż do swojej tragicznej śmierci, zadanej mu zdradziecko przez własnych towarzyszy broni, który tak wrogo odnosił się do państwa i narodu polskiego i działał na jego szkodę wszelkimi dostępnymi mu środkami — to uznałbym to albo za żart niewczesny albo za

prowokację. Dziś jednak, świadom jego działalności i uznania, jakim się cieszył u swoich władz przełożonych nie wyłączając samego Konowalca a utrwalonego w dokumentach Senyka, stwierdzam zgodnie z sumieniem i z całą stanowczością, że Jarosław Baranowski nigdy nie był konfidentem-informatorem ani policji ani organów administracji politycznej” (List z 22. VI. 1975).

B. wiceminister Dolanowski w cytowanej już przedśmiernej wypowiedzi z 5. III. 1978 stwierdził co następuje:

„Odrzucam przypuszczenie, jakoby Jarosław Baranowski, członek kilkusobowego Prowidu Ukraińskich Nacjonalistów (PUN) był na usługach polskich. Gdyby tak było, musiałbym z urzędu o tym wiedzieć. Nigdy podobna informacja nie dotarła do mnie. Wprawdzie byliśmy nieźle zorientowani w zaznaczających się w otoczeniu Konowalca różnych tendencjach, niemniej nikt z najwyższego kierownictwa Organizacji nie poszedł na nasze usługi i nie stał się naszym informatorem. Zresztą rozliczne zamachy dokonane w Polsce z powodzeniem przez OUN — wskażę choćby na zamach na Pierackiego — są tego najlepszym dowodem”.

Powyższe świadectwa do reszty demaskują oskarżenia podniesione przeciw Jarosławowi Baranowskiemu. Tereszczuk, publicysta Organizacji, próbował teraz dodatkowo pogрузić jego pamięć oskarżeniem polskim. Pośmiertna rehabilitacja, przecząca także temu najnowszemu zarzutowi, przychodzi z miarodajnej strony polskiej. Jarosław Baranowski nie był ukraińskim Azeferem i nie przekazywał stronie polskiej informacji a tym samym nie mógł służyć za narzędzie rzekomych inspiracji polskich w najwyższych władzach OUN. Może Petra Tereszczuka stać będzie na publiczne skłonienie głowy przed tym dowodem prawdy, broniącym imienia jego rodaka?

Zwierciadło Tereszczuka

Swoją polemikę ze mną Tereszczuk zatytułował „Prokurator we własnym zwierciadle”. Zobaczmy, jak wygląda zwierciadło Tereszczuka, po przedstawieniu już tych kilku odbijających się w nich obrazów „prawdy”. Jeśli tak rzecz można, zwierciadło to składa się z wielu luster. Niektóre z nich przedstawiają nam fakty autentyczne, które muszę przyjąć do wiadomości gwoili lepszej znajomości sprawy zabójstwa min. Pierackiego.

Powołując się na słowa Bandery, Tereszczuk ujawnia, że w inwigilacji prowadzonej w Warszawie celem poznania trybu życia Pierackiego pomogli Łebedowi ukraińscy studenci stołecznych szkół wyższych. Nasze śledztwo tego nie wykryło. Fał-

szywy dowód na nazwisko „Skyba”, wydany był Łebedowi po zamachu za staraniem Fedyny przez władze Wolnego Miasta Gdańska, z czego Tereszczuk wyprowadza błędny i raczej naiwny wniosek, że fakt ten nie obciążał władz Rzeszy uniemieckiej i że tym bardziej nieuzasadniona była decyzja Berlina wydania Łebeda Polsce. Tereszczuk ubolewa, że inż. Andrzej Fedyna, który przed kilku laty zmarł w Toronto, nie ujawnił przed śmiercią szczegółów tego epizodu. Ma rację, byłoby to ciekawe dla historii sprawy. Fedyna miał podobno wielkie nieprzyjemności ze strony miejscowej policji i musiał Gdańsk opuścić, Tereszczuk nie podaje jednak na jak długo. Z pewnością było to wydalenie dla formy, bo placówka przerzutowa OUN w Gdańsku działała i później, aż do wojny.

W artykule potwierdzona jest moja teza, że zamach warszawski był zainicjowany i zorganizowany przez Krajową Egzekutywę, z tym jednak, że nie wszystkie szczegóły i nie pełne kulisy zamachu zostały przez nas wysłędzone. Tereszczuk nie odśladania tych kulis i w szczególności nie odpowiada na postawione w mojej pracy pytania: jakie to tajemnicze przyczyny sprawiły, że zabójstwo zostało w czerwcu 1934 dokonane mimo że uprzednio, w grudniu 1933, niemieckie władze jakoby (czy to prawda?) wymusiły na Konowalcu obietnicę, że zaniecha swych akcji zamachowych w Polsce i skieruje je przeciw Sowietaom? I czy prawdą jest, jak niektórzy historycy wywodzą, że na tym tle zarysował się konflikt między Konowalcem a Jarym oraz Krajową Egzekutywą? W pewnym ustępie Tereszczuk podkreśla, że konflikty z Jarym zrodziły się dopiero w późniejszym okresie, w czasie wojny — co by potwierdzało moją analizę i przeczyło gołosłownym tezom Luxenburga, przyjętym przez Mariana Wojciechowskiego i Roosa. Ale zaprzeczenie to jest ogólnikowe i zostawia zasadnicze pytania bez odpowiedzi. Nasuwa się więc pytanie, czy Tereszczuk tych kulis nie zna czy też okazać ich nie chce? Z pewnością wśród dziś żyjących protagonistów Łebed mógłby nam najwięcej powiedzieć o tych sprawach. Wątpię, by to uczynił. Nie wyjaśnia też Tereszczuk wcale, z jakich motywów zamach 1934 roku został zdecydowany. To milczenie też jest wymowne — i typowe dla Organizacji, która wciąż nie umie się wyzwolić z dobrze zrozumiałych nawyków kluczenia w procesach sądowych, gdzie jej ludzie siedzieli na ławie oskarżonych, i nie nabrała jeszcze śmiałości wystąpienia szczerze i jawnie w charakterze świadka wobec historii.

Ze zrozumiałą satysfakcją Tereszczuk podkreśla, że Iwan Maluca i Roman Myhal nie ujawnili w śledztwie wszystkich spraw i ludzi — czego, mogę go zapewnić, byliśmy w śledztwie

świadomi i co w pewnej mierze potwierdza Biała Księga Melnykowców, która jednak podkreśla, że obaj ci członkowie wyjawili dużo rzeczy. Tereszczuk podaje też ciekawy fakt, że w roku 1941 pod okupacją niemiecką we Lwowie Ukraińcy znaleźli w sądzie część niezniszczonych akt lwowskiej sprawy sądowej Bandery i tow., że miał wtedy osobiście możność zapoznania się z nimi i stwierdzenia, iż Maluca zwiódł w wielu zeznaniach policję i sędziego śledczego.

Artykuł Tereszczuka prostuje też parę błędów w mojej pracy: zabójca Pierackiego Maciejko bezwiednie przytrzymał uciekającego bojowca ukraińskiego Mycyka nie na rok przed podjęciem się misji warszawskiej lecz na trzy lata przedtem. Drukarnia ukraińska, która odbijała druki komunistyczne, została zniszczona podłożeniem bomby nie przez bojowca OUN, lecz przez młodą dziewczynę. Olżycz został zamordowany nie przez ludzi Łebeda lecz przez Niemców w Sachsenhausen (zdaniem Melnykowców właśnie ludzie Łebeda zadenuncjowali go wobec Niemców i spowodowali aresztowanie). Czernyński nie był szwagrem J. Baranowskiego (jak to napisałem za Białą Księgą) i nie został zamordowany przez Ukraińca, lecz przez Niemców, Martyniec nie był doktorem a Senyk pułkownikiem (lecz sotnikiem).

Nie mogę ze względu na brak miejsca rozpatrzeć tu wielu innych uwag obszernej panoramy Tereszczuka, ograniczam się do podjęcia tych tematów, które są istotne w polsko-ukraińskich rozrachunkach.

Na jego zdziwienie, że w pewnych szczegółach praca moja odbiega od mego aktu oskarżenia z roku 1935 (którego odbitkę, jak widzę, Tereszczuk posiada) odpowiadam, że ważny jest tekst pełniejszy — aktu oskarżenia.

Gdy się oburza, że nazywam Jarego „Ukraińcem z wyboru”, odsyłam go do Melnykowców, którzy przypisują Jaremu nie-ukraińskie mieszane pochodzenie, czesko-żydowskie. Z uwagą odnotowuję zapewnienie, że nie jest prawdą, jakoby Jary był agentem sowieckim. Hipoteza ta, którą przytoczyłem, nie pochodziła ode mnie. Wszelako zdaje się ją przyjmować także Iwan Kedryn¹⁴. Pytanie więc, kto ma rację?

Mówiąc o zabójstwie Konowalca, Tereszczuk przytacza jako wiemówiące opowiadanie pewnego Ukraińca, że rzekomo w styczniu 1938 jakiś wysoki urzędnik polskiego ministerstwa spraw wewnętrznych rozpytywał go w warszawskim więzieniu na temat niejakiego Walucha, zapowiadając mu na pożegnanie że „wkrótce dowie się o wszystkim”, po czym, w parę miesięcy później,

14. Iwan Kedryn, „Białe Kruki”, *Kultura* nr 361 z r. 1977, str. 78.

Konowalec został zamordowany przez agenta sowieckiego Walucha! Cała ta opowieść, która nie wiem czego ma dowieść, wygląda na typowy wytwór więziennej mitomanii i dziwię się, że Tereszczuk uznał za możliwe ją ogłosić. Dyr. Żyborski stanowczo przeczy, by tego rodzaju rozmowa była z kimkolwiek w więzieniu przeprowadzona (List z 20. IV. 1978).

Tereszczuk nie przeciwstawia się memu zapewnieniu, że w śledztwie o zamach na Pierackiego nie użyto tortur i bicia. (Zresztą trzeba przyznać, że oskarżeni takiej skargi na rozprawie nie zgłosili. Wersję tę wymyślili tylko pewni ukraińscy świadkowie). Ale drogą okreśną usiłuje fakt ten osłabić podając, że w lecie 1935 roku do więzienia na Brygidkach we Lwowie weszła policja mundurowa i pobiła w celach więźniów politycznych i kryminalnych pałkami gumowymi. Nie znam tego wydarzenia, być może było ono związane z ówczesnymi manifestacjami i rozruchami na mieście, zorganizowanymi przez komunistów. Jeśli policja wkroczyła do więzienia, stało się to z pewnością i wyłącznie — co Tereszczuk zataja — z powodu buntu więźniów. Mieszkając za granicą Tereszczuk powinien wiedzieć, że nie ma kraju gdzie by w takim wypadku nie przywołano policji i nie zastosowano siły dla przywrócenia porządku. Tak musiało być i w tym przypadku. Co w tym osobliwego i co to ma wspólnego z śledztwem o którym mowa? (Dodam, że wszyscy oskarżeni w tej sprawie byli już przewiezieni do więzienia warszawskiego).

W pracy mej zaznaczyłem, kreśląc historię Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, że w rok po swym powstaniu, rozwinęła ona w lecie 1930 roku szeroką akcję terrorystyczno-sabotażową w Małopolsce Wschodniej (Tereszczuk zżyma się, że używam tej nazwy!) na którą Warszawa odpowiedziała osławioną „pacyfikacją”. Powołując się na Pobóg-Malinowskiego napisałem, że nie była ona okupiona ofiarami w ludziach. Tereszczuk wytyka mi, że nie zapoznałem się z książką Petra Mirczuka o historii OUN i podaje, że w pacyfikacji został zastrzelony w transporcie więziennym prowidnyk Julian Hołowiński i że 7 mężczyzn zmarło od ciężkiego pobicia. Śmierć Hołowińskiego wymienia cytowany wyżej list gen. Zamorskiego. Nie wiem czy jest ona do przypisania rozkazowi z Warszawy czy też nadgorliwości konwojentów. Tak czy tak obciąża ona stronę polską i jest do zapisania na rachunek naszych win i przestępstw... Pamiętajmy również, że stało się to w tym samym okresie, kiedy aresztowano i bito w Brześciu nie tylko posłów polskich ale i ukraińskich. Natomiast gdy chodzi o zmarłych Ukraińców wskutek pobicia, wyznaję, że mam pewne wątpliwości, czy śmierć ich była bezpośrednim następstwem wykroczeń polskich. Organizacja Ukraiń-

skich Nacjonalistów tyle razy, programowo, używała w walce z nami — zgodnie ze swym Dekalogiem — zmyśleń i kłamstw, że i w tym wypadku mogła wykorzystać niektóre zgony naturalne aby je zapisać na karb Polaków. Szczególnie, że chodziło o „skapitalizowanie” pacyfikacji w Lidze Narodów i w propagandzie antypolskiej w świecie zachodnim. Propaganda zrobiła swoje, dziś Ukraińcy z pewnością w dobrej wierze powtarzają te nazwiska łącząc je z pacyfikacją. Wszelako przyczyny zgonów zapewne nie były stwierdzone prawidłowymi obdukcjami skrogu. Sławoj-Składkowski, ówczesny minister spraw wewnętrznych, zaangażował się w tak kategoryczne zaprzeczenie, powtórzone przez historyka Pobóg-Malinowskiego.

Przypuśćmy jednak, że niektóre pobicia spowodowały zgony. Wobec skali rewolucyjnych zamachów, wobec rozmiaru pożogi i sabotaży dokonanych przez Ukraińców przeciw ludności polskiej, przeciw urzędom, kolejom i urządzeniom telefonicznym — mogło być jeszcze gorzej. Barbarzyńska była pacyfikacja, ale również barbarzyńska była akcja OUN, która ją wywołała. Pobóg-Malinowski cytuje instrukcję daną Składkowskiemu przez Piłsudskiego: „Unikać rozlewu krwi. Tam gdzie ludność ukraińska dobrowolnie czy z musu popiera zamachowców — zastosować represje policyjne a gdzie to nie pomoże — kwaterunek wojskowy ze wszystkimi jego ciężarami”. Istotnie, podkreśla Pobóg-Malinowski, nie oddano jednego strzału, nie spalono ani jednej ukraińskiej wsi, ani jednej zagrody, ani jednego stogu. Ale dodajmy, że za to w pewnych wypadkach zniszczono czytelnie Proświty i lokale kółek rolniczych tudzież dobytek chłopów i księży.

Nie zmieniam więc zdania, wyrażonego w mej pracy, że w pacyfikacji (a szczególnie w sposobie jej przeprowadzenia) wyładowały się najgorsze instynkty polskiego szowinizmu — właśnie przez te dewastacje i przez bicie. Ale obiektywnie dodajmy, że przy rewizjach znaleziono po wsiach ogromne ilości ukrytej broni i materiałów wybuchowych oraz natrafiono nieraz na czynny opór. Żaden rząd dbały o porządek publiczny i bezpieczeństwo obywateli nie mógłby w tej sytuacji pozostać bezczynny a bez wkroczenia poważnych sił nie można było opanować sytuacji. Uznała to mimo wszystko Liga Narodów, orzekając uchwałą z roku 1932, że wystąpienie polskie było sprowokowane przez rewolucyjną akcję Ukraińców, co Tereszczuk niestety przemilcza. Trzeba podkreślić, że od 1930 r. Organizacja nie podjęła ani razu masowych sabotaży: w rachunku zysków i strat nie opłacały się.

Jest w pewnych kołach przyjęte, że zamach na Pierackiego był odpłatą za pacyfikację. Akta Senyka na to bynajmniej nie

wskazują. Mówią one, że kierownictwo OUN rozważało alternatywę: ministrowie oświaty lub spraw wewnętrznych. Tak czy tak nie sędzę, by Pieracki był za pacyfikację odpowiedzialny. Decyzja przypadła Piłsudskiemu i Składkowskiemu, na wykonaniu zawazyli wiceminister Nakonecznikow-Klukowski i Henryk Kawecki, nie mówiąc o bezpośrednich komendantach policji i dowódcach wojskowych.

Tereszczuk przeczy memu twierdzeniu, że ukraińska akcja propagandowa po pacyfikacji była zorkiestrowana z Niemcami i na dowód, że tak nie było, przytacza ówczesne wypowiedzi różnych ministrów i dzienników wielu krajów, z potępieniem pacyfikacji. Toż to jeden dowód więcej, że Niemcy Ukraińcom pomogli! Byli ich sprzymierzeńcami obiektywnymi. Podobnie jak on, odwoływali się ustawicznie do traktatu o ochronie mniejszości narodowych, dysponując o wiele większymi wpływami i środkami. Ale Tereszczuk przeczy nawet przypomnieniu, że Niemcy Weimarskie zgłaszały względem Polski roszczenia terytorialne. Pisze, że w roku 1930 w ogóle nie istniała kwestia „Korytarza” pomorskiego! Przy takiej nieznajomości historii dyskusja jest dosyć utrudniona. Czy Tereszczuk nie słyszał o rewizjonistycznej mowie z trybuny Reichstagu nowoobranego Prezydenta Republiki niemieckiej marszałka Hindenburga w roku 1925, o wielokrotnych deklaracjach rewindykacyjnych ministrów Stresemanna i Treviranusa, o ustawicznej kampanii przeciw traktatowi Wersalskiemu, o rozróżnieniu gwarancji terytorialnych w Locarno? Czy nie zna ówczesnego sloganu *Die brennende Grenze*? A w skali UW-OUN czy Tereszczukowi nie jest znany odnaleziony przez Pawła Korca memoriał Osipa Dumina, kierownika referatu wywiadowczego UW¹⁵, ujawniający ściśle związanie pieniężne i wywiadowcze Konowalca i Organizacji z władzami niemieckimi i w tym względzie dementujący zapewnienia Tereszczuka o rzekomej „niezależności” UW-OUN?

Cytując historyka niemieckiego Hansa Roosa¹⁶, Tereszczuk pyta, czy odpowiada prawdzie jego twierdzenie, że w roku 1932, przy okazji paktu o nieagresji Polska zawarła z Rosją Sowiecką tajną umowę o obopólnym zwalczaniu irrydenty ukraińskiej. Istotnie Roos podaje taką nieprawdopodobną wiadomość i to w formie kategorycznej, nie warunkowej, na str. 177, w odnośniku jednak, wskazując źródło swej tezy, pisze tylko, że... o zawar-

15. „Prawda o Ukraińskiej Organizacji Wojskowej”, *Zeszyty Historyczne*, nr 30 z r. 1974.

16. Hans Roos, *Polen und Europa*, Studien zur polnischen Aussenpolitik 1931-1939. Tübingen, 1957.

ciu takiej umowy były „w każdym razie przekonane kierownictwa UNDO i OUN”. Już samo to uzasadnienie odbiera twierdzeniu Roosa jakąkolwiek wartość. Mogę Tereszczuka zapewnić, że wiadomość ta jest bezpodstawna, u Ukraińców zrodzić się mogła tylko pod wpływem bezkrytycznej podejrzliwości.

Mimo, że rzecz nie budzi wątpliwości, sprawdziłem ją u kompetentnych ludzi. Oto odpowiedzi: umowy takiej nigdy nie było (listy radcy MSZ Stefana Lubomirskiego z 12. V. 1978 i ministra Zygmunta Zawadowskiego z 19. VI. 1978), nigdy też na szczeblu wykonawczym nie zaznaczyło się żadne współdziałanie przeciwukraińskie ani z ZSSR ani — poza wydaniem Łebeda — z Rzeszą niemiecką (List dyr. Wacława Żybskiego z 26. V. 1978)¹⁷.

Zgładzenie przez OUN Ukraińca Babija we Lwowie w roku 1932, Tereszczuk uważa za uprawnione, gdyż... Polacy również zabijali zdrajców w czasie okupacji niemieckiej. W rozumieniu Tereszczuka fakt, że Babij, dyrektor państwowego gimnazjum ukraińskiego, b. oficer armii ukraińskiej URL, powszechnie szanowany patriota, zatrzymał i wydał policji polskiej ucznia ukraińskiego, rozdającego nielegalne ulotki, jest równoznaczny ze zdrażdiecką współpracą Polaka w czasie wojny z gestapo! Lub z aktem zdrady narodowej z okresu rewolucji 1905. I w równym stopniu zasługuje na śmierć...

W tym sztucznym, naciągany, choć z pewnością szczerym zestawieniu wyraża się wszystko: uznanie, że Ukraińcy byli w wojnie z Polską, że Polska była na obszarach południowo-wschodnich okupantem (od kiedy?) i że Ukraińcy byli uprawnieni do prowadzenia z nią walki — partyzanckiej, zamachowej, sabotażowej i wszelkiej innej, oraz do stosowania kapturowych trybunałów rewolucyjnych względem tych Ukraińców, którzy tej sytuacji nie uznawali. Taka była u tych młodych ludzi mentalność, takie rozumowanie i tego Tereszczuk broni uparcie po dzień dzisiejszy. Nic dziwnego, że cała ta doktryna i wywodzące się z niej akty obce były większości dojrzałego społeczeństwa ukraińskiego, nawet tego, które stawiało sobie za cel uzyskanie niepodległości. Zarazem objawiała się w tym cała różnica charakteru polskiego i ukraińskich nacjonalistów, mimo że OUN wciąż usiłowała (i usiłuje) czerpać natchnienie z wzorów polskich. Nie ma przecież analogii między obecnością w wyniku zaborów Rosji carskiej czy Cesarstwa niemieckiego na ziemiach polskich a obec-

17. Por. ostatnią publikację krajową na ten temat: Andrzej Skrzypek, „Polsko-radziecki pakt o nieagresji z r. 1932” w *Z dziejów stosunków polsko-radzieckich*, tom XIII, Warszawa, Książka i Wiedza, 1976.

nością od stuleci Rzeczypospolitej polskiej na ziemiach mieszanych narodowościowo. A jeśli chodzi o walkę na rzecz niepodległości, naród polski nigdy nie uważał, by od daty zaborów był w stanie permanentnej wojny — stosowanie tak pojętej walki było niemożliwe i niecelowe. Walkę podejmował tylko w powstaniach czy rewolucjach, ograniczonych w czasie i miejscu. Analogia z okupacją w czasie ostatniej wojny też nie zachodzi. Okupacja ta była następstwem wojny między państwami, podmiotami prawa międzynarodowego, uznanej i dzielonej przez inne mocarstwa. „Wojna” natomiast, której OUN dopatrywała się w latach 1920-1939, istniała tylko w jednostronnym wyobrażeniu części narodu ukraińskiego i była czysto subiektywną, jednostronną, nie ważną z punktu widzenia prawa narodów próbą permanentnej rewolucji wewnątrz granic, uznanych traktatami międzynarodowymi. Tym samym nie było okupacji w uznanym tego słowa znaczeniu — przeciwna interpretacja jest czysto dowolna i gołosłowna.

Była też zasadnicza różnica w metodach walki. W okresie rozbiorów, w carskiej Warszawie, nawet najskrajniejsi niepodległościowcy polscy nie posunęliby się w potępieniu dajmy na to jakiegoś polskiego Babija poza „opisanie go” w druku, może oplucie, spoliczkowanie. Jak to słusznie powiedział prokurator Rudnicki w swej mowie oskarżycielskiej, PPS nigdy nie splamiła się w takich okolicznościach krwią bratnią. Ukraińscy nacjonałści od razu sięgali po rewolwer! Pod okupacją AK знаła nie tylko karę śmierci, ale ostrzeżenia czy wyroki infamii.

Oczywiste jest, że każdy ruch rewolucyjno-terrorystyczny stosuje własną strategię i stwarza sam dla siebie normy postępowania. Nie o to mi więc chodzi, że OUN działała inaczej niż Polacy, ale o to, że niesłusznie, bezpodstawnie powołuje się na nasze precedensy. Cała argumentacja, usiłująca uzasadnić metody OUN polskimi wzorami jest równie bezprzedmiotowa co zbędna — tym bardziej, że absolutnie fałszywa.

Niestety, między Tereszczukiem i mną jest spór — obawiam się że beznadziejny — nie tylko w interpretacji zjawisk ale i w uznaniu pewnych faktów za autentyczne.

Wbrew temu co wskazałem, Tereszczuk utrzymuje, że milicja ukraińska nie wzięła udziału w ekscesach antyżydowskich po wkroczeniu wojsk niemieckich do Lwowa. Powołuje się przy tym na Steckę, który podobno utworzył milicję z zadaniem nie dopuszczenia do wykroczeń. W takim przeciwstawieniu kryje się nieporozumienie. Ukraińscy nacjonałści utrzymujący swe kadry w konspiracji pod okupacją sowiecką, wystąpili zbrojnie we Lwowie już w czasie odwrotu Rosjan i wsparli Niemców wkra-

czających do miasta. Fakty te są dostatecznie opisane i znane, by mogły być kwestionowane. Zaraz potem, w ciągu paru dni współdziałali z gestapo w pogromie Żydów i wyłapywaniu ich dla masowych egzekucji za miastem. Potwierdza to świadectwo poważnego historyka żydowskiego, dr. Filipa Friedmana¹⁸, udoszczepnione mi przez Michała Borwicza. Píše on (str. 6):

„Pierwsze dni okupacji niemieckiej, tj. od 30 czerwca do 3 lipca były widownią krwawych i okrutnych pogromów. Do niemieckich żołnierzy dołączyły się męty społeczne, szczególnie wśród nacjonalistów ukraińskich, oraz zorganizowana przez Niemców na prędcę tzw. ukraińska milicja (policja pomocnicza). Zaczęło się od polowania na ulicach na mężczyzn żydowskich [...]. Ukraińska milicja i Niemcy, niezadowoleni ze zbyt skąpego polowu na ulicach, zaczęli przetrząsać mieszkania żydowskie w poszukiwaniu ofiar. Zabierano mężczyzn, gdzie indziej jednak całe rodziny...”.

Bardzo wymowne jest również świadectwo Wandy Ładniewskiej-Blankenheimowej¹⁹, która píše, że już 1 lipca, tj. naza jutrz po wkroczeniu Niemców do Lwowa, pewien młody Ukraińiec, znajomy Boya z uniwersytetu, występował na ulicy z opaską niebiesko-żółtą w roli milicjanta.

Jest oczywiste, że ta ukraińska milicja nie powstała z nieznanego, miałkiego elementu, lecz z ludzi, którzy już wcześniej byli wzięci w karby organizacji. Zabiegi Stecki, o których píše Tereszczuk, przypadają więc zapewne na następne dni (oczywiście poprzedzające rozpędzenie rządu ukraińskiego w dn. 11 lipca). Jest możliwe, że w tym okresie, kiedy likwidacja Żydów chwilowo ustała, były one zwrócone przeciw grabieżom, których Niemcy też nie chcieli tolerować. Dodajmy, że zdaniem Tereszczuka OUN-owiec Iwan Rawłyk, obarczony przez Steckę powyższym zadaniem i rozstrzelany później z całą rodziną przez Niemców w roku 1941, parokrotnie odmówił niemieckiej SD wskazania adresów wybitnych polskich działaczy. Zapewnienie to przyjmuję z uznaniem do wiadomości.

Z drugiej jednak strony podtrzymuję twierdzenie, że wcześniej, 3 lipca, Ukraińcy pomogli autonomicznemu SS Sonderkommando dr. Schöngartha w likwidacji lwowskich profesorów i ich rodzin. W mojej pracy napisałem, że jest przyjęte twierdzenie, iż hitlerowcy posłużyli się do tej zbrodni listą proskrypcyjną, sporządzoną przez ukraińskich nacjonalistów. Dziś fakt ten uwa-

18. Dr Filip Fiedman, *Zagłada Żydów lwowskich*, Łódź, 1945.

19. Wanda Ładniewska-Blankenheimowa, „Z dwu ostatnich lat Boya”, *Zeszyty historyczne*, nr 4 z r. 1963.

zam za pewny. W aktach dochodzenia w Hamburgu jest oświadczenie pewnego poważnego Ukraińca, któremu wymieniony z nazwiska znajomy Ukrainiec pokazał na dzień lub dwa przed aresztowaniami profesorów listę polskich nazwisk mówiąc, że „ci ludzie będą wkrótce wykończeni”. Jest też świadectwo dalsze: kiedy po aresztowaniach żona profesora Progulskiego zgłosiła się do biura gestapo przy ul. Pełczyńskiej pytając o losy swego męża, jeden z wyższych oficerów powiedział jej, że nic o nim nie wie, bo „tu wszystko jest tajne. Zresztą my nic nie mamy wspólnego z aresztowaniami z listy ukraińskiej”. Wreszcie SS Untersturmführer dr Walter Kutschmann powiedział prof. dr Karolinie Lanckorońskiej w roku 1942, że aresztowania profesorów były dokonane na podstawie listy sporządzonej przez „marnych studentów ukraińskich”. Czy te dowody nie wystarczą? Dodajmy, że gdy kommandy niemieckie przysły po profesorów, towarzyszyli im ukraińcy umundurowani „tłumacze”, znów przecież nie wzięci z ulic, lecz zwerbowani i wyszkoleni znacznie wcześniej w Krakowie a może także w Zakopanem....

Niestety, gdy tylko ustalam fakty niemiłe dla Ukraińców, Tereszczuk uważa, że „dolewam oliwy do ognia”. Tak chyba nie jest. Pracę moją poprzednią i pracę obecną poświęciłem opisanu wydarzeń historycznych. Trudno i darmo, historii nie pisze się z myślą o możliwości zaognienia czy ugaszenia sporów, a tylko i wyłącznie z troską o prawdę. Nie jesteśmy przecież w ustroju komunistycznym! Czym innym jest przeszłość, a czym innym przyszłość. Przeszłości nie da się zmienić, była taka jaka była. Natomiast gdy myśl naszą kierujemy w stronę jutra, ważne jest byśmy umieli wyciągnąć wnioski z rzeczy zaszłych i byli zdolni dojrzeć, co się od tego czasu zmieniło i jakie są widoki na przyszłość.

Z tego względu w artykule Tereszczuka o wiele ważniejsze od przyczynków i złośliwości, których mi nie szczędzi, wydają mi się uwagi, które poświęcił obecnym i przyszłym stosunkom między naszymi narodami.

Już w ustępie, w którym omawia postawę Bandery po wojnie, znalazłem bardzo ciekawe akcenty. Tereszczuk sprzeciwia się memu twierdzeniu, że artykuły *Szlachu Peremohy* w Monachium, ziejące — jak to napisałem za Stanisławem Paprockim — chorobliwą nienawiścią do nas, świadczą, że Bandera pozostał wcieleniem fanatyzmu i zaślepienia. Odpowiada mi, że nie Bandera był redaktorem i wydawcą pisma, z czego wniosek, że publikacja ta nie obciąża go. Dość dziwne postawienie sprawy, boć chodzi o pismo Organizacji, której Bandera był przewodniczącym, przywódcą, wodzem. Ale niech będzie, zapiszmy na dobro Bandery

to rozróżnienie. Tak jak i twierdzenie Tereszczuka, że „Bandera szukał w Monachium dróg do Polaków przyjmujących zasadę podziału etnograficznego”. Jaka szkoda, że się to w niczym nie zaznaczyło... A przecież był w tym czasie w Monachium Stanisław Paprocki, którego Kedryn zalicza do „Białych kruków” w życzliwej postawie wobec Ukraińców.

Tereszczuk wskazuje też znacząco na przykład Niemiec, z którymi po wojnie umiała się pogodzić Francja tak jak i pogodzili się Żydzi... I zapewnia, że odpowiedzi swej nie napisał z myślą o podsyceniu kampanii lub frontu przeciwpolskiego. I tę deklarację przyjmuje do wiadomości.

Pieracki wobec problemu ukraińskiego w Polsce

Były naczelnik urzędu śledczego w województwie krakowskim w korespondencji ze mną — która nawiązała się niestety dopiero po ukazaniu się mojej pracy — potwierdził moje przypuszczenie, że powodem późnej likwidacji ośrodków OUN we Lwowie i w Krakowie i mimowolnego umożliwienia w ten sposób zamachu w Warszawie była podróż inspekcyjna, którą minister Pieracki podjął do Małopolski Wschodniej. Wielomiesięczne obserwacje przewozu nielegalnych druków organizacyjnych, idących z Czechosłowacji przez Cieszyn i Kraków do Lwowa były uwieńczone ścisłymi ustaleniami. Wiedzano ponadto, że w Krakowie, u Karpyńca na Dębnikach, sporządzane są w jego laboratorium przyrządy wybuchowe, również przekazywane do Lwowa. Co więcej, z początkiem maja 1934 jeden z takich przewozów został we Lwowie wskutek mgły i ciemności „zgubiony” przez wywiadowców, tak że nie zdołano ustalić jego odbiorcy. W tym stanie rzeczy urząd śledczy w Krakowie wystąpił do władz bezpieczeństwa w Warszawie z wnioskiem o nie przewlekanie dalszych obserwacji i zgodę na natychmiastowe dokonanie aresztowań we wszystkich wykrytych ośrodkach organizacyjnych, gdyż odwlekanie likwidacji grozi poważnym niebezpieczeństwem. Niestety naczelnik wydziału bezpieczeństwa w Ministerstwie spraw wewnętrznych, inż. Stanisław Kucharski odpowiedział telefonicznie, że likwidacja ta byłaby nie na rękę ministrowi Pierackiemu z uwagi na zamierzoną w niedalekiej przyszłości wizytę u metropolity Szeptyckiego we Lwowie. Krakowski urząd musiał rzecz prosta podporządkować się tej decyzji, alarmował jednak, że pilna likwidacja jest niezbędna i prosił by ją zarządzone gdy tylko przeszkody ustaną. Konieczność wkroczenia policji wystąpiła jeszcze jaskrawiej, gdy tymczasem, dn. 30 maja nieznanego gościa który

odwiedził mieszkanie Karpyńca — po zamachu okazało się, że był to Łebed — zdołał „urwać się” obserwacji. Jak mnie list zapewnia, urząd śledczy już wtedy liczył się z możliwością, że przybysz ten zabrał z sobą sfabrykowaną bombę przez Karpyńca. Nic nie pomogło, trzeba było czekać na odbycie podróży ministra do Małopolski Wschodniej, a podróż odbyła się dopiero w dnia 3 do 9 czerwca. Dopiero po jej zakończeniu Kucharzski zarządził 12 czerwca na dzień następny odprawę w urzędzie wojewódzkim we Lwowie z udziałem zainteresowanych władz sądowych i bezpieczeństwa ze Lwowa i z Krakowa i na tej odprawie likwidacja została wyznaczona na wczesne godziny dn. 14 czerwca. Było już za późno, nazajutrz zamach w Warszawie był dokonany...

Ustalenie to jest niezmiernie wymowne, dowodzi bowiem, że Pierackiemu zależało, dosłownie za wszelką cenę, by rozmowa z metropolitą Szeptyckim we Lwowie mogła się odbyć w warunkach zapewniających jej możliwie najlepsze wyniki i dlatego właśnie nie życzył sobie, by ją poprzedziły masowe aresztowania wśród ukraińskiej młodzieży. Rozmowa ta zaś miała doprowadzić do odprężenia w stosunkach polsko-ukraińskich i zapoczątkować spotkania z ukraińskimi czynnikami politycznymi. Można więc rzec, że opóźniając ponad miarę rozbrojenie ukraińskiej organizacji terrorystycznej dla niezaciemnienia horyzontów tego nowego kursu Pieracki padł ofiarą idei doprowadzenia do układu z Ukraińcami. Z tego względu istotnie śmierć jego może i powinna być zestawiona z śmiercią Tadeusza Hołówki, który również był rzecznikiem ugody z ukraińską mniejszością narodową.

Iwan Kedryn napisał w swej ostatniej książce²⁰, że moje twierdzenie, jakoby Pieracki wyjechał do Galicji Wschodniej celem szukania jakichś pokojowych kontaktów z Ukraińcami „jest wysane z palca” (str. 232). Ta uprzejma uwaga Kedryna nie jest słuszna. Już jakieś 15 lat temu opowiedział mi Aleksander Kawałkowski w Paryżu, że wie od samego Pierackiego, z którym był w doskonałych stosunkach, iż podróż ta i spotkanie z metropolitą miały zapoczątkować układy. Pieracki był podobno niezmiernie zadowolony z odbytej podróży, w pełni ziszcila jego nadzieje. Kedryn uważa, że nie było po co jechać do Lwowa, skoro w Warszawie była ukraińska reprezentacja parlamentarna i tam można było zapoczątkować rozmowy na rzecz politycznego odprężenia. Znowu niesłuszna ocena, bo można doskonale sobie wyobrazić, że Pierackiemu zależało na zapoczątkowaniu rzeczy

20. Iwan Kedryn, *Życie - wydarzenia - Ludzie, Wspomnienia i komentarze*, Nowy Jork, 1976.

właśnie u Szeptyckiego, który odgrywał ogromną rolę w społeczeństwie ukraińskim i z którego autorytetem bardzo się liczone. Po co więc te dasy, różne były drogi prowadzące do celu.

Kiedy Kawałkowski mówił mi o tym nie miałem jeszcze skryształizowanego planu napisania mojej pracy, więc bliższych pytań nie zadałem i rozmowy niestety nie zanotowałem. Nie mogę przytoczyć jej dosłownie, Kawałkowski zaś, jak wiadomo nie żyje. Zestawiając jednak datę tej podróży z datą paktu polsko-niemieckiego zawartego z styczniu 1934 w Berlinie, widzę że rzeczy rozwijały się całkiem logicznie i naturalnie. Układ z Hitlerem odebrał Ukraińcom w Polsce nadzieje na dalsze poparcie Berlina w ich sporze z Polską. Tym samym powinien być ich skłonić do jakiegoś porozumienia z Warszawą. Jest więcej niż prawdopodobne, że Pieracki miał to na uwadze i że w tych warunkach zamierzał zainicjować normalizację stosunków z Ukraińcami. Świadomość odmienionej sytuacji musiała jednak dojrzeć po obu stronach, uruchomienie procedury rokowań wymagało czasu. Rozmowa „u góry” z Metropolitą, miała ją zainaugurować.

Dzięki niedawnemu spotkaniu z Mikołajem Dolanowskim rozporządzam świadectwem, które w pełni potwierdza to przypuszczenie i obala sceptycyzm Kedryna. W cytowanym już liście z 5. III. 1978 Dolanowski poświęcił tej sprawie następujący ustęp:

„W roku 1930 nie wchodziłem w skład rządu i przy powzięciu decyzji przeprowadzenia w Małopolsce tzw. Pacyfikacji nie byłem. Znając jednak poglądy Pierackiego w sprawie ukraińskiej odrzucam przypuszczenie, jakoby on właśnie był autorem tego pozażołowania godnego przedsięwzięcia. W sprawie ukraińskiej Pieracki był bardzo bliski poglądów Hołówki. Pamiętam, jak po śmierci Hołówki w roku 1931 powiedział mi w Klubie na Foksalu: 'Słuchaj, to wielkie łajdactwo. Ukraińskim nacjonalistom udało się zabić człowieka, który reprezentował koncepcję ułożenia stosunków polsko-ukraińskich. Boję się, że to morderstwo wzmocni tendencje szowinistyczne zarówno u Ukraińców jak u Polaków'.

Muszę jednak dodać, że jadąc w tę podróż Pieracki zdawał sobie sprawę z ryzyka które świadomie podjął, i powierzył mi metalową szkatułkę mówiąc, że w razie śmierci mam ją wręczyć rodzinie po wyjęciu dokumentów natury państwowej, które mam przekazać jego następcy.

We Lwowie umyślnie poszedł z wojewodą Beliną Prażmowskim w godzinach największego ruchu do cukierni Zalewskiego, w terenie poruszał się swobodnie i nigdzie nie doznał żadnej zaczepki czy przykrości. Złożył też wizytę metropolicie Szep-

tyckiemu, do której to manifestacji przywiązywał wielką wagę. Opowiadając mi o niej podkreślił, że rozmowa odbyła się w nastroju pojednawczym i bardzo życzliwym. Z całą pewnością Pieracki szukał u Szeptyckiego zrozumienia i oparcia dla planowanego zbliżenia polsko-ukraińskiego i dla układu, który mu się zarysował, i z tego co mi powiedział, wiem że zrozumienie to i poparcie znalazł.

Ta przyjazna rozmowa min. Pierackiego z metropolitą Szeptyckim kojarzy mi się z pewnym epizodem, który o kilka miesięcy poprzedził ową wizytę. W czasie manewrów wojskowych, w pewnej wsi ukraińskiej doszło wieczorem do bójki między ułanami i wiejskimi chłopakami. Nie była to wcale bójka polityczna, poszło o dziewczyny. Ukraińscy politycy rozdęli to małe zdarzenie, posłowie UNDO wnieśli interpelację. Pieracki polecił wojewodzie lwowskiemu złożyć wizytę metropolicie i wyjaśnić mu prawdziwy charakter zajścia. Szeptycki wysłuchał Beliny i odparł, że jako dawny rotmistrz dragonów ks. Schwarzenberga zna dobrze psychologię żołnierzy, może więc doskonale sobie wyobrazić, jak do tego zajścia doszło. Toteż obiecał wpłynąć na załagodzenie sprawy”.

To przedśmiertne świadectwo Dolanowskiego dorzucam do kart historii stosunków polsko-ukraińskich przed wojną jako ważne dla zrozumienia zarówno postawy ministra Pierackiego jak i metropolity Szeptyckiego.

Jeszcze o procesie warszawskim

W wspomnianym rozdziale bardzo kontrowersyjnej książki Kedryna, której światła i cienie *Kultura* odmalowała w obszernym artykule w nr. 356, r. 1977²¹, znajduję zdumiewający zarzut pod adresem mojej pracy. Kedryn ma mi za złe, że broniąc organy śledcze przed zarzutem znęcania się nad aresztowanymi w sprawie o zabójstwo Pierackiego, czego nie było, „nagle zapomniałem o tragicznej historii Olgi Besarabowej, która w roku 1924 powiesiła się w celi we Lwowie nie mogąc znieść tortur, jakim ją poddano”. Doprawdy czy w omówieniu procesu o zabójstwo Pierackiego powinienem był przedstawić wszystkie inne sprawy przeciw Ukraińcom? Nie napisałem przecież, że tortur w Polsce nigdy nie stosowano. Powiedziałem tylko, i to podtrzymuję, że nie zrobiono tego w procesie o zabójstwo ministra Pierackiego i podkreśliłem, że dlatego proces ten ujmę polskiemu wymiarowi

21. Józef Łobodowski, *Dzieje osiemdziesięciolecia*.

sprawiedliwości nie przynosi. Nikt nie broni Kedrynowi uporczywego, obsesyjnego przypominania odmiennego stanu rzeczy w innym śledztwie, wcześniejszym o 10 lat, ale niechże nie wymaga, bym i ja dawał folię takiej obsesji. *Suum cuique*.

Równie nierzeczowe jest stanowisko Kedryna w sprawie zakazu, wydanego przez sąd warszawski przeciw przemawianiu na rozprawie w języku polskim. Kedryn uważa, że gdyby podsądnym pozwolono mówić po ukraińsku, ich zeznania przysporzyłyby rozprawie koloru i mogłaby być ciekawa. A ponieważ oskarżeni i świadkowie nie mogli mówić w swym języku i zeznania ich ze śledztwa trzeba było odczytywać, rozprawa stała się nudna. Zapewne, rozumiem ten punkt widzenia ukraińskiego sprawozdawcy sądowego... Ale czy rzeczywiście kryterium to było tak ważne? Dzienniki w całej Polsce były pełne sprawozdań z procesu, więc ta „nuda” jest pojęciem względnym. Chodzi o inny zawód! Kedryn wciąż nie jest w stanie zrozumieć o co w tym wypadku chodziło. Postanowieniu sądu polskiego przeciwstawia fakt, że w Stanach Zjednoczonych „sąd daje tłumacza obywatelowi, który nie zna dobrze języka angielskiego”, i „to wcale nie szkodzi językowi angielskiemu jako językowi państwowemu”. Tu właśnie tkwi całe nieporozumienie! Na rozprawę warszawską też wezwano tłumacza sądowego, ale okazało się, że wszyscy podsądni i świadkowie ukraińscy znali dobrze język polski i wcale temu nie przeczyli. Odmawiali mowy polskiej tylko dla demonstracji politycznej. Bandera, ich przywódca na sali sądowej, wyraził to bardzo dobitnie oświadczając, że go prawo polskie nie obowiązuje. W takim ujęciu rzeczy była logika, w argumentacji Kedryna, który prawa polskiego nie kwestionuje, logiki nie ma.

Zdaniem Kedryna odmowa sądu przyjmowania zeznań po ukraińsku nie pochodziła z poszanowania pryncypialnego prawa ale z pryncypialnego podejścia do polskiego państwa jako narodo- jedolitego, polskiego, jakim nie jest ale powinno się stać. Znów nieprawda! Odmawiając prawa zeznawania w Warszawie po ukraińsku sąd powołał się na ustawę, która zezwalała na wypowiedzi w tym języku na ziemiach południowo-wschodnich — i wyłącznie na nich. A więc tym samym uwydatnił mieszaną narodowościowo skład ludności Rzeczypospolitej, tyle tylko, że występujący na określonym obszarze państwowym, nie w Warszawie, którą sami oskarżeni wybrali dla dokonania swego przestępstwa.

Z mojej zaś strony mieszaną skład narodowościowy Polski jeszcze podkreśliłem na wstępie mej mowy oskarżycielskiej, zapowiadając, że „mówić będę z ramienia państwa, którego obywatelami są Polacy i Ukraińcy”. Czy Kedrynowi to nie wystarcza?

Aż dziw bierze, że publicysta politycznie tak doświadczony, nie zdobywa się na więcej obiektywizmu. Ale cóż, skoro w książce swej stale używa określenia „Polska powersalska”, nie pomny, że i na wschodzie i na zachodzie granice polskie wypisane zostały nie atramentem traktatów lecz krwią żołnierzy i powstańców, widać, że doznane przez Ukraińców krzywdy i zawody odbierają mu czasem zdolność spokojnej oceny spraw polskich nawet z perspektywy lat czterdziestu.

Rzecz naturalna, Kedryn podkreślił moją autokrytykę i przyznanie, że na rozprawie nie okazałem dostatecznej rozważliwości i umiaru, i brak ten uwydatnia sążnięcie i chyba nadmiernie. Myli się np. gdy fakt ten łączy ze sprawą języka w procesie. Pamięć mu nie dopisała. W tej sprawie nie ja zająłem stanowisko, ale prokurator Rudnicki, który zaraz przy pierwszej sposobności zaprotestował, w imię obowiązującego prawa, przeciw dopuszczeniu wypowiedzi w języku ukraińskim, i zasadę tę wyraził dobitnie raz jeszcze w swej końcowej mowie oskarżycielskiej²².

Kedryn przeciwstawia moją postawę w procesie postawie prok. Rudnickiego znów z wielką przesadą. Prok. Rudnicki miał niewątpliwie wdzięczniejszą rolę, interweniował rzadko (nawet w sprawie skargi o założenie kajdanków oskarżonemu w śledztwie głosu nie zabrał) licząc na moje wystąpienia, w przemówieniu końcowym zachował wiele umiaru ale i stanowczości, przyjmując (i przypominając) linię Hołówki. Na moich barkach zaś ciążył obowiązek przeprowadzenia dowodu winy i zgłoszenia wniosków o wymiar kary. Rola tę spełniłem samodzielnie, ale nigdy, ani słowem prokurator Rudnicki nie okazał mi w najmniejszym stopniu dezaprobaty, choć wszystkie przerwy południowe w rozprawie spędzałem u niego w pobliskim mieszkaniu sam na sam, i mógł doskonale, gdyby takie było jego zdanie, zrobić mi uwagę. Przeciwnie, na zakończenie procesu, po mojej długiej mowie oskarżycielskiej, uściśnął mnie wyrażając w najpochlebniejszych słowach uznanie i powinszowanie. (Jedyna rzecz, którą mi w czasie procesu wytknął, było podanie ręki oskarżonemu Karpińcowi). Fakt ten podkreślam nie tyle dla własnej obrony ile w imię prawdy, dla ściślejszego zarysowania sylwetki Kazimierza Rudnickiego. Mówiono, że należał do loży masonskiej. Był humanistą i liberałem, ale w obronie pogwałconych praw Rzeczypospolitej stawał twardo i z charakterem.

Jedyny słuszny zarzut, jaki mi Kedryn czyni, odnosi się do użycia przeze mnie w procesie wyrażenia, że ta sprawa nie jest

22. Fragmenty jej przypomniała *Gazeta Sądowa w Warszawie* z 1. XII. 1973.

polityczna. „To było oczywistym nonsensem — pisze Kedryn — bo to był *par excellence* proces polityczny”. Myśl mą wyraziłem wówczas nie dość precyzyjnie. Chodziło o uwydatnienie, że proces ten nie ma nic wspólnego z taką czy inną polityką, prowadzoną przez rząd polski wobec Ukraińców, bo Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, a więc oskarżonym w procesie, nie chodzi ani o szkoły ukraińskie, ani o parcelację ziemi ani o autonomię i jakiegokolwiek postulaty większości społeczeństwa ukraińskiego w Polsce. Jakakolwiek byłaby polityka rządu w tym względzie, ukraińscy nacjonałści byliby wrogami państwa polskiego, bo tak czy tak, w każdym wypadku chcą oderwania ziem, uważanych za swoje, i zdobycia niepodległości. Myślę, że miałem rację.

W zakończeniu swych uwag poświęconych zabójstwu Pierackiego Kedryn wspomina, że jak to wie od Konowalca, miał on wielkie kłopoty z Grzegorzem Maciejką po jego ucieczce z Polski. „Maciejko nie chciał zrozumieć, że powinien siedzieć cicho, żyć w ukryciu i zachować się skromnie, tylko wymagał ustosunkowania się do niego jako do bohatera”. Konowlec zorganizował Maciejce wyjazd pod cudzym [litewskim] nazwiskiem do Argentyny, gdzie — jak dziś wiadomo — żył i umarł bez rozgłosu.

W cytowanym już artykule „Białe Kruki” w *Kulturze*, Kedryn pisze, że był w przyjaźni z płk. Konowalcem i spełniał rolę nieoficjalnego łącznika między komitetem centralnym UNDO i OUN. Ciekawy jestem czy w swych zetknięciach z Konowalcem zdał sobie sprawę, jak bardzo merkantylnie Konowalec podchodził do roli Organizacji za granicą, co wymownie okazał wspomniany już memoriał Dumina, ogłoszony w nr. 30 *Zeszytów Historycznych*. Kontakty Kedryna z Konowalcem, ukoronowane udziałem w założycielskim kongresie OUN w Wiedniu w roku 1929, przypadają już, jak mi się wydaje, na okres, kiedy UWO Konowalca i Jarego przestało za małe sumy dolarowe sprzedawać... Związkowi Sowieckiemu (o czym Kedryn chyba nie wiedział) duplikaty (sic!) materiałów szpiegowskich zdobytych przez Ukraińców w Polsce i odstąpionych już raz za pieniądze Republice Weimarskiej. Po roku 1929, kiedy UWO przyoblekło się w szaty OUN, zaczęły się już prześladowania na Ukrainie Sowieckiej i chyba to przerwało stosunki Konowalca i Jarego z wywiadem sowieckim. Ale pozostały Niemcy, jako protektor, instruktor i odbiorca w dziale sabotażu i wywiadu, więc była sposobność do merkantylnizmu na drugą stronę. (Tereszczukowi zaznaczam, że polscy rewolucjoniści nigdy tego nie robili).

Kedryn przeczy mej tezie, wyrażonej już w mowie oskarżycielskiej, że jedną z przyczyn zabójstwa Pierackiego była potrzeba wykazania się wobec zagranicy i wobec ukraińskiej emigracji

w Stanach i w Kanadzie, a to dla skapitalizownia „czynu”. Dziś, wobec ujawnienia tyłu nowych świadectw, diagnozę mam podtrzymuję z tym, że odnosi się ona głównie do zagranicznego kierownictwa, a nie do młodzieńczej, fanatycznej egzekutywy w Kraju, która w tych sprawach kierowała się pobudkami bardziej pryncypialnymi.

Wymowne jest w tym względzie świadectwo Ukraińca dr. prawa A. Bilinsky'ego z Monachium, byłego, rozczarowanego członka OUN. Po przeczytaniu mej książki, użyczonej mu przez Milenę Rudnicką, napisał on do mnie z wyrazami uznania dla mojej obiektywności i opowiedział, że w czasie wojny, członkowie PUN Suszko i Ściborski których poznał w Niemczech, wyznali mu, iż zagraniczne kierownictwo zgodziło się na wniosek Krajowej Egzekutywy zgładzenia Pierackiego aby nie tracić jej zaufania co do swej „pryncypialnej rewolucyjności” (Listy z 6. VIII i 7. IX. 1975). Dodam, że nie odwiodło to Konowalca od wysłania Senyka do Ameryki żeby w odpowiednim czasie mógł tam wystąpić z skarbonką w rękę... A kapitalizacja w Kownie i w Berlinie odbyła się z pewnością swoją drogą.

Z czasem płk Konowalec awansował w stosunkach z Niemcami i doszedł do nawiązania styczności z samym szefem wywiadu Trzeciej Rzeszy, admirałem Canarisem. Paul Leverkühn, wysoki oficer Abwehry, pisze²³, że w roku 1937 Abwehra postanowiła przystąpić do ściślejszej współpracy z Ukraińcami. Mając do wyboru hetmana Skoropackiego i wodza OUN, płk. Konowalca, dała pierwszeństwo temu drugiemu i choć Canaris sam pochodził ze środowiska konserwatywno-monarchistycznego, wołał rewolucjonistę Konowalca od arystokraty Skoropackiego. Canaris zapalał do Konowalca szczerą sympatią i po jego śmierci zarządził, by grób jego w Holandii był należycie utrzymany (str. 130).

Kulisy zabójstwa Tadeusza Hołówki

W artykule „Białe kruki” Kedryn pisze, że Konowalec był oburzony na wiadomość o zabójstwie Hołówki (29. VIII. 1931), o którym dowiedział się z prasy. Istotnie, ze śledztwa wiadomo, że jeszcze przed zamachem UNDO było powiadomione przez Konowalca, iż OUN nie podejmie w Polsce żadnych aktów terrorystycznych co najmniej do załatwienia sprawy pacyfikacji przez Ligę Narodów w Genewie (czyli ze względów taktycznych).

23. Paul Leverkühn, *Der geheime Nachrichtendienst der deutschen Wehrmacht im Kriege*, Barnard & Graefe, Frankfurt, 1957.

Można więc przyjąć, że mord popełniony w Truskawcu nie był uzgodniony z PUN-em i został dokonany przez ukraińskie czynniki krajowe. Ale jakie? Śledztwo wykazało, że mordu dokonała komórka OUN powiatu drohobyckiego z udziałem Romana Baranowskiego, związanego z Egzekutywą Krajową we Lwowie, dokładnie jednak ośrodka decyzji nie wykryto. Była ona powzięta dopiero na wiadomość o przybyciu Hołówki do ukraińskiego pensjonatu Sióstr Służebniczek w Truskawcu. W miejscowym środowisku OUN wiadzano, że Hołówko zajmuje wysokie stanowisko, że jest posłem sejmowym, czynnym w sprawach ukraińskich. Bliższego rozeznania jednak nie miano. Ci młodzi ludzie idiotycznie przypisali mu współautorstwo pacyfikacji. Zaważył może i fakt, że Hołówko zjawił się na ziemiach, które uważali za swoje: z tą chwilą należało zastosować zasadę, którą zastosowano przy zamachach we Lwowie na Naczelnika Państwa Piłsudskiego i na Prezydenta RP Wojciechowskiego. A że pobyt Hołówki w Truskawcu był obliczony na czas niedługi, okazja się nadarzała, na porozumienie z kierownictwem zagranicznym nie było czasu — zresztą kto wie, może by odmówiło zgody — przeto zorganizowano zamach pośpiesznie i we własnym zakresie. Dużo zabójstw i napadów rabunkowych robiono w tym okresie samowolnie, zwłaszcza od czasu pacyfikacji, która podziałała na ośrodki organizacyjne demoralizująco.

Czy znaczy to jednak, że kulisy tego zabójstwa są niewyraźne i że coś się w nich kryje? O przyjeździe Hołówki komendant posterunku dowiedział się z biura meldunkowego lub z zarządu zdrojowego, a ponieważ był zdziwiony, że polski poseł na Sejm zamieszkał w ukraińskim pensjonacie, zawiadomił o tym komendanta powiatowego policji. Hołówko przybył do pensjonatu prywatnie, pobyt załatwił przez swych przyjaciół, którzy korzystali uprzednio z tego pensjonatu i byli zachwyceni dbałością Sióstr. Sprzeciwił się ochronie osobistej. Mimo to kierownik wydziału śledczego polecił szeregowemu służby śledczej w Truskawcu czuwać z dala nad Hołówką zwłaszcza podczas jego spacerów. Po kolacji Hołówko siedł do swego pokoju i czytał. Tam go zastrzelili dwaj bojowcy, po czym zbiegli.

Po dłuższym śledztwie, w którym rolę zasadniczą odegrało odnalezienie rewolwerów użytych do zabójstwa, wszyscy współuczestnicy zamachu z wyjątkiem jednego, który ukrył się za granicą, zostali ujęci. Obaj zabójcy, Biłas i Danyłyszyn, schwytani po napadzie na urząd pocztowy w Gródku Jagiellońskim (1932) przyznali się sędziemu śledczemu, zgodnie z prawdą i z zebranymi dowodami, nie tylko do napadu ale i do zabójstwa Hołówki. Osądzeni w trybie doraźnym za napad w Gródku, zostali straceni.

(Uważam, że wykonanie tego wyroku było błędem. Biłasa i Da-nyłyszyna należało ułaskawić zamieniając karę śmierci na karę więzienia i osądzić następnie w Samborze z innymi oskarżonymi. Taka decyzja wprost się narzucała. Odwrotną powzięto chyba przez nadmiar rygoryzmu i... prostolinijności: skoro był wyrok śmierci, należało go wykonać wobec wzburzenia opinii powtarzającymi się zamachami OUN. A pewnie nie chciano dopuścić do kary śmierci w sprawie o zabójstwo Hołówki).

W procesie o zamach truskawiecki, już po uchyleniu sądów doraźnych, zasiedli w roku 1933 w Samborze przed ławą przysięgłych trzech pomocnicy zamachu, w tym Roman Baranowski. Podobnie jak zabójcy, wszyscy należeli do Organizacji i z wyjątkiem Baranowskiego, wszyscy przyznali się, że działali z jej rozkazu. Baranowski dał wyjaśnienia wykrętne, przyznał jednak, że jeden z rewolwerów użytych do zabójstwa przeszedł przez jego ręce przed zamachem i po nim.

Baranowski, wybitny członek Organizacji, uprzednio już sądownie karany, był od dłuższego czasu płatnym informatorem policji we Lwowie. W tej roli, jak zwykle podwójni agenci, był nieszczerzy i nielojalny. Kto wie, może był informatorem za wiedzą Organizacji i dla jej dobra? W śledztwie i na rozprawie obciążył podkomisarza policji śledczej, nieżyjącego już (zamordowanego przez OUN w roku 1932) Emila Czechowskiego, twierdząc, że po zabójstwie Hołówki został przez niego upoważniony do sprzedania owego rewolweru. Insynuacja ta nie znalazła potwierdzenia w danych sprawy. Rozprawa przeprowadzona w warunkach zupełnej jawności i szczerości wypowiedzi świadków z różnych szczebli policji i władz bezpieczeństwa, niektórych różniących się w ocenie „usług” Baranowskiego, wykazała ponad wszelką wątpliwość, że nie uprzedził on policji o gotującym się zamachu.

Kedryn snuje jednak podejrzenia i zaznacza, że w tym czasie rozważano w Warszawie koncepcję autonomii dla Małopolski Wschodniej i wymieniano kandydaturę Hołówki na jakieś w niej wysokie stanowisko. I podsuwa przypuszczenie, że zamysły te mogły sprowokować pewnych Polaków, wyznawców tradycyjnej nieustępliwości, do uknuć zabójstwa rękami ukraińskimi. Hipoteza ta nie ma żadnego pokrycia. Od plotek w Klubie sprawozdawców parlamentarnych do decyzji takiego dwustopniowego spisku droga jest daleka i trudna. Ani polski świat opozycyjny nie był dostatecznie sprawny ani policja nie była zdolna do tak daleko idącej nielojalności służbowej i politycznej intrygi. Czechowski był człowiekiem miernej inteligencji, służbistą, z wykształcenia i poprzedniego zawodu nauczycielem szkoły powszech-

nej. Baranowski, student politechniki, chłopiec inteligentny i sprytny, górował nad nim i nieraz go zwodził. Czechowski nie byłby zdolny odegrać za jego pośrednictwem roli prowokatora. Inicjatywa z pewnością wyszła ze środowiska ukraińskiego. W ogóle, na żadnym szczeblu władz bezpieczeństwa w Małopolsce nie zaznaczyły się skłonności do nieposłuszeństwa a tym bardziej do bratobójczego spisku. Gdyby kiedykolwiek były, to by się dziś o tym wiedziało. Otóż zarówno dyr. Żyborski jak płk Mayer są zdania, że zamach na Hołówkę był przedsięwzięciem czysto ukraińskim, dziełem Ukraińskich Nacjonalistów.

Nie jest też przekonujący podejrzenie — wysunięte przez Stanisława Mackiewicza i Włodzimierza Bączkowskiego — że w zamachu odegrała rolę ukryta ręka komunistyczna i wręcz sowiecka. Wprawdzie w tym okresie w powiecie drohobyckim zaznaczyły się powiązania i fluktuacje między lokalnymi komórkami OUN i KPZU (Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy), na co akt oskarżenia zwrócił uwagę, jednak rozprawa nie wykazała, by w tym wypadku penetracja nastąpiła i wywarła jakiś wpływ. Niewątpliwie, Hołówko, rzecznik porozumienia z Ukraińcami, był zwalczany także przez partię komunistyczną — po jego śmierci komuniści polscy i ukraińscy wyrazili pochwałę mordu i lżyli Hołówkę w drukach jako „typowe, wyrafinowane uosobienie systemu okupacyjnego” i „reprezentanta programu mocarstwowego imperializmu polskiego” — to jednak tłumaczyło się zwykłymi w tej partii względami taktycznymi i propagandowymi. Partie komunistyczne w Polsce zamachów terrorystycznych nie robiły. Do postanowień Krajowej Egzekutywy OUN komuniści i agenci sowieccy dostępu nie mieli, inaczej nie doszłoby do zamachu bojowca OUN w konsulacie ZSSR we Lwowie, wyrażającego protest przeciw prześladowaniu Ukraińców za Zbruczem.

Tak czy tak decydujące jest, że Organizacja kategorycznie bierze dziś ów mord na swój rachunek. Jest też zrozumiałe że, jak pisze Kedryn, bardzo się gniewa za jego insynuacje co do rzekomych obcych inspiracji w zamachu na Hołówkę!

Sprawa o morderstwo Hołówki, pełna dramatycznych zawężeń, znalazła niemniej dramatyczny finał. Wyrokiem sądu w Samborze z 6. X. 1933 skazany na 10 lat więzienia, Roman Baranowski (inni oskarżeni skazani zostali na kary 10 i 6 lat) zginął niebawem z ręki policjanta przy autentycznej próbie ucieczki w czasie konwojowania go z urzędu śledczego do więzienia we Lwowie. Dyr. Żyborski przypomina sobie (list z 25. VI. 1978), że jego przyjaciel, naczelnik wydziału bezpieczeństwa we Lwowie Bazyli Rogowski, miał z tego powodu wielkie kłopoty z centralą

warszawską, która go podejrzewała — niesłusznie — o umyślne sprzątnięcie niewygodnego agenta i świadka. Nie wiem, czy literatura historyczna OUN śmierć tę wzmiankuje?...

Dzieje grzechu

Szczególnie przejmująca jest wypowiedź *Ukraińskiego Życia*²⁴, niezależnego, lewicowego pisma w Stanach Zjednoczonych. Witając moją pracę jako stosunkowo obiektywną i jako poważny krok w kierunku wyjaśnienia zabójstwa Pierackiego i stosunków między obu naszymi narodami, autor podpisany T.L. z goryczą stwierdza, że nic nie wyszło ani z planów ukraińskiej organizacji terrorystycznej utworzenia niezależnej Ukrainy ani z zamysłów tych Polaków, którzy marzyli o wielkiej Polsce Jagiellońskiej. Oba narody napotkały na twardą i surową rzeczywistość, która przekreśliła ich aspiracje. Dopiero przyszłość okaże, czy upadek Polski był dla Ukraińców pomyślny, czy też był dla nich jeszcze gorszym nieszczęściem. Ostatnie słowo nie jest jeszcze wypowiedziane. Ale jest już jasne, że olbrzymie ofiary życia młodych i ideowych ludzi, wszystkie zbiórki amerykańskich Ukraińców, wszystkie cierpienia ukraińskich nacjonalistów w więzieniach i w Berezie Kartuskiej okazały się niepotrzebne, zmarnowane, daremne. O wiele byłoby lepiej, gdyby zamiast kilku tysięcy byłych więźniów politycznych, sproletaryzowanych duchowo i materialnie, społeczeństwo ukraińskie miało o tyleż więcej wykwalifikowanych inteligentów, którzy by mogli świadczyć przed światem o istotnej wartości ukraińskiego narodu. Potępienie zagranicznego kierownictwa OUN, wypowiedziane w roku 1935 na łamach *Mety*, organu metropolity Szeptyckiego, zachowało po dziś dzień swoją wymowę. Prawdą jest jednak również, że do rozwoju i działalności OUN przyczyniła się walenie, niezależnie od inspiracji i pomocy z zagranicy, sytuacja stworzona przez Warszawę, która dała młodzieży ukraińskiej powód do buntowniczych wystąpień. Jeśli by rząd przyznał Ukraińcom choć część tych uprawnień i przywilejów, do których Polska się zobowiązała wobec Rady Ambasadorów, to OUN zapewne nie znalazłaby tak przychylnych warunków dla swych radykalnie rewindykacyjnych i terrorystycznych wystąpień.

I tu publicysta ukraiński przytacza całą listę nieziszczonych postulatów, a więc autonomię terytorialną, sejm we Lwowie,

24. *Ukraińskie Życie*, Chicago, nr z 9. XII. 1973, „Historyczne przypomnienia i wnioski”.

dostęp do średnich i wyższych stanowisk urzędniczych, pełne prawa obywatelskie bez cenzury prasy i bez *numerus clausus* na wyższych studiach, sprawiedliwy podział rozparcelowanych pańskich majątków, zaniechanie osadnictwa polskiego na ziemiach ukraińskich, zaniechanie latynizacji w życiu cerkiewnym, zaprzestanie niszczenia prawosławnych cerkwi na Wołyniu i na Podlasiu, kredyty na ekonomiczny rozwój Zachodniej Ukrainy stosownie do podatków płaconych przez Ukraińców.

Kiedy dzisiejszymi oczami czytamy tę listę postulatów — do której należy dodać szkoły ukraińskie i dwujęzyczne napisy — musimy przyznać, że dla wielu z nas wydają się one zasadne i usprawiedliwione. Dlaczego nigdy nie doszło choć do zapoczątkowania ich realizacji? Dlaczego rzeczowe, realistyczne projekty reform, opracowane z inicjatywy nielicznych posłów zachodniomałopolskich przez Michała Bobrzyńskiego, schowano do biurka? Dlaczego nasza własna ustawa z roku 1922, nakazująca utworzenie w ciągu dwóch lat uniwersytetu ukraińskiego pozostała matwą literą²⁵?

To pewnie, że Polska nie dotrzymała słowa, Polska międzywojenna okazała się wiarołomna. I za ten ciężki grzech wszyscy jesteśmy odpowiedzialni, a już w szczególności Polacy z Małopolski Wschodniej. Bo w Warszawie były próby załatwienia tego problemu — nieśmiałe, połowiczne — lecz próby te stałe napotykały na nieprzejdany opór społeczeństwa polskiego ziem południowo-wschodnich. Mówiono, że nawet socjaliści tamtejsi brudzili w tej sprawie²⁶.

Jest zrozumiałe, że przeżycia z listopada 1918 roku, kiedy Ukraińcy podstępnie i siłą chcieli po 600 latach wspólnoty oderwać te ziemie, zrodziły ostry kompleks antyukraiński. Ale był już czas, by się z tego urazu wyzwolić, trzeba było przecież współżyć. Tymczasem wszyscy tam trwali w zaciekłym uporze, jakby z zamkniętymi oczami, nie widząc rzeczywistości.

Przypominają mi się dwie rozmowy. Przed rokiem 1930, Maria Grekowa, szwagierka Boya-Zeleńskiego, lwowianka od wczesnej młodości, żona profesora uniwersytetu i lekarza, z którą byłem w wielkiej przyjaźni, oświadczyła mi zapalczywie, że przeciw próbom wprowadzenia autonomii i uniwersytetu ukraińskiego cały Lwów wyjdzie na ulice i nie dopuści do tego. (Z młodości-

25. W bolesnej sprawie tego nieutworzonego uniwersytetu wypowiedziałem się już w nr. 39 r. 1977 *Zeszytów Historycznych*, str. 226.

26. Por. rewelacyjny dopisek redaktora Jerzego Giedroycia w nr. 6/369 *Kultury*, str. 85, o podjętych w r. 1938/39 raz jeszcze zabiegach, zmierzających do normalizacji stosunków polsko-ukraińskich.

czym uniesieniem odpowiedziałem, że w takim razie Warszawa powinna przeciw tłumowi wystawić policję i wojsko). Jestem pewny że Grekowa, bardzo zrosnięta ze swym lwowskim środowiskiem, wyraziła postawę olbrzymiej większości ciała profesorskiego. Pośrednio potwierdza to zresztą prof. dr Zygmunt Albert w swych wspomnieniach²⁷ z czasów wojny, gdzie nawiązuje do okresu wcześniejszego. A druga rozmowa w czasie wojny z młodym oficerem zawodowym, który zdumiał się, gdy mu tłumaczyłem, że w Polsce przedwrześniowej jedna trzecia mieszkańców była niepolska. W takim to duchu wychowywano w podchorążówce służby stałej!

W olbrzymiej większości społeczeństwo polskie nie było świadome problemu mniejszości narodowych i hołdowało spóźnionym o sto lat złudzeniom asymilacyjnym Stanisława Grabskiego. W tym względzie Kedryn ma rację. Niepomni grzechów popełnionych względem nas przez zaborców, tkwiliśmy w grzechu stosowania ucisku wobec narodów objętych naszymi granicami. Nie umieliśmy się pogodzić z tym, że choć nazywaliśmy się Polską, byliśmy nadal, jak przed rozbiorami, Rzeczpospolitą Narodów, tylko że narody te, jak Ukraińcy, Litwini i po części Białorusini, nabrały od tego czasu poczucia swych odrębności i osobowości narodowych i kulturowych, zresztą z zewnątrz podsycanych. I że nie sposób było odmawiać im praw, których przedtem, w niewoli, żądaliśmy dla siebie samych. Przez kilka stuleci, kiedy liczył się u nas tylko stan szlachecki, w całości polski lub spolonizowany, odeszliśmy od prawd, które nam przyświecały w Unii Brzeskiej. Zapomnieliśmy o zasadzie: równi z równymi, wolni z wolnymi.

Grzech ten zaciążył najmocniej względem narodu ukraińskiego, którego wielu z nas nie chciało a nieraz i nie chce po dzień dzisiejszy uznać za równy w prawach i godny wolności.

Taki-to jest rachunek sumienia, który robię dla siebie z odległości lat, gdy era współzycia na wspólnej ziemi została już na dobre zamknięta i gdy trzeba podsumować tę erę stwierdzeniem, że do godnego współzycia z narodem ukraińskim okazaliśmy się w ciągu ostatnich stu lat niezdolni.

Bereza Kartuska

Jedną z plam szpecących obraz naszego dwudziestolecia mię-

27. Zygmunt Albert, *Lwowski wydział lekarski w czasie okupacji hitlerowskiej 1941-1944*, publikacja omówiona przeze mnie w cytowanym już nr. 39 *Zeszytów Historycznych* z r. 1977.

dzywojennego jest obok Brześcia Bereza. Brześć trwał kilka tygodni, Bereza przetrwała pięć lat. Przeszli przez nią Polacy, Żydzi-komuniści i Ukraińcy.

W rozmowie z Dolanowskim w Londynie wspomniałem, jak bardzo żałuję, że nie zatelefonowałem z Krakowa do moich zwierzchników w Warszawie w niedzielę 16 czerwca 1934 roku, natychmiast po stwierdzeniu, że bomba porzucona przez zamachowca pochodzi z laboratorium Karpyńca czyli że zamach jest niewątpliwie dziełem OUN: może szybkim przekazaniem tej wiadomości byłbym zapobiegł powzięciu przez rząd decyzji o utworzeniu „Miejsca odosobnienia”, ogłoszonej nazajutrz, 17 czerwca (o którym-to zamierzeniu nie miałem zresztą pojęcia). Dolanowski odparł mi, że mogę sobie tego nie wyrzucać, bowiem tak czy tak decyzja ta była już powzięta i nieodwołalna. Po czym opowiedział mi jej genezę.

Premier Leon Kozłowski „od dawna przesadnie oceniał postać i osiągnięcia Mussoliniego”. Był nim zafascynowany, czemu wciąż dawał wyraz. Zaraz po śmierci Pierackiego Kozłowski osobiście objął ministerstwo spraw wewnętrznych. Śledztwo nie mogło jeszcze dać odpowiedzi, z jakiego środowiska wywodził się zamachowiec. W nastroju zrozumiałego podniecenia Kozłowski postanowił utworzyć obóz odosobnienia, do którego władze administracyjne mogłyby kierować wszelkiego rodzaju elementy wywrotowe. Właściwie myśl ta była w nim dojrzała już wcześniej, zgładzenie Pierackiego stało się okazją do wprowadzenia jej w życie.

Ta relacja Dolanowskiego znajduje potwierdzenie i uzupełnienie w cytowanych już wspomnieniach adiutanta Marszałka Piłsudskiego, Mieczysława Lepeckiego, ogłoszonych w roku 1956 w londyńskich *Wiadomościach*. Wynika z nich, że już w godzinę po śmierci Pierackiego premier Kozłowski był przyjęty przez Marszałka, i że wieczorem tego samego dnia Piłsudski, wciąż podniecony, wzburzony, powtarzał Lepeckiemu: „Ja nie mam nic przeciw tej waszej czczewyczejce, ja się na tę czczewyczejkę na rok zgodziłem”.

Istotnie, obóz odosobnienia, postanowiony wówczas za zgodą Piłsudskiego, miał istnieć tylko przez rok. Moc trwania tego Rozporządzenia Prezydenta R.P. przedłużały potem następne rządy zgodnie z art. 6 tego Rozporządzenia bez publikowania tych postanowień w *Dzienniku Ustaw*.

Dolanowski był utworzeniu obozu przeciwny. W liście z 5. III. 1978 pisze: „Uważałem ten pomysł za niepotrzebny i szkodliwy. Jako prawnik uważałem, że nasz kodeks karny (nawiasem mó-

więc bardzo dobrze opracowany) dawał całkowitą możność powołanym władzom przeciwdziałania wszelkim aktom grup i osób, idących na drogę terroru i anarchii. Odosobniony akt przestępny nie stwarzał potrzeby tak drastycznego środka. Jestem pewien, że Pieracki w podobnych okolicznościach nigdy by nie dopuścił do realizacji takiego zamierzenia. W przeciwieństwie do jego charakteru i umysłowości, prof. Kozłowski był pobudliwy, skory do nagłych i niedostatecznie przemyślanych decyzji. Ten bardzo inteligentny uczony, profesor prehistorii, dobrze też zapisany jako minister reform rolnych — w dziedzinie ściśle politycznej był czasem wprost nieobliczalny. Właśnie ze względu na właściwości swego charakteru w kilka miesięcy później musiał ustąpić z premiershipy.

Co do mnie, po niemiłych na temat Obozu i inne tematy rozmowach z premierem, moje odejście stało się nieuniknione. W kilka dni po śmierci Pierackiego złożyłem podanie o dymisję i już 1 lipca opuściłem MSWewn.”

Takie to były okoliczności utworzenia z powodu ukraińskiego zamachu, miejsca odosobnienia w Berezie Kartuskiej, w której przyszło Ukraińcom — wśród wielu innych — długo potem znosić zamknięcie, udręki i poniżenia.

„Przekręcanie prawdy historycznej”

Pozostaje do omówienia bolesny temat masowych mordów, popełnionych w czasie wojny na ziemiach południowo-wschodnich. Organ Melnykowców w Paryżu, *Ukraińskie Słowo*, w trzech artykułach Mirosława Stiranki²⁸ w gwałtowny sposób przeciwstawił się memu twierdzeniu, że Ukraińska Powstańcza Armia (UPA) prowadziła walkę nie tylko z sowieckimi partyzantami ale także z oddziałami AK i innych podziemnych formacji polskich i że w pamięci ludności polskiej tych ziem stała się symbolem najdzikszego bestialstwa.

Tak nie było, twierdzi Stiranka, przeciwnie — UPA w wielu rozkazach i odezwach odwodziła Ukraińców od walk z Polakami, wskazując że oba narody nie powinny się bić, gdyż mają wspólnego wroga — Sowiety. Proklamacje te „nie stawiały kategorycznie sprawy przyszłej granicy polsko-ukraińskiej” pozostawiając to przyszłemu porozumieniu obu niepodległych narodów. Jednocześnie UPA wyrażała surowe potępienie wykroczeń

28. *Ukraińskie Słowo*, nr. z 21. IV, 28. IV i 5. V. 1974 „Przekręcanie historycznej prawdy”.

i morderstw popełnianych przez Polaków na Ukraińcach²⁹, odwołała jednak od stosowania zemsty a tylko nawoływała do organizowania samoobrony. Co więcej, ta zgodna postawa przeciwsowiecka była przedmiotem kontaktów i rozmów w duchu porozumiewawczym przedstawicieli UPA z delegatami AK, przy czym publicysta OUN-m przytacza pseudonimy rozmówców występujących z obu stron.

To swoiste, na pozór mocne *alibi*, wskazane przez Stirankę, ma jedną zasadniczą wadę: odnosi się do o wiele późniejszego okresu i nie do tych terenów, o których pisałem. Sam Stiranka podaje, że owe odezwy UPA wydane były na przełomie roku 1944/45, inne w roku 1945, rozkaz potępiający wykroczenia polskie mówi o wydarzeniach w powiecie Jarosławskim i Przemyskim w kwietniu i maju 1945, a jeśli chodzi o wspomniane spotkanie z przedstawicielami AK, precyzuje, że miało ono miejsce 27. X. 1945. Oczywiście więc jest, że wszystkie te wydarzenia odnoszą się do innej epoki i rozegrały się po wschodniej stronie frontu, który przeniósł się już z ziem o większości ludności ukraińskiej na ziemie z dużą przewagą polską a potem do Niemiec, rozmowa zaś odbyła się już grubo po zawieszeniu broni, kiedy Polska była pod władzą Bieruta i oddziały AK (WIN?) działały w całkiem odmiennych warunkach i zwalczane były przez siły PRL. Zrozumiałe jest, że UPA nie będąc już na dogodnym dla siebie terenie, tropiona przez milicję i wojska PRL i ZSSR, niejako z musu szukała porozumienia z ukrywającymi się oddziałami AK.

Wszystko to jednak nie przeczy wcześniejszym, krwawym wystąpieniom UPA i innych oddziałów ukraińskich, działających samodzielnie lecz w powszechnym przekonaniu identyfikowanych z UPA, w roku 1943 i 1944 na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Zdumiewające jest, że Stiranka miesza te dwie, jakże odmienne sytuacje i epoki!

Nie jest też prawdą, że o popełnionych bestialstwach napi-

29. Stiranka przeczy przy tym udziałowi Ukraińców w zabójstwie profesorów i w pogromie Żydów we Lwowie w roku 1941 — o czym piszę wyżej — a za to oskarża — słusznie — Polaków o zamordowanie ukraińskiego profesora dr. Andrzeja Łastoweckiego. Okoliczności tego zamachu wyjaśnił prof. dr Zygmunt Albert w powołanej przeze mnie publikacji krajowej „Lwowski wydział lekarski w czasie okupacji wojennej”, gdzie stwierdza, że zamachu tego dokonali w roku 1943 na własną rękę studenci, członkowie AK, bez zgody przełożonych, przypisując bezpodstawnie Łastoweckiemu zarządzenie nie przyjmowania kandydatów polskich na medycynę — co faktycznie wynikało z zarządzeń niemieckich. Stiranka nie dodaje wszelako, że z zemsty za to zabójstwo Ukraińcy zastrzelili dwa tygodnie później profesora polskiego dr. Bolesława Jałowego.

sałem pod wpływem tendencyjnych, komunistycznych opracowań PRL. Tragiczne losy Polaków tych ziem znane są z danych, całkowicie wolnych od reżymowej sztancy antyukraińskiej. Przejmujące świadectwa przytoczył historyk Pobóg-Malinowski³⁰, który otrzymał rozliczne, zgodne przekazy z Kraju od Polaków, ocalałych z pogromów. Od tego czasu przybyły zresztą dalsze dowody, całkowicie potwierdzające jego opis. Przejdę do nich za chwilę.

Co do mnie, otrzymałem świadectwo ukraińskie, mówiące o znacznie wcześniejszym kontakcie komendy UPA z przedstawicielami polskiego podziemia i świadectwo to chcę jak najobiektywniej zanalizować. Pochodzi ono od ks. dr. Iwana Hryniocha, obecnie profesora Katolickiego Uniwersytetu Ukraińskiego w Rzymie, w roku 1941 kapelana ukraińskiego batalionu „Nachtigall”, który po wybuchu wojny sowieckiej wkroczył do Lwowa. Z ks. prof. Hryniochem nawiązałem styczność telefoniczną w roku 1975 rozpytując go o wiadomości, jakie by miał o morderstwie profesorów lwowskich, w tym mego stryja Boya-Żeleńskiego, i ewentualnego związku żołnierzy Batalionu z tym dramatem. Na zadane mu listownie pytania ks. Hrynioch odpowiedział mi bardzo szczegółowo dowodząc, że żołnierze jego jednostki wojskowej nie wzięli żadnego udziału w tym bądź jakimkolwiek innym morderstwie w czasie krótkiego postoju we Lwowie i że on osobiście nie ma żadnych danych o śmierci profesorów i ich rodzin.

Jednocześnie ks. Hrynioch podał mi wiadomość, że jako członek OUN od roku 1942, był jednym z przedstawicieli podziemia ukraińskiego, którzy przeprowadzili w roku 1943 i w lutym 1944 rozmowy z „przedstawicielami AK, Delegata rządu na Kraj, tudzież tzw. 'Wielkiej Czwórki'”. W wyniku tych rozmów wydane zostały jakoby okólniki, zawiadamiające obie strony o zaprzestaniu wewnętrznej walki polsko-ukraińskiej. Odnosny komunikat OUN jest podobno datowany z października 1943. Ks. Hrynioch dodał, że „największymi zwolennikami zaprzestania wzajemnych walk i przejścia do wspólnej walki z wrogiem obu narodów” byli Mikołaj Łebed, podówczas kierownik referatu spraw wewnętrznych i Roman Szuchewycz, przewodniczący Prowidu OUN i komendant UPA (Listy z 28. IV. i 23. V. 1975).

Nie kwestionuję szczerości ks. prof. Hryniocha, jednakże informacja jego nastrocza wątpliwości. Po pierwsze nic nie wskazuje, żeby podobny układ o zaprzestaniu walk polsko-

30. Władysław Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski*, t. III, Londyn, str. 325-329.

ukraińskich kiedykolwiek wszedł w życie. Jak to za chwilę wskażę, napady i walki nie uległy żadnej przerwie. Po wtóre nie ma echa rozmów na tym szczeblu w wydawnictwie AK za ten okres³¹, choć tematy ukraińskie są w nim często poruszane. Wreszcie analizując doniesienie ks. Hryniocha natrafiamy na trudność bardzo istotną: jakie znaczenie mogły obie strony nadawać określeniu „wróg obu narodów”? Nie zdołałem tego wyjaśnić u autora listu, bo ks. Hrynioch nie podtrzymał korespondencji ze mną i na mój ostatni list nie odpowiedział, wobec czego zdany jestem tylko na domysły. Dla strony polskiej określenie „wróg obu narodów, z którym się chce wspólnie walczyć”, mogło się odnosić tylko do Niemiec, gdyż AK i władze Polski Podziemnej nie mogły powziąć zobowiązania prowadzenia wojny przeciw Związkowi Sowieckiemu — sprzymierzeńcowi sprzymierzeńców Polski. Byłoby to całkowicie sprzeczne z przyjętą podstawą podziemia, związanego z rządem emigracyjnym w Londynie. (Już parę miesięcy później polska dywizja na Wołyniu współdziałała z dywizjami sowieckimi, wkraczającymi na obszar Rzeczypospolitej). Przypuśćmy jednak, że strona ukraińska również miała na myśli wroga niemieckiego, z którym UPA była jeszcze w tym okresie nieraz w walce. Jak długo układ taki mógłby zostać w mocy, skoro już w parę miesięcy później, Niemcy zwolnili Banderego z obozu w Sachsenhausen i uznali UPA za sprzymierzoną dając jej poważną pomoc? I to pomoc obliczoną na walkę z partyzantami sowieckimi i z Armią Czerwoną — która dla Ukraińców była przez cały czas głównym wrogiem?!

Wydaje się, że w wiadomości, przekazanej przez ks. Hryniocha tkwi jakieś nieporozumienie. Może strony poprzestały na zarejestrowaniu propozycji ukraińskich i na tym się rozeszły? A może po stronie polskiej występowali rozmówcy, którzy podszyli się oszukańczo pod firmę AK, Delegata Rządu i „Grubą Czwórkę”, działając *de facto* z ramienia jakiegoś lokalnego zgrupowania spod innego znaku? Już zresztą sama komulacja tyłu najwyższych mandatów wydaje się podejrzana...

W każdym razie Studium Polski Podziemnej posiada dokumenty, potwierdzające, że ze strony ukraińskiej istotnie były czynione usiłowania osiągnięcia porozumienia z polskim podziemiem, ale niestety nie ma, o ile wiem, ani jednego dokumentu, który by wskazywał, że do porozumienia doszło. Sprzeczność założeń i orientacji politycznej, dzieląca obie strony, zaważyła najwidocz-

31. *Armia Krajowa w dokumentach, Londyn, Studium Polski Podziemnej*, t. I, II, III, IV.

niej na tych próbach nawet w okresie, kiedy jeszcze OUN działała w ukryciu przed Niemcami i była przez nich zwalczana.

Ponadto dwie inne przeszkody musiały odegrać rolę. Jeśli nawet kierownictwo OUN było szczere w usiłowaniu doprowadzenia do porozumienia wojskowego — a u Łebeda szczerość ta budzi we mnie wątpliwości — to wszystko wskazuje, że podległa mu Organizacja i doty nie były zdolne do „zmiany frontu” i wyrzeczenia się wrogości do Polaków. Tę wrogą postawę, propagowaną w masach ukraińskich od tylu już lat, perfidnie podsycały władze niemieckie, celowo wygrywające Ukraińców przeciw Polakom. I zawsze gryźł na wsi głód ziemi — zawiść o grunty „panów” i „kolonistów”, choćby osiadłych tam od setek lat. Ukraińcy chcieli być sami (Żydów już nie było). Nie tylko Polacy, ale i oni nie byli już zdolni do współżycia.

Była też przeszkoda ze strony polskiej. Nie zdobyliśmy się w czasie wojny na żadną rewizję stosunku do Ukraińców i na żadną zapowiedź zapewnienia im statutu autonomicznego — narodowego, kulturalnego i gospodarczego, do którego aspirowali i o który się u nas stanowczo dopominali. Nawet na emigracji żaden istotny gest pojednawczy nie został zrobiony. Jeszcze w roku 1940, w okresie paryskim, Sikorski nie docenił i nie zrealizował mądrego wniosku Kajetana Czarkowskiego-Golejewskiego³², o wyodrębnienie w organizującej się Armii Polskiej we Francji oddziałów ukraińskich. Później, w okresie angielskim, wyraźne zachęty ukraińskie do rozmów politycznych, dochodzące z Kraju, napotykały na mur milczenia, można rzec — na paraliż myśli politycznej w polskim Londynie.

Jest zrozumiałe, że rząd R.P. stojący wobec Sowietów na gruncie nienaruszalności granicy ryskiej, nie mógł wchodzić w rokowania na temat niepodległej Ukrainy. Ale nic nie stało na przeszkodzie przyjęciu programu autonomii wewnątrz państwa polskiego.

Wszystkie te aspekty: wrogiej postawy mas ukraińskich, niepodległościowych żądań OUN i bezskutecznych inicjatyw ukraińskich podjęcia rozmowy politycznej, występują wyraźnie w meldunkach Grota-Roweckiego („Kaliny”) z tego okresu. Oto dwa przykłady zaczerpnięte z II tomu *Armii Krajowej w dokumentach*.

1. II. 1942: „Ukraińcy w dystrykcie Galicja gwałtownie przygotowują się do przyszłego zbrojnego wystąpienia głównie przeciw nam. Ze sfer nacjonalistycznych Ukraińców czynione są próby nawiązywania kontaktu z miarodajnymi czynnikami polskimi

32. Kajetan Czarkowski-Golejewski, „Zdezaktualizowany projekt”, *Tydzień Polski*, Londyn, nr 157 z 3. VII. 1976.

w sprawie ewentualnej ugody, jednocześnie nie ustaje u dołów walka i nastroje wrogie do Polaków utrzymują się" (str. 196).

8. III. 1943: „Szeptycki i miarodajny przedstawiciel OUN Banderowców, jedynej dziś siły politycznej ukraińskiej mającej oparcie w masach, proponują wiążące rozmowy z miarodajnymi przedstawicielami Polski. Szeptycki na platformie państwowości polskiej żąda wspólnego przygotowania przez Polaków i Ukraińców statutu ziem narodowo mieszanym. OUN niepodległościowa odsuwa na później rozgraniczenie Polski i Ukrainy, doraźnie chce antyniemieckiej i antysowieckiej współpracy wojskowej i propagandowej" (str. 474).

I wreszcie najwymowniejszy dokument, zawarty w zbiorach Studium Polski Podziemnej w Londynie (sygn. 3. 1. 1.) z 11. III. 1943: „...Katolicy (Szeptycki) i Banderowcy głównych wrogów widzą dziś w Sowietach i Niemczech. Chcą porozumienia z Polakami, żądając jednak konkretnych, wiążących zobowiązań. Katolicy już dziś widzą przyszłość Ukrainy w ramach Rzeczypospolitej: proponują polsko-ukraińską komisję do opracowania statutu mniejszości narodowych. Banderowcy nie deklarują wyrzeczenia się niepodległości dokąd nie stracą wszelkich nadziei, teraz chcą współdziałania wojskowego przeciw Sowietom i Niemcom a odłożenia sporów na później. Na Wołyniu chcą po prostu zawieszenia broni polsko-ukraińskiego. Można sądzić, że gdy raz wstąpią na drogę współdziałania, sam bieg wypadków doprowadzi ich do rezygnacji z niepodległości. Uzgodnienie postulatów Katolików i Banderowców możliwe — oba odłamy mają miarodajnych przywódców, którzy chcą rozmawiać z nami. Oceniam, że rozmów już odkładać nie można. W porozumieniu z Delegatem Rządu proszę o instrukcje, które muszą też zawierać zasadnicze wskazówki polityczne co do granicy ustępstw. Ukraińcy domagają się wyodrębnienia terytorialnego...”.

Na nic się nie zdało to ponaglenie, polski Londyn nie podjął wyciągniętej dłoni. Wkrótce przyszło odkrycie grobów katyńskich i wynikłe stąd konsekwencje polityczne w stosunkach z Sowietami, co uwagę rządu całkowicie zaprzątnęło. (Odbiło się to też na stosunku do powstania w getcie warszawskim — zdumiewające jest, jak bardzo monotematyczni byli nasi politycy w Londynie!). Potem Rowecki został zaaresztowany, Sikorski zginął i nikt z ich następców, ani Bór-Komorowski, ani Mikołajczyk, ani Sosnkowski nie okazali się zdolni do rozegrania karty ukraińskiej i nie stanęli w tym względzie na wysokości sytuacji — choćby tylko dla zasady i dla historii. Niebawem, wobec nadciągającej nawały sowieckiej było już za późno.

Gdy Grot-Rowecki został osadzony w Sachsenhausen, znaj-

dujący się tam Bandera i jego towarzysze (wśród nich była Hnatiukowska-Łebedowa) próbowali skorzystać z tego zbliżenia w losach, by od Grota wydstać deklarację zgody na wyodrębnienie z Polski ziem niepodległej Ukrainy (z tym, że granice miały być uzgodnione później). Naturalnie jednak Grot odmówił temu żądaniu³³.

Tymczasem w Polsce ukraińscy nacjonaliści nie czekając już przeszli do tworzenia faktów dokonanych. Tom III *Armii Krajowej w dokumentach* przynosi w tym przedmiocie całą serię wstrząsających w swej grozie meldunków. Nie sposób ich tu w całości przytoczyć. Meldunek Lawiny-Komorowskiego z 27. XII. 1943 przekazuje:

„Polityczny kierownik Ukraińskiej Armii Powstańczej w odezwie z 16. XI wzywa Polaków do opuszczenia ziem ukraińskich i wycofania się za Bug. Grozi zniszczeniem...” (str. 217).

Meldunek z 1. III. 1944 ma dwa wymowne nagłówki rozdziałów: „a) rzeź Polaków na terenie okręgu Wołyń, Tarnopol, Lwów; b) równoczesna próba kontaktu OUN z czynnikami polskimi na obszarze Małopolski Wschodniej...” (str. 299).

Ogółem zliczyłem 17 meldunków, poświęconych tej sprawie. Widać z nich jak w miarę zbliżania się frontu, pożary i rzezie przesunęły się coraz to bliżej na zachód, niosąc spustoszenie i pogrom żywiołu polskiego.

Stiranka zarzuca mi, że wpadam w klisze „Ogniem i Mieczem” Sienkiewicza. Istotnie, nie inny nasuwa się tytuł. Ale znam sprzeciwy Olgierda Górki... Sam Stiranka najoczywiście nie zna współczesnej, znacznie obiektywniejszej powieści-dokumentu Włodzimierza Odojewskiego z tych strasznych lat³⁴, radzę mu ją przeczytać. Nie sięgam jednak do powieści, cytuję suche, lakoniczne meldunki wojskowe:

5. IV. 1944: „Stwierdzono 5 tysięcy ofiar rzezi ukraińskiej. We Lwowie mordy ustały. Największe straty Polaków w powiatach Rohatyn, Podhajce, Brzeżany, Przemyślany...” (str. 397).

20. IV. 1944: „Wzrost mordów ukraińskich.. zwłaszcza w rejonie Mościska i Złoczowa i w trójkącie Rawa Ruska - Tomaszów Mazowiecki - Sokal” (str. 417).

5. V. 1944: „Podpalania... przesuwają się na powiat drohobycki i przemyski” (str. 430).

17. V. 1944: „...naczelnik wydziału narodowego dystryktu

33. Por. Edward Prus, „Generał Rowecki 'Grot' i ludzie Bandery”, *Życie Literackie*, Kraków, nr 1146.

34. Włodzimierz Odojewski, *Zasypie wszystko, zawieje...*, Instytut Literacki, Paryż, 1973, str. 483.

Galicji montuje współdział Niemców z UPA. Zasięg mordów ukraińskich rozszerza się na Przemyśl” (str. 449).

A więc istne ludobójstwo!

14. VI. 1944 jakby podsumowanie: „UPA posiada 40.000 uzbrojonych, mobilizuje dalej... Rzeź nie ustaje. Wezwanie do opuszczenia przez policję miejscowości Jarosław, Przemyśl, Sanok, Biłgoraj... Z Małopolski Wschodniej uciekło już 300.000 Polaków, w tym ze Lwowa 45.000... Polacy opuścili powiaty Krzemieniecki, Radziechowski, Sokalski, Rawski, Lubaczowski poza poprzednimi wysiedleńcami z powiatów wschodnich”.

Wymowa tych meldunków jest nieodparta. Stiranka odpowie mi może, że są stronnice, bo pochodzą od samych Polaków. I że były również morderstwa i rzezie ze strony polskiej. Odpowiadam mu z góry, że z pewnością nie obeszło się bez aktów obrony, bez odsieczy polskich oddziałów, tam gdzie były w pobliżu, a nieraz i aktów ślepej odpłaty. Ale Polacy byli w mniejszości — temu Stiranka nie zaprzeczy — oddziały AK rzadkie i źle uzbrojone, przewaga Ukraińców niemal stała. I ostatecznie — to nie Polacy chcieli wyrugować Ukraińców, ale odwrotnie — Ukraińcy Polaków!

Na domiar Niemcy byli neutralni, a tym samym Ukraińcom pomocni. Prof. Albert w cytowanej już książce przytacza na str. 131 ustęp z XXXVIII tomu zapisków gubernatora Hansa Franka. Dnia 19. IV. 1944 Frank notuje, że na posiedzeniu rządu Generalnej Guberni gubernator Wächter oświadczył: „Masakra Polaków przez Ukraińców godzi w autorytet niemiecki”, ale jednak „nie powinno się stosować większych środków zaradczych przeciw bandom ukraińskim”...

Trudno o bardziej autorytatywne stwierdzenie.

Z myślą o jutrze

Zgodnie z zawołaniem bojowym Ukraińskich Nacjonalistów, Polacy wyparci zostali za San i Bug. Czego nie sprawiły deportacje w latach 1940-1941 ZSSR, czego nie dokonał potem masowy terror, tego dopełniły przymusowe przesiedlenia ludności, zarządzane w drodze wymiany między Związkiem Sowieckim a Polską Ludową. Napady na ludność polską, odjeżdżającą z drobnym dobytkiem towarzyszyły wysiedleńcom jeszcze i później³⁵.

35. Por. Mieczysław Motas, „Niektóre kwestie dotyczące przesiedlenia ludności polskiej z USRR do Polski w latach 1944-46” w *Ż dziejów stosunków polsko-radzieckich*, t. XI/XII, Książka i Wiedza, Warszawa, 1975.

Pogorzeliska zarosły trawą, mogiły się pozapadały, przyszli nowi ludzie. Zakończyły się wieki współzycia, zaczęła się epoka sąsiedztwa, rozgraniczzonego surowym kordonem. Nie ma nawrotu do poprzedniego stanu rzeczy. Nie wraca się do zabytków, wraca się do ludności. A ludności polskiej po tamtej stronie pozostało bardzo mało. Ukraińcy obliczają ją na 5 % na „Ziemi Halickiej”, na jeszcze mniej na Wołyniu. Nawet jeśli w tym szacunku przesadzają, nasza obecność niewiele stanowi i zapewne jest ograniczona do miast. Więc choćby mnie okrzyknięto „neo-jałtańczykiem”, mam odwagę uznać, że o powrocie na ziemie utracone mowy być nie może.

Powstał natomiast problem praw polskiej mniejszości pozostałej na Ukrainie (role się odwróciły!) — tak jak istnieje problem nieuszanowanych praw narodowych — językowych, kulturowych, religijnych, które powinny być przyznane Polakom osiadłym — często z musu — na obszarach całego Związku Sowieckiego.

Ze wzruszeniem przeczytałem, że z inicjatywy naszego przyjaciela, Ukraińca Bohdana Osadcuka, międzynarodowy zjazd uczonych ukraińskich w Kanadzie wystosował w maju apel do władz Ukraińskiej Republiki Sowieckiej o przyznanie Polakom i innym narodowościom pełnych praw mniejszościowych w szkolnictwie i w życiu kulturalnym. To jest dziś główne zagadnienie i dobrze jest, że emigranci ukraińscy dali temu wyraz.

Jeden z historyków polskich doby międzywojennej powtórzył mi zwierzenie Osóbki-Morawskiego, że gdy był premierem i próbował w roku 1945 uratować u Stalina Lwów dla Polski, Stalin odparł mu, że jak długo Lwów by pozostał przy nas, tak długo istniałby problem ukraiński, a on chce problem ten raz na zawsze zlikwidować.

Stalin się omylił, problem niepodległości Ukrainy nadal istnieje i narasta. Ale zapowiedź jego była złowróżbna, przyszły przesiedlenia z głębi Rosji. Lwów tak jak przedtem nie był w większości ukraiński, tak i nadal nim podobno nie jest, w miejsce Polaków przyszli obcy osiedleńcy ze wschodu. Podróżni odwiedzający to miasto słyszą przede wszystkim język rosyjski.

Ale mimo wszystko problem Ukrainy jest nadal otwarty. Aspiracje patriotów do niepodległości, wykazywane każdego dnia bohaterskimi ofiarami, okupywane okrutnymi prześladowaniami, są coraz żywsze i powszechniejsze. Aspiracje te są nam bliskie, bo i nasza przyszłość zależy od tryumfu zasady wolności narodów. Ta najbardziej zasadnicza potrzeba jest więc nam wspólna. Toteż powinniśmy, Polacy i Ukraińcy, zamknąć okres sporów, darować

sobie krzywdy i zbliżyć w wysiłkach na rzecz wolności i niepodległości.

Należę do inicjatorów i założycieli Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego w Paryżu, mającego na celu organizowanie kontaktów, spotkań i studiów nad sprawami które nas łączą w historii, w kulturze i w dążeniach. Byłoby dobrze, żeby towarzystwa takie, przejęte dobrą i silną wolą, działały we wszystkich większych skupiskach obu narodowości. Na zakładanie takich stowarzyszeń w Polsce, a tym bardziej na Ukrainie liczyć oczywiście nie możemy — zadanie to spełnić powinny emigracje.

Pisząc przed pięciu laty o zabójstwie Pierackiego, zestawiałem losy grobów zabójcy i zabitego jako pomników pamięci i troski o przyszłość. O grób Grzegorza Maciejki w Argentynie zadbali ukraińscy nacjonaści organizując zbiórkę na pomnik na cmentarzu. Zadałem pytanie, czy grób Bronisława Pierackiego w Nowym Sączu jest otoczony pamięcią społeczeństwa polskiego. Prof. Zygmunt Albert w Wrocławiu, do którego praca moja dotarła, przejął się tym pytaniem i w roku 1976 postarał o zrobienie zdjęć grobowca w Nowym Sączu. Fotografie jakie mi przysłał świadczą że grób ten, pięknie pomyślany, jest w dobrym stanie.

Pieracki chciał poprawy stosunków polsko-ukraińskich i dlatego zginął. Niechże więc grób jego będzie dla nas teraz drogowskazem do pojednania i zgody.

Władysław ŻELEŃSKI

Czerwiec 1978

GARSTKA WSPOMNIENÍ Z MEGO ŻYCIA (2)

Rozporządzenie bardzo surowe wyszło, że każdy dom ma się zaopatrzyć w czerwone sztandary, wszystkie na jednakowych drzewcach i jednego wymiaru. Ale tego kumaczu czerwonego braknie. Pewna Rosjanka, staroreżymka, przyczepiła więc do kija tylko swoją czerwoną halkę. Ale tym niemniej miasto całe od czerwieni płonie, ten jeden ton koloru purpury na tle wydłużonych szeregów przyulicznych drzew — nie mogę zaprzeczyć — wyglądał niekiedy nawet pięknie. W poprzek ulicy poprzeciągane płótna z napisem: „Dyktatura proletariatu”, śmierć każdemu, kto by się tej nie podporządkował władzy. Ale władza codziennie, jak z rogu obfitości, sypie nowe dekrety, a każdy z nich kończy się groźbą, że niewykonywujący dekretu będą rozstrzelani. Działa Komisja Nadzwyczajna — *Czerezwyczajka* — która nie żartuje. Są jakieś *Bubkomy*, *Gorsowiety*, *Sielso-wiety*, są jacyś administratorzy i rozmaite władze naczelne, ale Czerezwyczajka jest ponad wszystko, ona jakby organ wykonawczy komunistycznej partii, która chociaż liczebnie jeszcze bardzo mała, ale przewodzi i wszystkim rozporządza nie przez jakieś uchwały zrzeszonych w niej członków — ci często są jeszcze analfabetami w komunizmie — ale tylko przez tak zwane *Politbiuro*, gdzie jakaś jednostka, sekretarz Politbiura i maluczkie przy nim partyjne kolegium robi z krajem, instytucjami, ludźmi co im się żywnie podoba. W tych politbiurach ludzi praktycznych i doświadczonych, wyrobionych politycznie i społecznie jest bardzo mało, przeważnie to głowy zac zadzone doktryną komunistyczną. Nie odmówiłbym im dążenia do jakiejś wymarzonej doskonałości urzządzenia świata. Ale im się zdaje, że obalenie starego porządku od razu podniosło i uszlachetniło całe ludzkie plemię

i nie spostrzegają, że w ich szeregi codziennie wciskają się indywidua o bardzo poziomych i osobistych celach, mnóstwo chciwych i mściwych Żydów, już mają dyplomy partyjne i najbardziej odpowiedzialne biorą na siebie stanowiska. A gdy ci raz przekonają się, jak to nie tak łatwo jest rządzić, jak trudno utrzymać ekonomikę państwa, jak mało wartościowych elementów społeczeństwa idzie za nimi — to drżą, by zagarniętej władzy i dóbr zdobytych nie stracić i dlatego rzeczywistych i domniemych swych przeciwników, rozumują, że bez pardonu trzeba zgładzić. Stąd zjawia się terror. Terror nierozumny, dziki, ciągnący niewodem w otchłań cierpień i niebezpieczeństw i najspokojniejszego obywatela — i winnego nielojalności i tego, kto stanął tylko w pozycji widza na uboczu — bo zasada: „Kto nie z nami — ten przeciwko nam” ma być miernikiem tego, czy ktoś zachowa prawo do egzystencji, czy też ma najrychlej zginąć. A dla skaptowania sobie przynajmniej czerni raz po raz wydają deklaracje i zarządzenia najnierządniejsze, niebezpieczne, wprost ekonomicznie szkodliwe, a duchowo rozkładające wszystko, co w człowieku wznioślejsze i święte. Demagogia najskrajniejsza, najgłupsza — ale zarazem najbardziej oficjalna — powiedzmy — urzędowa, to *signum* tych miesięcy, tych paru lat. Aż Lenin, opamiętany rezultatami tej roboty, wprost czyni odskok na stare pozycje ogłaszając N.E.P., co oznacza niby nową ekonomiczną politykę, a w rzeczywistości jest przyznaniem choć częściowym starego prawa własności i związanych z nim praw człowieka.

Dekretów wszystkich nie spamiętać; razem złożone wypełniłyby grubą księgę, ale cokolwiek dla charakterystyki przynajmniej tych czasów i dla zapoznania czytelnika z ustrojem komunistycznym należy zacytować. Nacjonalizuje się wszystką ziemię, bogactwa ziemne, fabryki, wszelkie przedsiębiorstwa, mieszkalne domy, świątynie i ich majątek — wszystko ogłasza się własnością państwa. Kapitał w bankach upada, konfiskuje się wartości w kruszczach, walutach, obligacjach. Ruchomości pozostają niby w rękach prywatnych, ale byle jaki urząd, byle jaka urzędowa figura bezkarnie z nich obywateli wywłaszcza. Są dwie kategorie ludzi: komuniści i reszta ludności, a wśród nich świat roboczy, to znaczy niższa warstwa robocizny ma pewne przywileje, a inni to pariasi, którzy dziękują, że ich tolerują. W czernickiej Słobódce, osadzie zupełnie polskiej, komunista, wizytator szkolny, na pytanie postawione dzieciom w szkole: „Kto to jest komunista?” otrzymuje odpowiedź: że to człowiek, któremu wszystko wolno, że to człowiek, który nie pracuje, a wszystko ma; że wreszcie komunista to Żyd, który doszedł do władzy. Te dzie-

cięcie spostrzeżenia najlepiej malują jak wyglądał komunizm w oczach człowieka przeciętnego, a naturalnego. Czuliśmy, że jesteśmy zawojowani, że jeżeli nie hołota tatarska, co spadała na naszych przodków i brała ich w łyka, to w każdym razie los nasz dużo bardzo podobny do ich losu i z tego nie było wyjścia. A tak myśleli nie tylko wielcy posiadacze dóbr tej ziemi, mający czasami wyrzuty sumienia, że nie rządzieli się sprawiedliwością społeczną, przez Boga i Kościół wymaganą, ale i my — najubożsi i najmizerniejsi ludzie, najżyczliwiej nastroszeni do warstw proletarskich i robotniczych, wśród których nie brakowało takich co wiele energii swego życia już włożyli w polepszenie doli wieśniaków i robotników. Wszyscyśmy tacy zostali uznani za małoradykalnych w naszych świętych dążeniach, a często nas miano i za świętokradców, co niepowołaną ręką, idąc za wielkimi Papieżami jak Leon XIII, jak Pius XI do świętej sprawy robotniczej mieliśmy się dotykać. Marks, którego „Kapitału” i większość komunistów w ręku nie miała, a na pewno by go nie rozumieli — to była ewangeliczna, prorocza księga. Marks nieomylny i jego interpretator Lenin — to tylko gwiazdy, za którymi szanujący się człowiek iść może i powinien. Ogłoszono wszem wśzędzie, że tylko komunizm jest w monopolowym posiadaniu prawdy i sprawiedliwości i on tylko jeden niesie ludzkości szczęście...

I dlatego w imię tego komunizmu cóż za eksperymenty czyniono z ludźmi Bogu ducha winnymi, bo ci — tak zwani burżuazyści i bogacze — albo już zostali zgładzeni przez okres „komunizmu wojennego”, albo puciekali za granicę. Gdziekolwiek pozostali ich jakieś mieszkania, meble, rzeczy. Wnet zjawiał się dekret żądający pod groźbą śmierci wykazania takich lokali i wydania całej ruchomej pozostałości po tych przeklętych uchodźcach, burżujach. Wykazanie takiego lokalu to dla mieszkających w nim pozbawienie się dachu nad głową, lub — w najlepszym razie — przesiedlenie takich współmieszkańców, z którymi współzycie będzie przedsmakiem piekła, a zawsze niebezpieczeństwem denuncjacji i idących za tym konsekwencji. Bo w owe czasy dla represji najsurowszych dowodów nie szukają, dość że ktoś z klasy uprzywilejowanej rzuci skargę lub podejrzenie. Oddać zaś rzeczy cudze, w zaufaniu oddane na przechowanie, i oddać takim którzy do nich, prócz przemocy, żadnego tytułu nie mają, przed tym wzdragało się wprost pierwotne poczucie sprawiedliwości. Więc ludzie ryzykują i milczą, wciąż drżąc, że to jakoś się wyjawia i na nich spadną represje jak najsroższe. Najczęściej takie rzeczy przechowywane gdzieś znikną, bo albo złodzieje podpatrzą, albo ci sami co z urzędu poszukują takich rzeczy, gdy je wytropią,

to wolą sobie przywłaszczyć jakimś nielegalnym sposobem, niż oddać urzędowi, od którego nic im nie spadnie. Pewna przyjazna mi rodzina Kondrackich pozostawiła u mnie na przechowanie piękny, drogi fortepian; stał on u organisty niby jako instrument potrzebny do ćwiczenia chóru. Dowiaduje się o tym „Urząd”, poprzednio sklep instrumentów muzycznych Jędrzyszka, że taki fortepian jest na plebanii; wnet wpada jakiś jegomość z platformą przewozową i ten fortepian gwałtem wynosi, ale skierowuje go bynajmniej nie do składnicy instrumentów konfiskowanych, ale do swego prywatnego mieszkania na przemieściu, na Górę Bajkową. Śledziliśmy go krok w krok, ale trzeba było milczeć, bo i tak instrument byłby przepadł, a oprócz tego poszłyby jeszcze „rozmowy” z Czerezwycząjką. I byłaby gotowa sprawa o sabotaż. W obszernych i porządnie urządzonych suterrenach mojej parafialnej szkoły Towarzystwo Ochrony Zabytków rozłożyło w kilku dużych izbach rozmaite cenne rzeczy i archeologicznie cenne i mogące mieć zastosowanie utylitarne. Wszystko było w wielkich pakach z desek. Być może, że ktoś z tych archeologów do tych pak coś cenniejszego zapakował i swojego, myśląc że tym sposobem łatwiej to ochroni. Na drzwiach wejściowych do tej składnicy wisiał plakat wieszczący, że tu się przechowuje rzeczy Towarzystwa Ochrony Zabytków i zamek był opieczętowany. Przez dwa lata rozmaite rewizje to uszanowały. Aż tu pewnego wieczora kierowniczką szkoły spostrzega, że ktoś oknem od ulicy dostał się do sutereny i już pewno od dłuższego czasu tam operuje, bo paki widocznie pootwierane i rzeczy w nocnej ciemności wynoszą przez okno. Kiedy w uniesieniu podejmuje alarm, to ten jej najspokojniej mówi: „Radzę pani nie robić hałasu i zgodzić się z tym, że ubogi człowiek czymśkolwiek w takich czasach się pożywi”. Na drugi dzień wpada do szkoły Czerezwycząjka, łamią pieczęcie, wytrychem drzwi otwierają, panią kierowniczkę aresztują i prowadzą do biura Czerezwycząjki, zarzucają jej najsurowiej, że się dopuściła kradzieży pewno rzeczy drogocennych, trzymają ją pod kluczem i grożą bardzo ciężką odpowiedzialnością. Ale co najtragiczniejsze, że badanie przeprowadza człowiek kubek w kubek podobny do tego, którego kierowniczką widziała przez okienko korytarzowe przy wybieraniu rzeczy z pak — zaledwie przedwczoraj. Ale gdy ona, osoba dosyć orientująca się, tej kontestacji nie robi, to strogі urzędnik ją po 24 godzinach aresztu zwalnia i oficjalnie już potem wywozi z suterren rzeczy, których wynosić przez okno było niepodobna — jak meble, posągi i wielkie w ramach obrazy itp. *Sapienti sat...*

Wychodzi rozkaz, że wszyscy posiadający jakieś wkłady, bieżące rozrachunki i depozyty w bankach państwowych czy pry-

watnych, w pewnych określonych dniach i miejscach, według alfabetu muszą stan swego posiadania zadeklarować, a kto tego nie uczyni, to czemuś tam odpowiada i traci prawo do tych swoich pieniędzy. A więc na złamanie karku wszyscy spieszą z wykonaniem tego rozporządzenia. Moja litera miała obowiązek meldować się w gmachu byłej Izby Skarbowej. Przychodzę i zastaję setki ludzi cisnących się do stołów, gdzie registrator pisze niedbale ołówkiem nader przez nas łatwowiernie składane zeznania. Za parę dni rejestracja się skończyła, a natomiast wyszedł dekret głoszący, że stosownie do naszego, już sowietom znanego, stanu posiadania, opartego na naszych własnych deklaracjach, każdego z nas obowiązuje kontrybucja w takim to a takim procencie w stosunku do kwoty zadeklarowanej. Kontrybucja ta nie może być uiszczona na konto wkładów, na przykład czekami, lecz musi być wypłacona wprost z kieszeni — gotówką. Fantują się więc ludzie, kontrybucję wnoszą, a sowiety ani myślały sprawdzać listy naszych deklaracji, ani też nigdy rachunków naszych w bankach nie salwowały. Przepadło wszystko wszystkim do ostatniego grosza. A tym trickiem z zapisywaniem deklaracji tylko nas w pole wyprowadzili, a każdy sumiennie swoje procenta od stanu posiadania wniósł, bojąc się a może sprawdzą, deklarację przypomną i kulkę w łeb puszcza. Ogromnej wartości apteka „Farmakos” od razu z wkroczeniem wojsk sowieckich przeszła na własność państwa. Ale to była instytucja udziałowa, krociowi jej akcjonariusze już dawno gdzieś byli poza granicami kraju, ale jedna z sióstr moich też wyjeżdżając i potrzebując gotówki odstąpiła mi swoje akcje, zaledwie na trzy tysiące czterysta rubli. Posiadałem gdzieś dowody, ale o nich w tym rozgardiaszu zgoła zapomniałem. Aż tu otrzymuję nakaz, że ponieważ wszystkich większych udziałowców nie ma, to na nas, kilku drobnych akcjonariuszy, solidarnie włożono obowiązek zlikwidowania za trzy miesiące płacy siedmiu pracowników apteki — i nie było rady, trzeba było zapłacić, chociaż ani szeląga od moich akcji z tej apteki nie widziałem; akcje zostały obalone, jak wszystkie wartości, a urzędnicy apteczni i przez te trzy miesiące, za które im zapłaciliśmy, już pracowali byli tylko dla sowietów.

W związku z nacjonalizacją domów wyszedł rozkaz o stworzeniu w każdej większej posesji, a jeżeli są małe to w kilku razem, tak zwanego „domowego komitetu”. Prezes i sekretarz takich komitetów, mają przyjąć na siebie agendy byłych właścicieli domów. Właściciel domu jest najczęściej z niego wysiedlony, lub w najlepszym wypadku znajduje schronienie w suterrenach, na poddaszu — słowem — w najniepozorniejszym kącie domu. Na prezesów i sekretarzy zwykle wysuwają się ludzie posiadający

jakiś staż sowiecki, często Żydzi lub partyjni. Mieszkańcy domów tak się boją tych stanowisk, z musu wchodzących w kontakt z władzami, że najlichszy i najzuchwalszy element forytują przy wyborach do komitetu, a potem od tych władz domowych sami najwięcej cierpią. Bo istnieje i takie dekretalne prawo, że każdy człowiek ma określoną przestrzeń do życia: *Żitłószczad* — nie pamiętam, trzy czy cztery sześciennie metry. Kto więc posiada pokój czy mieszkanie ponad tę urzędową przestrzeń, to domowy komitet wprowadza współlokatorów, których mu z rozmaitych urzędów i korporacji komunistycznych nasyłają do *wsielenija* (przydzielenia lokalu). Następuje więc *uptyotnienie* (ścieśnienie). I można się znaleźć w towarzystwie opryszka, złodzieja, człowieka niekulturalnego, o zupełnie innych poglądach, a często i niebezpiecznego. Księdzu Bolesławowi Blechmanowi w Kijowie, człowiekowi cokolwiek głuchemu, wsadzono współlokatorkę do pokoju — komunistkę z trojgiem dzieci. Biedny człowiek jakoś się odseparował od tego towarzystwa szafami, ale każdy kto do niego przychodził w interesie, musiał — jako do głuchego — niemal krzyczeć, a komunistka wysłuchiwała, a kiedy ksiądz wyszedł do kościoła, to jej dzieci wykradały mu z trudem zdobyty chleb albo cukier. Oprócz tego w domach musiały być stosowane oficjalne taryfy za usługi tzw. komunalne (woda, elektryczność, wywożenie śmieci, remonty), a te taryfy, nie dla wszystkich równe, mają wprost cyniczną tendencję rozkładania tych kosztów na warstwy posiadające — *imuszczyje* — burżuazyjne lub pochodzenia burżuazyjnego. I tak dla przykładu: ksiądz za metr przestrzeni mieszkaniowej płacić musiał 12 rubli, a komunista i robotnik należący do jakiegoś związku zawodowego — 66 kopiejek; za kilowat elektryczności: ksiądz — 4 ruble, a tamci — zaledwie po kilka kopiejek. Wiele kościołów z powodu takiej taryfy za elektryczność przestawało się nią posługiwać i dla oświetlenia, a gdzie były organy elektryczne, to i dla organów i nabożeństwa stawały się posępne i ciche... W domowych zaś komitetach z rozdzielaniem tych opłat działały się rzeczy niesprawiedliwe i wprost skandaliczne. Komuniści często zgoda ich nie uiszczali, bo albo ich przenieśli i oni „zapomnieli” zapłacić, albo byli tak zuchwali i niedostępni, że domowy komitet, mając też jakieś grzeszki w stosunku do dekretów sowieckich, wołał takich lokatorów nie drażnić, obchodził ich, a tymczasem dał z warstw spokojnych i zasłużonych mieszkańców domu, wśród których nie jeden i dla przeżywania się i dla zdobycia grosza już ostatnią koldrę wynosił na *tołkuczkę* (taki rynek kupna i sprzedaży używanych rzeczy). Kiedy takie zarządzenia o używaniu mieszkań zaczęły wchodzić w życie, to od razu zrozumiałem „pismo nosem”

i skorzystałem z możliwości brania w dzierżawę domów nieren-townych mniejszych i na podstawioną osobę mego sekretarza, pana Zygmunta Lepiesowieckiego, wziąłem od *Gorsowietu* (rada miejska) swą własną plebanię w dzierżawę, płacąc — już nie pamiętam — określony czynsz jakiś, a komitet domowy ułożyłem z najspokojniejszych sług kościelnych i jakichś ubogich naszych lokatorów z prezesurą na czele zakrystiana, pana Kacpra Karlińskiego. I takim sposobem, ścieśniewszy się bardzo i napakowawszy bezpłatnych lub ledwie płatnych, ale znanych mi lokatorów, aż do mego uwięzienia w 1926 roku utrzymałem się na plebanii. Tego nigdzie prawie nie dokazali księża w diecezji. Jedni mieszkali w zakrystiach, w skarbcach kościelnych; w Romanowie ksiądz proboszcz Słowiński mieszkał w dzwonnicy, gdzie na parterze żelazne wieko zakrywało wejście do grobowca fundatorów i gdzie była kancelaria parafialna, a na pięterku, na które wchodziło się po zwykłej drabinie, mieściło się zaledwie łóżeczko ubogie, stolik i jedno krzeselko; większość księży tułała się po prywatnych domach, a często wiejskich chałupach, dzieląc je z gospodarzami i cielętami była bezpieczna od *upłotnienia żółtoszczadzi*. Zamożniejsi gospodarze, mogący udzielić lepszą izdebkę dla księdza, uchylali się od tego obowiązku, gdyż zajadłe komitety — *siewsowiety* — czyniły z nich za kompaniowanie się z księdzem tak zwanych *liszencew*, to jest ludzi pozbawionych wszelkich przywilejów, wszelkiego prawa na kupno kartkowe i wreszcie skazanych na wygórowane podatki. Kiedy teraz gdzieś spotykam w Polsce proboszczów, co mając kilka pokoiów na plebanii każą biednemu wikaremu mieszkać u chłopów na wsi, to wszystko we mnie wre na widok — kurtuazyjnie się wyrażając — takiego świnstwa. I biskupom, którzy to tolerują, darować nie mogę i myślę sobie: o nie daj Boże wam doczekać takich, jak my tam mieliśmy stosunków, przez które przeszedł i mój biskup Szelażek w Łucku w 39-41 roku, kiedy z pałacu swego przez bolszewików wyrzucony, ledwie w jednym wilgotnym pokoiku tyrać musiał swe siły starcze.

Ukazała się enuncjacja, że w związku z nacjonalizacją domów sfery proletariackie mają być przesiedlane z suterren i chałup do komfortowo urządzonych mieszkań. Nie trzeba myśleć, że miano proletariat stosowano do ubogich, wydziedziczonych. Proletariat w pojęciu sowieckim, to lud pracujący, należący do związków zawodowych i niekiedy całkiem zadowolająco sytuowany. Cała prawie ulica Marijno-Błogowieszczeńska przeznaczona była na domy robocze, a i w wielu innych punktach wybrano co lepsze kamienice na cel osiedlania jakichś swoich ludzi. Pewnego dnia zjawia się do domowego komitetu zuchwałe indywiduum i

oświadcza, że jest wyznaczony na komendanta tego domu, u drzwi wejściowych rozstawia uzbrojone warty i przynagla wszystkich mieszkańców do opuszczenia zajmowanych lokali. Każdemu wolno wynieść ze sobą niewielkie zawiniątko lub ręczną walizkę. Meble, pościel, odzież, naczynia — wszystko ma pozostać dla tych, co to mieszkanie zaludnić mają. Los wypędzonych całkiem mu jest obojętny, nikt im nowych lokali nie wskaże. Idą więc nieszczęśliwi, zrozpaczeni, z opuszczonymi głowami i złamanymi sercami, bezradni, jakby z pożaru uratowani, by gdzieś się wprosić, gdzie znajdą chrześcijańskie współczucie, gdzie ktoś do nich litościwą wyciągnie rękę. O, zgrzyt zgrozy, horror duszy ludzkiej budził się w każdym, co na to patrzył, a takiego barbarzyństwa zgoła pojąć nie był w stanie. Bo czyż to bogaczy tak krzywdzono i rujnowano? Czy to był odwet jakiś za zło proletariuszom wyrządzone, kiedy to często właśnie prawdziwych i istotnych proletariuszy tak doświadczano, tylko może dlatego, że oni do warstw kulturalniejszych, bardziej cywilizowanych należeli, że kiedyś może coś mieli, że dlatego w takich lokalach mieszkali, ale przy sowieckiej władzy już na pewno z głodu przymierali i zapewnionego jutra nie mieli. I byli więc we właściwym tego słowa znaczeniu proletariuszami, a ustępować miejsca musieli tym, którzy naprawdę, jako pracujący i zarabiający na życie i mający nad sobą wyjątkową opiekę prawodawstwa pracy, na miano *proletariuszy*, tej nieszczęśliwej sfery wśród ludzi, w żaden sposób nie zasługiwali...

Nie, panowie komuniści, wam to przesiedlanie zaszczytu nie przyniosło, a w oczach wszystkich zdrowo myślących ludzi zostaliście tym zarządzeniem skompromitowani. Być może, że do waszych szeregów wplątywali się ludzie niczego wspólnego z ideą komunizmu nie mający, albo głupie samoluby, porażone nienawiścią klasową i stąd pozbawione wszystkiego co jest ludzkie, albo prosto walczący z wami, wasi wrogowie, którzy takie inicjatywy tylko po to wam podsuwali, by was świat więcej nienawidził i wami gardził. Bo i to trzeba podkreślić, że takie przenoszenie ludzi z otoczenia im właściwego do warunków do ich bytu nieprzystosowanych, rzadko których z nich uradowało. Te osławione wilgotne sutereny po większych miastach, jak w Kijowie, są zaludnione nie przez robotników fabrycznych, najbliższych sercu sowietów, ale przez rozmaitych przekupniów, ubogie szwaczki, nędznych szewców i krawczyków i ubóstwo takie, co albo owładnięte złymi nałogami wszystko przepija i dlatego o polepszenie swego bytu nie dba, albo też takich, do których fortuna obróciła się tyłem i raz wykolejeni, już się nigdy nie podniosą — takich przecież kategorii ludzi sowiety nie przenosiły do miesz-

kań paradnych, oni i przy nich po dawnemu, a często i surowiej, tam biedowali, tam nędznieli i umierali. Z przedmieść, z dzielnic robotniczych sowiety przenoszą do wielkich czynszowych kamienic tę — w ich pojęciu — wyjątkowo szanowną klasę. A jak robotnicy obdarzeni słonecznym, o lśniących posadzkach pokojem w nim się czuli? I o tym mogę powiedzieć. Jako ksiądz i pozbawiony wikariuszy dla rozmaitych duchowych posług, a szczególnie odwiedzania chorych, miałem nieraz sposobność do tych lokali zaglądać. Mieszkanie składało się zwykle z pięciu-sześciu pokoiów; domy Kijów ma wysokie, pięć, sześć nawet pięter, a nawet siedem to nie rzadkość i otóż robotnik ze swoją żoną, dwójkiem dzieci, jakąś staruszką matką czy ciotką, obdarzony został pięknym pokojem, ale w tym samym mieszkaniu znalazło się jeszcze kilka takich rodzin, w każdym pokoju po jednej. *Nota-bene* niektóre pokoje są przejściowe, a kuchnia jedna dla wszystkich, wspólna. Tam gdzieś na peryferiach miasta, dokąd jednak wygodnie dojeżdżało się tramwajem, robotnik miał zwykle w parterowych długich domkach od razu od wejścia kuchnię, a za nią świetliczkę — niewielki pokój, do drzwi jego tykało nosem chowane prosiątko, zbiegały się kurki i króliki — a tu piętro czwarte, piąte, schody podłe, ośliżłe od brudu, choć marmurowe, bo któżże jest po to, aby dla drugich, robiących nieporządki, zamiatał je i zmywał? Wprowadzają mnie wreszcie do swego pokoju — codzienne, powszednie w nim zjawisko to sznury przeciągnięte, a na nich susząca się bielizna, bo na strychu lokatorzy, których jest teraz takie mnóstwo, bieliznę jedni drugim kradną; schylam się więc w pałąk i tak przechodzę do tego łóżka, na którym leży chory lub chora. I oni i ich familianci zwykle narzekają, dzieci znudzone, a często wybladłe, bo matka tych robaczków lęka się wypuszczać na ruchliwą ulicę, a po tych „przeklętych” schodach zaś często nosy sobie tłuką i nabijają guzy. Jedyna ich rozrywka to ta pokutnica kura, co z klatki tej, w której przywieziona nie wychodzi i ten kotek Filutek, albo ten pies Burek, za którymi przy każdej ich potrzebie jeszcze tam i z powrotem dreptać komuś trzeba. A niech ich licho bierze z takimi porządkami... A jakie nieporozumienia, jakie swary i kłótnie pomiędzy gospodyniami rozpoczęte, a kończące się wśród mężów. Wierzcie mi, że zupełnie prawdziwy odtworzyłem obrazek.

Wyszedł dekret o oddzieleniu Państwa i Kościoła. Kiedy my, katolicy w carskiej Rosji byliśmy tylko wyznaniem tolerowanym, a państwową religią była prawosławna wschodnia schizma, która korzystała ze wszystkich przywilejów, często z krzywdą katolicyzmu, to sądziliśmy, że ten nowy stosunek państwa do

Kościół zapewni mu nawet szerszy rozwój i większą swobodę propagandy. Pensje rządowe, wypłacane księżom tak były niskie, a tak wiele za nie żądano objawów lojalności, że zdawało się, że bez tych pensji obejdziemy się łatwo, ale za to wyzwalamy się od ingerencji rządu w sprawy kościelne i najszybsze kwestie ludzkiego sumienia. Tymczasem komunizm pod tą przykrywką „Rozdziału Państwa od Kościoła” niósł zupełną jego zagładę, czy w ortodoksyjnej jego katolickiej formie, czy w jego przejawach chorobliwych, jak schizma, herezje lub nawet w antytezie chrześcijaństwa, jak mahometanizm i judaizm. Niemal od początku rewolucji zaczęły funkcjonować urzędy sowieckie pod nazwą L.I.R.U., co się wykladało „Likwidacja Religioznych Uczeń-reżdnień” (urząd likwidacji instytucji religijnych). Działacze komunistyczni wciąż wołali: „My nikomu nie przeszkadzamy się modlić do ich *bogów* (nigdy Boga), my dajemy zupełną swobodę religiom”. Ale nauczać religii, szczególnie młode pokolenie — uchowaj Boże. Niby to w zasadzie wolno było młodzieży po osiemnastu latach, ale nie dzieciom, zgromadzoną w nie więcej jak po troje i to z zameldowaniem się w *Ispołkomie*, pobierać religijne wyjaśnienia, ale w praktyce stawało się to niemożliwe, bo w takim wieku młodzież już pracuje, jest w związkach, a za okazanie takiego zaciekawienia do religii, to na pewno pozbawieni by zostali i pracy i kariery.

Zasadę „swobody religii” wykręcono prawdziwie po machiawelsku w ten sposób, że niby to za caratu i na ogół w ustrojach innych każdy ma należeć do jakiegoś wyznania, a w systemie sowieckim każdy według największej swobody może być wyznaniowym lub bezwyznaniowym, a rodzice nawet byliby uważani za winnych, jeżeli by swoim dzieciom kazali się modlić, uczęszczać do kościoła, uczyć się religii. Puszczą się w obieg hasło, że cerkwie były uposażone przez carat i dlatego należy im odebrać wszelkie beneficja, a chociaż socjaliści doskonale wiedzą, że kościołom katolickim carat raczej mnóstwo zabierał, a nigdy niczego nie dawał; że my jeżeli coś posiadamy, to nie z fundacji państwowych, ale z ofiar i to często wielu drobnych ludzi dobrej woli, a wszystkie nowsze świątynie katolickie powstały tylko z groszowych składek — podciągają nas jednak pod jeden z prawosławnych strychulec. I gmachy kościelne i całe ich urządzenie i zasoby zakrystii i skarbców i plebanie i kościelne grunty — słowem cały stan posiadania Kościoła kasują, a nam wciąż pozwalają się do naszych *bogów* modlić, ale gdzie — jak bez oparcia dla nóg, bez kawałka chleba dla duchowieństwa i funkcjonariuszy kościelnych. Jakbyśmy byli bezcielesnymi aniołami, mogącymi nieść chwałę Bogu poza przestrzenią, czasem i w niewidzialnych

sferach tej ziemi, a nieba. Ale nim ten stan zupełnego wygładzenia wierzeń nastąpi, ustrój sowiecki — naśladowując ideały gabinetu Combe'a we Francji z pierwszych lat obecnego stulecia — pozwala stwarzać i rejestrować gminy kościelne, przynajmniej liczące 30 osób tak jak wszelkie prywatne stowarzyszenia i — pominąwszy wszelkie duchowieństwo — oświadcza gotowość wydzierżawiania im świątyń i utensyliów kościelnych. Beneficjów zaś kościelnych, ani domów parafialnych takie gminy dzierżawić nie mają pozwolenia. I duchowieństwo przy takiej gminie jest niczym, chyba tylko wynajętym robotnikiem technicznym od funkcji kościelnych. Religia w pojęciu komunistycznym, to tylko kult. Księża więc są nazywani ministrami kultu i działalność ich do czasu, póki ludzkość ożywiają jeszcze „zabobony religijne”, ograniczać się ma tylko do spełniania ceremonii, akcji kultu. Nauczycielskie posłannictwo kapłanów, ich wszelkie władze nadprzyrodzone, a szczególnie powołanie kierowników w rzeczach duchownych neguje się absolutnie i wydiera się im zazdrośnie, gdyż komunizm, to nie tylko pewna teoria urzędzenia materialnych stosunków na świecie, zamiana indywidualnych posiadłości we wspólnotę posiadania i korzystania z dóbr tej ziemi — ale komunizm, to dziecko zgoła materialistycznego poglądu na świat, jest monizmem materialistycznym, zaprzeczającym istnienia Boga pozaświatowego. Wiara w życie pozagrobowe w oczach komunizmu, to grabarz szczęścia na ziemi; odpowiedzialność przed Bogiem — to hamulec w wyborze środków do osiągnięcia celów tej ziemi. Komunista nie ma co liczyć na zbawienie swej duszy nieśmiertelnej, której nie posiada, i nie ma co się krępować przykazaniami Bożymi i tymi jakimiś głosami sumienia, które nie są od Boga, bo jego nie ma, ale czymś wszczepionym w jaźń ludzką przez całe wieki przez zmyślane poglądy i zabobony. Komunista ma przed sobą jako wytyczną hedonizm, uszczęśliwienie się na tej ziemi i każdy środek i każda metoda, które go do tego hedonizmu doprowadzają już same przez się dlatego są szlachetne i dobre. Komunizm jest też pewnym kultem materii, tej materii która jest poza materialnym człowiekiem, materii do egzystencji potrzebnej mu i pożądanej. Relacja się więc ustanawia pomiędzy człowiekiem a materią. Człowiek jest czymś mniejszym, a materia — większym. Człowiek jest zdolny do pewnych odchyleń, a materia jest niezmienna. Materia więc dla komunisty zastępuje Boga, a stosunek człowieka do niej — to już religia niska, materialistyczna. Ale nikt nie zaprzeczy, że jest spodleniem, ale i upodobnieniem człowieka do Boga, czyli religii nadprzyrodzonej.

Dlatego komunizm, jako *religia*, walczy z wszelką inną religią,

a szczególnie z najpotężniejszą — religią katolicką. Wyrzucone przez Marksa, bezbożnego Żyda, słowo — „Religia to opium dla narodów” (bo w jego pojęciu religia wskazując cele nadprzyrodzone usypia, obezwładnia jak opium narody w ich dążeniu do celów przyrodzonych) stało się hasłem i komunistów rosyjskich. I dlatego bij zabij na wiarę, na religię Boską, na Boga na ziemi Kościół. Żyd, komunista Gabelman (Jarosławski) staje na czele „Bezbożnego wojującego związku komunistów”. I jak partia chciałaby przekonać wszystkich o jedynej prawdziwości teorii komunistycznej i w swoje szeregi cały świat wciągnąć — tak związek bezbożników ma dopilnować, by komunistów takich, co uwielbiają gospodarkę kolektywistyczną, a w Boga wierzą nie było. Bo komunista a bezbożnik — określają tę samą treść. Kiedy przy moich badaniach u śledczego Dolińskiego w tak zwanym K.R.O. (*Kontrrewolucyjnoje oddielenije*) w kijowskim G.P.U. wyrwało mi się, że „jako ksiądz głęboko wierzący w Boga muszę walczyć z bezbożnikami”, to on mi to zainkryminował jako przyznanie się do walki z komunizmem. A kazania nasze o treści apologetycznej, o istnieniu Boga, o nieśmiertelności duszy — nazwał agitacją przeciwko komunizmowi. Komunizm to religia materialistów, ale zarazem antyteza religii i dlatego żadnej religii w ramach systemu komunistycznego działać się dobrze, a nawet tylko znośnie, nie może. A jeżeli czasem w gazetach rozpisują się o tolerancji religijnej, to tego na serio brać nie potrzeba. Są to sಿದೆłka dla naiwnych z zagranicy, by łatwiej do tego, na wskroś materialistycznego, systemu utorować ścieżki. Powodzenie antyreligijności komunistycznej w krajach głęboko katolickich byłoby naturalnie o wiele trudniejsze niż w prawosławnej Rosji; ale prawosławie to religia bezduszna, po odchyleniu od tej dźwigni, jaką cerkiew rosyjska znajdowała w rządzie carskim, zaczęło się rozpadać i kruszyć. Bolszewicy wnet przejęli rolę dopomagających do zupełnego niemal upadku cerkwi. Wielu wśród kapłanów prawosławnych, tak zwanych popów, już na miano szczerze prawosławnych sprzed rewolucji nie zasługiwało. Jad protestantyzmu głęboko już przeżerał szeregi teologów i kanonistów prawosławnych. Obawiano się i osłaniano przez czarnosecińców, tych ultra narodowców carskich wszystko, co tchnęło latynizmem, a postępowcy rosyjscy, ci zwolennicy jakiegś ultra-wolności, w nauce nieomylniej Kościoła katolickiego, i w jego prawodawstwie, i w niezmiennych zasadach moralności, upatrywali coś krępującego, nakładającego pęta na umysły i zmysły ludzkie i dlatego też stronili od ortodoksji kościelnej, a weszli prawdę w protestantyzmie i zarażali się nim świadomie i nieświadomie.

Po rewolucji, gdy powaga Najświętszego Synodu cerkiewnego upadła, to jedni byli za odnowieniem patriarchatu, inni podnosili wartość dogmatyczną i kanoniczną „staroobrzędowców” — zwanych przedtem „raskolnikami”, gdyż jeszcze przy Nikonie i Piotrze Wielkim zajęli stanowisko opozycyjne do reform rządowych cerkwi i jakoby najdoskonalej przechowali jej starą ortodoksyjność — ale większość dążyła do czegoś nowego, postępowego, zmodernizowanie cerkwi było ich dążeniem. Ci stworzyli nowy rządzący Synod i podporządkowując mu się stworzyli tak zwaną „Żywą cerkiew”. A szowiniści ukraińscy, dążący do *samostijności*, widząc że przez łączność cerkiewną z Moskwą słabną ich szanse na samodzielność polityczną, stwarzają swą „autokefalię” i liturgiczny język starosłowiański zmieniają na ukraiński.

Przy takim wewnętrznym zamęcie w cerkwi prawosławnej zadania bolszewików odchrześcijanienia społeczeństwa stawały się naturalnie ogromnie ułatwione. Czy to przez bolszewickich agentów, których już sobie pozyskali w szeregach duchowieństwa prawosławnego, czy też przez ten odłam modernizujących popów zaczęły się zjazdy duchowieństwa, czemu rząd sowiecki nawet przyklasnął. Najpierw pomniejsze, a potem walne, na których nie tylko nie osiągnano żadnego porozumienia, ale przeciwnie jeszcze więcej się różniczkowano, każdy kierunek cerkiewny jeszcze bardziej się uwypuklał i antagonizmy między nimi się zaostrzały. Zachwiana wewnętrzna jedność cerkwi ujawniała i jej słabość na zewnątrz. Kilkuwiekowe zaś przyzwyczajenie bizantyjskie szukania oparcia we władzy świeckiej podsuwało głównym działaczom cerkiewnym myśl, że jakieś *modus vivendi* między cerkwią a sowietami znalezione być może. I zjawiają się uchwały owych wieców cerkiewnych wyrażające lojalność cerkwi w stosunku do bolszewickich rządów. Lojalność owcy w stosunku do wilka, który tylko czyha, aby ją pożreć. Lojalność kompromitująca leaderów prawosławia w oczach samych prawosławnych, ale szkodząca i nam, katolikom stojącym na uboczu — na nas bowiem bolszewicy patrzą jako na obóz wierzących, nieprzejeźdźnych, jakichś trudnych do pokonania, niezłomnych. W Moskwie, gdy aresztują czterdzieścioro konwertytów z prawosławia ze śp. Anną Abrikosową na czele, to im wyraźnie mówią: „Wy jesteście pionierami zaprowadzenia katolicyzmu wśród Rosjan, wy dążycie do unii z Kościołem Rzymskim — to wy nam utrudniacie pracę odchrześcijaniania społeczeństwa rosyjskiego, gdyż z twardym zabo-
bonem katolickim i czort sobie nie poradzi”. I dlatego biedni rosyjscy katolicy poszli tułać się po obozach i więzieniach najsurowszych, a Anna Abrikosowa po dziewięciu latach najcięższej

izolacji więziennej umarła jak męczenniczka idei katolickiej w Butyrskim moskiewskim więzieniu, zdaje się że w 1928 roku. Spędziłem z nią parę lat w politizolatorze w Jarosławiu nad Wołgą, ale o tym napiszę, kiedy przejdę do czasów moich więziennych.

Rozłam w cerkwi prawosławnej ogromnie też ułatwił bolszewikom, a nam opór utrudnił, kiedy nastawać poczęto, aby rejestrować gminy kościelne i brać od bolszewików kontrakt dzierżawny na własne nasze świątynie i znajdujący się w nich liturgiczny inwentarz. Załatwianie rejestracji gmin kościelnych i branie od bolszewików w dzierżawę świątyń i inwentarzy kościelnych uważałem za wyraz jakby zgody katolików na to pogwałcenie Prawa Kościelnego do jego własności i dlatego, jako Wikariusz Generalny diecezji, powstrzymywałem przez czas dłuższy prawosławni jak najuleglej to wszystko przeprowadzali i załatwiali, a kłócąc się między sobą, jeden odłam cerkwi drugiemu wyrwał świątynie, uprzedzając go w podpisywaniu kontraktu dzierżawnego z bolszewikami i w rezultacie okazywali się tacy prawosławni, dla których już brakowało świątyń. Wówczas bolszewicy proponowali im, by brali w dzierżawę świątynie katolickie, gdyż żadna gmina katolicka nie zarejestrowała się dotąd i żaden kontrakt o gmachy kościelne nie został zawarty. Znalazłem się więc między Scyllą i Charybdą. Z jednej strony pamiętałem, jak Papież Pius X był zakazał francuskim katolikom podpisywać w myśl zarządzeń gabinetu Combe'a takie kontrakty i jak tam wówczas Kościół wygrał, gdyż na trzeci dzień po zamknięciu kościołów Combe musiał je bez kontraktów otworzyć, bo jedność postępowania francuskich katolików zwyciężyła i stawała się dla niego groźna, tak z drugiej strony wobec takiego zachowania się prawosławnych czułem, że jesteśmy zagrożeni wprost utratą i profanacją świątyń katolickich, bo bolszewicy oddadzą je na kontrakty prawosławnym.

Biedząc się okropnie wpadliśmy z księdzem Zygmuntem Chmielnickim na myśl poradzenia się z jedynym wówczas pozostającym w Rosji biskupem — z arcybiskupem Cieplakiem — i wyprawiliśmy do Petersburga z listem do niego specjalnego gońca, niejakiego p. Tadeusza Łuczaja, znanego potem śpiewaka operowego w Warszawie. Po tygodniu, kiedy p. Łuczaj wrócił i przywiózł nam odpowiedź, nie byliśmy ani o jotę więcej zorientowani — bowiem arcybiskup Cieplak sam nie wiedział jak postąpić, przyrzekał mi tylko, że przez prezesa delegacji głodowej papieskiej w Moskwie, księdza Welscha, zainteresuje Kurie Rzym-

ską. Przeszły jeszcze dwa długie miesiące tej naszej — jak bolszewicy nazywali — obstrukcji katolickiej, aż wreszcie przez zakonnice jadące z Petersburga do Odessy arcybiskup Cieplak poinformował mnie, że Papież nie będzie nam brał za złe, jeżeli zmuszeni taką koniecznością kontrakty na Domy Boże i rejestrację gmin kościelnych przeprowadzimy. Wymaganiom więc sowieckim uczyniliśmy zadość z sumieniem kanonicznie uspokojonym. Zaś inwentaryzacja mienia kościelnego już od dawna była gotowa, gdyż stojący na jej czele w Kijowie niejaki Mikołaj Głoba, były dyrektor moskiewskiej Szkoły Sztuki Stosowanej imienia Stroganowa, uważał za najstosowniejsze rozpocząć czynności inwentaryzacyjne właśnie od świątyń katolickich. Trzeba mu przyznać, że chociaż niby to występował w interesie bolszewików, wcale nie dążył aby inwentarze te były ścisłe — przeciwnie, nawet wyczuwało się jego przychyłność dla interesów kościelnych. Osoba, która w zastępstwie Głoby robiła spisy, należała do arystokracji rosyjskiej, była wykształcona artystycznie i w traktowaniu nas najdelikatniejsza. Nie żądała bynajmniej ksiąg inwentarzy, a spisywała tylko to, co na oczy się jej nasuwało. Stąd dobrze zostały policzone ławki w nawie kościelnej, nieruchome ołtarze, organy, znikoma jednak ilość ornatów, niewiele komż i alb; siedemnaście pięknych dywanów przeoczono, z kielichów tylko kilkanaście znalazło się w rejestrze, i to tańszych i brzydszych, ocalały też dwie piękne puszk i monstrancje, za to z całą drobiazgowością odnotowano 150 puryfikaterzy i wiele ręczników, używanych na *lavabo* podczas Mszy św. Według tego właśnie rejestru, nader powierzchownego, prezes zarejestrowanej Gminy Kościelnej, którą oficjalnie nazwaliśmy tylko Syndykatem Kościelnym, podpisał z bolszewikami umowę, która zawierała mniej więcej to, że Sowiety gmach kościelny i zarejestrowany inwentarz oddają w dzierżawę Syndykatowi Kościelnemu; zaś Syndykat obowiązany jest utrzymywać w porządku gmach kościelny, asekurować go od ognia na imię i rzecz państwa, a za ilość i całość ruchomości odpowiada własną kieszenią. Gdy wypędzono księży z plebanii, a zakrystianów i dozorców z ich mieszkań, to kościoły pozostawały bez opieki i bardzo rychło nie było już kościoła, do którego nie zaglądaliby złodzieje. O tych kradzieżach meldowano naturalnie policjantom i tym Wydziałom Kultów, które wydzierżawiały syndykatom kościelnym mienie. Meldunki takie nie odnosiły nigdy rezultatu, a Wydziały Kultu nie zaniedbywały przypominać syndykatom, że w myśl kontraktu obowiązane są uzupełnić luki w inwentarzu powstałe wskutek tych kradzieży. Przede wszystkim kradziono kościelną bieliznę i srebra, na pokrycie tych strat brakło środków, a dostać tych rzeczy zgoła nie było można.

Błogosławimy więc księży, którzy mają u siebie rzeczy niezarejestrowane i wyciągają je z ukrycia, notując jako restytucję za rzeczy skradzione. Pan Głoba więc ze swą pozorną negligencją w robieniu inwentarzy okazał się dobrodziejem kościołów. M. Głoba zmarł w 1942 roku na emigracji we Francji, a jego zastępczyni w kościele św. Aleksandra w Kijowie w czas umknęła od bolszewików za granicę. Urzędowanie jej w L.I.R.U. było tylko chwilowym daniem nura do kotła sowieckich urzędników. Mnóstwo ludzi, których by nie minęła kula, ocalało — jak i ona — swą skórę zapisując się w poczet urzędników, *nota-bene* pod jakimś zmyślonym nazwiskiem.

Kontrakty na świątynie i inwentarze kościelne były w zasadzie bezpłatne. Płaciło się tylko tak zwaną rentę ziemską za powierzchnię gruntu zajmowaną przez kościół i cmentarz kościelny; w Kijowie mój kościół św. Aleksandra znajdował się w takiej dzielnicy, w której gmachy były przynajmniej trzypiętrowe i stąd ocenę ziemską wyznaczono mi potrójną, czy poczwórną, jakby za każdą możliwą kondygnację mieszkaniową, która mogłaby być wzniesiona na tej samej powierzchni. Słowem, renty ziemskiej musiałem płacić coś ponad 800 rubli w złocie. Do tego dochodziła wysoka asekuracja od ognia, bez najmniejszej nadziei, że w wypadku pożaru otrzymamy jakąkolwiek premię ogniową, gdyż gmach kościelny był własnością państwa, ono by więc pobrało premię, ale kościoła by nie odbudowało, bo mu i tak nie jest potrzebny. Również wymagania konserwacji kościołów były natrętne i przy braku materiałów budowlanych i drogiej robociznie prywatnej — wprost na owe czasy niedostępne. Musiałem sprzedać ukryty złoty kielich, aby odnowić w 1926 roku tynki zewnętrzne kościoła. W wielu parafiach, gdzie zabrakło proboszcza, syndykaty nie umiały sobie poradzić z tymi opłatami i wymaganiami i w końcu zniechęcone bezowocnym płaceniem dużych kwot, bo nabożeństwa i tak nigdy nie było, opłat i remontów zaniechali, a Sowiety tylko na to czekały — kontrakt uważano za zerwany i to z winy gminy religijnej i kościół, jako swoją własność, na użytek zupełnie świecki obracały lub dopuszczwały do jego całkowitej ruiny i rozszarpania inwentarza ruchomego. Odśuwając tak zupełnie księży od praw do kościoła, tolerując jeszcze nasze funkcje jako ministrów ołtarza, obmyślili sposób ściągania z nas grosza i osobiście więcej niż z innych ludzi: oto nakazano nam zaopatrzyć się w patenty kupieckie i to klasy wysokiej, trzeciej; rad więc nie rad wykupiłem dwa takie patenty — jeden dla siebie, drugi dla księdza Naskręckiego, i gdybym się nie bał zniewagi kościoła, to byłbym je, jak każdy inny kupiec, umieścił gdzieś w widocznym miejscu np. na ambonie. Tylko że nie

byłem wówczas usposobiony do żartów: patent trzeciej klasy, to znaczy najwyższy, kwalifikował też skalę podatków osobistych najwyższą. Płaciłem więc podatki osobiste bardzo duże, tak jakby płacił kupiec najwyższej kategorii. Czy to z tego za granicą zaczęto szydzić, czy sami poszli po rozum do głowy, ale po tym pierwszym wykupieniu tych patentów w następnych latach więcej już ich od księży nie żądano. Żałuję, że tego patentu nie posiadam w zbiorze moich pamiątek. Przechowywałem go starannie, ale kiedy mnie zabrano do więzienia, to razem ze wszystkim innym zginął mi niestety.

Plagą kościołów w tych czasach okazywali się niektórzy Rosjanie o wykształceniu archeologicznym. Ci dla ochrony swej skóry podsuwali bolszewikom myśl stwarzania urzędów konserwacji i zbiornic rzeczy muzealnych; robili więc z siebie urzędników i usiłowali czymś wykazać swoją użyteczność. Czy i dla swoich cerkwi byli oni prawdziwymi sępami, porywającymi wszystko co w zakresie archeologii, sztuki lub archiwalii wydawało się cenne — nie wiem, ale wiem że niby dla wykazania swej bezstronności zaczynali od kościołów. Taki jegomość zwykle oświadczał, że szanuje wszelkie przekonania religijne, że jest daleki bardzo od bolszewizmu, ale właśnie dla uchronienia zabytkowych rzeczy kościelnych on proponuje — a tę swoją propozycję popiera jakimś nakazem sowieckim — aby mu je wręczyć i pozwolić wniknąć w skarbcze i archiwa kościelne. Zakryście naszych kościołów przechowywały to z pietyzmem po 300, 400 lat i nawet carat nam tego nie wydzierał, a tu ci szperacze usiłują to zabrać. Gdzie przy kościele nie ma księdza, tam łatwo wyprowadzą w pole lub zastraszą syndykat kościelny — i już te rzeczy na zawsze dla kościoła zginęły. Ale czy znajdują się w rejestrach muzeów i jakich? — to rzecz problematyczna, bo ci panowie to doświadczeni znawcy i sami na takie rzeczy bardzo łasi. A wiadomo, że przed kategorią takich znawców i kolekcjonerów i w czasach najspokojniejszych trzeba nasze kościoły ochraniać. Mielśmy więc utrapienie prawdziwe z ukrywaniem pamiątkowych, zabytkowych i artystycznych rzeczy. A ileż trzeba było przemysłowości, aby tych panów odprawić z kwitkiem i samemu się nie narazić i kościół przed tym kulturalnym rabunkiem uchronić. Ale nie tylko zabytkowe ruchomości Sowiety zabierały, również piękniejszych świątyń nie chciały wydzierzawiać na cel służby Bożej. W Kijowie sobory św. Włodzimierza i św. Zofii, a głównie cerkwie Ławry Pieczerskiej i same przy niej pieczary, stały się tylko pokazowymi muzealnymi obiektami. A po 1927 roku uległa temu losowi i bazylika Matki Boskiej Berdyczowskiej, ten historyczny klasztor i zameczek OO. Karmelitów Bosych. Jeszcze

w 1925 roku, w lipcu, na odpuscie Matki Boskiej Karmelitańskiej, przez trzy dni tej uroczystości zakomunikowałem dwanaście tysięcy wiernych, a obierzmowałem tysiąc osiemset. Wspaniałe pielgrzymki ściągały tam tysiącami z Wołynia, z Kijowszczyzny i z Podola. W 1926 roku agenci G.P.U. wypędzili przyjezdnych księży, pozwalając uczestniczyć w odpuscie tylko trzem. A potem jednego po drugim usuwali z obsługi kościelnej, aż wreszcie w dolnym kościele urządzili kinematograf, w murach klasztornych zakwaterowano wojsko, a górny kościół obrócono na muzeum antyreligijne. I odtąd smutne oczy z cudownego obrazu Przeczystej Dziewicy patrzyły nie na tłumy rozmodlonych pielgrzymów, a na gawieź sowiecką, chodzącą od ołtarza do ołtarza w czapkach na głowie i albo odczytującą różne bluźniercze napisy i wykresy, informujące o postępach bezbożnictwa, albo przyglądającą się karykaturom świętych, kapłanów, zakonników i zakonnic. Rzeczom z reguły bez żadnego smaku, a często ordynarnie niemądrym, obliczonym na głupotę i bezkrytyczność zwiedzających, a zawsze w intencji najprzewrotniejszej. Ale gdy diabeł strzela, Pan Bóg kule nosi: Muzea antyreligijne nie wywierały wpływu odchrześcijaniających, ale przeciwnie — przypominały, informowały o wierzeniach w istnienie Boga, o zasługach świętych Pańskich, o religijności ludzi rozumnych i ofiarnych, którzy takie piękne świątynie, ołtarze i malowidła ku czci Boga wznosili. I ta młodzież szkolna, od zarania dni swoich pojona bezbożnictwem, starannie strzeżona, by nigdy o Bogu nie myślała, wychodząc z takiego kościoła obróconego na muzeum antyreligijne i porównując wystawione w nim szkaradzieństwa sowieckie z pięknosciami architektury, rzeźby i pędzla, wykonanymi przez religijność pokoleń, a często pamiętając i informację ubocznie rzuconą przez interpretującego nauczyciela czy nauczycielkę, często bardzo jeszcze ludzi dawniejszych, wierzących, zaczyna rozmyślać o zagadnieniach stworzenia świata, o stanowisku swoim wśród niego, o poczuciu odpowiedzialności za dobro lub zło wyrządzone; słowem wskrzesza w sobie jakieś pojęcie o Bogu i nieśmiertelności swej duszy, a w końcu w swej psychice układa jakiś stosunek do możliwego Boga, czyli inaczej — staje się religijną...

Kiedy wszelkie seminaria duchowne pozamykano, to urządzono dla propagatorów bezbożnictwa kursy antyreligijne, a nawet jakieś pseudonaukowe zakłady tam i ówdzie pootwierano, które miały przygotowywać apostołów ateizmu; spodziewanych jednak rezultatów nie osiągnięto. Raz po raz w prasie przedzierzgały się utyskiwania, że zabobon wierzeń religijnych jeszcze się utrzymuje; i nic dziwnego, bo i łaska Boska, podtrzymująca ludzi w religijności pewno skuteczniejsza wciąż była, i argumentacja

bezboszników okazywała się nader płytka, nędzna i licha. Posługiwano się głównie teoriami i hipotezami dawno przebrzmiałymi, nie utrzymującymi się wobec stanowiska współczesnej wiedzy i nauki, a kalumnie rzucane na duchowieństwo, lub wyciągane z lamusa historii pewne momenty kompromitujące ludzki słaby pierwiastek w Kościele, nie poruszały już tych, którym aż uszy puchły od tego wymyślania na przeszłość, a którzy w teraźniejszości nie upatrywali jakoś ani rzeczy pomyślnych ani pociągających. Kazano wciąż im wierzyć, że pod tchnieniem komunizmu wymarzone dobro i sprawiedliwość zapanują nad światem, a tymczasem rzeczywistość jakoś tego nie potwierdzała. Twierdzenia apodyktyczne, że Kościół stał i stoi po stronie sfer wyzyskujących, że ma być klasowo wrogo nastawiony do klasy robotniczej nie znajdowały naprawdę głębszego odgłosu w umysłach i sercach tych prostych ludzi, co tak niedawno w duchowieństwie spotykali prawdziwych swych przyjaciół, a często i obrońców, a co ważniejsze — w szeregach tego samego duchowieństwa mających swych własnych proletarskich synów. My, księża maltretowani, zrujnowani materialnie, poniewierani na wiecach publicznych, w gazetach, w karykaturach, w urządzanych nad nami pokazowych sądach — nie pogardę, ale współczucie, a często i głęboki szacunek znajdowaliśmy u większości nawet tego niekatolickiego społeczeństwa. Chłop rosyjski bez protestu przyjmował bibułę antyreligijną, śmiał się na całe gardło z wizerunków karykaturalnych, często na ogromnych plakatach rozwieszonych na ścianach większych budynków, a w końcu, zdobywszy jakie takie kolorowe straszdyło i w każdym razie patrząc nań z szacunkiem, bo tam i Bóg był wymalowany i diabeł wykrecał koziołki śmieszne, niósł je do swej izby i umieszczał w kącie tej samej ściany, gdzie wisały stare rodzime ikony, przed którymi, a razem i przed plakatem bluźnierczym, święte znamię krzyża czynił potem. To nie zmyśłone przeze mnie, ale z rzeczywistości czerpane opisuję widowisko. Chcieli bolszewicy świat odchrześcijaniać też dysputami religijnymi i bardzo pragnęli, by i duchowieństwo zjawiało się na nie. Było to niebezpieczne, bo coś wyrwałoby się człowiekowi i za to G.P.U. przyczepiłoby mu jakiś zarzut; zresztą Kanony zakazują nam brania udziału w publicznych dysputach antyreligijnych. Więc naturalnie na takie dysputy nie uczęszczałem, a i moi parafianie — chyba z małymi wyjątkami, i to więcej z ciekawości, by popatrzeć na taką hecę, niż szukać tam prawdy — na dysputach nie pokazywali się. Jednak pewnego razu w ogłoszeniach o takiej dysputie czytałem swoje nazwisko, jako zapowiadającego się oponenta. Tym widocznie kłamstwem chcieli i katolików przyciągnąć na salę dysputy, gdzie by mnie mało

co powiedzieć pozwolili, a parafian moich nafaszerowaliby swoimi zarzutami i bezbożnymi wywodami. Na szczęście nikt nie uwierzył tym ogłoszeniom i każdy dobrze wiedział, że ja tam na pewno nie ukażę się. Dla wyrażenia zaś, że społeczeństwo już się jakoby wyzbyło lub wyzbywa przesądów religijnych, a tym sposobem pociągnięcia i innych do niereligijności, od czasu do czasu urządzano tak zwany „karnawał antyreligijny”. Choć jeden muszę tu opisać.

Karnawałów antyreligijnych bynajmniej nie urządzano w czasie zapustów; nazwę tę nadawano takim bezbożnym defiladom, które urządzano w dowolnym czasie i w dowolnej porze roku. Pamiętam jak raz w Kijowie gazety i rozklejone na ścianach i kioskach plakaty obwieściły o mającym się odbyć w godzinach wieczornych karnawale. Ciekawych tego bezceństwa ludzi rozstawiło się wszędzie na ulicach mnóstwo. Cały kijowski garnizon brał w nim udział i sporo zmobilizowanej młodzieży robotniczej, którą nie przekonania bezbożne, ale przynależność do związków zawodowych oddawała już pod komendę prowodyrów z Kom-somołu. Znając stan umysłów Rosjan i Ukraińców w owych latach, twierdzić mogę na pewno, że ogromną większość z takiej defilady stanowiły ofiary przymusowe. Tylko młodsze żydostwo, już od dawna zgola prawie niereligijne, lub ze stanowiska żydowskiego przeciwne chrześcijaństwu, z pewnym zapalem karnawałom takim oddawało swoje usługi. Tak czy owak, ale karnawał miał cechy zorganizowanej manifestacji antyreligijnej i był tłumny. Przez kilka kwadransów przesuwwały się maskary oświecone niesionymi pochodniami. Transparenty z napisami najbluźnierczymi powiewały nad każdym zespołem pajaców. Na autokarach przybrane w kościelne i cerkiewne ornaty, stoją karykatury księży i popów, ci popijają z butelek, tamci się pomiędzy sobą targają i szamocą, a inni, wykrzywiając się, ręce ku niebu podnoszą, a we wszystkim tym szkaradni i ohydni i umizgi stroją do spostrzeganych w tłumie kobiet. Figury Świętych Pańskich są niesione i przerzucane jako bezwładne bałwany na pośmiewisko w nie, jakoby w bogi wierzących. Może i obrazy rzucano i deptano — nie wiem, na własne oczy nie widziałem, bo na ulicę nie wyszedłem — ale znieważanie obrazów to zjawisko wówczas bardzo częste. Prawdziwy odnowiony pochód wiodący Chrystusa Pana na krzyż na Golgotę. Okrzyków w tym szelmowskim hałasie odróżnić trudno, ale poglądającym na to religijnym ludziom, boleścią i smutkiem przejętym, zdawało się pewno, że słyszą — jak to czytamy u św. Marka w rozdz. XV: „Mimo przechodzący bluźnili Go, kiwając głowami swymi mówili: — Ach, który rozwalasz kościół i we trzech dniach znowu budujesz, wybaw

siebie samego... Innych zachował, a samego siebie zachować nie może... Niechże teraz Chrystus zstąpi z krzyża...”.

I raptem ostry dał się słyszeć dzwonek u furty kościelnej. Prerażeni spieszym na jego odgłos, bo może to gawiedz bezbożna chce wtargnąć do kościoła i zdemolować świątynię Pańską? Ale gdzie tam. To spora gromadka gorących katolików pokornie prosi, by ich choć przez zakrystię wpuścić do kościoła, by w czasie tego karnawału bezbożników złożyć przed Hostią Świętą wynagradzające pełne uwielbienia hołdy. Wchodzimy więc do mrocznego, ledwo słabą lampą eucharystyczną oświetlonego kościoła. Modlitwy ustnej żadnej przepowiadać nie potrzeba. Z serc naszych, jak promień z baterii elektrycznej, do serca Chrystusa Eucharystycznego płynie modlitwa: O Jezu Najdroższy, Boże Wcielony, Odkupicielu całego świata, rodzaju ludzkiego — przyjm uwielbienie. Bądź pochwalony Panie i Królu umysłów i serc naszych. Daj opamiętanie temu zbałamuconemu człowiekowi, tej gawiedzi ślepej, a w swej głupocie zapamiętałej. Niech karę jedyną za udział w tej abominacji *abominationum* będzie żałośliwe przyznanie się każdego uczestnika karnawału: o jakim był głupi i nikczemny...

Karnawały religijne bezceństwem szkarady swojej — i moralnej i zewnętrznej — od idei komunizmu odrzucały niejednego człowieka, który nawet wpierv jej sprzyjał.

Pewna panienska, już starsza, uczęszczająca na wykłady uniwersyteckie, może z musu uczestniczka w pochodzie antyreligijnym, prosi mnie, aby wszedł do konfesjonatu o godzinie wpół do piątej rano i jej Komunię św. udzielił punktualnie o piątej, kiedy jeszcze nikogo nie ma w kościele, bo ona boi się, że ją zauważą przy praktykach religijnych i wyrzucą ze szkoły. Dzieciom, zapisanym do tak zwanych pionierów (nasza jakoby kandydująca młodzież do skautów, zuchów), nakazują przy spotkaniach pozdrawiać się tymi słowy: *Boga niet* (Boga nie ma), na co spotykany ma odpowiedzieć: *I nie nada* (I nie trzeba). „Nie ma Boga” zamiast „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” i „Nie potrzeba” zamiast „Na wieki wieków...”. A pomimo to pewna dwunastoletnia dziewczynka, należąca właśnie do „Pionierów”, dowiedziawszy się w 1926 roku, że mam w kościele św. Mikołaja w Zielone Świątki udzielać Sakramentu Bierzmowania, zjawia się na plebanii z prośbą, bym się zgodził, że ona do tego sakramentu przystąpi przebrana za chłopca, gdyż boi się być spostrzeżona i cierpieć z tego powodu pewną nagonkę. Długo musiałem w biednym dziecku podniecać odwagę wiary, a że się zdecydowała i śmiało w sukience swej dziewczęcej przystąpiła do bierzmowania,

co z największą przyjemnością zauważyłem, choć szereg bierzmujących się był bardzo długi. Z ambony i w czasie kropienia wodą święconą wiernych zauważałem nieraz postać pewnego popa wysokiego wzrostu, o powłóczystej pięknej czarnej brodzie; wreszcie raz pewnego zjawił się on u mnie. I powiada: „Jestem zachwycony spokojnymi, czysto chrześcijańskimi naukami księdza proboszcza, a również — jak się wyraził — zdyscyplinowaniem wiernych w świątyni. Ksiądz nie ma pojęcia jak nasi duchowni prawosławni odbiegali w swoich kazaniach od tematów ściśle religijnych wciąż jedni nakręcają szowinizm ukraiński, dążąc do zukrainizowania i liturgii, a drudzy powariowali i prawią coś na tematy społeczne, jawnie kokietując i umizgając się do komunistów. Wierni oburzeni albo wychodzą z cerkwi, albo w czasie nabożeństwa wszczynają między sobą spory, niekiedy dochodzące do rękoczynów, a na ambony wąża i niewyświęceni, byli wychowankowie naszych szkół duchownych i wcale nie o Bogu, ale o swoich bardzo ziemskich prawią celach”. Nic też dziwnego, że sporo z szeregów schizmy, szczególnie z sfery wyższej rosyjskiej, Kościół katolicki pozyskiwał adeptów.

Gorzej się działo z nawracaniem Małorosjan, zwących się Ukraińcami; ich leaderzy wmawiali w nich, że wiara katolicka to wiara polska, pańska i że każdy szczerzy Ukrainiec koniecznie musi się trzymać wymyślonej, tak zwanej Autokefalii cerkwi ukraińskiej i kiedy przed rewolucją Małorusini przy każdym mieszanym małżeństwie, a i z przekonania, łatwo przechodzili na katolicyzm — to agitacja ukraińska wstrzymywała ten prozelityzm bardzo znacznie. Wśród bardzo licznych moich przywilejów jurysdykcyjnych, kiedy mogłem jako Administrator Apostolski diecezji upoważniać księży obrządku wschodniego do odprawiania liturgii naszej łacińskiej gwoli potrzeb zebranych na nabożeństwie łacinników, to nie miałem prawa pozwalać księżom naszym łacińskim na odprawianie Mszy św. w obrządku starosłowiańskim, a jestem pewien, że udzielanie takiego przywileju nawróciłoby na katolicyzm tłumy tych prawosławnych, co niezwykle cześć powzięli byli do Kościoła katolickiego i jego kapłanów, a od ukraińskiej cerkwi stronili najbardziej i swoimi duchownymi z głębi swych dusz gardzić poczęli. Opowiedzieć tu muszę i taki wypadek naiwny: nieśmiało bardzo zapukał do drzwi moich pewien też duchowny prawosławny. „Ja — powiada — z Połtawszczyzny jestem, w głuchej wsi od wielu lat pozostaję proboszczem. Mnóstwo teraz do rąk moich dochodzi niezrozumiałych dla mnie okólników: jedne mi zalecają patriarchat, inne żywą neosynodalną cerkiew, a jeszcze inne i bardzo gwałtowne, autokefalię ukraińską. Postanowiłem więc udać się do Kijowa, by się choć

trochę zorientować w tym dogmatyczno-kanonicznym chaosie, ale spotkawszy się tu z jednowiercami mymi widzę, że to niebezpiecznie tak odkrywać karty, bo jedni drugich nienawidzą i kto wie czy nie trzymają w gruncie z komunizmem? Więc myślę sobie — udam się do bezstronnego człowieka, do katolickiego księdza i oto przychodzę i proszę szczerze mi powiedzieć, gdzie jest *istinnoje prawosławije* (gdzie jest prawdziwa ortodoksja)”. Aż litość mnie tknęła nad tym biednym, pewno należącym do duszy Kościoła, człowiekiem i w formie więc najdelikatniejszej, ale otwartej mu mówię: „Batuszka drogi — toć te wszystkie prawosławia nie są prawdziwym prawosławiem — bo prawdziwy jedyny Kościół Boży, to katolicyzm, wcielony w Kościele Rzymskim i w zjednoczonych Kościołach obrządków wschodnich. W nich tylko znajdziecie, Wielebny Ojcze, *istinnoje prawosławije* (nieomylną ortodoksję)”. Westchnęło biedne popisko: „Tak, zapewne — powiada — zjednoczenie się nasze z Kościołem katolickim, to jedyny dla cerkwi naszej ratunek. Ale czy to mnie, wiejskiemu parochowi skromnemu, takiej wielkiej sprawy wypada się imać? To rzecz by była naszych archijerejów. Ale czy oni o tym teraz myślą?”. I pożegnał się strapiiony. Najserdeczniej uściśnięciem go jednak.

Kiedy w roku 1926, po moim ostatecznym aresztowaniu, byłem przewieziony do Moskwy i osadzony pod kluczem na osławionej Łubiance, to sędzia śledczy, jak mi się wydawało pewnie Litwin z pochodzenia, wręcz mi oświadczył: Z prawosławiem już myśmy się uporali, tylko strzępy pozostały z tej urzędowej religii. Ale wy, katolicy, jeszcze się przy swoim upieracie. Otóż zabraliśmy księdza z Ukrainy i tu przywieźliśmy, jako przestrogę dla tam jeszcze pozostających. Ale jeżeli i oni w swych zabobonach i tradycjach katolickich trwać zechcą, to wiedźcie, że my was i fizycznie wprost zniszczyć potrafimy”. Zapowiadana ta groźba spełniła się w styczniu 1930 roku, kiedy to wszystkich księży z Żytomierskiej i Kamienieckiej aresztowało G.P.U. i bez żadnych sądów skazało na terminy mniej więcej od 8 do 10 lat więzienia lub deportacji. Gdzieniegdzie tylko pozostawał jeszcze jakiś ksiądz niedołęga fizyczny, oczekujący śmierci i paru księży narodowości litewskiej, gdyż Litwa lizała łapę sowiecką i była u bolszewików w faworze. Paru biskupów, co delegat papieski biskup Derbigny był ich wykonsekrował, też nie oszczędzono. Pozostawał jeszcze tylko jeden w Moskwie przy kościele francuskim św. Ludwika, bp Nevce, Belg czy Francuz, też tylko ze względów dyplomatycznych ledwie tolerowany. Pani Anna Matyjewicz-Maciejewicz, co posłaną była z Kijowa do biskupa Nevce po konsekrowane Oleje św., za to że do niego chodziła, otrzy-

mała deportację do Kandalakszy za kołem arktycznym nad zatoką Morza Białego.

Kościół więc opustoszały, wierni bez sakramentów św. obchodzić się musieli, sami sobie chrzty i śluby dawali. Beżenność triumfowała. A jednak teraz, kiedy w roku 1942 za wojskiem niemieckim paru księżom udało się przeniknąć w granice diecezji Żytomierskiej, czy Kamienieckiej — wszędzie spotykali najżywszą wiarę i gorliwość chrześcijańską, nawet w upośledzonych pod względem religijnym szeregach schizmatyckich. I Stalin, jeżeli był szczery, musiałby z Juliuszem Apostatą zawołać: „Zwyciężyłeś Galilejczyku”.

(c.d.n.)

Ks. inf. Teofil SKALSKI

Henryk KANIK

Z DZIEJÓW HARCERSTWA POLSKIEGO

28 lat temu — 22 kwietnia 1950 r. na Rynku Głównym w Krakowie rozległy się strzały, które na chwilę poruszyły sparaliżowane już od dwóch lat stalinowskim terrorem miasto. Wieczorem dwóch młodych ludzi ostrzeliwało grupę milicjantów... Później długo w noc na jednym z przedmieść Krakowa słychać było pojedyncze strzały.

Wyjaśnienie i epilog tej sprawy miały miejsce przed Wojtkowym Rejonowym Sądem w Krakowie, gdzie w dniach od 12 od 15 czerwca jako oskarżeni stanęli: Marek Kubliński (18 lat), Adam Sirko (lat 20), Andrzej Brożek (lat 20), Tadeusz Czarnota (lat 21), Jan Kruszelnicki (lat 25) oraz inż. Jan Różycki i adwokat Jerzy Kubliński (lat 49). Akt oskarżenia zarzucał wyżej wymienionym studentom przynależność do nielegalnej organizacji, druk i rozpowszechnianie ulotek oraz próby rozbrojenia funkcjonariuszy MO przy pomocy noży i butelek amoniaku a także chęć utworzenia oddziału partyzanckiego. Ojcowie Marka Kublińskiego i nieżyjącego Bohdana Różyckiego odpowiadali przed sądem za nieodpowiednie wychowanie synów i niezawiadomienie władz bezpieczeństwa o prowadzonej przez nich działalności.

Do strzelaniny na Rynku Krakowskim doszło w czasie jednej z prób rozbrojenia milicjantów. Został wtedy ranny Marek Kubliński lecz osłaniany przez przyjaciela Bohdana Różyckiego (lat 18) zdołał zbiec i ukryć się. Sam Różycki bronił się przez kilka godzin mimo otoczenia go przez kilkadziesiąt żołnierzy (na pomoc milicji sprowadzono wojsko) a w końcu miał popełnić samobójstwo.

Trudno jest po latach określić ściśle charakter i cele tej

studenckiej organizacji. Według aktu oskarżenia miała mieć ona charakter hitlerowski, czego dowodem miał być egzemplarz „Mein Kampf” znaleziony w mieszkaniu rodziców B. Różyckiego! Należy jednak dodać o czym akt oskarżenia nie wspominał, że zarówno M. Kubliński jak i B. Różycki byli znanymi działaczami harcerskimi a ulubioną książką Bohdana były „Kamienie na szaniec” A. Kamińskiego.

Inżynier Różycki — ojciec Bohdana — był jednym z „cichociemnych” zrzuconym w r. 1944 do Polski. Na proces został doprowadzony z więzienia, gdzie odsiadywał długoletnią karę za przynależność do AK.

M. Kubliński w swych zeznaniach nie krył antysowieckiego i niepodległościowego charakteru swej organizacji, czego dowodem jest następujące zdanie wyjęte ze sprawozdania sądowego „Oskarżony Kubliński przyznaje się do zarzucanych mu czynów, cynicznie jednak stwierdza, iż ich nie żałuje, gdyż uważał je za swój obowiązek, który nałożyła mu obecna sytuacja Polski (*Dziennik Polski* z dn. 15.VI. 1950).

Ogłoszony w dniu 15 czerwca 1950 r. wyrok brzmiał: Marek Kubliński skazany na karę śmierci, przy czym Sąd nie uznał okoliczności łagodzących, gdyż „oskarżony ten jest jednostką tak zdegenerowaną i niebezpieczną dla istniejącego porządku prawnego, że zaistniała pewna podstawa do usunięcia go ze społeczeństwa. W konsekwencji Sąd uznał wymierzoną karę za jedynie właściwą, słuszną i sprawiedliwą represję karłą” (*Dziennik Polski* z dn. 17.VI.1950). Pozostali członkowie zostali skazani na kary od 7 do 10 lat więzienia, zaś inż. Różycki i mec. J. Kubliński na 2 lata więzienia za brak opieki nad synami i niezawiadomienie władz bezpieczeństwa o ich działalności. Kara śmierci na M. Kublińskim została wykonana jeszcze w roku 1950.

Niewątpliwie mamy tu do czynienia z przykładem „sądowego morderstwa” (sprawozdanie sądowe nie podaje składu trybunału, a prokurator ukrył się pod skrótem mgr Z.G.). Organizacja podziemnego harcerstwa oraz charakter procesu i wyokość wyroku nie były zjawiskiem odosobnionym w czasach stalinowskich. Niemniej sprawa M. Kublińskiego i towarzyszy stanowi jeden z najjaskrawszych przykładów panującego terroru. Piszący te słowa przypomina je dlatego aby wskazać, iż nawet morderstwo można uprawomocnić wyrokiem sądowym, a później określić je mianem okresu błędów i wypaczeń.

WSPOMNIENIA

Antoni MINKIEWICZ

„KONWENT POLONIA” 1828 - 1978

(W 150-tą ROCZNICĘ ZAŁOŻENIA W DORPACIE
PIERWSZEJ POLSKIEJ KORPORACJI AKADEMICKIEJ)

Opracowanie to zostało oparte na szczątkach materiałów archiwalnych Konwentu oraz na ocalałym fragmencie pracy zbiorowej nieżyjących dorpackich filistrów: — mec. Bohdana Wydzgi i dr. Michała Minkiewicza i filistrów wileńskich: Jana Niedziałkowskiego, Włodzimierza Cywińskiego i Eugeniusza Gulczyńskiego. Przygotowana do druku praca ta pod tytułem: „Konwent Polonia” — dzieje — ludzie — czyny” miała się ukazać 1 października 1939 roku, lecz zniszczona została w zawierusze wojennej.

W wyniku II-ej Wojny Inflanckiej między Batorym i Iwanem Groźnym, zakończonej w 1582 roku pokojem w Kiwerowej Horce, miasto Dorpat (estońskie Tartu) znalazło się w granicach Rzeczypospolitej. Już jednak w roku 1625 zdobywa je król szwedzki Gustaw Adolf, który w roku 1632 zakłada tam pierwszą na tych ziemiach wszechnicę pod nazwą *Universitas Gustaviana*.

Zmienne były losy tej sławnej później uczelni. Po przerwie w okresie „Potopu” wznawia ją w roku 1660 Karol XI-ty jako *Universitas Gustaviana-Carolina*. Niebawem jednak uniwersytet uchodzić musi do Parnawy przed wojskami Piotra Wielkiego i dopiero car Aleksander I-szy restytuuje uczelnię ponownie w Dorpacie w roku 1802 jako *Cesarea Universitas Dorpatiensis*.

Językiem wykładowym był niemiecki — w owych czasach język wykształconych warstw tego kraju.

Uniwersytet Dorpacki, ściągając licznych wybitnych profesorów, szybko zyskał sobie duży autorytet dzięki wysokiemu poziomowi naukowemu oraz pełnej autonomii akademickiej, podobnej do tej, jaką cieszyły się uczelnie tego typu w Niemczech i innych krajach Europy Zachodniej, autonomii tak odmiennej od atmosfery urzędniczo-policyjnego reżymu panującego podówczas w zakładach naukowych rosyjskich.

Dorpat, znany wśród sfer naukowych jako „Północne Ateny”, dzięki opiece rozsądnych bałtyckich rektorów, zdołał zachować swą odrębność nawet w czasach wzmożonego ucisku za cara Mikołaja I-go. Rusyfikacja tej zachodniej z ducha uczelni nastąpić miała, wraz z przemianowaniem Dorpatu na Jurjew, dopiero za Aleksandra III-go.

Polacy zaczęli napływać do Dorpatu już od roku 1824, na skutek represji jakie spadły na Uniwersytet Wileński w erze Nowosilcowa.

17-tu polskich studentów z Wilna¹, przeważnie byłych Filaratów, założyło w początkach 1826 roku w Dorpacie polski związek studencki, wkrótce zatwierdzony przez władze uniwersyteckie jako korporacja, która stać się miała prekursorem polskich stowarzyszeń akademickich typu korporacyjnego.

W Dorpacie obowiązywała podówczas zasada grupowania wszystkich studentów pochodzących z danej prowincji czy kraju w ściśle regionalnych korporacjach, czyli tzw. *Landsmannschaften*, używających nazw i barw heraldycznych swoich ziem.

Żołężyciele polskiej korporacji obrali dla niej nazwę „Polonia”, co było w tych warunkach bezsporne i logiczne. Gdy jednak niemiecko-bałtyckie korporacje w Dorpacie nosiły nazwy istotnie tylko swych prowincji, to nazwa korporacji polskiej, tak cenna dla nas, a tak drażniąca zaborców, miała inną wymowę, reprezentowała bowiem cały obszar i niewygasłą tradycję przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. To obowiązywało, ale w konsekwencji miało się stać jedną z przyczyn parokrotnych okresów

1. Według „Album Academicum” Uniwersytetu Dorpackiego z pomiędzy założycieli „Polonii” znane są nazwiska 15-tu Polaków, przeważnie wilnian, studiujących tam w latach 1824-1828. Byli to: Berends Jerzy, Borewicz Wilhelm, Chreptowicz Michał, Czyż Ignacy, Giedroyć Albin, Giedroyć Kazimierz, Kempieński Juliusz, Kurnatowski Henryk, Kurnatowski Tytus, Lipiński Stefan, Miłosz Eugeniusz, Molleson Aleksander (brat Jana „Rollisona” z „Dziadów”), Reczyński Marian, Szczytt Samuel (pierwszy Senior korporacji) i Ziegler Nestor.

przymusowej podziemnej egzystencji i ukrywania charakteru korporacji polskiej pod oficjalną maską „Koła Przyrodników”².

Na gruncie dorpackim „Polonia” zastała wówczas cztery korporacje niemiecko-bałtyckie. Najstarsza z nich „Curonia” (założona w 1808 roku) grupowała studentów ze szlachty kurlandzkiej o silnych jeszcze tradycjach Inflant Polskich. Ustosunkowała się ona od razu przychylnie do „Polonii”. Stawała potem zawsze w obronie jej słusznych praw i okazywała pomoc nie tylko w konfliktach z Niemcami ale i w chwilach zagrożenia jej bytu przez nadzorujących kuratorów carskich, nieraz ukrywając jej archiwa i insygnia.

Dwie dalsze korporacje, to „Livonia” wywodząca się z Liflandii i „Estonia”³ z Estlandii. Członkowie obu pochodzili przeważnie ze sfer tzw. „ostzejskich baronów”, które dostarczały wielu wysokich dygnitarzy wiernie służących Rosji. Wreszcie w czwartej — „Fraternitas Rigensis” przeważała bardziej liberalna młodzież niemiecka z warstw mieszczańsko-kupieckich.

Te trzy ostatnie korporacje, jakkolwiek nie ujawniały tak wrogiego stosunku do polskości jak ich rodacy z Prus, to jednak, zwłaszcza w początkach, odnosili się do „Polonii” nieufnie, jeśli nie wręcz niechętnie.

Wzorem *Corps’ów* i *Burschenschaft’ów* z uniwersytetów niemieckich korporacje dorpackie przyjęły też ich zwyczaje i tradycje. Do nich należały barwne czapki („dekle”), szarfy („bandy”), sztandary oraz nader skomplikowany „Comment” czyli zbiór praw regulujących styl postępowania burszą, ze szczególnym naciskiem na sprawę „obrony honoru” i „dawania satysfakcji” z bronią w rękę.

Filister⁴ Konwentu Polonia, Bohdan Wydźga, pisze w swoich wspomnieniach z Dorpatu: „... Owa formalistyka i obrzędowość pojedynkowa nie ograniczała się do załatwiania konfliktów i obraz osobistych lecz przenikała w psychikę niemieckiego świata burszowskiego... co doprowadzało do sfetyszowania ideału rycerskości...”. Powodowało to wypaczenie poczucia godności osobis-

2. Wprawdzie to osobliwe „Koło”, grupujące wyłącznie Polaków i to mających niewiele wspólnego ze studiami przyrodniczymi, budziło często podejrzenia u nadzorujących czynowników, jednak życzliwość rektorów potrafiła jakoś je uchronić.

3. Konwent Polonia przyczynił się w 1907 roku do zalegalizowania estońskiej korporacji „Fraternitas Estica”. Niemiecka korporacja „Estonia” — nie miała z nią nic wspólnego.

4. Wzorem innych korporacji, członkowie Konwentu dzielili się na: „Fuksów” czyli kandydatów, „Barwiarzy” — nieposiadających prawa głosu na posiedzeniach Konwentu, „Comilitonów” czyli pełnoprawnych członków czynnych i „Filistrów” — byłych członków czynnych.

tej i stwarzało nieraz groteskowe sytuacje w stosunkach między-studenckich.

Polacy, lekceważąc, tak swoiste dla burszów niemieckich, wymachiwanie rapierami z najbłahszych powodów, a głównie dla zdobycia szram na policzkach, poważniej traktowali, niekiedy nieuniknione, pojedynki. W razie obrazy przez szukających guza Niemców — wybierali pistolety. Wobec ówczesnej często prowokującej postawy większości Niemców, nowopowstała polska korporacja musiała sobie dosłownie wywalczyć nie tylko równouprawnienie i szacunek dla swej odrębności narodowej, ale z czasem uzyskała nawet przyznanie jej, przy załatwianiu spraw honorowych, zupełnie wyjątkowych przywilejów, przysługujących w innych korporacjach tylko filistrom⁵.

Krótki był żywot tej pierwszej polskiej korporacji, bo już po trzech latach istnienia wszyscy zdolni do noszenia broni jej członkowie (17-tu na ogólną liczbę 25-ciu) biorą udział w Powstaniu Listopadowym. Do Dorpatu powraca w 1832 roku tylko 5-ciu.

Wobec zagrożenia nie tylko skompromitowanych udziałem w Powstaniu, lecz nawet zachwianiem całej autonomii akademickiej wszechnicy dorpackiej, „Polonia” dobrowolnie rozwiązuje się formalnie w grudniu 1832 roku. Po dwóch latach ukrytej egzystencji odtwarza się ponownie w roku 1834, zmieniając tylko swą zasadniczą barwę amarantową — na białą⁶.

W związku ze spiskiem Konarskiego ośmiu członków „Polonii” zostało aresztowanych w roku 1839 i zesłanych w głąb Rosji.

Lata czterdzieste wypełnione są nie tylko walką z Niemcami o równouprawnienie lecz i wewnętrznymi rozłamami, które doprowadziły w roku 1843 do ponownego choć krótkotrwałego rozwiązania korporacji. Trwała jednak ciągłość personalna stowarzyszenia.

Po roku 1848 „Polonia” przyjmuje nazwę „Ogół”, od któ-

5. Szczególne nasilenie tych polsko-niemieckich pojedynków, w których padło 5-ciu Polaków i 7-miu Niemców, przypada na 40-te lata zeszłego wieku. Przyznany „Polonii” w 1851 roku przywilej tzw. „filisterskiej menzury” przewidywał jako broń pojedynkową wyłącznie pistolety.

6. Obrane w 1828 roku przez „Polonię” barwy korporacyjne: amarantowa, błękitna i biała, oznaczające Koronę, Litwę i Ruś, noszone były tylko przez trzy lata. W roku 1834 wszystkie czasowo rozwiązane korporacje dorpacskie, udając że nie są kontynuacją dawnych, przywdziały barwy odwrócone. Podobnie i „Polonia” przyjęła wtedy barwę białą, błękitną i amarantową. Nosiła je do roku 1843. Od tego czasu, aż do roku 1907, to jest do wznowienia pierwotnych barw z 1828 roku, „Polonia” żadnych odznak korporacyjnych na zewnątrz nie używała. Niekiedy noszone były tylko tzw. „konwentówki”, czyli granatowe czapki przypominające nieco francuskie „kepi”.

rego odłącza się w roku 1854 „Szczegół” złożony przeważnie z kresowców.

Połączenie obu tych odłamów, występujących zresztą na zewnątrz jednolicie, — nastąpiło w 1861 roku pod wspólną nazwą „Konwent Polonia”. Trwają jednak jeszcze różnice poglądów politycznych, a podział na „czerwonych” i „białych” znajduje swe odbicie i w Konwencie.

W roku 63-cim ustają spory. Członkowie czynni i filistrzy Konwentu gremialnie biorą udział w Powstaniu Styczniowym.

Straty w Powstaniu były ciężkie⁷, nie zachwiały jednak Konwentem, bo już po krótkiej przerwie zaczęły przybywać z kraju do Dorpatu wciąż nowe zastępy młodzieży. Stan liczebny i spójność Konwentu ponownie wzrastały.

Wydać się może dziwne, że w czasach despotyzmu carskiego, gdy każdy objaw ruchu polskiego był surowo tępiony, mogły pojawić się w prowincjach bałtyckich polskie stowarzyszenia studenckie, nie doznające prześladowań za używanie swego języka i stanowiące prawdziwe oazy polskości na obczyźnie. Przyczyny tego szukać trzeba w tradycyjnie uprzywilejowanej pozycji, jaką zajmowały te prowincje w ramach imperium rosyjskiego jeszcze od czasów Piotra Wielkiego. Toteż dopływ młodzieży i do „Polonii” w Dorpacie i do „Arkonii” powstałej w Rydze w roku 1879, był coraz liczniejszy. „Arkonia” zresztą, założona już po Powstaniu, a więc nie tak obciążona piętnem „polskich buntowuszczyków”, od początku cieszyła się większą swobodą i otwarciem nosiła swe barwy, podczas gdy „Polonia” jeszcze przez długie lata nie mogła ujawniać swego charakteru korporacyjnego. Jednak nawet w okresie jawnego istnienia „Polonii” jako korporacji, ogólnie studenckie formy burszowskie, panujące w Dorpacie, były dla niej zawsze tylko zewnętrzną powłoką kryjącą głębszą treść wychowawczą i patriotyczną.

W swym zarysie dziejów „Polonii” dorpackiej pisze filister Jan Niedziałkowski⁸: „... Alma Mater dawała naukę, Konwent — wychowanie koleżeńskie i społeczne, zastępując jednocześnie dom rodzinny w obcym środowisku... Polacy na ogół cieszyli się szacunkiem jako dobrzy uczniowie, zdobywcy pokaźnego procentu złotych medali i nagród za prace naukowe. Z nich profe-

7. Z liczby 84-ch czynnych członków i filistrów Konwentu, którzy wzięli udział w Powstaniu Styczniowym, — 7-miu poległo na polu walki, 2-ch zostało straconych, 7-miu skazanych na kary więzienia, 48-miu zesłanych na Sybir lub w głąb Rosji, z nich 2-ch zmarło na wygnaniu.

8. Filister Konwentu Jan Niedziałkowski, zmarły w Argentynie w 1952 roku był rodzonym bratem znanego działacza PPS Mieczysława Niedziałkowskiego, rozstrzelanego przez Niemców w Palmirach.

sorzy chętnie wybierali asystentów... Do lat 1895-1896 wszyscy Polacy skupiali się w „Polonii”, innych stowarzyszeń polskich w Dorpacie nie było. Minimalna była ilość tzw. „wilderów” (inaczej „dzikich”), czyli studentów nie należących do stowarzyszeń i chodzących samopas. Specyficzne ustawy korporacyjne (tzw. „Comment”) odnosiły się do niezrzeszonych niechętnie, stawiały ich niejako poza nawiasem studenckiego społeczeństwa... Konwent był dobrą szkołą życia, gdzie młody człowiek uczył się pozbywać egoizmu, poświęcać własne interesy dla dobra ogólnego, ćwiczył się w wystęпах publicznych przed surowym, bo koleżeńskim, audytorium i wyrabiał w sobie poczucie odpowiedzialności. Licznym wychowankom szkół rosyjskich bardzo się przydał duży nacisk na znajomość literatury i historii polskiej. Bez egzaminu z tych przedmiotów młody 'fuks' (kandydat) nie mógł otrzymać 'barw' i prawa głosu...”.

Studia w Dorpacie weszły w niektórych rodzinach do tradycji. Studiowali tam ojcowie i synowie, a nieraz po kilku braci razem⁹.

Niemiała była też rozpiętość warstw społecznych jak również rozległość miejsc pochodzenia członków Konwentu z ziem dawnej Rzeczypospolitej. Już ta różnorodność środowisk przeczy zarzutom, że o doborze kandydatów do Konwentu miały rzekomo decydować kryteria snobizmu i zamożności.

Na ławach uniwersyteckich nieraz kolegowali w Konwencie komilitoni o biegunowo przeciwnych poglądach, a wychowankami tego, konserwatywnego z pozoru, Konwentu — było kilku wybitnych działaczy lewicowych¹⁰.

Za czasów dorpaczkich Konwent niejednokrotnie dawał dowody swych liberalnych przekonań i dużej tolerancji. Stojąc na stanowisku, że nie ma prawa krępować poglądów swych członków, Konwent zdecydowanie odmówił podpisywania, wymaganych

9. Jeśli wymienić tylko te nazwiska, które występowały w różnych czasach, w ilości co najmniej czterech, było: 10-ciu Kurnatowskich (z Litwy), 8-miu Giedroyciów, po 7-miu: Platerów i Paszkiewiczów, po 6-ciu: Koziół-Poklewskich, Mackiewiczów, Manteufflów, po 5-ciu: Beniślawskich, Hłasków, Huszczów, Jastrzębskich, Węclawowiczów, po 4-ch: Billewiczów, Czapskich, Cumftów, Epsteinów, Giżyckich, Jeleńskich, Kiersnowskich, Kobylińskich, Komorowskich, Kościółkowskich, Kunciewiczów, Natansonów, Rontalerów, Szachnów i wreszcie 4-ch braci Szaszkiewiczów.

10. Skrajny konserwatysta Hipolit Korwin-Milewski obok działacza PPS Bronisława Kułakowskiego lub radykała Stanisława Thugutta; późniejszy doktor teologii ksiądz Kazimierz Skirmunt obok masona wysokiego stopnia prof. Rafała Radziwiłłowicza lub prof. Aleksandra Baudouin de Courtenay, założyciela polskiej gminy bezwyznaniowej; piewca życia ziemiańskiego — Józef Weyssenhof obok redaktora *Myśli Niepodległej* Andrzeja Niemojowskiego. Takich kontrastów można by wyliczyć więcej.

przez rektora od studentów, deklaracji o nienależeniu do tzw. ówczesnie „socjalistyczno-nihilistycznych” zrzeszeń. Mimo że rektor ostrzegał przed konsekwencjami grożącymi nawet rozwiązaniem Konwentu, odmowna decyzja nie została zmieniona. Sprawa ta nie nabrała większego rozgłosu i została zatuszowana tylko dzięki pomocy paru przyjaznych profesorów. Konwent potępił też stanowczo akcję burszów niemieckich współdziałających z władzami rosyjskimi w tłumieniu łotewskich rozruchów rewolucyjnych w latach 1905-1906.

Mało znaną jest rola jaką odegrał Konwent w utrwaleniu polskości wśród niemieckiego z pochodzenia kleru protestanckiego na ziemiach polskich w zaborze rosyjskim. Uniwersytet Dorpacki był jedyną wyższą uczelnią na terenie imperium rosyjskiego gdzie istniał wydział teologii protestanckiej. Zgodnie z zasadą terytorialną wszyscy studiujący w Dorpacie kandydaci na pastorów, pochodzący z ziem polskich, byli zaliczani do grupy polskiej, a więc musieli należeć i do Konwentu¹¹. Konwent potrafił wzbudzić w nich i ugruntować poczucie przynależności do polskości, a często i gorący patriotyzm. Szereg z nich przypłacił swą wierność Polsce w czasie ostatniej wojny śmiercią męczeńską lub obozem koncentracyjnym¹².

Atrakcyjna była atmosfera Dorpatu nie tylko dzięki niespotykanej gdzie indziej autonomii akademickiej (uniwersytet miał nawet swoją policję, której władza rozciągała się na całe miasto) ale również zupełnie wyjątkowemu jak na owe czasy zrozumieniu dla sportu. Jak pisze filister Bohdan Szachno w swych wspomnieniach ze studiów w Dorpacie (1887-1892): „... Stara Wszechnica miała sławę Małego Oxfordu... Na wzór uczelni angielskich do dyspozycji braci akademickiej były ułatwienia we wszelkich gałęziach sportu... Uniwersytet miał maneż (ujeżdżalnię), pływalnię, tenis, strzelnicę i ślizgawkę... W uniwersyteckiej ujeżdżalni całe generacje Polonusów przechodziły przeszkolenie hippiczne...”.

Choć „zamaskowany”, Konwent nadal przyciągał nowych

11. Podobnie Polacy urodzeni na Inflantach początkowo musieli być członkami „Curonii”. Na jubileuszu „Curonii” składali życzenia w imieniu „Polonii”: Weyssenhof, Schoenreich i Schmidt, a dziękował im prezes „Curonii” — Dabrowski.

12. Za odmowę przyznania się do niemieckości zginęli po torturach z rąk Gestapo biskupi ewangelicy Filistrzy Konwentu bracia Edmund i Juliusz Bursche, a Filister Konwentu biskup Zygmunt Michelis (zmarły 2 grudnia 1977 roku, jeden z ostatnich dorpatczyków) więziony był w obozach Sachsenhausen i Oranienburg. Z rąk sowieckich zginął w Katyniu ewangelicki Biskup Polowy Wojsk Polskich, Filister Konwentu pułkownik Ryszard Paszke.

kandydatów, to jednak niewyraźna sytuacja stowarzyszenia polskiego pozbawionego zewnętrznych cech korporacji — nie była wygodna. Część członków poczęła więc myśleć o przeobrażeniu się w legalną korporację. Pierwsze próby „ubarwienia” Konwentu, podjęte w roku 1903, spotkały się jednak z niechętnym stanowiskiem większości filistrów, którzy obawiali się, że nawrót do zewnętrznych form burszowskich mógłby osłabić polskiego ducha w stowarzyszeniu i odbić się na jego odrębnym charakterze. Stopniowo jednak coraz większa ilość członków domagała się zmiany chwiejnej struktury stowarzyszenia. Chcąc skończyć nareszcie z pokrywkowym „Kołem Przyrodników”, starszyzna Konwentu, po przełamaniu awersji przeciwników odznak zewnętrznych, skorzystała z ogólnego zelżenia ucisku władz i w roku 1906 złożyła podanie do Senatu Uniwersyteckiego o zatwierdzenie korporacji polskiej pod nazwą „Polonia”. Pozytywna odpowiedź nadeszła w dniu 17 marca 1907 roku i, w dniu rocznicy Konstytucji, Konwent wystąpił 3 maja 1907 roku już jawnie, ze sztandarem i w swych tradycyjnych barwach z 1828 roku¹³.

W okresie stopniowej rusyfikacji Uniwersytetu Dorpackiego zaczął się coraz większy napływ studentów z uniwersytetów rosyjskich. Pośród licznych Rosjan i Żydów byli i Polacy. Część z nich miała słabe poczucie przynależności narodowej, a niektórych cechowała niechęć do wszelkich tradycji. Zaczęły się tworzyć w Dorpacie niezbyt liczne i na ogół słabe, a często skłócone ze sobą stowarzyszenia polskie. Konwent starał się utrzymywać z nimi stosunki poprawne i solidarnie występować w ogólnopolskich sprawach. Udostępniał im także korzystanie ze swej biblioteki.

Wybuch Pierwszej Wojny Światowej początkowo nie wpłynął na normalny bieg życia „Polonii”. Spośród jej członków powołano do wojska na razie tylko ukończonych medyków i nielicznych oficerów rezerwy. Z czasem ilość powołanych do wojska wzrastała, a z nią straty wojenne.

W roku 1916 władze zakazały publicznego noszenia barw korporacyjnych w Dorpacie. Zarządzenie to, skierowane zasadniczo przeciw Niemcom, objęło jednak i „Polonię”, a także estońską „Fraternitas Estica” i łotewską „Lettonię”.

Gdy w lutym 1918 roku wojska niemieckie zajęły Dorpat powstała myśl przeniesienia Konwentu do Warszawy. Przez

13. Dzień Konstytucji 3 Maja stał się tradycyjnym świętem Konwentu. Pieśń „Cześć polskiej ziemi cześć...” jego hymnem. Symbolem — „Jedność większa od dwóch”. Hasłem — „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”.

cały rok 1918 trwały rozmowy na ten temat. Ostatecznie jednak, w roku 1919, po zdobyciu Wilna przez wojska polskie i wskrzeszeniu Uniwersytetu Stefana Batorego przez Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego, liczne grono zamieszkałych w Wilnie i na ziemiach wschodnich filistrów dorpaczkich, po przewycięzeniu pewnych oporów ze strony Warszawy, uchwaliło, że nową siedzibą Konwentu będzie Wilno.

Konwent miał więc wrócić do gniazda skąd wyszli przed 90-ciu laty jego dorpaccy założyciele.

Wielki wpływ na wybór Wilna miała oczywiście tradycja filarecka, ale również i to, że ze wszystkich miast uniwersyteckich Rzeczypospolitej, Wilno najbardziej przypominało Dorpat, gdzie studenteria nie była wciągana w gorączkowe tempo życia wielkomiejskiego, a wszystko się skupiało wokół dominującego ośrodka jakim był uniwersytet.

„Polonia” zorganizowała się w grudniu 1919 roku przy Wszechnicy Batorowej, przyjmując nowych członków dobranych przez filistrów dorpaczkich.

Już na wiosnę i w ciągu lata 1920 roku wszyscy bez wyjątku członkowie czynni i wielu filistrów Konwentu znaleźli się w Wojsku Polskim. Siedmiu z nich poległo na polu walki.

Po krótkiej okupacji sowieckiej i wyzwoleniu Wilna, Konwent wznawia swą działalność w końcu października 1920 roku i łatwo aklimatyzuje się w mieście, z którym łączyła go tradycja. Wkrótce zdobywa sobie też sympatię i uznanie społeczeństwa. Jednak wśród studenterii wileńskiej formy korporacyjne stanowiły zupełne *novum* i były raczej niepopularne. Nie pojmowano potrzeby kontynuowania po powrocie do kraju zwartych organizacji akademickich, zrozumiałych w obcych środowiskach. Podobnie było i na innych wyższych uczelniach polskich. Nastawienie większości niezrzeszonych studentów do korporacji było początkowo nieufne lub ironiczne, a u przekonanych lewicowców wręcz wrogie. Pomimo to, gdy najstarsze polskie korporacje¹⁴ zaczęły się odtwarzać po powrocie do kraju, znalazły one szybko licznych naśladowców. Przy wszystkich wyższych uczelniach powstała duża ilość nowych korporacji. Liczba ich stale i szybko wzrastała, lecz nie zawsze szła w parze z jakością¹⁵.

Jest rzeczą ciekawą co było przyczyną tego spontanicznego wzrostu stowarzyszeń opartych na zasadach pewnej hierarchii i

14. Oprócz odtworzonej w Wilnie „Polonii” z Dorpatu, przybyły z Rygi do Warszawy „Arkonii” i „Welecja”, a z Wiednia „Jagiellonia”. Powstała w Warszawie „Sarmacja” nawiązała swą tradycję do założonej w 1908 roku w Petersburgu korporacji o tej samej nazwie.

15. Ilość tych nowych korporacji doszła w roku 1928 do liczby 73-ch!

dyscypliny, wśród młodzieży polskiej skłonnej raczej do wybujałego indywidualizmu i nieskrępowanej swobody. Trzeba dodać, że stare korporacje bynajmniej propagandy tego ruchu nie uprawiały. Można więc sądzić, że oprócz zewnętrznych cech „burzowskich” — barw, herbów i obrzędów, — wyróżniających korporacje z całej masy studenckiej, pociągały młodzież także i zasady solidarności i ściślejszego koleżeństwa.

Złe skutki nadmiernego rozmnożenia się nowych korporacji nie dały na siebie czekać. W atmosferze ścierania się poglądów w odrodzonym państwie, niektóre, zresztą nieliczne, z tych nowopowstałych korporacji, przybierały skrajne oblicze polityczne i ulegały degeneracji, a członkowie ich dopuszczali się nieodpowiedzialnych wybryków. Wprawdzie ekscesy takie bywały często dziełem nawet nieakademickich grup młodzieży, samozwańczo używających odznak podobnych do korporacyjnych. Doszło do tego, że u szerokiego odłamu społeczeństwa, szczególnie liberalnopostępowej jego części, sama nazwa „korporant” uchodziła niemal za symbol aroganckiego, „faszyzującego” awanturnika. Znalazło to również dość szerokie odbicie w kampanii prasowej, a szablon ten tak się zakorzenił, że te dawne grzechy rozwydrzonej garstki zdają się i nadal rzucać pewien cień na pamięć zasłużonych stowarzyszeń typu korporacyjnego zakładanych na obczyźnie z celem obrony młodzieży polskiej przed wynarodowieniem.

Utrzymanie tradycyjnie apolitycznej linii Konwentu było trudne wobec ogólnej fali rozpolitykowania, która od początku odzyskania niepodległości ogarnęła wszystkie wyższe uczelnie polskie. Fali tej nie oparł się i ruch korporacyjny, z małym wyjątkiem starych korporacji o wyrobionych tradycjach. Na skutek nieogłędności twórców, powstałego w 1922 roku Związku Polskich Korporacji Akademickich (Z.P.K.A.), statut jego zrównał w prawach owe stare doświadczone korporacje z młodszymi, słabymi liczebnie, z których wiele stawało się po prostu ekspozyturami stronnictw politycznych na terenie uczelni. Nie mając możliwości brania udziału w pracach Związku, poza dorocznymi zjazdami, Konwent nie miał bezpośredniego wpływu na kształtowanie się stosunków i nie mógł przeciwdziałać złemu swą powagą, musiał zaś ponosić część odpowiedzialności za niski stan polskiego ruchu korporacyjnego. Taka sytuacja była trudna do zniesienia. Wobec coraz bardziej wyraźnego oblicza politycznego Z.P.K.A. i lekceważenia głosów starych stowarzyszeń, w roku 1932 Konwent Polonia usunął się od dalszej z nim współpracy.

Na gruncie Wszechnicy Wileńskiej, gdzie Konwent stanowił w pierwszych latach po wojnie najbardziej zwartą organizację,

zaczął on z biegiem czasu zdobywać sobie uznanie. Brał czynny udział w życiu akademickim, a jego delegaci zasiadali w Zarządzie Bratniej Pomocy i Radzie Młodzieży Akademickiej.

Pod wpływem uniesienia patriotycznego, w roku 1921, została zawarta, jak się okazało zbyt pochopnie, unifikacja „Polonii” wileńskiej z korporacją o takiej samej nazwie, powstałą w 1920 roku w Poznaniu. Unifikacja ta nie utrzymała się na skutek znacznych różnic stylu życia i zwyczajów (np. przyjmowanie przez poznańców tzw. „Filiistrów honorowych” i to spoza świata naukowego, czego Konwent nigdy nie robił i nie mógł tolerować). W roku 1924 unifikacja została anulowana, a „Polonia” poznańska zgodziła się odtąd zmienić nazwę na „Magna Polonia”.

W tym czasie wiele wysiłków pochłaniały starania o sprowadzenie z Dorpatu cennego mienia Konwentu, a zwłaszcza jego zasobnej biblioteki. Mienie to, oficjalnie określone jako „przedstawiające ogromną wartość kulturalną i historyczną”, znajdowało się czasowo pod opieką Konsulatu Polskiego w Estonii. Zostało ono przewiezione do Wilna, przy wydatnej pomocy dorpatczyka, wypróbowanego przyjaciela Konwentu (choć doń nie należącego), Władysława Raczkiewicza, przyszłego Prezydenta R.P., oraz dzięki nieustrudzonym wysiłkom filistra Konwentu, Leona Malhomme, z Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Piękne uroczystości jubileuszowe Konwentu, szczególnie jego 100-lecie w roku 1928, obchodzono hucznie przy masowym udziale filistrów z całego świata, wieloosobowych delegacji starych korporacji, mających „kartele”¹⁶ z Konwentem, oraz licznych reprezentantów wszystkich związkowych korporacji.

Na posiedzeniu Konwentu w dniu 30 stycznia 1931 roku przyjęto poniższy tekst jako półoficjalną interpretację Praw i Uzusów Konwentu:

O STUKTURZE KONWENTU ważniejszych słów kilka

Konwent jest Rodziną najściślej węzłami braterstwa i przyjaźni zespoloną, kto raz doń wejdzie, na zawsze w nim pozostaje.

Istotą struktury Konwentu jest hierarchia, wzajemne zależności, posłuch i rozkaz. Cztery są szczeble nieuchronne, które przejść każdy w Konwencie powinien: Fuksa, Barwiarza, Comilitona i Filistra.

Fuksem jest ten, kto pragnąc do Konwentu należeć, na próbę przyjęty

16. „Kartele”, czyli pakt przyjaźni, wiązały Konwent Polonia z najstarszymi korporacjami — „Arkonią”, „Welecją” i „Jagiellonią”.

zostaje. Omal praw żadnych nie posiadając, liczne ma obowiązki, wynikające z konieczności posłuchu i uległości rozkazom starszych. Tą wypróbowaną drogą najłatwiej dochodzi do przyswojenia właściwego o Konwencie pojęcia i zaznajamia się z grubsza z istotą Konwentu.

Barwiarzem zostaje, kto próbę fuksovania przetrwał *cum laude* i godzien jest osiągnąć dalsze uświadomienie. Od tej dopiero chwili kandydat staje się na zewnątrz istotnym członkiem Konwentu przez zaszczyt barw.

Comilitonem zostaje ten, kto Konwentem umieć będzie kierować bądź drogą sprawowanego urzędu, bądź drogą czynnego głosu. Ten jest dopiero pełnoprawnym członkiem Konwentu.

Gdy konwentowicz z Akademii w życie wchodzi — zostaje Filistrem i stopień ten do końca życia zachowuje, pomnając, by pamięć o Konwencie okazywać i do Kół Filistrów należeć.

Rządzi się Konwent ideą republikańską, członkowie Konwentu pełnią prawa posiadający, mają przyrodzone prawo stanowienia o jego losie drogą rozważań i decyzji na Konwentach obradujących, które są omnipotentne w granicach praw swoich.

Wolę Konwentu w życie wciela Praesidium oraz autonomią obdarzeni urzędnicy.

Pieczę nad wychowaniem pokoleń fuksovskich i barwiarzy, razem *coetus* stanowiących, posiada Olderman obdarzony dyskrecyjną nad nim władzą. Jest on stróżem praw Konwentu.

Odchylenia od praw i zwyczajów życia konwentowego reguluje Stały Sąd Konwentowy drogą rozpraw jawnych i wyroków.

Instytucją wnikającą w najtajniejsze sprawy życia konwentowiczów, stojącą na straży etyki i honoru jest Stały Sąd Honorowy, wykonywujący swe zadanie drogą wyroków bezapelacyjnych na tajnych posiedzeniach.

Życie w Konwencie ujęte jest w zwarte ramy form zewnętrznych, które opierając się na tradycji, mają podłoże głębszego znaczenia.

Konwent, grupujący ludzi różnych wyznań i przekonań, nie supremuje żadnej idei i przeciwstawia się uprzywilejowaniu którejkolwiek z nich kosztem innych.

3 warunki przyjęcia: Polska narodowość, akademickie studia w Wilnie, gotowość bronięcia honoru orężnie.

4 warunki pozostania: Prawość, Przyjaźń, Rzetelność w posłuszeństwie prawom i uzusom, Dochowanie tajemnicy spraw Konwentu.

3 warunki owocnej bytności: Miłość Konwentu, Ofiarność, Rozkrzewianie użytecznych opinii.

3 założenia przyszłości: Cnota obywatelska, Zaradność, Radość życia.

Z wybuchem wojny w dniu 1 września 1939 roku, podobnie jak w poprzednich orężnych zrywach narodu, znaczny był udział członków Konwentu w walkach na wszystkich frontach i w akcjach podziemnych, zwłaszcza na ziemiach wschodnich.

Po klęsce wrześniowej, na zebraniu członków czynnych i filistrów odbytym w Wilnie, już pod okupacją, w dniu 11 listopada 1939 roku, powzięto uchwałę że „Wszyscy członkowie

Konwentu Polonia mają obowiązek włączyć się do pracy konspiracyjnej w walce o wolność i niepodległość Polski”.

Lista strat filistrów i członków czynnych Konwentu obejmuje 67 nazwisk, z czego: poległych i zmarłych z ran — 14-tu, zamordowanych w Katyniu i innych miejscach kaźni w Sowietach — 20-tu, zamordowanych w obozach niemieckich — 15-tu, zaginionych i zmarłych na zsyłkach w Sowietach — 15-tu, wreszcie zamordowanych w kraju przez „organa bezpieczeństwa” — 3-ch.

Ku czci zmarłych, poległych i zamordowanych członków Konwentu zostały odsłonięte tablice pamiątkowe: dnia 9 listopada 1968 roku w Warszawie w kościele św. Marcina na Starym Mieście i 3 maja 1971 roku w Londynie w kościele św. Andrzeja Boboli. Ocalałe z zagłady skromne pamiątki Konwentu Polonia przechowywane są w gablocie w Sali Generała Andersa w Instytucie Polskim i Muzeum im. Generała Sikorskiego w Londynie.

Hasła Filomatów i Filaretów „Honor, Ojczyzna i Cnota”, na przestrzeni długich lat Konwent starał się wcielać w życie, wpajał zasady szczerego koleżeństwa niezależnie od różnic społecznych, poszanowania dla cudzych przekonań i autorytetu starszych. Jednocześnie umacniał patriotyzm, poczucie honoru, wyrabiał odwagę, solidarność i przywiązanie do tradycji. Że wysiłki te nie poszły na marne świadczyć może „Album Polonorum”¹⁷, który zawiera pełny spis imienny tych, którzy przeszli przez Konwent. Spomiędzy wymienionych tam 1517-tu nazwisk (z czego 1300 samych dorpatczyków), bardzo wielu odegrało wybitną rolę w naszym społeczeństwie¹⁸.

17. „Album Polonorum”, które udało się uratować z zagłady pamiątek konwentowych w Wilnie, zawiera pełny spis imienny i krótkie dane biograficzne członków Konwentu Polonia od jego założenia w Dorpacie do 1939 r.

18. Można tu podać zaledwie małą część nazwisk wybitnych wychowanków Konwentu: Głośniejsi uczestnicy Powstania Styczniowego jak Tytus Chałubiński, Edward Jurgens, Lubomir Gadon, Ignacy Baranowski, Aleksander Jabłonowski, wreszcie nestor socjalizmu polskiego Bolesław Limanowski. Następnie Rektorzy Uniwersytetów: Wileńskiego — profesorowie Marian Zdziechowski i Józef Ziemacki, Lwowskiego — profesor Józef Siemiradzki, Krakowskiego — prof. dr Bronisław Kader, Kuratorowie Konwentu z ramienia Uniwersytetu Stefana Batorego — profesorowie Stanisław Trzebiński i Bronisław Wróblewski. Dalej profesorowie Stanisław Janikowski, Wincenty Lutosławski, Walerian Klecki i Karol Klecki. Biskupi protestanccy: Edmund Bursche, Juliusz Bursche, Zygmunt Michelis, Superintendent Kościoła Ewangelickiego ks. Michał Jastrzębski, Ewangelicki Biskup Polowy Wojsk Polskich płk. Ryszard Paszke. Wojewoda Warszawski Władysław Sołtan. Dyplomaci: Xawery Orłowski i Leon Malhomme. Lekarze: Generał dr Stanisław Gurski, dr Hipolit Jundziłł, płk dr Józef Mantuffel, dr Henryk Nussbaum, oraz prezes Stowarzyszenia Filistrów w Warszawie dr Xawery Watraszewski i prezes Wileńskiego Koła Filistrów hr. Jerzy Czapski.

Z KSIĘGI PRAW KONWENTU

TEKST PRZYSIĘGI

„WZNIEŚCIE NARODOWOŚĆ, ROZKRZEWIAJCIE UŻYTECZNE OPINIE, UTRZYMUJCIE DUCHA, ZAGRZEWAJCIE SWYCH WSPÓŁBRACI I UTWIERDZAJCIE ICH STAŁOŚĆ W SPRAWIE OJCZYZNY, BRONCIE KONWENTU ZAWSZE I SŁAWY NARODOWEJ, A NADE WSZYSTKO UMIEJCIE BYĆ MĘŻNYMI I NIE ZWAŻAJCIE NA ŻADNE NIEBEZPIECZEŃSTWA ABYŚCIE Z CZASEM MOGLI OSIĄGNĄĆ NAJWYŻSZĄ CNOTĘ DOBROWOLNEGO POŚWIĘCENIA SIĘ DLA POMYŚLNOŚCI NASZEGO KRAJU.

SPLEĆMY WĘZEŁ JEDNOŚCI I MOCY, PODAJĄC SOBIE BRATERSKIE DŁONIE NA ZNAK WZAJEMNEGO ZARĘCZENIA ŻE, JEŻELI NIE BĘDZIEMY MOGLI POSTAWIĆ TEGO KONWENTU W CAŁEJ JEGO ŚWIETNOŚCI, TO PRZYNAJMNIEJ UPAŚĆ MU NIE DOPUŚCIMY.

RAZEM WSZYSCY PRZYSIĘGAMY. DŁONIE KTÓRE WAS TERAZ ŚCISKAJĄ, BRONIĆ WAS NIE PRZESTANĄ GDZIEKOLWIEK ZNAJDOWAĆ SIĘ BĘDZIECIE”.

Wyciąg z uchwały Konwentu Polonia,
Dorpat, dnia 5 lutego 1913 roku, według
wniosku Filistra Aleksandra Wasilew-
skiego.

Antoni MINKIEWICZ

Józef MACKIEWICZ

DO ZESZYTU NR 45

Nieraz już zwracałem uwagę — bez intencji komplementu pod adresem redakcji — iż *Zeszyty Historyczne* są dziś najciekawszym czasopismem polskim na globie. Tzn. w dosłownym znaczeniu. Gdyż wszelkie publikacje drukowane w PRL, ze względu na komunistyczną cenzurę, nie mogą być brane pod uwagę. A innej tego rodzaju na emigracji nie mamy. Jeżeli chodzi o przedstawienie faktów historycznych najważniejsza jest autentyczność wypowiedzi. Niezależnie od subiektywnych poglądów autora, słuszności lub nie, prawdy lub nie, tej czy innej tendencji tych, którzy byli świadkami lub mają coś do powiedzenia. Bo to też należy do historii. Jej naświetlanie i tłumaczenia. Dlatego czytam każdy *Zeszyt Historyczny* — abstrahując od własnego stanowiska do poruszanych tematów — z największym zainteresowaniem, prawie nigdy nie natrafiając na coś nie wartego przeczytania.

Z natury rzeczy *Zeszyty* stanowią największe dziś źródło informacji o faktach historycznych z naszych, minionych już lat, a więc i źródło dla przyszłych badaczy. Ponieważ, jak się rzekło, pisane są przeważnie przez tzw. „świadków historii”, a więc z nieuniknionym, po ludzku, subiektywizmem, przeto niemniej cenne wydają mi się wszelkie zamieszczane w *Zeszytach* polemiki, prostowania faktów, wyjaśnienia etc., które w jakimś stopniu przyczynić się mogą do zbliżenia ku obiektywnej prawdzie historycznej. Chociażby chodziło tylko o skorygowanie drugorzędnych szczegółów, które jednak skorygowane być powinny.

W nadziei, że Redakcja nie weźmie mi za złe tego przydługiego wstępu, chciałbym poniżej zabrać głos na temat zamieszczonych w *Zeszytach* Nr 45 publikacji o których, wydaje mi się, że miałbym coś do powiedzenia.

Relacja Katyńska

Na pierwszym miejscu zamieszczona jest: „Nieznana Relacja o Grobach Katyńskich”, pióra Gracjana Jaworowskiego. Twierdzi on, że brał udział w, jak nazywa: „drugiej polskiej Komisji Katyńskiej” w początkach maja 1943 roku. I że w samolocie do Smoleńska znaleźli się też dziennikarze z państw sprzymierzonych z Rzeszą, a m.in. jeden Bułgar. Ja byłem w Katyniu tegoż maja, ale w końcu miesiąca. A więc nie w tym zespole. Było z nami trzech dziennikarzy zagranicznych z państw neutralnych: Portugalii, Szwecji i Hiszpanii. Ponadto leciała grupa Polaków ze sfer robotniczych Warszawy. Przyznam jednak, że ani przedtem, ani potem, nie słyszałem o jakowejś „polskiej Komisji Katyńskiej”, pierwszej czy drugiej. Nie natrafiłem też na taką w materiałach udostępnionych mi w Rzymie w roku 1945, gdy opracowywałem książkę o zbrodni katyńskiej. Wiadomo, że podczas prac ekshumacyjnych pobywało w Katyniu wielu Polaków, m.in. Ferdynand Goetel etc., etc. Z nazwą jednak: „Komisji polskiej” nie zetknętem się nigdy. Jeżeli nie rozumieć pod nią stałej ekipy P.C.K., która pod kierownictwem dr. Wodzińskiego prowadziła na miejscu prace ekshumacyjne. Ale, najwyraźniej, Jaworowski nie ją ma na myśli.

Jego relacja, poza drobnymi nieścisłościami, jest na ogół zgodna z prawdą, znaną już zresztą i potwierdzaną w licznych publikacjach późniejszych. Niewątpliwie Jaworowski tam był, i wiele z opisywanych szczegółów musiał widzieć na własne oczy. Tym bardziej zdumiewa ustęp na str. 4, który obeznanemu z procedurą ekshumacji wydać się musi wręcz nonsensowny. Brzmi on:

„Prace ekshumacyjne prowadził dr Wodziński, skądinąd wyraźny narkoman. Towarzyszyło mu dwóch pomocników — prosektorów, człowiek starszy i młody. Obaj zachowywali się nieciekawie, grabili zwłoki, m.in. oddzielali nawet zębówki z butów pomordowanych...”.

Pomijam pierwsze zdanie, że dr Wodziński był „wyraźnym narkomanem”. Ani ja tego nie zauważyłem, ani nie słyszałem o tym od innych. Ale rzecz błaha. Natomiast: „grabienie zwłok” przez jego asystentów, czego przykładową ilustracją ma służyć, że „oddzielali zębówki z butów pomordowanych”... w znacznym stopniu podważa wartość relacji, i to w jej najistotniejszym punkcie. Mianowicie stanu i sposobu przeszukiwania (rewidowania) zwłok.

Procedura była taka: między otwartymi już grobami postawiony był duży stół. Na ten stół kładziono zwłoki wydobyte, a czasem wprost wydarte ze sklejonej masy trupów w grobach. (Tu słusznie zauważa Jaworowski, że: „przy wyjmowaniu z dołów często urywały się ręce lub głowa... często były już zmienione w cuchnącą mazię!”). Po czym następowało dokładne przeszukiwanie. Specjalnymi nożami rozcinano kieszenie mundurów wy-

dobytą z nich wszelką zawartość; następnie przycinano nożami cholewy butów, oraz oddzierano zelówki. W stanie bowiem kompletnego sklejenia trupa mazią, nie mogło być mowy ani o rozpinaniu guzików kieszeni, ani o ściągnięciu butów. A właśnie w butach znajdowano czasem ważne przedmioty... Jak np. zasunięte w cholewy gazety; a w oderwanych zelówkach np. wkładki porobione z tych gazet. Zaś daty gazet (wszystkie wiosną 1940) były pośrednim, ale niezbitym dowodem sowieckiej winy zbrodni. Gazet było dużo. I ani jednej z datą późniejszą niż maj 1940... Sowiety oceniły wagę tego naocznego dowodu. Dlatego wykoncypowały wersję, że Niemcy zanim rozgłosili wiadomość i przystąpili do ekshumacji trupów, rzekomo zrewidowali je dokładnie usuwając z kieszeni pomordowanych listy i gazety z późniejszą datą, a wsadzając im w kieszenie inne, z wcześniejszą datą. Otóż kto widział stan trupów i sklejenia ich odzieży, może dopiero zaświadczyć, że taka procedura byłaby fizycznie niewykonalna, tym samym urzędowa wersja sowiecka jest absurdalna.

Tymczasem Jaworowski o tym najważniejszym fragmencie podczas ekshumacji katyńskiej — o gazetach — nie wspomina słowem. Za to ze swej strony występuje z absurdalną wersją, że odrywanie zelówek u butów przez pomocników dr Wodzińskiego, świadczyło o „nieczym grabieniu zwłok”... (*Nota-bene* butów od trzech lat gnijących w trupiej mazi grobów!).

Niestety więc jest to jeszcze jedna relacja, analogiczna do wielu już rozpowszechnionych, które choć mówią wiele prawdy, ale jednocześnie wprowadzają momenty sprzeczności i zamętu, i niejako ubocznie, ale podrywają wiarygodność prac ekshumacyjnych. Czy to dla sensacji, czy z manii osobistego ważniactwa?

I jeszcze na marginesie: Jaworowski mówi o sowieckim nalocie bombowym, tegoż maja 1943, na teren ekshumacji katyńskiej. Osobiście nigdy od nikogo na miejscu, a musiało to być przed kilku dniami, o takim nalocie nie słyszałem. Następnie opowiada, że prace „odbywały się pod nadzorem także jakiejś formacji żandarmerii polskiej”. Żadnego „nadzoru”, żadnej „żandarmerii polskiej” nie było, bo taka nigdy nie istniała. Sądząc z jego opisu, a zwłaszcza, że przyjechali oni ze Lwowa, mogli to być zaproszeni do Katynia funkcjonariusze tzw. *Bahnschutz*’u (ochrony kolei). Istotnie, słyszałem kiedyś że była taka jednostka zorganizowana przez Niemców we Lwowie, wyłącznie (czy prawie wyłącznie?) z Polaków. Historia tego *Bahnschutz*’u trzymana jest dotychczas (może ze względów „patriotycznych”) pod korcem. A byłoby dobrze żeby ktoś się nią wreszcie zajął, jeżeli jest jeszcze ktoś kto sprawę zna dokładnie. Nie dla oceny zaraz „moralnej”, lecz ściśle historycznej.

„Wilno 1939-1941”

Jest dużo błędów rzeczowych w zamieszczonych w tymże

numerze *Zeszytów*, wspomnieniach Mieczysława Krzepkowskiego z Wilna. Jak wynika z relacji, dostał się on do Wilna w pierwszych dniach października 1939, po zajęciu miasta przez bolszewików, a jeszcze przed ustąpieniem go Litwie, wówczas niepodległej. Był to krótki okres raczej chaotycznego, wojskowego władania sowieckiego.

Zacznę od rojeń autora, które wydają mi się zgoła nieprawdopodobne. Chodziło o plany założenia gazety polskiej w składzie redakcji: Latour, Krzepkowski i Rafał Mackiewicz. Mam wrażenie, że coś tu gruntownie poplątał. Latour był przed wojną długoletnim wydawcą *Expressu Wileńskiego* (tj. wileńskiej mutacji wydania warszawskiego); Krzepkowski, jak przyznaje, znał Wilno z kilkudniowego kiedyś pobytu; zaś Rafał Mackiewicz (Mackevičius, później aby oderwać się od tego nazwiska, przezwął się Mackonis) był skrajnym nacjonalistą litewskim, bez ujemy i przesady powiedzieć by można: szowinistą antypolskim. Z przekonania, a częściowo i wskutek krzywd doznanych ze strony polskich władz wojewódzkich przed wojną, w okresie polityki tzw. „retorsji” zastosowanych względem mniejszości litewskiej na Wileńszczyźnie, w odwet za traktowanie Polaków w Republice Litewskiej. Zresztą był redaktorem wyraźnie antypolskiego pisma *Vilniaus Balsas*. Sam więc projekt wydawania polskiego pisma w tym składzie, wydaje się równie nieprawdopodobny jak decyzja powzięta w bajce: „Łabędź, ryba i rak”, wspólnego ciągnięcia wozu...

Ale do Mackiewiczów wyraźnie Krzepkowski nie ma szczęścia. Już przechodząc do okresu po wkroczeniu Litwinów, pisze na str. 153: „Dnia 15 listopada (1939) ukazał się numer *Słowa*, który wydali Józef Mackiewicz i adwokat Szyszkowski”. — Absolutna nieprawda. W Wilnie w tym czasie zaczęły wychodzić dwie polskie gazety: *Kurier Wileński* i *Gazeta Codzienna*, której byłem redaktorem i wydawcą. W Wilnie, tak dobrze jak nie było Litwinów. Przed wojną zaledwie 2 %. Po oddaniu go Litwie napłynęło z Kowna dużo urzędników, wojskowych, pracowników różnych instytucji etc. Ale ci czytali po dawnemu litewskie gazety kowieńskie. Nie wiem na jakim szczeblu rządowym powstał projekt wydawania dla ludności mówiącej po polsku jeszcze jednej gazety, otwarcie litewskiej, ale w języku polskim. I nie pt. *Słowo* — jak pisze Krzepkowski — lecz *Nowe Słowo*. Podjął się tego stary Litwin wileński i dziennikarz, Kazimierz Welecki (Kazys Weleckis). Człowiek ze wszechmiar uczciwy i lubiany przed wojną w polskich sferach dziennikarskich. *Nowe Słowo* była to krótka efemeryda bez znaczenia. Sam Welecki przyznał mi się, że pomysł był poroniony, nie ma sensu. Nikt tego nie czyta. I na tym się skończyło. Nie jestem jednak zupełnie pewny, czy Krzepkowski w tym wypadku pomylił się naprawdę, czy „omylił się” tendencyjnie... Ale to nie jest znowuż ważne. W każdym razie wspominając i powołując się wciąż na osobę Lińskiego, słowem nie wymienia, że Liński, bodaj od

początku, był współpracownikiem mojej *Gazety Wileńskiej*, gdzie prowadził stałą rubrykę. Zresztą pisało do niej wielu uchodźców z Warszawy: poeta Światopełk Karpiński, Minkiewicz, Maliszewski, Kafel i wielu innych. *Gazetę Codzienną* wspomniał dopiero z krótkiego okresu końcowego, gdy władze litewskie, jeszcze przed wkroczeniem bolszewików w 1940, pozbawiły mnie „koncesji” zrazu na redaktorstwo, a potem i na wydawanie gazety. (Litewska ustawa prasowa przewidywała, na prawo redagowania i wydawania pisma, specjalne „koncesje” państwowe). Opisałem te rzeczy, i wiele innych z tamtych czasów w obszernym artykule pt. „O pewnej ostatniej próbie i zastrzelonym Bujnickim”, zamieszczonym w nr. 11/85 *Kultury* w roku jeszcze 1954, i nie będę się tu powtarzał. Dodam tylko, że dziennikarz-poeta Teodor Bujnicki, który był moim zastępcą i — wówczas — przyjacielem, nigdy nie został aresztowany „wskutek nacisku GPU” za czasów litewskich, jak to pisze Krzepkowski.



A jednak mimo wielu — tych i innych błędów rzeczowych z jednej, opuszczeń z drugiej strony — skłonny jestem uważać relacje Krzepkowskiego za szczególnie dokument historyczny. Dokument wart analizy i zastanowienia nad fenomenem — nie waham się użyć słów pozornie przesadnych: w skali światowej. Pamiętajmy że była to druga od roku 1920 ekspansja bolszewizmu na świat europejski. Wilno jest w niej tylko fragmentem pokazowym akcji, i reakcji na nią — nie mówię narodów, lecz ludzi dotychczas wolnych. Usiłowałem na to zwrócić uwagę w mojej powieści „Drogą donikąd”, i zresztą w innych publikacjach. A także podczas wojny jeszcze, próbowałem przekonać rodaków w Warszawie, że „okupacja sowiecka” nie zawiera tych samych elementów, nie jest i nie będzie żadną analogią do „okupacji niemieckiej”, lecz raczej jej odwróceniem. Zarówno w metodach jak skutkach psychologicznych. Ale zostałem zakrzyczany. We Lwowie w czasie pierwszego wkroczenia bolszewików nie byłem. Wszelako Aleksander Wat w swoich rozmowach z Miłoszem, wydanych pt. „Mój Wiek”, mówi na str. 281: „Atmosfera Lwowa... rzeczywiście była taka, jaką opisuje dla Wilna Józef Mackiewicz”.

Teraz, w relacji Krzepkowskiego, mamy raz jeszcze nagromadzenie przykładów z tych doświadczeń, których od wybuchu drugiej wojny do dnia dzisiejszego jesteśmy stałymi świadkami. A więc po pierwsze: absolutna przewaga wzajemnych wrogości nacjonalistycznych (narodowych) nad wrogością wobec obcej idei, obcego ustroju, systemu społecznego, nawet najbardziej — jak to się zwykło nazywać: „niehumanistycznego”. Byłe utrzymanego we własnym języku. Po drugie: zadziwiająca jakaś, pozornie niewytłumaczalna nieodporność na cały ten kompleks zjawisk, który osobiście obejmuję dosadnym określeniem: zarazy komunistycznej.

Owszem, Krzepkowski przytacza liczne fragmenty, przeważnie zgodnie z prawdą, tej pożałowania godnej polityki litewskiej wobec Polaków jeszcze przed wkroczeniem bolszewików. Spontanicznych przejawów antypolskich ze strony różnorodnych grup i policji litewskiej. Pamiętam jak tenże, wspomniany wyżej Welecki, przyznał w rozmowie: „straszenie jest brutalna”. Nie będę tu tych spraw raz jeszcze poruszał. Ale też wzajemna niechęć ludności polskiej do Litwinów była od początku widoczna. Nastroje były na ogół takie (poza nielicznymi wyjątkami), jak je opisuje Krzepkowski. A wyraźnie i sam autor pod ich wpływem — choć tego nie formułuje — za właściwego „okupanta” traktuje Litwinów, nie zaś moc sowiecką która wkroczyła na Litwę 15 czerwca 1940 roku, kładąc kres jej niepodległości, a zarazem naszemu wspólnemu z nią „burżuazyjnemu” życiu. Ze się bardzo nieznosiło Litwinów, głównie za ich restrykcje językowe, o tym się dziś „głośno nie mówi” ze względu na taktykę polityczną. Ale tak było, jeżeli chodzi o prawdę historyczną. (Pewien dorożkarz, który mnie wiozł, tak scharakteryzował porównawczo, i z westchnieniem: „Za Litwinów życia było, ale żyć nie było można: a za bolszewika żyć by można, ale życia niama”...).

Nie takie jednak zestawienia porównawcze wydają mi się przyczyną dalszego fenomenu. Ograniczam się przy tym do ram relacji Krzepkowskiego z dziedziiny prasowej. Cóż było dalej? Po usunięciu mnie z redaktorstwa *Gazety Codziennej* jeszcze przez Litwinów, opuszcza ją razem ze mną tylko moja żona (podpisująca paniąskim nazwiskiem: Barbara Toporska). Bolszewicy, po wkroczeniu mianują nowego redaktora, komunistę polskiego, Michała Marcińczyka (*nota-bene* uprzednio polski działacz harcerski na stypendiach państwowych...). I cały zespół redakcji, wraz z moimi „przyjaciółmi” i osobistymi i, zdawałoby się, politycznymi zostaje na miejscu, wraz z dokooptowanym Krzepkowskim. Dalej relacjonuje on ściśle: *Kurier Wileński* zamieniony został na: *Gazetę Ludową*, a wkrótce potem władze sowieckie zamykają obydwie, i *Gazetę Codzienną* i *Gazetę Ludową*, tworząc jedną: *Prawdę Wileńską*. Sama nazwa wystarcza. Żadnych złudzeń: tylko polska gazeta bolszewicka. I oto do tej jedynej komunistycznej pcha się kto może! Wymieniam według Krzepkowskiego, podając tylko własne komentarze:

Stary działacz polityczny, Ludwik Chomiński, i stary dziennikarz endecki, Franciszek Hryniewicz; poeta wileński Teodor Bujnicki („kochany Dorek”!) i bojówkarz oenerowski, Hałaburda; były szef prasowy P.K.P. (z Wileńskiej Dyrekcji Kolejowej) Alfred Łęski, i „nasz” Liński z Warszawy; wychowankowie b. sanacyjnego *Kuriera Wileńskiego*, Józef Jurkiewicz, poeci Mikułka i Maśliński, a obok wychowanek b. konserwatywnego *Słowa*, Konstanty Szychowski, „mocarstwowiec” i antysemita; i tak lubiany w *Gazecie Codziennej* reporter, Żyd, Jakub („Kubuś”) Kowarski; i młodzieżowy działacz endecki, Stefan Swierzewski; i b. współpracowniczka *Słowa*, Joanna Wyszowska; i Minkowski,

i prof. Arnold, Gross... Naturalnie nie mówiąc już o patentowanych komunistach, jak Jędrychowski *et comp.* I Mieczysław Krzepkowski. Wszystko pchało się do *Prawdy* bolszewickiej. Owszem, niektórych zredukowano, jak Chomińskiego np., i odstawił on później bohatera. Albo nie pchał się ktoś, kto dostał lepsze zajęcie, jak np. mój przyjaciel Leszek Bortkiewicz, ziemianin brasławski, wychowanek oo. jezuitów, który objął katedrę „Leninizmu Marksizmu”... Ale tu wybiegam dalej. Stało się z otwartą gębą: Jakże to tak, panowie?

A ot tak. Krzepkowski pisze o sobie samym: Były wybory do Rady Związku, „występowaliśmy bądź jako agitatorzy, bądź też jako mężowie zaufania”... W redakcji zaś *Prawdy*: „Pracę ową traktowałem rzetelnie i miałem najlepszą wolę...”.

Tak było. Nie mówię naturalnie o wyjątkach. Tych było dużo. Ale o wycinku pewnego *tableau*. I jeszcze tylko mały odskok od relacji Krzepkowskiego: Ekspedycją *Gazety Codziennej* za moich czasów kierował niejaki Dziarmaga, członek ONR, zaciekle rzekomo antybolszewik, zresztą b. współpracownik *Słowa*. Kiedyś Czesław Miłosz zamieścił w *Gazecie Codziennej* artykuł, w którym no, łagodnie mówiąc, niezbyt pochlebnie ocenił działalność ONR. Dziarmaga wściekł się! Wpadł do mnie grożąc, to że porzuci pracę, to znów że pobije Miłosza!... A oto mija zaledwie dwa miesiące, i tenże Dziarmaga obejmuje kolportaż całej prasy bolszewickiej w Wilnie... Stać było, i podziwiać.

Raz jeszcze: nikogo nie mam tu zamiaru „oskarżać”, „zarzucać”, „potępiać”, do czego u nas zaraz się wszystko sprowadza. Chodzi o rzecz ważniejszą. Z dzisiejszej perspektywy trzydziestu z górą lat istnienia PRL’u są to, naturalnie, najbłahsze przykłady dziki historyczne. Ja wiem. Nie warto może wzruszenia ramion. Ale zważmy że wtedy, wtedy działo się z perspektywy zaledwie pół-do półtora roku od upadku Polski. Tej Polski, która *de facto* utrzymała swą niepodległość dzięki rozbiciu bolszewików w roku 1920. I przez dwadzieścia następnych lat piastowała tę tradycję.

Dlatego to właśnie skłonny jestem uważać relację Krzepkowskiego za cenny przyczynek dokumentarny do pewnego fenomenu historycznego, zwłaszcza że podpisany jego własnym, ówczesnym stanowiskiem. Fenomenowi dotychczas nie poddanego analizie, a pozornie niewytłumaczalnego. Przeciwnie, z dużym wysiłkiem i ze szkodą nie tylko dla naszych doświadczeń, ale i ostrzeżeń dla innych, zaśnawianego ahistoryczną kliszą.

Właśnie gdy to piszę czytam gdzie indziej opublikowaną odpowiedź na moje „zarzuty”. (Przytaczanie faktów historycznych niezgodnych z patriotyczną kliszą, nazywa się u nas: „zarzutami”). Powiedziane jest w tej odpowiedzi, że zimą 1940/41 na Wileńszczyźnie „walczono z okupantem”, co jest oczywistą błagą. Że w teatrze polskim na Pohulance w Wilnie znajdował się rzekomo ośrodek łączności z „leśnymi oddziałami AK” i „wywiadu AK” etc., w tym duchu. Czego nie było, i zresztą być nie mogło, gdyż przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej nie istniały

żadne „leśne oddziały” na Wileńszczyźnie (zresztą ani polskie, ani litewskie, ani białoruskie). A poza tym nie było żadnej AK, która powstała dopiero w lutym 1942 roku... No i co z takim robić?

Niestety, tego rodzaju obiegowe przezrocza narodowej *blagonadziejności*, produkowane w nieodpowiedzialnym przed historią laboratorium — nie wiem jak długo jeszcze — zacierać nam będą obraz prawdy historycznej.

Józef MACKIEWICZ

Piotr WANDYCZ

KRONIKA ŻYCIA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Dwutomowe dzieło pt. *Kronika życia Józefa Piłsudskiego 1867-1935* (Londyn, Polska Fundacja Kulturalna, 1977) jest niewątpliwie wydarzeniem w naszej historiografii. Owoc długoletniej i żmudnej pracy, książka ta opracowana przez Wacława Jędrzejewicza stanowi ukoronowanie działalności naukowej wybitnego badacza a zarazem koronnego świadka opisywanych wydarzeń. Poczynając od pracy o KNAPP-ie, poprzez niezwykle użyteczną kompilację o sprawie polskiej w parlamencie brytyjskim (*Poland in the British Parliament 1939-45*) i cenne opracowania papierów Lipskiego i Łukasiewicza (*Diplomat in Berlin 1933-1939: Papers and Memoirs of Józef Lipski* i *Diplomat in Paris 1936-1939: Memoirs of Juliusz Łukasiewicz*) — nie mówiąc już o wielu artykułach źródłowych — dorobek naukowy Wacława Jędrzejewicza jest imponujący, zwłaszcza jeśli zważywszy, iż badaniom historycznym poświęcił się on dopiero na emigracji, czyli w drugim etapie swego długiego i aktywnego życia. Czołowy Piłsudczyk, żołnierz, dyplomata i minister Drugiej Rzeczypospolitej, a na emigracji działacz polityczny i od wielu lat *spiritus movens* Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce, Jędrzejewicz potrafił spojrzeć z perspektywy historycznej zarówno na osobę Piłsudskiego jak i na okres Polski międzywojennej. Kierunek naukowy, który obrał koncentrując się na opracowywaniu źródeł, wydaje się ze wszelkich miar słuszny, gdyż niestety niewielu już zostało ludzi, którzy mogą wnieść do tego typu pracy tak wielką znajomość osób i wydarzeń, którymi się zajmują.

Kronika nie jest, jak autor to podkreśla, biografią Piłsudskiego, ale zbiorem faktów dotyczących jego życia i działalności. W tym sensie należy do tego samego *genre'u* co opracowanie niedawno zmarłego w Krakowie Józefa Zielińskiego (używającego pseudonimu Mariusz Kułakowski) *Roman Dmowski w świetle listów i wspomnień*, Londyn 1968-1972. Wacław Jędrzejewicz jest zbyt skromny gdy określa swe dzieło jako „przyczynek dla przy-

szłego badacza"; gdyż *Kronika* będzie niewątpliwie podstawą i punktem wyjścia dla przyszłego biografa Piłsudskiego. Jak wiadomo biografii takich istnieje wiele — czytelnik znajdzie ich listę w bibliografii na końcu drugiego tomu — ale żadna chyba z nich nie odpowiada wymogom krytycznego historyka, choć zawierają one interesujące elementy. Należy dodać, że prawie jednocześnie z *Kroniką* ukazały się w Kraju dwa opracowania *U źródeł obozu belwederskiego*, (Warszawa, 1978) i *Przewrót majowy* (Warszawa, 1978), które zasługują na oddzielne omówienie. Znalezienie „klucza” do Piłsudskiego, by użyć określenia Cata-Mackiewicza, jest niezmiernie trudne i można zrozumieć obiekcje samego Piłsudskiego, gdy mówił, że „wszystkie prace, które w stosunku do mojej osoby są czynione w tegoczesnej Polsce, dają osobę moją, to jest Józefa Piłsudskiego, najczęściej zupełnie mi nieznanego”. Czytelnik *Kroniki* zauważy, że nawet w opisie wyglądu Piłsudskiego zachodzą pewne różnice. Niektórzy jego rozmówcy podają, że miał oczy szare inni, że niebieskie, a Skirmunt określa je jako ciemne (I, 423). Jest to drobiazg, ale wskazujący na to jak trzeba być ostrożnym w stosunku do charakterystyki Piłsudskiego przez jego współczesnych.

Kiedy spróbujemy analizować poszczególne czynniki, które składają się na zagadkę wielkości Piłsudskiego, odpowiedzi które otrzymamy nie będą jednoznaczne. Czy był on geniuszem wojskowym? W czasie Pierwszej Wojny dowodził tylko brygadą, a choć jako Naczelnny Wódz mógł poszczycić się wygraniem jednej z najważniejszych bitew i zwycięskim zakończeniem wojny, czyż wojna z bolszewikami nie była z militarnego punktu widzenia wojną „starego typu”, którą trudno porównać z operacjami strategicznymi, użyciem nowoczesnych broni i skomplikowaną mobilizacją wszystkich zasobów gospodarczych w latach 1914-1918? Nic dziwnego więc, że zawodowi wojskowi, specjalnie Francuzi, patrzyli na Piłsudskiego jak na samouka i dyletanta. Pamiętajmy jednak również, że w wyniku *déformation professionnelle* mieli oni tendencje do traktowania rzemiosła wojennego jako filozofii rozumiałej tylko dla wtajemniczonych.

Czy Piłsudski był genialnym politykiem, którego wszystkie przewidywania okazywały się słuszne? I tak i nie. Ale jest to temat zbyt obszerny, który pragnąłbym jedynie zasygnalizować czytelnikowi. Czytając *Kronikę* nie odnosi się wrażenia, aby Piłsudski był urodzonym mówcą. Zwłaszcza w pierwszym okresie jego działalności niewiele wskazuje na to, aby porywał wymową swoich słuchaczy (I, 146, 187, 262). Jednocześnie późniejsze jego przemówienia, czy to w Malinowej Sali czy to z okazji sprowadzenia prochów Stowackiego niewątpliwie robią wrażenie i to z różnych powodów. Piłsudski miał z pewnością talenty historyczne — vide *Rok 1863* — i pisarskie, choć jak gdyby umyślnie nieraz obniżał swój lot i pisał rzeczy, które czyta się z uczuciem zażenowania czy nawet niesmaku. Lektura *Kroniki* potwierdza fakt, że Piłsudski nigdy nie był ideologiem czy doktrynerem —

jego pragmatyzm w podejściu do kluczowych zagadnień jest widoczny, co nie oznacza, iż gotów był iść na kompromisy w sprawach zasadniczych. Jeśli chodzi o niezwykle skomplikowany stosunek Piłsudskiego do zagadnienia silnej władzy i demokracji jakże wymowna jest jego własna wypowiedź z 1924 roku: „sprzeczności nakazu i swobody dotąd nie rozwiązałem” (II, 144). Nie rozwiązał go on zresztą nigdy i w tym sensie Piłsudski nie stworzył ani nowej koncepcji politycznej ani trwałego programu władzy. Nie miał też nigdy wizji przebudowy społeczno-gospodarczej kraju.

Równocześnie nie ulega wątpliwości, iż w przypadku Piłsudskiego mamy do czynienia z elementem geniuszu, choć, tak trudno go określić czy zdefiniować. Piłsudski wzbudzał uwielbienie, posłuch i ślepe przywiązanie u ludzi najróżnorodniejszej formacji, pokroju, poziomu i nastawienia. Wydaje się, że każdy z jego zwolenników podlegał w inny sposób jego osobistemu czarowi, jego władczej osobowości i jego sugestywności. Wśród najbardziej oddanych mu ludzi, miłość łączyła się ze strachem. Piłsudski oburzał się na przypisywany mu dar intuicji i mówił jedynie o swej „inwencji” (II, 402). Jak to określił kiedyś w 1934 roku, posiadał „dar inwencji odwleczenia czy postanowienia sprawy inaczej, gdy tego potrzeba. Taki ma umysł sprytny” dodawał żartobliwie (II, 476).

Niezależnie od terminu jakiego użyjemy, Piłsudski posiadał jakiś szósty zmysł i ogromne wyczucie polityczne. Był też — jak zauważał to jego wielki przeciwnik Dmowski — urodzonym wodzem. Kult Piłsudskiego, który Marszałek przewidywał już w 1916 roku, gdy mówił ironicznie do Wieniawy „Kiedyś, gdy mnie już nie będzie, będę miał także (jak Kościuszko — P.W.) miliony równie zapalczywych i podobnie im nieryzykujących wielbicieli” (I, 317), przybrał w ostatnich latach przed wojną nieco groteskowe formy. Ale zafascynowanie Piłsudskim nie minęło po dzień dzisiejszy i to nawet wśród młodego pokolenia w Kraju, które wie o nim tak niewiele. Czy jest tak dlatego, że Piłsudski był w pewnym sensie kwintesencją polskości z jej wadami i zaletami: był romantykiem i realistą, a równocześnie człowiekiem wielkiego formatu apelującego do wyobraźni? Odpowiedź na to pytanie także nie jest łatwa.

Ponieważ *Kronika* nie jest biografią i Jędrzejewicz nie narzuca czytelnikowi swej interpretacji Piłsudskiego, postać Marszałka wyłania się z jej kart w jak gdyby „czystej” formie. Widzimy Piłsudskiego jako człowieka, jako rewolucjonistę, jako polityka i jako wodza i to w stałej ewolucji. Inny jest Piłsudski przed okresem legionowym a inny w czasie Pierwszej Wojny. Intrygującą u niego w tym wczesnym okresie jest mieszanina wiary w swoją gwiazdę z pesymistyczną analizą samego siebie. Jeśli idzie o lata późniejsze to nie dysponujemy niestety prawie wcale materiałem, który dawałby nam wgląd w to co czuł i myślał.

Autor *Kroniki* sugeruje nam pewne momenty zwrotne w życiu Piłsudskiego i traktuje rok 1923 jako przełomowy dla ewolucji jego osobowości. Wyczerpany psychicznie walkami ze swymi przeciwnikami, Piłsudski staje się człowiekiem coraz trudniejszym do współpracy. Coraz jaskrawiej występują elementy, które nazwalibyśmy dziś psychicznymi „stressami”. Piłsudski i był i nie był cierpliwy w polityce, ale z wiekiem niecierpliwość i nietolerancja wobec innych wyraźnie się zaostrzały. Po 1926 roku coraz częściej traci panowanie nad sobą — jest to już inny Piłsudski, zgorzkniały i schorowany, choć przecież jeszcze nie stary, który rządzi Polską i coraz trudniej znosi przejawy oporu czy krytyki. Zły stan zdrowia Piłsudskiego — ciągłe choroby od wczesnych lat — pozostaje w niewątpliwym związku z jego psychiczną ewolucją. Ale równocześnie, gdy przychodzi do ważnych posunięć jak na przykład podpisanie Deklaracji o Nieagresji z Niemcami w 1934 roku myśli bardzo precyzyjnie i wnikliwie ocenia rozwój sytuacji. Ta „wielopłaszczyznowość” u Piłsudskiego — jeśli można użyć tego określenia — sprawia, że pozostaje w nim coś enigmatycznego co będzie fascynowało nadal historyków tego okresu.

Dobrze się stało, że autor, dążąc do otrzymania możliwie pełnego działu, uwzględnił dość szeroko sprawy rodzinne i osobiste. O pierwszym małżeństwie, o protestantyzmie Piłsudskiego, w którym wytrwał przez kilkanaście lat, o jego stosunku do pierwszej i drugiej żony wie się na ogół niewiele, a są to przecież ważne aspekty życia Piłsudskiego. Wykorzystanie w *Kronice* prywatnych materiałów udostępnionych przez córki Marszałka jest niewątpliwym *novum*.

Zanim przejdę do uwag na temat źródeł w *Kronice*, należałoby powiedzieć parę słów o potraktowaniu przez Jędrzejewicza sprawy kontekstu działalności Piłsudskiego. Oczywiście — jak autor zaznacza w przedmowie — jego dzieło nie jest historią okresu w którym żył Piłsudski, ale tło głównych wydarzeń jest konieczne. Trudno jest niewątpliwie wyważyć proporcje pomiędzy głównym wątkiem a dodatkowymi informacjami, i miałbym pewne zastrzeżenia w niektórych konkretnych wypadkach. Nie wydaje mi się na przykład konieczną wzmianka o gen. Sosnkowskim jako dowódcy (I, 493), natomiast czytelnik powinien wiedzieć o umowie polsko-litewskiej z 7 października 1920 roku (pominiętej na str. 525) lub o uznaniu przez Aliantów, w czerwcu 1919 roku, prawa Polski do zajęcia militarnie ziem aż po Zbrucz (*vide* I, 446) Czy słuszne jest aż tak szczegółowe streszczanie mów Piłsudskiego, które zainteresowany czytelnik może znaleźć w *Pismach*? Zapewne Jędrzejewicz robi to głównie pod kątem czytelnika krajowego, a także Polaków rozsianych po świecie, którzy nie mają dostępu do dużych bibliotek i jeśli tak, to decyzja jego jest słuszna. Dla młodszego pokolenia szczególnie fascynująco powinny brzmieć zwroty autora jak np. „Byłem obecny na tym odczycie” (II, 129), które wprowadzają czynnik personalny i zbli-

żają czytelnika do odległej już dla niego epoki. Te akcenty osobistych wspomnień są zresztą bardzo dyskretne jak przystoi tego typu wydawnictwu.

Autor *Kroniki* zdaje sobie w pełni sprawę z tego, że ogromny materiał który zebrał, jest siłą rzeczy niepełny. Pisząc o wydarzeniach z 1927 roku Jędrzejewicz zauważa, że krótkie notatki prasowe, na których z konieczności musiał się oprzeć „nie podają rzeczy istotnej, tj. treści” różnych rozmów które Piłsudski przeprowadzał. Ani on sam „nie zapisywał ani nie dyktował treści rozmowy” ani nie robili tego jego rozmówcy. Jędrzejewicz dodaje, że „może ten lub ów zanotował treść rozmowy swej z Piłsudskim, lecz jak dotąd nie zostały one ujawnione”. Nie pozostało też śladu z rozmów o których istnieniu autor wie z własnego doświadczenia, np. ze Sławkiem czy Prystorem (II, 272).

Uzupełnienie zapisków *Kroniki* przez wskazywanie na źródła, których autor z takiego czy innego powodu nie był w stanie uwzględnić, powinno przynieść jeszcze trochę informacji lub uściślić daty. Jest to praca, która trwać może latami, ale która jest niezbędna, jak zresztą Profesor Jędrzejewicz stwierdził to w rozmowie ze mną. Poniższe uwagi nie są więc zamierzone jako krytyka, ale jako próba wskazania na dodatkowe materiały.

Relacjonując rozmowy Piłsudskiego z przedstawicielami Francji, tak dyplomatami jak i wojskowymi, Jędrzejewicz oparł się głównie na drukowanych wspomnieniach Ambasadora Laroche'a i szkoda przy tym, że nie zacytował w bibliografii także ich polskiego tłumaczenia: *Polska lat 1926-1935* opracowanego przez Stanisława Zabiękę i wydanego przez Pax w 1966 roku. Raporty Laroche'a istnieją jednakowoż w obszerniejszej wersji w publikacji dokumentów dyplomatycznych francuskich (*Documents Diplomatiques Français*, 1^{re} serie). Znajdziemy w nich pełny zapis rozmowy Piłsudskiego z attaché wojskowym gen. D'Arbonneau (I, 590-594); dokładną datę przyjęcia płk. Koeltza przez Marszałka (1 listopada 1933, IV, 673); sprawozdanie z długiej rozmowy Piłsudski-Laroche 29 stycznia 1934 (V, 552-555, 561-562) pominiętej w *Kronice*; oraz daty rozmów Piłsudskiego z gen. Debeney'em, a mianowicie 25 i 26 czerwca 1934 (VI, 782-784). Kwerenda w archiwach francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych i archiwach wojskowych w Vincennes dostarczy dodatkowych materiałów, zwłaszcza dotyczących misji Marszałka Franchet d'Espèrey. Zapewne podobnych uzupełnień znaleźć by można więcej sięgając do archiwów niemieckich a częściowo i angielskich.

Wśród innych zespołów archiwalnych, autor nie miał możliwości wglądu do Akt J. i A. Piłsudskich w Archiwum Akt Nowych w Warszawie. O ile mnie pamięć nie zawodzi, to nie wydaje mi się abym widział tam wiele ciekawego materiału. Jednakże w artykule Jana Molendy, *Próby porozumienia narodowych demokratów i Piłsudczyków w sprawie tworzenia władz polskich po ogłoszeniu aktu 5 listopada 1916 roku*, „Dzieje Najnowsze”, 1977, 3, znajdujemy kilka danych, np. list Piłsudskiego z 16. XI. 1916

oraz datę przyjazdu Piłsudskiego do Lublina (9. XII. 1916), wziętych właśnie z tego zespołu akt.

Uwadze autora umknął drobny ale interesujący przyczynek Eustachego Sapiehy, a mianowicie jego *Wspomnienia z kilku rozmów z Komendantem Piłsudskim* ogłoszone w miesięczniku *Po-lonia* wydanym w Nairobi. Sądząc z daty na marginesie rękopisu (nie dysponuję samym artykułem), wspomnienia napisane były 4 stycznia 1955 roku i dotyczą rozmów z grudnia 1918 roku, które rzucają nowe światło na kulisy „zamachu” styczniowego 1919 roku. Podobnie ma się sprawa ze spotkaniem i konferencją Piłsudskiego ze Stanisławem Patkiem i Arturem Śliwińskim w Kielcach 6 września 1914 roku, o której pisze Janusz Pajewski, *Wokół sprawy polskiej* (Poznań, 1970) powołując się na wspomnienia Patka i Śliwińskiego. Rozmowa ta była o tyle istotna, że następstwem jej była misja Patka i Antoniego Natansona do Francji.

Wydaje mi się, że należało też wspomnieć o relacji Jerzego Potockiego z jego rozmowy z Marszałkiem w Belwederze, którą ogłosiłem pt. „Jeszcze o misji Jerzego Potockiego w 1933 roku”, w *Zeszytach Historycznych* nr 18 (1970). Choć Potocki nie podaje dokładnej daty, pisze on o okresie przed-sylwestrowym, a ponieważ był u Marszałka razem z Beckiem w grę wchodziłyby daty 29 lub 30. XII sądząc z dat wizyt Becka w Belwederze podanych w *Kronice*. We wspomnieniach gen. MacArthur’a (Douglas MacArthur, *Reminiscences*), H. Morgenthau’a (*All in a Life Time*) i Sir Esme Howard’a (*Theatre of Life*) figurują wzmianki o rozmowach z Piłsudskim, które warto by uwzględnić wzbogacając jednocześnie bibliografię o te trzy pozycje. Wiem, że istnieje również nieopublikowany raport MacArthura, obejmujący jego wizytę w Polsce, a znajdujący się w archiwach w Waszyngtonie. Prawdopodobnie znalazłoby się więcej relacji tego typu zwłaszcza pochodzących ze źródeł obcych.

Bibliografia na końcu drugiego tomu *Kroniki* jest imponująca i w dziale druków zwartych można jedynie niewiele dorzucić do listy książek i artykułów cytowanych przez autora. Pewne zastrzeżenia budzi jednakże pierwsza część a mianowicie „źródła archiwalne”. Nie jest całkiem jasne dlaczego Jędrzejewicz nie umieścił tu wszystkich zespołów, które są wykorzystane w *Kronice* i cytowane w tekście. Na przykład brak jest Protokołów Komisji Obrony Państwa (wzmiankowanych w II, 260), Protokołów Konferencji Inspektorów Armii (II, 273), archiwum dr. Wandy Piłsudskiej, Akt Lipskiego, Protokołów posiedzeń Rady Ministrów itp. Czytelnik, który ma prawo przypuszczać, że przeglądając spis źródeł archiwalnych w bibliografii będzie miał pełny obraz bazy źródłowej *Kroniki* powinien być ostrzeżony, że tak nie jest. Nasuwa się wreszcie jeszcze jedna uwaga. Mowy sejmowe Piłsudskiego są z reguły podawane na podstawie *Pism*, ale należałoby zwrócić uwagę czytelnika, że znajdzie je również w *Sprawozdaniach ste-*

nograficznych sejmu, które w bibliotekach krajowych mogą być dla niego łatwiej dostępne.

Nie istnieje dzieło historyczne do którego nie zakradłyby się drobne błędy. Pewna ich ilość została skorygowana w erracie na końcu drugiego tomu i tu pragnąłbym zwrócić uwagę na kilka innych, które należałoby poprawić. Odnośnie metryki ślubu Piłsudskiego z Marią Juszkiewiczową (I, 124-125) autor interpretuje tekst w ten sposób, że wyznanie ewangelicko-augsburskie odnosi się do rodziców młodej pary i słusznie określa to jako „fałszywy zapis”. Wydaje się jednak, że pomimo dość dziwnej składni gramatycznej aktu ślubu, wyznanie dotyczy samego Piłsudskiego i jego żony. W liście do mnie z 23 lipca 1978, Profesor Jędrzejewicz zgodził się z tą interpretacją pisząc, że sam doszedł do wniosku iż „słowa te odnoszą się do Piłsudskiego i jego żony, bowiem religia rodziców jest obojętna dla kapłana, dającego ślub, natomiast istotne jest jakiego wyznania są młodożeńcy”. Drugim drobnym błędem jest nazwanie posła USA, Hugh Gibson'a „pierwszym dyplomatą formalnie akredytowanym przy rządzie polskim” (I, 440). Pierwszym posłem bowiem był reprezentant Francji Eugene Pralon — jeśli pominąć krótkotrwałą misję niemiecką w Warszawie — który przybył do Polski 31 marca i złożył listy uwierzytelniające 2 kwietnia 1919 roku. O stosunkach panujących między Piłsudskim a pierwszymi przedstawicielami dyplomatycznymi i wojskowymi Francji podają trochę informacji i naświetleń w *French Diplomats in Poland 1919-1926*, „Journal of Central European Affairs, XXIII, nr 4 (1964) i *Henrys i Niessel: Dwaj pierwsi szefowie francuskiej misji wojskowej w Polsce*, „Bellona” XLIV, zeszyt 1 i 2/1962.

W tomie II, str. 48 autor *Odbudowy państwowości polskiej* to oczywiście Kumaniecki a nie Konopczyński. Stopień wojskowy Wendy w 1926 roku podany jest jako major (II, 261) a w 1927 roku jako kapitan (II, 278). O ile mi wiadomo właścicielami Osieku koło Oświęcima byli Rudzińscy a nie Rodzińscy (I, 298) ale tu wchodzimy już w sferę tak nieistotnych spraw, że byłoby pedanterią wyszukiwanie dodatkowych drobnych omyłek czy poślizgnięć, które w żadnej mierze nie pomniejszają wartości *Kroniki*.

Na zakończenie pragnąłbym raz jeszcze podkreślić wielkie walory tego ogromnego dzieła, liczącego ponad 1100 stron i zaopatrzonego w dobrą mapę i drzewo genealogiczne rodziny Piłsudskich. Układ obu tomów jest przejrzysty a strona graficzna dobra. Pięćdziesiąt fotografii, z których niektóre są chyba publikowane po raz pierwszy, stanowi cenne uzupełnienie tekstu. Streszczenia angielskie na końcu obu tomów są bardzo pożyteczne dla czytelnika nieznającego języka polskiego. Jak zaznaczyłem na wstępie tej recenzji ukazanie się *Kroniki* jest swego rodzaju ewenementem. Dzieło to w bardzo obszerny i wyczerpujący sposób wprowadza czytelnika do problematyki Józefa Piłsudskiego, ułatwia pracę historyka, któremu łatwiej będzie sięgnąć do dwutomowej *Kroniki* niż do dziesięciu tomów *Pism*

i rozmaitych życiorysów — nie wszędzie zresztą dostępnych — a wreszcie będzie służyć jako punkt wyjścia do mniejszych i większych prac o Pierwszym Marszałku Polski. Zebrana bibliografia winna zachęcić do opracowania krytycznej i rozumowanej bibliografii dotyczącej Piłsudskiego, której dotąd nie posiadamy. Nie wątpię, że największym komplementem dla Wacława Jędrzejewicza byłoby gdyby jego *Kronika* stała się bodźcem do napisania nowej obszernej biografii Piłsudskiego. Niezależnie od tego czy i kiedy to się stanie, *Kronika* zajmie trwałe i poczesne miejsce w historiografii najnowszych dziejów Polski.

Piotr WANDYCZ

Piotr WANDYCZ

STANY ZJEDNOCZONE A POLSKA: NOWE PUBLIKACJE

W bieżącym roku ukazały się dwie książki, z których jedna poświęcona jest w całości stosunkom amerykańsko-polskim w okresie Drugiej Wojny Światowej (Richard C. Lukas, *The Strange Allies: The United States and Poland 1941-1945*, Knoxville, Tenn., 1978) a druga (Martin Weil, *A Pretty Good Club: The Founding Fathers of the U.S. Foreign Service*, New York, 1978) zawiera dwa interesujące rozdziały dotyczące polskiej tematyki.

Opracowanie Lukas'a, profesora historii z Tennessee, pochodzenia polskiego, jest bardzo na czasie albowiem do tej pory dysponowaliśmy jedynie dziełem Edwarda Rózka, *Allied Wartime Diplomacy: A Pattern in Poland*, wydanym w 1958 roku, a więc siłą rzeczy nie uwzględniającym bogatej dokumentacji, która stała się dostępna w ostatnich dwudziestu latach. Monografia Lukas'a przedstawia, w oparciu o główne zespoły archiwalne, całokształt polityki amerykańskiej wobec Polski w latach Drugiej Wojny i czyni to w sposób interesujący i obiektywny. Szczególnie cenne są w tej książce rozdziały V i VI dotyczące poglądów USA na Związek Sowiecki i Polskę oraz traktujące o Polonii i sprawie polskiej. Wnoszą one sporo nowego materiału i pobudzają do refleksji. Między innymi autor przedstawia powody, które skłoniły ówczesnego prezesa Kongresu Polonii Rozmarka do udzielenia poparcia kandydaturze Roosevelta w 1944 roku oraz referuje małoznane tarcia amerykańsko-rosyjskie z początku roku

1945, związane ze sprawą ewakuacji lotników amerykańskich, znajdujących się na terenie Polski.

Nie wszystkie oceny i interpretacje Lukas'a — na przykład w odniesieniu do motywacji posunięć Roosevelta wobec Rosji — są całkowicie przekonujące. Wydaje się, że autor nie docenia w pełni pogardliwie-negligującego stosunku prezydenta do mniejszych państw i narodów i jego zafascynowania możliwością ścisłej współpracy między wielkimi mocarstwami — tzw. koncepcja czterech policjantów świata. Można również dyskutować kwestię czy ZSSR pogwałcił zobowiązania jaltańskie, czy też były one tak elastycznie sformułowane, iż dawały możliwość Rosji naginania ich do swych celów. Wreszcie używanie terminu „prawicowy” czy „nacjonalistyczny” dla określenia KNAPP'u nie wydaje się trafne nawet jeśli przyjmiemy, że słowo to ma nieco odmienny wydźwięk po angielsku niż po polsku.

W sumie jednak książka Lukas'a jest niewątpliwie solidną i rzetelną pracą, napisaną jasno i przejrzysto, która powinna znaleźć należny oddźwięk wśród czytelników amerykańskich, do których jest w pierwszym rzędzie adresowana.

Książka Weil'a ma zupełnie odmienny charakter. Autor nie wydaje się być naukowcem z zawodu, a jego studium — pomimo szerokiej bazy źródłowej — ma nieco anegdotyczno-plotkarski charakter. Weil przedstawia losy nielicznej grupy zawodowych dyplomatów amerykańskich od końca Pierwszej Wojny Światowej do objęcia prezydentury USA przez Trumana. Analizuje ich stosunki z poszczególnymi prezydentami i sekretarzami stanu i referuje ich nastawienie do spraw międzynarodowych. Autor podkreśla istnienie licznych sytuacji konfliktowych pomiędzy zawodową kadrą — którą charakteryzuje jako konserwatywną i snobistyczną — a czynnikami kształtującymi politykę zagraniczną, a więc w pierwszym rzędzie prezydentem i jego najbliższym otoczeniem. Konflikty, według Weil'a, były szczególnie jaskrawe w okresie prezydentury Roosevelta, który kontrował i ograniczał, choć nie zawsze skutecznie, działalność Departamentu Stanu, posługując się swymi zaufanymi ludźmi, związanymi ideowo z *New Deal*'em.

Omawiając działalność zawodowej kadry, Weil rysuje sylwetki m.in. J. P. Moffat'a, James Dunn'a, Ray Atherton'a, Loy Henderson'a, Elbridge Durbrow'a (zajmującego się sprawami polskimi podczas Drugiej Wojny) i George Kennan'a. Zauważa, że Charles Bohlen, również należący do tej grupy, ulegał w większym stopniu od innych wpływom Białego Domu i aktywistom *New Deal*'u w rodzaju Harry Hopkins'a.

Czytelnika polskiego zainteresują szczególnie rozdział II-gi — „Misja w Warszawie 1919-21” oraz XI-ty — „Polish Imbrolio”, dotyczący lat 1943-44, jakkolwiek sprawy sowieckie i polskie są poruszane i w innych częściach książki. „Misja w Warszawie” omawia działalność Hugh Gibson'a, pierwszego posła USA w odrodzonej Rzeczypospolitej i jego bliskich współpracowników jak

Moffat'a i A. Bliss Lane'a. Niestety, jak i w reszcie opracowania, anegdota i dość powierzchowna analiza nie wystarczają aby dać pełny obraz czy to sylwetki Gibsona czy też ówczesnego kontekstu państwa polskiego. Nie mniej rozdział czyta się z zainteresowaniem, choć czasem i z pewną irytacją. Weil uwypukla antysemityzm Gibson'a — chyba w przesadny sposób — i nie uwzględnia w pełni krytycznego stosunku pośła do polskiej rzeczywistości, choć ogólnie trzeba przyznać, że Gibson popierał Polskę, zwłaszcza przeciw Rosji Sowieckiej.

W rozdziale XI-tym znajdujemy sporo ciekawego materiału o instytucjach, które w pewnym sensie rywalizowały z Wydziałem Europejskim Departamentu Stanu. Chodzi tu przede wszystkim o Sekcję Obcych Narodowości (*Foreign Nationalities Branch*) Biura Służb Strategicznych (*Office of Strategic Services*). Sekcja ta, pod kierownictwem De Witt Clinton Poole'a, opanowana w dużym stopniu przez „żydowskich i protestanckich naukowców” (str. 165) odznaczała się niechętnym stosunkiem do rządu RP w Londynie i systematycznie zwalczała i osłabiała polską działalność na terenie Ameryki, skierowaną przeciw ZSSR. Poole w dużym stopniu wykorzystywał osławionego ks. Orlemańskiego celem przekonywania amerykańskiej opinii publicznej o dobrych intencjach Stalina wobec Polski. W świetle raportów Poole'a mentalność i poziom ks. Orlemańskiego wyglądają dość przerażająco, a jego swoście pojmowany polski patriotyzm w połączeniu z amerykańskim szowinizmem i antyklerykalizmem robią przedziwne wrażenie. W rozmowach z Poole'm Orlemański oburzał się na przykład na działalność Polaków na terenie Stanów zaś polskich księży wygłaszających odczyty ostrzegające przed niebezpieczeństwem rosyjskim określał mianem „obce szczury” (*foreign rats*, str. 166). Poole był zachwycony Orlemańskim i polecał go gorąco Departamentowi Stanu i Rooseveltowi. Równie pozytywny stosunek miał do innych osób, zajmujących pro-sowieckie stanowisko. W związku z tym, należałoby zasygnalizować czytelnikom interesujący artykuł w *Polish Review*, XXII, nr 4 (Grudzień 1977) pióra Charles Sandler'a, *Pro-Soviet Polish-Americans: Oskar Lange and Russia's Friends in the Polonia 1941-1945*.

Jednym z wyczynów Sekcji było przygotowanie kwestionariusza celem badania opinii Polonii amerykańskiej, w którym pytania były tak sformułowane, aby wykazać, iż tylko działalność rządu polskiego i jego orgnów w Stanach — nie mówiąc już o Matuszewskim i KNAPP'ie — zagrażają polityce Roosevelta wobec Rosji. Polonia jako taka uważana była przez Sekcję za bierną i tradycyjnie pro-rooseveltowską. Kwestionariusz wywołał fale oburzenia wśród Polonii i władz polskich. Według autora Durbrow z Departamentu Stanu wstrzymał całą akcję, choć wydaje się, że Weil się myli, ponieważ kwestionariusz był rozdawany i wiadomo jakie przyniósł wyniki.

Z opracowania Weil'a wynika, iż Roosevelt dość wcześniej skłaniał się do nawiązania kontaktów ze Związkiem Polskich Patrio-

tów w Moskwie. Autor zaznacza, iż w kilku wypadkach Departament Stanu musiał powściągać zapały prezydenta. Zawodowi dyplomaci patrzyli często z przerażeniem na posunięcia Roosevelta i jego popleczników jak Hopkins czy Davies. Książkę tego ostatniego, słynną *Mission to Moscow* eksperci od spraw rosyjskich w Waszyngtonie przezwali *Submission to Moscow*.

Główną zaletą książki Weil'a jest charakterystyka zawodowej kadry Departamentu Stanu i jej konfliktów z politycznym kierownictwem USA. Dla znawców dyplomacji amerykańskiej znajdzie się w niej dużo nowego materiału choć tezy Weil'a wzbudzają niewątpliwie kontrowersje i zastrzeżenia. Nie jest to oczywiście wyczerpujące studium Departamentu Stanu, ale praca ta stanowi wartościowy przyczynek do dziejów amerykańskiej polityki zagranicznej — widzianej od wewnątrz — i powinna zainteresować polskiego czytelnika.

Piotr WANDYCZ

Wiktor SUKIENNICKI

HOOVEROWSKIE POLONICA

Poświęcona studiom nad wojną, rewolucją i pokojem hooverowska Instytucja przy uniwersytecie Stanforda w Kalifornii jest uważana za najbogatszą skarbnicę dokumentów i materiałów z okresu pierwszej wojny światowej i jej pokłosia — rewolucji w Rosji i powstania niepodległych państw narodowych w Europie Środkowo-Wschodniej. Nie byłoby dużą przesadą twierdzenie, że znajduje się tam „wszystko”, co w owych czasach w tych sprawach zostało ogłoszone. Zdarzało się, że nawet Moskwa zabiegała o uzyskanie stamtąd odbitek fotograficznych druków, które w Rosji się nie zachowały.

Początkowo skoncentrowane głównie na Europie Wschodniej, zainteresowania Instytucji stopniowo ulegały terytorialnemu rozszerzeniu. Po wojnie i rewolucji w Chinach rozbudowany został dział azjatycki; następnie zaczęto interesować się również Afryką i Ameryką południową; ostatnio zaś — jak o tym niedawno powiedział dyrektor Instytucji dr. Glen Campbell — jej zainteresowania radykalnie się przesunęły „z problemów międzynarodowych na bardziej jeszcze trudne (*thornier*) problemy wewnętrzne”, jak sprawy inflacji, energii, zdrowia, opieki społecznej i opodatkowania.

Pomimo wynikłego z tego zmniejszenia zainteresowania się Europą Wschodnią, wśród ostatnich wydawnictw Instytucji Hoo-

vera znalazły się dwa *polonica*. Jedno z nich dotyczy bezpośrednio zarówno Polski jak osoby Hoovera i jest „udokumentowaną historią ich przyjaźni”¹. Odpowiednie dokumenty zebrał i zaopatrzył we wstęp i noty objaśniające obecny profesor uniwersytetu w San Francisco George J. Lerski, który jako mały Jurek we Lwowie był jednym z wielu setek tysięcy, jeśli nie milionów, polskich dzieci dożywianych po pierwszej wojnie „przez Hoovera”.

Z natury rzeczy owego okresu lat 1919-21 dotyczy większość dokumentów oraz przeważna część wstępu; Hoover wówczas przyjeżdżał do Polski i był tam niezwykle uroczysto i serdecznie witany. Mniej znane i dlatego bardziej interesujące są części książki omawiające stosunek Hoovera do Polski w innych okresach. Okazuje się, że geneza „przyjaźni” pomiędzy Hooverem a Polską sięga początku lat 1890-tych, kiedy Hoover, jako biedny student uniwersytetu Stanforda dorabiał organizowaniem imprez artystycznych. Gdy uzyskał zgodę słynnego już wówczas Paderewskiego na wystąpienie tam z koncertem, okazało się, że jego przyjazd wypadł w okresie ferii uniwersyteckich i koncert musiał się odbyć w najbliższym większym mieście San Jose. Niesłuch publiczność zawiodła i organizatorzy nie tylko nic nie zarobili, lecz nawet nie mogli zapłacić obiecanego Paderewskiemu honorarium. Speszeni, solennie mu obiecywali, że uiszczą je w przyszłości, Paderewski jednak wspaniałomyślnie zwolnił ich z zobowiązania, co pozostało w pamięci Hoovera na całe życie.

Z okresu niezbyt fortunnej prezydentury Hoovera Lerski odnalazł dwa tylko dotyczące Polski dokumenty: pozytywną wypowiedź w związku z organizowaną w 1929 Powszechną Wystawą Krajową w Poznaniu oraz oficjalne zdementowanie w 1931 pogłosek jakoby usposobiony pro-niemiecko sekretarz Stanu Stimson zamierzał wystąpić z inicjatywą „rewizji polskiego korytarza”.

Nieznane, lub mało znane, są również związane z Polską epizody z okresu po drugiej wojnie światowej, kiedy Hoover wchodził w skład wysłanej przez prezydenta Trumana *fact finding mission* do 25 krajów świata i pod koniec marca 1946 był w Warszawie. Będąc w charakterze urzędowym, nie mógł uchylić się od kontaktu z ówczesnymi władzami, aczkolwiek łatwiej mu było znaleźć wspólny język ze społeczeństwem. Po oficjalnych wizytach w Bieruta, Osóbki i innych ówczesnych dygnitarzy, Hoover wydał bankiet w ambasadzie amerykańskiej. W związku z tym doszło do charakterystycznego incydentu; zaproszony na bankiet premier odmówił przybycia bez swojego tłumacza; chodziło o to, by wiedzieć o czym Hoover będzie ewentualnie rozmawiał z Mikołajczykiem oraz innymi mówiącymi po angielsku Polakami.

1. George J. Lerski, *Herbert Hoover and Poland*. A Dokumentary History of a Friendship compiled and with an introduction by: foreworded by Mark O. Hatfield U.S.Senator, Oregon. Hoover Institution, 1977, str. 128 i XVI.

W oficjalnym oświadczeniu podczas wizyty w Warszawie Hoover wyraził swoje przyjazne uczucia w stosunku do Polski i Polaków oraz podkreślił potrzebę rozróżniania pomiędzy społeczeństwem a reżymem.

Druga z ostatnich publikacji Instytucji Hoovera stanowi *polonicum* ze względów nie rzeczowych lecz osobistych. W okresie niepodległości władze polskie popierały zainteresowania młodzieży krajami Bliskiego i Środkowego Wschodu i absolwent Uniwersytetu Warszawskiego Jerzy Lenczowski uzyskał możliwość kontynuowania tam swoich studiów. Obecnie jest on profesorem uniwersytetu w Berkeley i „międzynarodowym autorytetem w sprawach Środkowego Wschodu”. Bardzo starannie wydane pod jego redakcją sympozjum kilkunastu rzeczoznawców omawia rozwój, czy nawet rozkwit, Iranu pod dynastią Pahlewich², która, po obaleniu przed przeszło pół wiekiem zdegenerowanej dynastii Qadarów, miała rozpocząć nową erę w życiu starożytnego Iranu. Szczególnie jest omawiane panowanie obecnego szacha oraz realizowana przez niego „Biała Rewolucja”, przeobrażająca radykalnie „od góry” całe życie niegdyś zacofanego kraju, poprzez reformę rolną, nadanie praw politycznych kobietom, rozbudowę służby zdrowia itp. Materialnych środków na to, jak również na rozbudowę oświaty, przemysłu oraz sił zbrojnych, dostarczają w pierwszym rzędzie źródła ropy naftowej, dochody z których z około miliarda dolarów w latach 1955-70 wzrosły do 19 miliardów w 1975.

Wstęp do sympozjum pt. „Od osiągnięcia niezawisłości do Białej Rewolucji” oraz jego ostatni rozdział „Procesy i instytucje polityczne w Iranie: drugie (po starożytnym — W.S.) królestwo Pahlewich” są pióra jego redaktora; „politykę zagraniczną Iranu w erze Pahlewich” omówił były doradca polityczny Radia Wolna Europa, William E. Griffith. W sumie sympozjum to jest bardzo interesujące, aczkolwiek wzbudzać może kontrowersje szczególnie w świetle ostatnich wydarzeń. Ale to właśnie nadaje mu wyjątkową aktualność.

Wiktor SUKIENNICKI

Paryż, we wrześniu 1978.

2. *Iran under the Pahlevis*. George Lenczowski Editor. Dedicated to the people of Iran. Hoover Institution, 1978, str. 550.

LISTY DO REDAKCJI

Maraisburg, Poł. Afryka, 10 sierpnia 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule swoim o 17 września 1939 r. w nr. 44-tym *Zeszytów Historycznych* Z. S. Siemaszko przytacza urywek rozkazu marsz. Śmigłego-Rydza, iż „w pierwszym dniu bolszewicy... naszych oddziałów... nie rozbrajali” i komentuje to, że Naczelný Wódz nie ma chyba racji i że takie wypadki nie są znane.

Otóż muszę podać, że o takim wypadku słyszałem w dniu 19 września 1939 roku, wprawdzie z drugiej ręki, ale myślę, że Naczelný Wódz mógł w podobny sposób być o tym powiadomiony.

Wiadomość tę otrzymałem w następujących okolicznościach.

Rano 18 września oddział nasz minął Beresteczko i bocznymi drogami dotarł do wsi osadników polskich (mógł to być Drużkopol?) na południe od Horochowa, który omijaliśmy jako ukraińsko niepewny. Nocując tam dowiedzieliśmy się, że bolszewików nie ma jeszcze w Horochowie i że mężczyźni z tej wsi, którzy są tam policjantami, zostają „na posterunkach” i przekazują takowe oficjalnie władzom bolszewickim, gdy te się zjawiają! Jeden z policjantów zastrzelił się.

Na drugi dzień, też bocznymi drogami, ruszyliśmy dalej na zachód. W pewnej chwili, na jakimś skrzyżowaniu przejechał obok nas jakiś podporucznik polski w mundurze na motocyklu. Zatrzymał się i na nasze zapytanie odpowiedział, że tak, on widział bolszewików, że ich oddziały przyjaźnie się odnoszą do wojsk polskich i że oficerów nie tylko nie aresztują, ale że pozwalają im zatrzymać broń boczną. O ile sobie przypominam miał on na swym pasie głównym kaburę z rewolwerem kalibru 7.65 mm. Szybko pożegnał się i odjechał w kierunku zdaje się południowo-zachodnim. Pamiętam, że (podobnie jak pan Siemaszko teraz) uważaliśmy, że to opowiadanie o nierozbrajaniu brzmi nieprawdopodobnie.

A jednak możliwe, że to się zdarzało, że wkraczające pierwsze oddziały sowieckie mogły mieć za zadanie tylko iść w głąb Polski, a dopiero następne oddziały miały rozbrajać, internować i wywozić nasze wojsko. Dość podobną metodę doświadczyłem na sobie, gdy 29 września na szosie pod Chełmem jakiś komandir sowiecki indagował mnie kim jestem (byłem już w łachmanach cywilnych, ale miałem płaszcz żołnierski na ramionach), ale machnął ręką i dość naiwnie uprzedził mnie, wskazując ręką na wzniesienie na szosie: „Oni ciebie użę tam razbierut!” — czyli że niby kto inny, mający takie zadanie, sprawdzi mnie „tam na górze”.

Wyjaśnię tutaj, że oddział do którego wtedy należałem, to była część Wojskowego Instytutu Przeciwigazowego. Od dnia 4 września miałem przydział do tego Instytutu, będąc w stopniu porucznika-inżyniera. 5 września

cały personel Instytutu wraz ze sprzętem został ewakuowany transportem kolejowym z Warszawy. 13 września we Lwowie Instytut został podzielony na 3 grupy. Pierwszą grupę — 17 oficerów rezerwy — zwolniono z Instytutu i wysłano do garnizonu Lwowa. Drugą grupę — stanowiącą kadrę techniczną Instytutu — ewakuowano na samochodach, wraz z całym sprzętem technicznym Instytutu, pod kierownictwem komendanta Instytutu, płk. dr. Karola Borczewskiego na wschód. Trzecia grupa oficerów i podoficerów, dla których nie starczyło miejsca na samochodach, wyruszyła w ślad za grupą pierwszą na piechotę (potem na podwodach) pod dowództwem mjr. Brzozowskiego. Do tej grupy ja byłem zaliczony. Od razu straciliśmy wszelką łączność z pierwszą grupą i już nigdy do niej nie dołączyliśmy.

W 16 września dotarliśmy pod Dubno i mjr Brzozowski starał się włączyć nas do garnizonu Dubna i uzyskał już na to zgodę. Na drugi dzień jednak, wobec wkroczenia do Polski bolszewików, wyruszyliśmy całym oddziałem, w szyku zwartym, na zachód do „walczącej Warszawy”. Dodam tu, że jako uzbrojenie mieliśmy jeden karabin znaleziony w rowie przy drodze i broń boczną niektórych oficerów. Przy okazji też wspomnę, że Józef Czapski w swej książce „Wspomnienia starobielskie” myli się, pisząc, że: „Nikt nie wrócił z Instytutu Gazowego, który cały z mjr. Brzozowskim na czele dostał się do niewoli”. Mjr Brzozowski był dowódcą tylko jednej grupy Instytutu. Z jego grupy, która istotnie cała dostała się do niewoli 23 września między Poryckiem a Włodzimierzem Wołyńskim (według J. Czapskiego była uwięziona w Starobielsku i potem wymordowana), ja jeden chyba ocalałem, uciekając z transportu kolejowego 26 września w Zdobunowie.

Grupa Komendanta Instytutu Przeciwigazowego (J. Czapski mylnie nazywa go „Gazowym”) dotarła gdzieś w okolice Równego i wobec wkroczenia Sowieców tam została „rozpuszczona” i nie dostała się do niewoli jako całość. Taką relację słyszałem od spotkanego w Zdobunowie studenta sekcji uzbrojenia Politechniki Warszawskiej.

Trzeciej grupie (tych 17 oficerów rezerwy) powiodło się najlepiej. Nie przyjęto ich do garnizonu Lwowa i przynajmniej część ich skierowała się wcześniej na południe. Jednego z tych oficerów spotkałem „na funkcji” w kierownictwie Stacji Zbornej w Bessières w Paryżu, gdy spod okupacji niemieckiej zdołałem tam dotrzeć w połowie grudnia 1939 roku. Był on tam, podobno, już od października.

Załączam pozdrowienia.

Z poważaniem,

mjr dypl. inż. Zygmunt K. DABROWSKI



New York, październik 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

Chciałbym wspomnienie pośmiertne Z. S. Siemaszki o Stanisławie Szabuni (*Zeszyty Historyczne* nr 45, str. 186-199) uzupełnić przypiskiem.

W 1976 roku kpt. Szabunia, po odrzuceniu propozycji powrotu do Polski, przesłał kolegom z Okręgu Nowogródzkiego A.K. krzyż *Virtuti Militari*, otrzymany za partyzantkę na kresach północno-wschodnich w czasie wojny. Życzeniem ofiarodawcy było umieszczenie orderu wraz z tablicą upamiętniającą jego podkomendnych w kościele św. Antoniego na ul. Senatorskiej w Warszawie. Krużganek tego kościoła wyłożony jest tablicami, których

olbrzymia większość przekazuje pamięć o zmarłych i poległych w czasie wojny.

Życzeniu temu stało się zadość. W 1977 roku odsłonięto i poświęcono mosiężną płytę z wmontowanym po lewej stronie orderem *Virtuti Militari* i napisem ułożonym przez ofiarodawcę:

PAMIĘCI

- żołnierzy 2 kompanii V batalionu 77 pp. Ziemi Nowogródzkiej
- żołnierzy placówki Solcza-Bieniakonie-Klewica 1944
- absolwentów szkoły młodszych dowódców pod Surkontami 1943
Stanisław Szabunia
„Licho”

Konopiszki 1976

Kiedy na jesieni 1977 zwiedzałem to sanktuarium, krzyża *Virtuti* na tablicy nie było; sterczał tylko trzpień, na którym odznaczenie było umocowane. Poinformowano mnie, że w kilka dni pod odsłonięciu tablicy nieznani sprawcy wyłamali i ukradli order. Żeby nie robić przykrości fundatorowi, nigdy go o kradzieży nie powiadomiono.

Aha, jeszcze jedno wyjaśnienie: „Konopiszki” to kresowa transkrypcja nazwy miasta (Hempstead, N.Y.), w którym kpt. Szabunia spędził ostatnich 10 lat swego życia.

Jan ERDMAN



Mikołajki, 10 czerwca 1978.

W książce pt. *Nowogródzczyzna w Walce 1940-1945*, Janusza Szlaskiego pseud. „Prawdzie” — byłego dowódcy Okręgu Nowogródzkiego A.K., wydanej w 1976 roku w Londynie przez Oficynę Poetów i Malarzy, na stronie 149 — autor stwierdza: „Łupaszko’ major Szendzielarz wraz ze swoją grupą razem z Niemcami odszedł na zachód. Był to oddział, który współpracował z Niemcami”. Natomiast na stronie 215 stwierdza dalej, cytując: „Nie chciałem być donosicielem i nie wyjawilem, że jest mi wiadome, że V brygada Wileńska dowódca Łupaszko’ od początku swego istnienia współpracowała z Niemcami, a w czasie odwrotu Niemców odeszła na zachód”. Koniec cytatu.

Na podstawie dokładnie znanych mi faktów, stwierdzam z całą stanowczością, że ani major Szendzielarz — Łupaszko — ani V-ta brygada nigdy nie współpracowała z Niemcami.

Major Zygmunt Szendzielarz — Łupaszko — w październiku 1950 roku wyrokiem Rejonowego Sądu Wojskowego w Warszawie został skazany na karę śmierci. Wyrok został wykonany. Nie został skazany za współpracę z Niemcami, lecz za działalność podziemną w białostockim i na Pomorzu w latach 1945-47. Mam w posiadaniu broszurkę, wydaną w 1959 przez Wydawnictwo Morskie, w nakładzie 4.000 egzemplarzy, autor Jerzy Kozłiński. Broszurka ta oparta jest na dowodach śledztwa naszych byłych władz bezpieczeństwa, które również nie mówią o żadnej współpracy z Niemcami, a wręcz podkreślają zasługi Łupaszki jako dowódcy V-tej wileńskiej brygady A.K. w walce z Niemcami. To samo nasze władze piszą w broszurce (z tygrysem) pod tytułem „Ryngraf z Trupią Czaszką” i „Sztylet Burego”. Opisują tam działalność Łupaszki po zakończeniu wojny, tj. po 1945 roku,

oraz nieduże wzmianki o działalności okupacyjnej na terenie wileńszczyzny. W żadnym wypadku o współpracy z Niemcami.

My wszyscy, byli żołnierze V-tej Wileńskiej Brygady A.K., twierdzenie Pana Janusza Szlaskiego-Prawdźca jakoby Łupaszko i jego Brygada współpracowali z Niemcami, przyjęliśmy z wielką goryczą i oburzeniem. Skąd ten „zdetronizowany” dowódca Okręgu Nowogródzkiego, wziął te wiadomości. Najprawdopodobniej wysłał chyba z przysłowiowego brudnego palca — i to bardzo brudnego. Łupaszko uważany jest za najzdolniejszego dowódcę wileńskich brygad. Na ile mi jest wiadomo, żona Łupaszki ze Swolkieniów oraz jego nieletnia córka, w czasie okupacji — wówczas kiedy mjr. Szendzielarz-Łupaszko był dowódcą V-tej Wileńskiej Brygady A.K. — zostały aresztowane przez hitlerowców, a następnie powieszone.

Powyższe moje oświadczenie proszę wykorzystać w odpowiedni sposób, aby twierdzenie Pana J. Szlaskiego-Prawdźca odnośnie Łupaszki zostało obalone.

List nadszedł z Polski.

Henryk POLAKIEWICZ
(pseudonim „Łomot”)



Londyn, 18 lipca 1978.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nawiązując do mego omówienia „17 września i jego konsekwencje” (44-te Zeszyty Historyczne) pragnąłbym zwrócić uwagę, iż ostatnio ukazały się wspomnienia gen. Władysława Langnera (*Ostatnie dni obrony Lwowa, 1939 — „Niepodległość,”* tom XI, 1978), w których pisze on:

„... 17. IX. 1939 o godz. 3-ej po południu otrzymuję od ppłk. Kotarby, dowódcy KOP (Korpusu Ochrony Pogranicza) w Czortkowie, wiadomość, że wzdłuż całej granicy słychać rżenie koni i pracę motorów. Polecam natychmiast przekazać tę wiadomość na Kołomyję, gdzie miało przebywać Naczelne Dowództwo i uprzedzić pograniczne garnizony wojskowe.

Z Tarnopola otrzymuję potwierdzającą wiadomość, z tym że na wypadek wkroczenia wojsk bolszewickich wszystkie władze administracyjne oraz policja pozostaną na miejscu — wojsko zaś odchodzi za Dniestr” (str. 181).

Niewątpliwie wkraść się tu błąd, gdyż wyraźnie chodzi tu o 16-go, a nie o 17-go września, jak podano w tekście, gdyż 17-go o godz. 3-ej po południu oddziały sowieckie spenetrowały już polskie terytorium na głębokość co najmniej 30 km.

O wiadomościach nadeszłych do Lwowa 17-go września pisze gen. Langner tak:

„W godzinach popołudniowych otrzymuję telefoniczną instrukcję szefa sztabu Nacelnego Dowództwa — przekazaną przez szefa sztabu Gr. V, płk. dypl. Grabowskiego z Bóbrki treści następującej:

‘Bijemy się tylko z Niemcami. Z bolszewikami wojny nie prowadzimy. Do nich nie strzelać, chyba że zaatakują’.

Ponieważ zdawałem sobie sprawę z wagi tej instrukcji, proszę szefa

sztabu płk. Rakowskiego, by odebrał fonogram i porównał jego tekst z moim. Teksty były zgodne" (str. 182).

Szkoda, że przygotowując swoje omówienie nie wiedziałem o tej instrukcji Naczelnego Dowództwa z 17 września, na podstawie której w wielu polskich ośrodkach oczekiwano „ludzkiego” stosunku ze strony sowieckiej we wrześniu 1939.

Instrukcja przygotowana przez gen. Langnera wskazuje jak głęboko były zakorzenione nadzieje w stosunku do Związku Sowieckiego.

Sięgały one od września 1939 do ujawnienia się 16-tu w 1945 roku i do działalności WiN'u w okresie powojennym, a może nawet sięgają po dzień dzisiejszy. Nadzieje te były, a może nawet jeszcze i są, w pierwszym rzędzie spowodowane bezapelacyjnie antyniemieckim stanowiskiem, na co zwrócił uwagę w swych wspomnieniach prof. Swianiewicz pisząc:

„Polska inteligencja, będąc w masie swej żywiołowo antyniemiecka, jest jednocześnie potencjalnie prorosyjska” (*W cieniu Katynia*, s. 93).

Przy okazji pragnę sprostować drobną nieścisłość. Pan Jan Zalewski, na którego wspomnienia powoływałem się (str. 47), zwrócił mi uwagę, żądając sprostowania, że wywodził się on jedynie z kadry 9-go Szpitala Okręgowego, a nie „przebywał wraz z kadrą” tego szpitala w Tarnopolu, jak napisałem, gdyż w tym czasie kadra ta była gdzie indziej.

Pozostaję z szacunkiem,

Z. S. SIEMASZKO

Shepperton, Middx., 10 lipca 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 44 *Zeszytów Historycznych* dwóch autorów pisze o internowaniu i śmierci w Rumunii śp. Józefa Becka i obaj powtarzają w dobrej wierze pogłoski o powodzie jego nieudanej ucieczki.

Śp. Tadeusz Katelbach pisze (str. 96):

„Plan ucieczki pokrzyżowała intryga donosicieli Kota. Mimo błędów jakie na pewno popełniał, nie zasłużył na to, by mu Polacy zagrodzili drogę do wolności”.

P. Wojciech Krzyżanowski tak konkluduje ustęp o Józefie Becku swych wspomnień (str. 180):

„Katastrofę ucieczki Becka znam jedynie z drugiej ręki. Dotarły do mnie różne sprzeczne relacje... Dziś, gdy po latach wracam znowu do szczegółów zebranych informacji o tym epizodzie, utwierdzam się w przekonaniu, że Londynowi zależało na zorganizowaniu ucieczki Becka w ten sposób aby się ona nie udała”.

Odwiedzając Rumunię w maju 1977 roku, po raz pierwszy od marca 1939 roku, spróbowałem zbadać sprawę tej nieudanej ucieczki. Ułatwił mi tę misję dr. Miliča Moldoveanu, b. student Uniwersytetu Jagiellońskiego i rzecznik od spraw polskich w bukareszteńskim Instytucie Studiów Historycznych. Dzięki jego pomocy z łatwością odnalazłem grób Becka w wojskowej części cmentarza Serban Voda, jednego z największych w Bukareszcie. Jego grób znajduje się na prawo od głównego wejścia, w dziale 21, rząd 44. Na granitowej płycie (60 na 90 cm.) widnieje u góry krzyż, w środku napis

J Ó Z E F B E C K

4. X. 1894 - 5. VI. 1944

a u spodu wykuta oznaka Pierwszej Brygady Józefa Piłsudskiego.

Jak wiadomo, Beck przekroczył granicę polsko-rumuńską w nocy z 17 na 18 września 1939 roku wraz z prezydentem R.P. Ignacym Mościckim i całym rządem polskim. Przez pewien czas był internowany w kurorcie Slanicul Moldovei, ale później, biorąc pod uwagę jego stan zdrowia (gruźlicę), przeniesiono go na transylwański płaskowyż do miasta Brasov i zakwaterowanego w „Hotelu Aro”. Na początku 1940 roku umieszczono go wraz z innymi ministrami* we wsi Snagov, w pobliżu Bukaresztu. Należy tu przypomnieć, że po zagrabieniu (za zgodą Hitlera) Besarabii i północnej Bukowiny przez ZSSR (27. VI. 1940), oraz po zajęciu (za zgodą Hitlera i Mussoliniego) północnej Transylwanii przez Węgry (30. VIII. 1940), król Karol II abdykował 6 września oddając władzę generałowi Ionowi Antonescu. Dnia 14 października przybyła do Bukaresztu niemiecka misja wojskowa, a wkrótce potem wjechała do Rumunii pierwsza dywizja zmotoryzowana. Personal ambasady R.P. z ambasadorem Rogerem Raczyniskim na czele opuścił Bukareszt 4 listopada udając się do Konstanz, skąd odplynął do Istanbulu.

Dr Moldoveanu oświadczył mi, że gdzieś w początkach października z ramienia Antonescu poinformowano dyskretnie Becka, że gdyby chciał Rumunię opuścić to przez 24 godziny agenci Siguranty jego zniknięcia „nie zauważą”. Dnia 20 października Beck, wraz z żoną i jej córką z innego małżeństwa, odjechali samochodem ze Snagova kierując się ku granicy Jugosławii. Między Craiova a Turnu Severinem jakiś człowiek w mundurze dał znak ręką aby samochód się zatrzymał. Był to policjant który chciał prosić o podwiezienie go do najbliższego miasta (o czym Beck, rzecz jasna, nie wiedział). Wyszedłszy z samochodu Beck stanął przed zdziwionym policjantem, oświadczył po francusku kim jest i zażądał aby mu wskazał drogę do najbliższego posterunku policji.

Tak niefortunnie zakończyła się próba ucieczki Becka z Rumunii. Sprobowano go do Bukaresztu, gdzie zamieszkał aż do wielkiego nalotu sojusznicznych bombowców w kwietniu 1943 roku. Aby mu zapewnić osobiste bezpieczeństwo przewieziono Becka do wsi Stanesti (dziś ta wieś nazywa się Stejarul, prowincja Ilfov). Przez trzy dni mieszkał Beck z rodziną i gen. Tadeuszem Kasprzyckim w domu wieśniaka ale zaraz mu oddano do dyspozycji budynek szkoły wiejskiej z dwiema obszernymi izbami, z korytarzem i werandą. W ciągu trzech i pół lat pobytu Becka w Stanesti miejscowy notariusz przynosił mu zapomogi pieniężne oraz dostarczał produkty spożywcze. Gdy Beck zmarł, rumuńskie władze wojskowe pochowały go na cmentarzu Serban Voda z honorami wojskowymi. Dziś obok grobu Becka leży Dinu Ioan, Rumun który zmarł w 1969 roku ale jeszcze za życia Becka odstąpił mu połowę wykupionego dla siebie miejsca wiecznego spoczynku.

Nikt o grób Becka nie dba. Płyta grobowa leży krzywo; odniosłem wrażenie, że się zapada.

Gdy powiedziałem dr. Moldoveanu, że zdaniem niektórych Polaków interwencja rządu polskiego w Londynie miała się przyczynić do niepowodzenia ucieczki Becka, mój rumuński rozmówca odparł:

— Drogi Panie, nam się to wydaje wysoce nieprawdopodobne. Naszym zdaniem gdyby Beck nie spowodował na szosie między Craiova a Turnu Severinem sceny z policjantem, tego samego wieczoru byłby w Belgradzie.

Łączę wyrazy poważania,

Kazimierz SMOGORZEWSKI

* Był z nim jedynie min. Antoni Roman (Red.).

Plattsburgh, N.Y., 15 sierpnia 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

W *Zeszytach Historycznym* Nr 44 mylnie podano w moim sprostowaniu datę ostatniego przemówienia w Sejmie Zygmunta Żuławskiego „w czerwcu 1974”. Winno być „w czerwcu 1947”. Żuławski zmarł w 1949.

Z poważaniem,

Stanisław WÓJCIK



Warszawa, wrzesień 1978.

Szanowny Panie Redaktorze!

W nr. 45 *Zeszytów Historycznych* ukazało się wspomnienie pośmiertne o kpt. Stanisławie Szabuni pióra p. Z. S. Siemaszki.

Nie znając w szczegółach emigracyjnych losów St. Szabuni nie potrafię właściwie ocenić wspomnienia p. Siemaszki co do tego okresu życia i działań śp. „por. Licho”. Znam natomiast dokładnie jedno z opisanych przez p. Siemaszkę (zrelacjonowanych rzekomo przez samego Szabunię) głośnych wojennych zdarzeń wileńskich. Chodzi mianowicie o ucieczkę inż. Tadeusza Cywińskiego z gmachu Gestapo w Wilnie (b. gmach sądów przy ul. Ofiarnej, Mickiewicza i 3-go Maja).

O ile wiem — St. Szabunia był dokładnie poinformowany o okolicznościach i najdrobniejszych szczegółach ucieczki T. Cywińskiego, wtedy od razu w czerwcu 1944, nie wyobrażam sobie zatem, żeby mógł — co prawda po latach kilkudziesięciu — aż tak przeinaczyć fakty i okoliczności ucieczki, jak to podaje p. Siemaszko.

Ponieważ, jak mi wiadomo, omawiane zdarzenie nie było dotąd nigdzie opisane ani w kraju ani za granicą, a zasługuje niewątpliwie na to, by nie zginąć w niepamięci — pozwalam sobie przedstawić — z uprzejmą prośbą o opublikowanie w *Zeszytach Historycznych* — wszystkie związane z nim fakty, zgodnie z prawdą, opierają się na nieopublikowanym ich opisie autorstwa Tadeusza Cywińskiego — osoby najbardziej w tej mierze kompetentnej i wiarygodnej.

Inżynier rolnik Tadeusz Cywiński, w czasie wojny zamieszkały w Wilnie przy ul. Dąbrowskiego 7, należał do oddziału „Baza” Kedywu AK. Został aresztowany przez Gestapo w Wilnie 27 maja 1944 pod zarzutem nie „handlu dolarami” jak podaje pan Siemaszko, lecz udziału w zorganizowaniu ucieczki ze szpitala św. Jakuba jednego z więźniów Gestapo, „cichociemnego”, oficera Armii Krajowej.

Torturowany bestialsko w gmachu Gestapo (dawn. Sądy) od soboty 27 maja aż do czwartku 1 czerwca 1944, nie przyznając się do przynależności do organizacji podziemnej, tym bardziej zaś — do udziału w akcji odbicia więźnia, szukał Cywiński przez wszystkie dni pobytu w areszcie jakiegokolwiek sposobu wyrwania się z gestapowskiego piekła (*nota-bene* trzeba pamiętać, że wiele funkcji gestapowskich pełniły w Wilnie osoby narodowości litewskiej; i tak Litwini — agenci Gestapo aresztowali Cywińskiego na ulicy, przy czym wskazała go im Litwinka mieszkająca w tej samej, co Cywiński, kamienicy, a także gestapowcy przesłuchujący go i torturujący byli Litwinami).

Pomysł ucieczki zrodził się w pierwszych dniach uwięzienia, zaś iście „zagłobowskim” fortem okazało się podsunięcie łasym na pieniądze Litwinom możliwości przechwycenia dolarów, znalezionych przy Cywińskim

w chwili aresztowania (pochodziły ze sprzedaży motocykla). Ucieczka została starannie obmyślona — a więc, jeśli by się udało chociaż na chwilę zostać samemu w pokoju przesłuchań, gdy tamci, znęcani dolarami wyjdą na ich poszukiwanie, trzeba spróbować wyskoczyć oknem, wprawdzie z bardzo wysokiego drugiego piętra, na ruchliwą ulicę 3-go Maja. Z okna zwisał przeciągnięty w poprzek ulicy przewód latarni ulicznej; należało zaopatrzyć się na następne przesłuchanie w sweter (który więzień miał na szczęście na sobie w chwili aresztowania); sweter rzucony na ów drut tuż przed skokiem miał zmniejszyć dystans od ziemi, a także miał stanowić izolację na wypadek, gdyby drut okazał się pod napięciem.

Ucieczka w ten właśnie sposób obmyślana w szczegółach — cudem powiedła się. Żaden „oficer niemiecki nie pozostał sam na sam”, nie był też „wyrznięty w głowę karafką” (!) jak pisze p. Siemaszko. Funkcjonariusze śledczy wyszli na chwilę z pokoju w poszukiwaniu „waluty” i ta chwila wystarczyła, żeby otworzyć okno, przerzucić sweter przez drut latarni — i skoczyć.

Nie upadł „nieco potłuczony” — jak pisze p. Siemaszko. Skacząc z wysokości dzisiejszego bez mała IV-go piętra połamał ręce i stracił świadomość. Nie ukrył się w żadnej „pobliskiej budce” — lecz włokąc się jak pijany — w powszedni dzień, o drugiej po południu, w centrum miasta pełnym policji i wojska — cudem dobrnął nieprzytomny do mieszkania przyjaciół; kierunek ucieczki zaplanował jeszcze w więzieniu.

Sp. Tadeusz Cywiński, zmarły w Krakowie w październiku 1973 roku nie był „handlarzem dolarami”. Także „nie robił wrażenia człowieka światowego”. Był jednym z działających w Wilnie żołnierzy Armii Krajowej, człowiekiem skromnym, spokojnym, flegmatycznym, którego trudno byłoby podejrzewać o czyn tak niezwykle jak opisana tu ucieczka z Gestapo. Wielka szkoda, że opis tej ucieczki, zawarty w artykule p. Siemaszki wypadł tak blado i nieprawdziwie.

List otrzymany z Kraju

(Nazwisko znane Redakcji)

SPIS TREŚCI

Maria Danilewicz Zielińska: <i>Wspomnienia o Bibliotece Narodowej w Warszawie</i>	3
Jan Drewnowski: <i>Władza i opozycja</i> — Próba interpretacji historii politycznej Polski Ludowej	71
Władysław Żeleński: <i>Jeszcze o zabójstwie Pierackiego i rachunkach polsko-ukraińskich</i>	126
Ks. Inf. Teofil Skalski: <i>Garstka wspomnień z mego życia</i> (2)	184
Henryk Kanik: <i>Z dziejów Harcerstwa Polskiego</i>	208

WSPOMNIENIA

Antoni Minkiewicz: „ <i>Konwent Polonia</i> ” 1828-1978 (W 150-tą rocznicę założenia w Dorpacie pierwszej polskiej korporacji akademickiej)	210
--	-----

POLEMIKI

Józef Mackiewicz: <i>Do „Zeszytu” Nr 45</i>	224
---	-----

RECENZJE

Piotr Wandycz: <i>Kronika życia Józefa Piłsudskiego</i>	232
Piotr Wandycz: <i>Stany Zjednoczone a Polska: Nowe publikacje</i>	239
Wiktor Sukiennicki: <i>Hooverowskie polonica</i>	242
	253

LISTY DO REDAKCJI

Z. K. Dąbrowski: <i>Uwagi na marginesie artykułu Z. S. Siemaszki o 17 września 1939 (w Nr. 44 Zeszytów Historycznych)</i>	245
Jan Erdman: <i>Uzupełnienie do wspomnienia pośmiertnego Z. S. Siemaszki o Stanisławie Szabuni (Zeszyt Historyczny Nr 45)</i>	246
Henryk Polakiewicz: <i>Polemika z książką Janusza Szlaskiego pt.: „Nowogródczyna w walce 1940-1945”, wyd. w Londynie w O.P.i.M. w 1976 r. (Obrona mjr. Zygmunta Szendzielarza-Łupaszko)</i>	247
Z. S. Siemaszko: <i>Uzupełnienia do jego artykułu „17 września i jego konsekwencje” (Zeszyty Historyczne Nr 44)</i>	248
Kazimierz Smogorzewski: <i>Uzupełnienia do wspomnień śp. T. Katelbacha i W. Krzyżanowskiego o Józefie Becku (Zeszyty Historyczne Nr 44)</i>	249
Stanisław Wójcik: <i>Sprostowanie pomyłki w jego „Sprostowaniu” dot. daty przemówienia w Sejmie Zygm. Żuławskiego (Zeszyty Historyczne Nr 44)</i>	251
List z Kraju: <i>Polemika ze wspomnieniem pośmiertnym o kpt. Szabuni Z. S. Siemaszki (Zeszyt Hist. Nr 45)</i>	251

Achevé d'imprimer le 20 novembre 1978 sur les presses
de l'Imprimerie Richard, 24, rue Stephenson, Paris 18^e.
Dépôt légal : 4^e Trimestre 1978.

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

„ZESZYTY HISTORYCZNE” UKAZUJĄ SIĘ CO
KWARTAŁ NA POČZĄTKU LUTEGO, MAJA,
SIERPŃIA I LISTOPADA KAŻDEGO ROKU.

PRENUMERATA ROCZNA 1979 — F. 160,00.

PRENUMERATA ROCZNA DLA
PRENUMERATORÓW „KULTURY” — F. 140,00.
CENA EGZEMPLARZA W ROKU 1979 — F. 40,00.

Cena 35 F.